



Dominika Bel

Klatwa Marianny

Bel Dominika

Klątwa Marianny

Hubert wiedział, że należy unikać wieczornych posiłków. Ale godzina dwudziesta pierwsza nie jest przecież bardzo późną porą. Poza tym nie przesadzajmy, zawartość lodówki, nędzne resztki, na pewno nie zasługuje na miano kolacji. W żadnym wypadku.

Nawiasem mówiąc, i tak nie będzie mógł ani pracować, ani zasnąć przy tym przeklętym warkocie remontu torów za oknem. Nawet jeśli użyje bardzo nie lubianych słuchawek.

Wstał powoli z obrotowego fotela, krzywiąc się przy powracającym bólu. Znowu zaczynają się kłopoty z kolanami. Tak, tak, wie dlaczego. Obciągnął sweter na stanowczo zbyt sterczącym brzuszku i zdecydowanym krokiem skierował się do kuchni, gdy w kieszeni dzinsów odezwał się dzwonek komórki.

Jedną ręką otwierał już drzwi lodówki, a pulchnymi, lecz zręcznymi palcami drugiej odbierał telefon.

- No, cześć, Bożenko. Co u ciebie?
- To, co zwykle. Gryzmołę sobie. - Zawsze lubił jej niski, ciepły głos.
- Ale ty, założę się, podjadasz. Zgadłam?
- Ja? Żartujesz. O tej porze?
- Albo się właśnie zabierasz. Słyszę twoje zadowolenie. Poważnie, Niedźwiadku, zastanów się, czy nie porozmawiałbyś z Maćkiem.

- Ale on mnie nienawidzi. Bożena roześmiała się.
- Skądże znowu. Zapewniam cię, że nie ma zdolności do tego rodzaju uczuć. To świetny lekarz. I mówię tak nie dlatego, że jest moim mężem.

- Zagłodzi mnie albo otruje - jęknął Hubert.

- Zagłodzić się nie dasz, jestem pewna. Przemyśl sprawę. A na razie mam dla ciebie coś, co ci się spodoba. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o chałupce w Zrębiaku?

- Oczywiście. - Hubert wznosił dziękczynnie oczy ku górze. - Naprawdę mógłbym się tam przechować?

- Spokojnie. Wiem, jak ci zależy na ciszy, a ja też chcę, żebyś jak najszybciej skończył tłumaczenie. Pasują ci klucze jutro rano?

- Jesteś złota!

- Tylko, Hubercik, odbierzesz je od Darii spod siódemki, dobrze? Pamiętasz ją? Po prostu, kiedy ty wstaniesz, mnie już nie będzie, bo muszę wcześniej wyjść.

- Jasne. Chętnie ją zobaczę, bo to miła dziewczyna. — Pokiwał głową i uśmiechnął się po swojemu, dobrodusznie. - Jutro rano, Skrętna piętnaście, mieszkania siedem. Całuję cię, Bożenko.

Przynajmniej na pewno uniknie spotkania z jej mężem. Zaoszczędzi sobie nerwów i zdrowia.

W lodówce na środkowej półce leżał ładny plaster piezowego schabu. Świetnie pachnie. Bez pieczywa nie będzie tuczący. Na szczęście, została jeszcze sałatka z odtłuszczonym majonezem.

Hubert zapełnił dwa talerzyki. Do tego butelka dietetycznej coli. Z zadowoleniem odkroił soczysty, pachnący kminkiem kęs. Życie potrafi być jednak piękne.

Kiedy ostatni raz widział doktora Macieja Korendę, mijając się z nim w drzwiach, gdy wpadł do Bożeny, ten zmierzył go spojrzeniem, po którym chyba powinny były zniknąć, jedna po drugiej, jego komórki tłuszczowe. Zamiast tego jednak Hubertowi zrobiło się tylko zimno. Ani jedno słowo nie było

potrzebne. Miał sobie po prostu przypomnieć spotkanie sprzed tygodnia.

Właśnie wtedy Bożena zaesemesowała, że się nie zobaczą, bo musi iść na zakupy z mamą, więc wstąpił do barku w pawilonie naprzeciw jej domu. Była akurat pora lunchu i zamówił kurczaka z frytkami. Jak spod ziemi pojawił się Korenda, żeby kupić gazetę. Zauważył Huberta i usiadł przy jego stoliku z zawodowym, jak mogło się wydawać, uśmiechem.

- Widzę, że wybrał pan na pozór przyjemny sposób powolnego rozstawania się z życiem - stwierdził beznamiętnie. - Ale chcę pana poinformować, że umieranie na zawał serca jest jednym z najbardziej nieprzyjemnych - cedził, uważnie obserwując jego reakcję. - Radziłbym postarać się o coś spokojniejszego i mniej bolesnego. - Wstał, najwyraźniej sądząc, że Hubert mało się przejął. - Zawsze można kogoś poprosić o pomoc - rzucił z góry.

I kto przy zdrowych zmysłach zafundowałby sobie powtórkę! Jeszcze pamięta te zimne, jasne oczy, niepasujące do opalonej cery, podobnie jak lekki, ciemny zarost kontrastujący z jasnymi włosami. Tak wygląda prawdziwy sadysta. Oczywiście, nawet on nie był wtedy w stanie popsuć radości, jaką daje krojenie chrupiącej skórki i smakowanie frytek wysmażonych dokładnie tak, jak trzeba.

W tym momencie, niestety, Hubert poczuł znajomy ból po lewej stronie. Oczywiście żołądek. Źle znosi mięso i warzywa bez osłony. Szybko posmarował niskocholesterolowym masłem kromkę świeżego chleba z ulubionej piekarni. Doskonale.

W ogóle całkiem nieźle. Cieszy się, że jutro zobaczy tę małą Darię. Choć wcale nie jest taka mała. Wyższa od Bożenki. Zgrabna, kobieca, inteligentna.

Spokojnie dopijając colę, włączył telewizor. Spikerka była bardzo podobna do Bożeny, choć nie taka atrakcyjna. Nie do pomyślenia, jak dziewczyna, która mogła tak jak ona wybierać,

zdecydowała się na kogoś w rodzaju Korendy. Trudno, trzeba jej to wybaczyć.

Ekran telewizora stawał się coraz mniej wyraźny. Hubertowi śniły się dwie kobiety. Zapięta pod szyję i owinięta śliwkowym szalem Daria i ubrana w czarny podkoszulek Bożena.

Pni Iza Dolant poprawiła tabliczkę z napisem: *Otwarte 7-21*. Właśnie przetarła i tak idealnie czystą szybę sklepu ogólnospożywczego, połączonego z małym barkiem, przy ulicy Skrętnej. Ranek zapowiadał się na cieplejszy niż poprzednie dni, więc miała nadzieję, że pogoda wywabi z domów klientów po bułeczki i prasę.

Oparta o framugę drzwi prezentowała nogi oprawione w czarny, wysoki obcas; nogi, których nie powstydziałaby się trzydziestolatka, toteż ona, mimo swoich pięćdziesięciu sześciu, pozwalała sobie na mini. Natomiast długością imponowały jej czarne, naturalnie falujące włosy, uczesane z klasycznym przedziałkiem opadały poniżej jej ramion.

Głęboko wciągnęła orzeźwiające powietrze. Na razie pusto, tylko naprzeciw, w bramie pod piętnastką, pokazał się wysoki mężczyzna w dresie i wełnianej czapeczce. To pan Piotr Niespał uzależnił się chyba od porannego joggingu.

Westchnęła. Coś niedobrego z tym domem. Nie chodzi o to, że stary, zaniedbany i samotnie stoi. Po prostu aż trudno opędzić się od złych przeczuc. Najpierw we wrześniu zaginął miły chłopiec z parteru, Damian. W listopadzie afera z „Eurydyką”, salonem piękności kilkadziesiąt metrów w lewo. Dla sklepu złote źródło klientów. Niestety, lokal zamknięto na kłódkę, właściciele zdążyli zbiec przed aresztowaniem.

Jeśli zdarzyło się dwa razy, musi być trzeci. To prawo działa jak świat światem. I w zasadzie po wyburzeniu starych ruder nigdzie

indziej nie ma miejsca na następne nieszczęście, tylko przy Skrętej piętnaście. Chyba że obok, za „Eurydyką”. Opuszczone resztki jakichś działek pracowniczych. Na pewno nie będzie tamtędy przechodzić. Zresztą nie ma takiej potrzeby. Wzdrygnęła się, może od chłodu.

Przecież zna wszystkich z domu naprzeciwko. Niedawno umarła starsza pani z drugiego piętra, nazywała się Kalińska. Teraz mieszka tam jej siostrzenica, ma na imię Daria. Przyjechała, zdaje się z Bieszczad i pracuje w kancelarii adwokackiej. Broń Boże, żeby ją coś złego spotkało, bo jest naprawdę miła. Dzisiaj na przykład obiecała jej, że przywiezie krem zamówiony w centrum, co oszczędzi pani Izie dodatkowego tłuczenia się po mieście.

Młody człowiek z tego samego piętra, nie do końca chyba z głową w porządku, też sobie na nic nie zasłużył.

Na pierwszym piętrze Bożena Korenda. Fantastyczna młoda kobieta, przypomina ją samą sprzed lat. Mimo że ma jasne włosy i ciemne oczy, odwrotnie niż ona. No i jest ilustratorką książek dla dzieci. Wczoraj wieczorem wpadła po soczek, ale chyba to był tylko pretekst do zamienienia paru słów. Uśmiechnęła się i zdążyła tylko rzucić: „Niech pani zapomni, co mówiłam. To było głupie. Wszystko jest dobrze. Tak myślę, może czas na dziecko”.

Nie mogły niestety dalej rozmawiać, bo nagle wpakowała się ta Alamakota i jak zwykle popsuła wszystko. No nie, znowu idzie.

Pani Iza miała wielką ochotę odwrócić szyldzik na stronę „zamknięte”, ale heroicznym wysiłkiem woli stanęła za ladą. Zwana przez nią Alamakota, pani Alicja Bronowska z drugiego piętra, godnie wkroczyła do sklepu, starannie zamykając drzwi i uważając przy tym na szeroką sztruksowa spódnicę o modnej w tym sezonie długości, do pół łydki.

Pewnym ruchem zdjęła z półki serek i dżem, opatrzone napisami „bez konserwantów”, i z ostentacyjną obojętnością postawiła je na ladzie.

- Tylko to mogę u pani kupować - stwierdziła z zadowoleniem. - Nic innego się nie nadaje.

- I bardzo dobrze - odparła pani Iza, wydając resztę.

- Widzę, że niczego pani nie chce się nauczyć - skomentowała klientka, przesyłając pełen serdeczności uśmiech, którego biel mogłaby być świetną reklamą zdrowego odżywiania, i opuściła sklep.

Iza Dolant zagryzła wąskie wargi. Tak, tacy ludzie też żyją. Tylko nie wiadomo po co. Zimnym wzrokiem odprowadziła panią Alicję, widząc, jak ta, mimo figury bardziej apetycznej niż filmowej, zręcznie omija kałuże. Podążające za nią spojrzenie nie było wystarczająco skuteczne, ponieważ ani jedna plamka z błota nie znalazła się na jej jasnobezowo stonowanym stroju.

Od strony alejki za „Eurydyką” nadbiegł zdyszany Piotr Niespał. Przed drzwiami domu wymienił chłodne pozdrowienie z Alamakotą i prawie wpadł na Macieja Korendę. Doktor, mimo że trochę niższy od Niespała, zawodowo opiekuńczym gestem objął go i wyraźnie pochwalił. Zamienili jeszcze parę słów, po czym lekarz odjechał swoim oplem. Pani Iza patrzyła na niego z przyjemnością, w jego sposobie poruszania się był spokój i pewność siebie, co od razu dawało poczucie bezpieczeństwa, a tego nigdy nie za wiele. Zwłaszcza gdy naprawdę nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Daria naprawdę lubiła się budzić. Od dziecka, bez względu na to, co ją spotykało, każdego rana z ufnością rozpoczynała dzień. Dzisiaj, w dodatku, mroźna szarość już pachniała wiosną. Nieśmiało, blade promienie słońca wpełzły pod zasłonkę pamiętającą dawne czasy, kiedy to przed dziesięciu laty Daria wyjechała z domu. Wróciła teraz, po śmierci ciotki, tu, gdzie

mieszkała od urodzenia i gdzie cały czas jako dziecko, a potem nastolatka, desperacko starała się być szczęśliwa.

Pewnie obudził ją dźwięk fletu z mieszkania po przeciwnej stronie piętra. Sąsiad po amatorsku, ale z wielkim zaangażowaniem wygrywał drugą część *Eine kleine Nachtmusik*. Chyba pomylił pory dnia, ale Mozart jest dobry na każdą.

Przeciągnęła się, miło odczuwając szorstkość kolorowej pościeli. Kora w niebiesko-żółty wzór to pierwsza rzecz, jaką kupiła po wprowadzeniu się tutaj kilka tygodni temu, by móc poczuć się u siebie. Ściśle mówiąc, w końcu udało jej się tego dokonać, bowiem piętujące się trudności, począwszy od zepsucia się tramwaju, a skończywszy na niemożności odczytania ceny towaru, mogły ją kompletnie zniechęcić do całej sprawy.

Właściwie trzeba sobie powiedzieć otwarcie, że od pewnego czasu po prostu prześladowuje ją pech. Wprawdzie nigdy nie była specjalną szczęściarą, ale też nie skarżyła się na złośliwość losu. Natomiast teraz... Teraz stale coś jej się nie udaje. Dobrze, że przynajmniej w pracy nie ma problemów i mecenas jest z niej zadowolony. Trzeba myśleć pozytywnie i zrozumieć, że wszystko zależy od nastawienia.

Ciepła woda z prawie zabytkowego prysznicza dodała jej sił. Wprawdzie jego metalowa główka znowu z wielkim hałasem upadła na dno wanny, ale Daria i tak uznała za szczęście, że nie wycelowała na przykład w żaden z jej palców u nogi.

Zawinęła się w miękkie, pąsowe szlafrok z materiału, którego nazwy nie знаła i nie musiała znać, płacąc za niego dziesięć złotych w małym second-handzie koło Leska. Nikt poza nią nie chciał nabyć czegoś, co przypominało raczej kostium teatralny niż praktyczną podomkę.

Na śniadanie oczywiście dwie kanapki z wędliną w miarę cienko posmarowane masłem, bo trzeba w końcu wejść w 38 w biodrach, jeśli w talii pasuje 36. Herbata jednak z mlekiem. O, nie! Tylko nie to! Ten zapach zawsze przyprawiał Darię

o mdłości. Z trudnością, nie oddychając, wylała zawartość kartonu w łazience. No, więc dzisiaj będzie bez mleka. Doprawdy, nie wiadomo, skąd pani Iza bierze taki wysokogatunkowy towar.

Starając się według wszelkich zasad jeść powoli, przystąpiła do planowania najbliższej przyszłości. Podobno trzeba postawić sobie cel i konsekwentnie go realizować. Ona chciałaby zmieścić się w dżinsy kupione dwa dni temu u Chińczyka.

Dżinsy weszły i nawet dały się zapiąć, ale bez patrzenia w lustro wiedziała, jak bardzo niedopuszczalnie są obcisłe. Chyba ze zwykłego okrucieństwa zabrała się do oceny swojego odbicia. Jak zwykle, twarz bez wyrazu, oczu nie widać, natomiast widać biodra.

- Tak, jestem beznadziejna - powiedziała głośno. Stała oparta o ścianę, zaciskając mocno powieki. - Wszystko doskonale się zgadza. I będzie się zgadzać coraz bardziej.

Od dalszych budujących wniosków uwolnił ją dzwonek do drzwi. Oczywiście, pani Bożena z kluczami dla Huberta Noconia. Daria błyskawicznie wyciągnęła z szafy szary, długi sweter i naciągnęła na siebie w celu zakrycia kompromitujących fragmentów sylwetki.

Zwłaszcza przed Bożeną Korendą, którą podziwiała dokładnie za wszystko, a przede *wszystkim* za urodę. Ona sama zawsze marzyła o dużych oczach, jasnych włosach i możliwie wyrazistym nosie. Pogardzała swoim za krótkim i bardzo nie lubiła ciemnych, raczej wąskich oczu, jakie przydzieliła jej natura do ciemnoszarych, prostych włosów.

Sąsiadka w czarnym podkoszulku i szaroniebieskich markowych dżinsach luźno otaczających jej drobną figurę witała Darię nie tylko lśniącem i równym, ale naprawdę ujmującym uśmiechem.

- Ma pani szczęście, pani Dario - potrząsnęła jasnymi włosami, które jeszcze bardziej wymknęły się spod gumki zwykłego kucyka - że nie ma pani bezpośrednio nad sobą tego

pseudoartysty od fletu. Już wolałam, kiedy popisywał się piosenkami harcerskimi, bo coś takiego trudno zepsuć. - Jej ciepły, niski głos brzmiał dramatycznie. - Dobrze, że mój mąż już wyszedł, ponieważ w odróżnieniu ode mnie jest muzykalny, więc mógłby wpaść w złość. W ogóle, to dziękuję pani serdecznie. Świetnie mieć taką sąsiadkę. - Położyła ciepłą dłoń na jej ramieniu.

Daria wiedziała, że nie robi nic szczególnego, ale jak zwykle po spotkaniu z panią Bożeną poczuła się po prostu przyjemnie. Huberta Noconia też odbierała bardzo dobrze. Jest naturalnie miły i najzupełniej normalny, bez cienia pretensjonalności. Chociaż prawdę mówiąc, jako znany tłumacz z angielskiego miałby prawo zachowywać się zupełnie inaczej.

Kiedyś Bożena Korenda zapytała, czy mogą u niej posiedzieć z Hubertem i popracować, bo jej mąż wrócił zmęczony i nie chcą mu przeszkadzać. Daria chętnie zgodziła się, szybko zresztą Hubert zadzwonił po pizzę i praca przerodziła się w trzyosobowe spotkanie towarzyskie. Skończyło się dość nieoczekiwanie, gdy pani Bożena spojrzała na zegarek i stwierdziła, że musi natychmiast iść do siebie, bo Maciek będzie się denerwował.

Wtedy Daria przez moment zastanowiła się, czy czasem bycie singlem nie ma konkretnych zalet.

Oczywiście, można różnie trafić. Każde małżeństwo jest inne. Nawet takie najbardziej udane. Ale to nie jej zmartwienie.

Niezależnie od wszystkiego trzeba się ubrać i zacząć dzień.

Już niczego nie przymierza. Założy ciemną spódnicę, którą nosi od tygodnia w nagrodę za to, że ją wyszczupła. I niebieski sweter, bo zawsze czuje się dobrze w tym kolorze. Przy nim podobno widać, że przynajmniej białka jej oczu mają jasnobłękitną barwę.

Przeciagnęła lekko tuszem po wygiętych w szerokie łuki brwiach, starając się opanować drżenie rąk. Zupełnie nie wiadomo, skąd ono się bierze. Przecież nie przemęcza się i nic jej nie jest.

To dobrze, że ma sporo czasu do wyjścia, *zdąży* jeszcze dokładnie przejrzeć książki ciotki, które obiecała przynieść pani sprzątajacej kancelarię mecenasa Rawicza. Daria szybko zaprzyjaźniła się ze starszą, sympatyczną kobietą mieszkającą samotnie, bardzo wdzięczną za coś miłego i nietrudnego do czytania. Ciotka gustowała przede wszystkim w romansach, więc bardzo szybko połowa półki została spakowana do plastikowej torby z poczuciem, że trafi tam, gdzie się przyda.

Po raz trzeci chyba przetrząsała kartki, tak naprawdę wiedząc, że między nimi nic już nie zostało, ale na myśl o czymś, co mogłoby wpaść w cudze ręce, robiło jej się gorąco. Właściwie nie wie dlaczego, nikt przecież nie zrobił nic złego. Ani ona, ani ciotka.

Prawda, że od jakiegoś czasu zaczęła dziwnie reagować. Przejmuje się drobiazgami, często niepotrzebnie odczuwa strach. Zwłaszcza po przyjeździe tutaj. Może trochę winna jest atmosfera stworzona przez tych lekko zwariowanych sąsiadów. Ale swoją drogą, trudno im się dziwić. Miejsce, po wyburzeniu starych domów, zrobiło się raczej ustronne, obok zamknięty salon piękności, gdzie nie wiadomo, czym się zajmowano. Przedtem w niewyjaśnionych okolicznościach zniknął chłopak z parteru, który tam właśnie pracował. W sumie więc nic dziwnego, że prawie wyczekują następnego nieszczęścia.

Daria z przyzwyczajenia skontrolowała wzrokiem małą zamkniętą komódkę. Jej zawartość na pewno nie poprawia jej samopoczucia, ale nic na to nie poradzi. Tego nie może ani nigdzie oddać, ani nikomu pokazać.

- Czy pan teraz wie, co pan robi, czy już nie? Muzyka fletu przed momentem ucichła, zapewne w związku z energicznym, długim dzwonkiem do drzwi. Drzwi te

otworzyły się i stanął w nich młody człowiek w koszuli narzuconej w wyraźnym pośpiechu i w kolorze tyleż mdłym, co nieokreślonym i nieodróżnialnym od barwy za obszernych spodni, przytrzymywanych przez bardzo staromodny pasek.

- Zdecydowanie tak - odpowiedział grzecznie, ale raczej już myśląc o czymś innym i odległym, na co wskazywało spojrzenie jego zmrużonych oczu błędzących gdzieś niedaleko głowy rozmówcy.

Był nim wysoki, dość silnie zbudowany mężczyzna o krótko obciętych siwych włosach i takiej samej, niedużej bródce. Inżynier Piotr Niespał, który zdążył odświeżyć się i przebrać po porannym joggingu.

- Co pan wie? - warknął krótko.

- To, o co pan pytał. - Nieobecny wyraz twarzy flecisty mówił sam za siebie.

- Nawet gdyby pan miał talent, słuchanie non stop tego samego utworu jest dla wszystkich torturą. A ponieważ w panu nie ma odrobiny elementarnej muzykalności, dodatkowo obraża pan Mozarta, a nam daje dowód pospolitej arogancji. Proszę przyjąć do wiadomości, że zakończy pan ten proceder, czy to się panu podoba czy nie.

- Oczywiście, że tak - padła odpowiedź niezupełnie z sensem, ale za to z grzecznym uśmiechem, i towarzyszyłoby jej chyba zamknięcie drzwi, gdyby nie zaistniały nowe okoliczności.

- Gratuluję, panie Sebastianie, grał pan dziś naprawdę świetnie. - Z mieszkania obok wyłoniła się Alicja Bronowska uzbrojona w wiklinowy kosz i ekologiczną torbę. - Dzięki panu od rana jestem pełna chęci do życia i czuję, że przekazał mi pan dobrą energię na cały dzień. Panu też z pewnością pomaga w pracy. Będzie nowy udany projekt?

- Jeśli dorówna wirtuozerii, to już go widzę w Dolinie Krzemowej - warknął inżynier Niespał.

- Słyszał pan, panie Sebastianie? Coś chyba skrzypiało. Pewnie ze starości. Dom oczywiście. Kiedyś się osypie, a na razie trzeszczy. Dom oczywiście.

Błysnęła uśmiechem i zeszła w dół schodami, zostawiając sąsiadów samym sobie, ale nie na długo, bowiem Sebastian po prostu odwrócił się i odszedł w głąb mieszkania.

- Czy pan słyszał o drzwiach? Taki wynalazek może zbyt skomplikowany.

- Przy niektórych zaburzeniach neurologicznych podobno występuje irytacja drobiazgami. - Pani Alicja najwyraźniej nie oddaliła się jeszcze na tyle, bo słyhać było, jak głośno myśli i wyciąga wnioski.

W odpowiedzi Piotr Niespał w sposób zdecydowany i nie oszczędzając futryny, zrobił użytek z drzwi flecisty, który już zdążył wrócić do przerwanej zajęcia. A więc znów dźwięki Mozarta wypełniły stanowczo mniej elegancką od nich klatkę schodową i ozdobiły nieco odrapane mury kamienicy przy Skrętnej piętnaście.

Bożena Korenda ostrożnie wsunęła do schowka swojego fiata pudełko opakowane w kolorowy, lśniący papier. Była naprawdę zadowolona z wyboru. Srebro i bursztyn to coś klasycznego i ponadczasowego. Co ważniejsze, kolia idealnie pasuje do oczu i karnacji mamy. Znakomity prezent urodzinowy. Teraz już może spokojnie pojechać do niej i porozmawiać o szczegółach przyjęcia.

Odruchowo spojrzała w lusterko samochodowe. Może czas zacząć delikatnie się malować? Nie, po co. Jest kochana przez fantastycznego mężczyznę i wie o tym najlepiej na świecie. Przymknęła oczy, uśmiechając się do siebie. Dzisiejszy ranek był wspaniały. Seks, który unosi pod niebo i sprawia, że przez cały

dzień kobieta jest pewna siebie. Wie, że wszystko się uda. Uda się, bo nie jest sama. Ma mężczyznę, na którym może całkowicie polegać.

Włączyła silnik. W tym nastroju może jechać do mamy bez obawy. Na żadne komentarze nie zareaguje nerwowo i wizyta nie skończy się kłótnią.

Mama wyglądała jak zwykle bardzo dobrze i absolutnie nie sprawiała wrażenia kogoś, kto za kilka dni będzie obchodził sześćdziesiąte urodziny.

Krótkie, starannie ułożone włosy miedzianego koloru, dyskretny makijaż, delikatny zapach perfum i perłowy beż jedwabnej bluzki, czyniły ją ciągle atrakcyjną, co odruchowo oceniła Bożena, przytulając się w obowiązkowym, ale naprawdę ciepłym pocałunku.

- No, pokaż mi się, dziecko. - Kobieta teatralnie zmarszczyła brwi. - Artystycznie, ale ładnie. Dobrze są te sznureczki przy dekolcie, a podobne zielonkawe bluzki nosiło się za moich czasów. - Z uśmiechem wzniosła oczy do góry. - Byłaś już wtedy na świecie, ale ja ciągle czułam się młodą dziewczyną.

- Bo jesteś młodą dziewczyną - stwierdziła córka. - I będziesz. Twój typ tak ma.

Matka objęła ją spojrzeniem od stóp do głów.

- Widzę, że roznosi cię energia. Oczy ci błyszczą. Wiecznie zakochana?

- Jak widzisz. - Z rozmachem wyciągnęła się w jednym ze skórzanych foteli.

- A ja... Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Uznasz mnie za starą wariatkę, ale pewnych rzeczy nie należy lekceważyć. Śnił mi się twój mąż z maleńkim dzieckiem, niemowlęciem na ręku.

- Mamo! - jęknęła dziewczyna tonem wymówki.

- Nie o to chodzi. Czy muszę ci mówić, co znaczy taki sen? Zmartwienia, prawdziwe problemy. Im mniejsze dziecko, tym gorzej.

- Mamo! - Chwyciła się za głowę.

- Słuchaj, kochanie, to nie żarty. Nie jestem zabobonna, ale pewnych spraw znanych od stuleci rozsądny człowiek nie lekceważy. Powiedz mi, jako kobieta, żona, czy Maciek ma kłopoty? Czy może coś mu grozi?

Bożena z szeroko otwartymi oczami pokręciła głową. Matka ujęła jej dłoń.

- Nie próbuję ukrywać, że nigdy za nim nie przepadałam, nie byłam zachwycona, że za niego wychodzisz - córka przytaknęła z przekonaniem - ale to twój mąż. Powinniście być jednością, na tym polega miłość.

- Jesteśmy.

- Bożenko, czy ty wiesz wszystko, co powinnaś, o jego pracy, o jego sprawach?

- Mamo, to świetny lekarz.

- Każdemu może zdarzyć się pomyłka.

- Nie Maćkowi.

- Jesteś przerażająco zakochana. A jego interesy? Stał się właścicielem przychodni. Masz informacje, jak mu idzie, jak sobie daje radę?

- Na pewno jest ostrożny. I uczciwy! Kobieta westchnęła głęboko.

- Boję się o was, kochanie. Poza tym wiesz, o co chcę zapytać, prawda?

Bożena spojrzała w górę i gestem rozpaczony uniosła ręce ozdobione serią drewnianych i skórzanych bransoletek.

- Jasne, cóż by to mogło być! Tak ci się śpieszy do bycia babcią? Chcesz bawić wnuki? Nie sądzę, żebyś się do tego nadawała.

Matka nie dała się wyprowadzić z równowagi.

- Nie o mnie chodzi, tylko o ciebie i o to, że masz trzydzieści dwa lata. To może nie ostatni dzwonek, ale najlepszy czas.

- W porządku - uśmiechnęła się. - W sumie masz pewnie rację. Pomyślimy o tym.

- Słuchaj, kochanie - kobieta wzięła głęboki oddech - postaraj się mnie dobrze zrozumieć. - Kiedy dwoje ludzi ma ze sobą dzieci, ich małżeństwo powinno trwać, jeśli jest na to choćby najmniejsza szansa. Natomiast jeśli są sami i między nimi się nie układa, wtedy mają prawo rozstać się w każdej chwili. Dlatego, córeczko, jeżeli - zawahała się - wasz związek nie jest taki, jak powinien, bądźcie rozsądni, póki nie jest za późno i nie jesteście za nikogo odpowiedzialni.

Bożena przez chwilę milczała, kręcąc tylko bezradnie głową.

- Nie wiem, mamo, jak mam do ciebie mówić. Kocham Maćka i niezależnie od wszystkiego, od twojego snu, bez względu na to, co miałby znaczyć, nigdy go nie opuszczę.

Mecenas Rawicz z dezaprobatą ocenił widok z okna.

- Najwyraźniej wiosnę na dzisiaj odwołano. Odrobina słońca przysługiwała tylko do dziesiątej. Dario, czy pani jest smutna z tego powodu, czy z okazji torby książek przytarganej dla Bogusi, która sobie po prostu nie przyszła?

- Pani Bogusia może być chora. - Daria właśnie skończyła przepisywanie. - Wczoraj miała kłopot z ciśnieniem.

Lubiła jego uśmiech, błyskawicznie budzący zaufanie klientów i przypominający jej wakacje w Bieszczadach u ojca, który jako znany w okolicy weterynarz postanowił, jak twierdził, zająć się od czasu do czasu także hodowlą ludzi. Po prostu założył małe gospodarstwo agroturystyczne. Rawicz należał do jego stałych gości, szybko zaprzyjaźnił się z całą rodziną i gdy Daria przeprowadziła się do Warszawy, akurat mógł ją zatrudnić, zanim po wakacjach wróci do pracy w szkole.

Mecenas był dobrze zbudowanym, eleganckim mężczyzną po pięćdziesiątce, ukrywającym sportową sylwetkę w garniturze z bardzo dobrego materiału. Zawsze lekko opalony, wypoczęty,

w dobrym nastroju, często całkiem bezinteresownie życzliwy, budził zainteresowanie kobiet i sympatię znajomych.

- Chyba zmiany pogody wszystkim dają się we znaki. Będzie mi pani naprawdę potrzebna około czternastej i może pani zacząć wcześniej przerwę na lunch, tylko bardzo proszę — spojrzał znad złotych okularów używanych do czytania - niech pani ją wykorzysta dla siebie. Na dzisiaj koniec z wszelkim załatwianiem i wyręczaniem bliźnich, dobrze?

- Oczywiście, rozkaz. - Uśmiechnęła się, wstając, ale to nie zmyliło czujności szefa.

- Proszę mówić prawdę. - To spojrzenie było z sali sądowej amerykańskiego filmu.

- Jeden mały kremik dla znajomej zajmie mi pięć minut. - Już włożyła kurtkę i z teatralnym dygiem zniknęła za drzwiami, zostawiając mecenasa bezradnie kręcącego głową.

Miała nadzieję, że przerwa naprawdę dobrze jej zrobi. Dzień, nie tylko z powodu załamania pogody, od samego początku wyglądał fatalnie.

Już na schodach prawie wpadła na Sebastiana - flecistę, który nagle zamiast dalej iść w dół, niespodziewanie zaczął wchodzić na górę, ale nie zawrócił standardowo, tylko jak na filmie puszczonej wstecz, zaczął tyłem wchodzić po stopniach. Na szczęście zauważyła tę akcję wystarczająco wcześnie, żeby idąc za chłopakiem, w porę zrobić unik i spotkać się ze ścianą, a nie z kędzierzawą głową sąsiada.

Nawet zauważył, co się stało, bo przeprosił, odwrócił się i zaczął pokonywać wysokość w sposób konwencjonalny, a w związku z tym nieporównywalnie szybszy.

Daria natomiast jeszcze przez chwilę stała oparta o zimną powierzchnię popękanej farby olejnej pamiętającej czasy jej matury. Chyba o moment za długo, bo drzwi wejściowe otworzyły się z rozmachem. Doktor Korenda, najwyraźniej w pośpiechu, wbiegał po dwa stopnie. Na jej widok zatrzymał się.

- Czy pani źle się czuje? - Pod badawczym spojrzeniem poczuła się jak w gabinecie lekarskim.

- Nie, dobrze - wyrecytowała szybko. - Tylko o mało nie zderzyłam się z Sebastianem. Schodził i nagle włączył wsteczny - wyjaśniła.

- Bez świateł? - Domyślił się Korenda, marszcząc brwi. - To wykroczenie.

Był niezmiennie poważny, tylko w jasnych, zimnych oczach zabłysnęły iskierki wesołości.

Mimo to Daria, nie wiadomo dlaczego, zaczęła myśleć o nieosłoniętym szalikiem skromnym dekolcie niebieskiej bluzki. Miała założyć wisiorek, który dostała od ojca i który do niej doskonale pasował. Ale oczywiście zapomniała. To naprawdę niedobrze, powinna pamiętać.

- Może podrzucę panią do centrum? Wpadłem tylko na moment - zaproponował.

- Nie, dziękuję bardzo. - Była już na dole.

W sumie bez sensu, wiedziała doskonale. Oczywiście zanim doszła do pętli, tramwaj powoli, dostojnie odjechał. Zrezygowana usiadła na ławce i tknięta przecuciem wyjęła komórkę. No jasne, prawie rozładowana. Nie, na pewno nie będzie wracać z takiego powodu.

Do tego jeszcze reklamówka z książkami zaczęła niebezpiecznie nie wytrzymywać ciężaru. Ale na szczęście dopiero pod koniec półgodzinnej podróży. Tak więc, niosąc ją oburącz i prawie przytrzymując podbródkiem, udało się uniknąć katastrofy.

Teraz bez przygód wskoczyła do tramwaju, żeby szybko dostać się do sklepiku na tyłach Marszałkowskiej po zamówiony dla pani Izy krem. Była to od czasów szkolnych jej ulubiona część centrum. Zwykle, gdy wracała z zajęć u metodystów, robiła sobie spacer do Alei Jerozolimskich. Wtedy stabilne, uporządkowane kamienice wokół placu Zbawiciela kojarzyły jej się z regałami na książki i - co zaskakujące - dawały poczucie bezpieczeństwa.

Dzisiaj odczuwała niemal fizyczną przykrość na widok odrapanych murów i ponuro opadającego tynku. Płaskie, socrealistyczne sylwetki przodowników pracy przy filarach MDM-u wyglądały jak prawdziwe wykopaliska.

Daria odruchowo potrząsnęła głową, chcąc zrzucić z siebie przygnębienie. Ważne, że jest tutaj znowu i to się liczy.

Wysiadając za placem Konstytucji, w ramach atrakcji, spotkała się z kolejną zmianą pogody, oczywiście na jeszcze gorszą. Niespodziewanie mokre płyty topniejącego śniegu zaatakowały zdenerwowanych przechodniów, chłodziły twarze, dokuczliwie przyklejały się do rzęs.

Po dotarciu na miejsce starannie zapakowała do torby słoiczek, uważając, żeby nie zmokła duża, błyszcząca ulotka. A teraz coś dla siebie, według sugestii mecenasa. Wstąpi do ulubionego sklepu ze szkłem. Czyste błyszczące ściany, łagodne kolory, inny świat, jak we śnie. Zawsze, od dzieciństwa, patrząc, wchłaniając tę atmosferę, sama czuła się lepsza i piękniejsza.

Może z powodu pogody, albo pory dnia, prócz niej prawie nie było klientów. Kiedy więc gwałtownie otworzyły się drzwi, odruchowo odwróciła głowę od gablotki. Dobrze, że oglądała właśnie wazon w rogu sali, bo nikt nie widział jej zaskoczenia, którego nie próbowała nawet ukryć. Jasna, zamszowa kurtka wydała jej się od razu znajoma, zwłaszcza skojarzona z energicznym sposobem poruszania się. Jednak pomyślała, że się myli, widząc, jak mężczyzna otacza ramieniem drobną brunetkę w wąziutkich, połyskujących džinsach i króciutkiej, czarnej kurteczce. Z pewnością nie była to pani Bożena, ale ponad wszelką wątpliwość, potrząsając awangardowo ostrzyżoną, ciemną czupryną, dziewczyna patrzyła głęboko w oczy doktora Korendy.

Daria wiedziała jedno. Nie może tu zostać ani chwili dłużej. Korzystając z tego, że doktor z brunetką zajęli się oglądaniem, jak najszybciej i najciszej przemknęła do wyjścia.

Z ulgą zaczerpnęła świeżego wilgotnego powietrza. Teraz chłód jej nie przeszkadzał, dzięki niemu miała szansę się uspokoić. Od zawsze nie cierpiała tego typu sytuacji. Nigdy nie chciała wiedzieć o znajomych więcej, niż oni zamierzali ujawnić. Miała zdecydowany wstręt do plotek. Niestety to, co właśnie widziała, plotką nie było.

A może właśnie ona sama tworzy jakąś bajkę? Przecież ta dziewczyna może być kimś z rodziny, a w ogóle, to prawdę mówiąc, nic specjalnego się nie stało.

Mimo tej konkluzji poczuła, że nie ma już ochoty na spokojny, zdrowy lunch. Przyśpieszyła kroku. Do zapiekanki akurat nie było kolejki. Bardzo dobrze, obiad na siedząco zje jutro.

Starła się nie połykać w sposób szybki i niezdrowy gorącego i trochę może za ostrego fast fooda, ale nieskutecznie. Oczywiście, zdenerwowanie okazało się silniejsze. Na dodatek zadzwoniła komórka. Szczęśliwie lewą ręką udało się ją w miarę sprawnie wyłuskać z dna torby.

- Gdzie jesteś? - dzwoniła Ula.

- Na ulicy. - Ostatni gorący kęs powinien jej zafundować wrzód żołądka.

- To teraz posłuchaj. Jesteśmy przyjaciółkami czy nie?

- Boże, od urodzenia!

- No właśnie, dobrze obliczyłaś. Wobec tego dzisiaj o szesnastej trzydzieści w uroczystym miejscu. Cześć.

Daria westchnęła. Czy Urszula Więcek całe życie musi jej rozkazywać? Starsza o niecała dwa lata, mieszkająca od dzieciństwa w tym samym domu, matkowała jej w szkole. Potem stanowiła obiekt wiernego podziwu. Długie nogi, wielkie jasne oczy i blond włosy. Mimo że w innych klasach, do matury były nierozłączne i gdy Daria wyjechała z Warszawy na studia, a Ula tak jak zawsze chciała, poszła na AWF, nie przestały do siebie dzwonić i pisać. Trochę rzadziej, gdy Urszula wyszła za mąż. Teraz, od dwóch lat, po rozwodzie mieszkała osobno, ale w starym miejscu, u mamy,

bywała bardzo często, a gdy ta wyjechała na kilka miesięcy, chętnie opiekowała się jej mieszkaniem.

Nazwy „uroczyste miejsce” nie trzeba było wyjaśniać. Nadały ją wiele lat temu i do tej pory obie doskonale wiedziały, co oznacza.

Pani Iza Dolant odłożyła kolorowe czasopismo. Jeszcze jakiś czas temu do głowy by jej nie przyszło, że może czytać w pracy. Tłoku wprawdzie nigdy nie miała, ale klienci przychodzili właściwie stale po zakupy lub na coś ciepłego. Po wyburzeniu paru starych domów zrobiło się naprawdę pusto i trudno będzie wytrzymać finansowo, zanim postawią tutaj dwa obiecane biurowce. Jeszcze jesienią, gdy pracowała „Eurydyka”, salon urody i zdrowia, obroty wyglądały bardzo dobrze. Najwyraźniej aerobik i inne zabiegi tego typu potrafią niektórym zwiększyć apetyt. W zasadzie trudno się dziwić. Schodziły też z półek wszelkie wydawnictwa związane z urodą i zdrowiem. To akurat bardziej racjonalne.

Natomiast samo kierownictwo salonu ani razu nie zaszczyciło jej skromnych progów. I nie ma już szans na zawarcie znajomości, skoro po prostu uciekli.

Dzisiaj dzień był specjalnie słaby, jeśli chodzi o klientów, i nudny w ogóle. Prawie żadnych znajomych, bo młodego człowieka, podobno informatyka, który nawet nie umie wymyślić, co chce zjeść, i prawie nic nie mówi, nie będzie do takowych zaliczać. Z drugiej strony, na pewno jest lepszy niż jakiś wybrzydający osobnik w stylu Alamakoty.

Mimo woli skrzywiła się i wzruszyła ramionami na samo wspomnienie tej osoby.

Ciekawe, że na przykład inżynier Niespał ani nie ma obsesji ekologicznych, ani nie traktuje jej niedużej, ale smacznej kuchni jak stołówki, gdzie się nie wybiera, bo to jest przejaw lekceważenia.

W sumie najlepszym i najmiłszym klientem był Damian Ro-lewski-Uroczy chłopak z mieszkania na parterze tej nieszczęsnej Skrętej piętnaście. Właściwie nie wie, czemu nieszczęsnej, ale jest przekonana, że coś tam się jeszcze wydarzy. To tylko kwestia czasu.

Ale dlaczego właśnie on? Dlaczego zniknął, w co się zaplątał? Był dobrym duchem każdego miejsca, w którym się znalazł. Przez pół roku wisiało jego zdjęcie z prośbą o informacje. Rodzice nie stracili nadziei i stale podążają jakimś nowym tropem. Teraz podobno dostali sygnał z Czech i pojechali do Pragi. Przedtem był, zdaje się, Berlin.

Niestety, wszystkie ich działania, jakiegokolwiek by były racjonalne, nie przyniosły żadnych efektów.

Uroczyste miejsce powitało Darię zimnym wiatrem od Wisły i śniegiem. Nic dziwnego, obok na skarpie funkcjonowało latem wspaniałe miejsce widokowe. Dzisiaj szybko podbiegła do żelaznej furtki ogrodzenia czternastowiecznego kościółka Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny. Urszula już czekała.

Podeszły do posągu. Napis był ten sam. „Ja, Matka pięknej miłości, bogobojności, uznania i nadziei świętej”.

- Pamiętasz, co przysięgałyśmy tutaj? - spytała tonem nie-wróżącym nic dobrego.

- Tak, miałam dwanaście lat.

- Ja czternaście, ale ci nie rozkazywałam.

- Nie, skądże - roześmiała się Daria.

- Wtedy akurat to był twój pomysł. Ze zawsze będziemy sobie mówiły prawdę i nigdy nie będziemy miały przed sobą tajemnic. Zgadza się?

Daria zrezygnowana skinęła głową.

Nieosłonięta liśćmi drzew panorama Starego Miasta przypominała starą pocztówkę. Od strony Wisły zawiął chłodny wiatr. Powoli zaczęły wracać w stronę Barbakanu.

- Posłuchaj mnie uważnie. I nie zbywaj byle czym. Odkąd przyjechałaś, jesteś jakaś inna. Inna niż przedtem, to normalne, bo upłynęło sporo czasu. Miałaś prawo się zmienić. Ale widać, że nie chodzi o zmianę, tylko wyraźnie coś ci jest. Jakby coś cię przytłaczało, niepokoiło. Pytałam dwa razy, co się stało. Nie odpowiedziałaś, zaprzeczyłaś wszystkiemu. Zaczęłam kombinować. Dobrze pamiętam, jeszcze w szkole czułam, że jest jakaś dziwna sprawa, która ciebie dotyczy — zawahała się. — Chyba niedobra. Nie umiałam o to zapytać, ale dlaczego mi nigdy nie powiedziałaś?

- Sama nie wiedziałam. - Wzruszyła ramionami. - Ale czułam taką atmosferę. Znaczące westchnienia, jakby litość.

- Twoja ciotka.

- No właśnie. Na przykład kiedy doradziłaś mi, żeby przypiąć włosy i dałaś takie czerwone koraliki, bardziej kamyczki do owiązania kilka razy, zobaczyła mnie przed lustrem, drwiąco wzruszyła ramionami, machnęła ręką. I ja wtedy już skądś wiedziałam, że nie chodzi konkretnie o mój wygląd, tylko że i tak nic z tego nie będzie.

- Czego nie będzie? - Urszula otworzyła szeroko swoje duże, jasne oczy.

- Nie będę nigdy miała męża ani szczęśliwej miłości. Nie wiem, kiedy nabrałam przekonania, ale wiedziałam, o co chodzi.

W maleńkiej herbaciarni ogrzały się aromatycznym płynem podanym w ciemnych, ciężkich filiżankach, a potem skierowały się do autobusu.

- Przypominam sobie! Kiedyś, może w ósmej klasie, stwierdziłaś, że za mąż nigdy nie wyjdiesz. Potraktowałam twoje gadanie jako normalne w tym wieku i mówiłam ci, że masz interesujące oczy, delikatne rysy i świetny sposób ruszania się. Właśnie, już wtedy byłam dobra z wuefu.

- Dokładnie, najładniejsza dziewczyna w szkole, idziesz na AWF, wiadomo, że będziesz od aerobiku. Kiedy mi to powiedziałaś, przez cały tydzień się odchudzałam. Pamiętasz, ojciec wyjechał, gdy byłam w pierwszej klasie liceum

- Oczywiście. Ślub na Boże Narodzenie i cześć. Nawet miła ta kobieta. Lubiała ją.

- Dalej lubię. Ale wtedy nagle wyszła cała sprawa. To znaczy prawie cała. Ja naczytałam się takich artykułów o zdradach, rozwodach i zaczęłam filozofować, czy w ogóle małżeństwo ma sens, czy dwoje ludzi może sobie zaufać. Na to ciotka krzywo się uśmiechnęła i powiedziała, że mnie problem akurat nie dotyczy, bo za mąż to na pewno nie wyjdę. Ojciec przypadkowo usłyszał cały tekst i zwymyślał ją od idiotek, a mnie wziął na rozmowę. Mówił, że wyjeżdża i ma nadzieję, że będę rozsądna, nie będę słuchać głupot. Że owszem, kobiety w naszej, to znaczy ojca, rodzinie od pokoleń nie wychodzą za mąż, nie są szczęśliwe, niczego nie osiągają, ale tylko i wyłącznie z własnej winy. Są mianowicie leniwe, egoistyczne, kompletnie puste w środku. Oczywiście miał na myśli swoją siostrę.

- I niezbyt piękne, przyznaj - wtrąciła cicho Ula. - Ty masz urodę ojca. Po mamie nie odziedziczyłaś chyba nic, w sumie nawet wspomnień, bo mało się o tym mówiło, ale umarła zaraz po twoim urodzeniu.

Daria skinęła głową.

- Na zapalenie płuc. Była sierotą, dziadkowie dawno nie żyją. Wiesz, małżeństwo moich rodziców było krótkie. Studenckie, z powodu ciąży. Może nawet nie zdążyli się dobrze poznać.

- Zawsze miałaś tylko ojca, ale bardzo fajnego.

- Chciałabym mieć jego charakter. Kazał mi ani trochę me wierzyć w żadne bajki czy przepowiednie, bo są dobre dla nieudaczników.

- I zostawił cię z ciotką, mimo że miał o niej takie wyobrażenie?

- Dobrze, że wyjechał. Jest weterynarzem, robi to, co kocha, i jest z kobietą, którą kocha. Razem zajmują się zwierzętami i swoją małą agroturystyką. O mnie też się zatroszczył. Sfinansował mi dobrą uczelnię z daleka od domu. Potem całkiem przypadkiem znalazłam fajną szkołę w Bieszczadach, kilkadziesiąt kilometrów od niego.

- W zeszłym roku ją zlikwidowali.

- Tak, pamiętasz, że przez parę miesięcy zastępowałam w podstawówce koleżankę na macierzyńskim i zastanawiałam się, co dalej, gdy przyszła wiadomość o śmierci ciotki. Wróciłam do mieszkania, z którego się nawet nie wymeldowałam. Od września mam pracę w twoim liceum, teraz jestem u mecenasa Rawicza, bo jego sekretarka leży po operacji stawu biodrowego.

- I on jest naprawdę interesujący - stwierdziła Ula. - Widziałam go przez chwilę, ale robi wrażenie.

- Taki ma zawód - uśmiechnęła się Daria. - Musi budzić sympatię. Ale miły jest dla ludzi autentycznie.

- No dobrze, mecenas jest w porządku, ale chodzi o coś innego. Prosta sprawa. Mam nadzieję, że nie wzięłaś sobie do serca głupiego gadania i nie odwracałaś się od każdego faceta, nawet najlepszego.

- Nie widziałam najlepszego.

- Jasne. W liceum wolałaś książki niż dyskotekę, ale umówić się też potrafiłaś.

- Tylko że się zaraz nudziłam.

- Potem tak samo, nic na dłużej?

- Tak samo.

- Może to i mądrze. Ja zdążyłam wyjść za przystojnego kretyna i rozwieść się. W sumie to samo.

- Nie, przynajmniej byłaś zakochana. Urszula spojrzała podejrzliwie.

- Słuchaj, czy przypadkiem nie jest tak, że ty jednak się boisz? Tej jakiejś przepowiedni, czy czegoś.

Daria westchnęła, patrząc przed siebie. - To nie jest przepowiednia, coś, co może się sprawdzić albo nie, tylko zupełnie coś innego.

- Jak to co innego? Coś na pewno? Daria skinęła głową.

- Robisz sobie żarty. Na pewno może być w przeszłości. Jesteś historykiem, wiesz dobrze. Co do przyszłości nie ma żadnej gwarancji.

- Chyba, że chodzi o gwarancje z przeszłości. - Daria potarła czoło. - Wiem, wychodzi na to, że mówię jak nawiedzona, ale przecież to ciotka zawsze była troszkę stuknięta, a ja trzeźwa i racjonalna. - Uniosła brwi i skrzywiła się, jakby przełykała coś kwaśnego. - Wyobraź sobie, że poszłam do wróżki.

- Ty do wróżki? Niesamowite! Ale zbaczasz z tematu.

- Wcale nie tak bardzo. Powiedziałam sobie, że idę dla zabawy, ale Margerita zyskała opinię bardzo wiarygodnej, wszyscy twierdzili, że im się sprawdza, więc dałam się namówić na wspólną z koleżanką wizytę. Tak naprawdę, to chciałam usłyszeć coś, co zaprzeczyłoby całej tej historii, którą dostałam od ciotki w prezencie na osiemnaste urodziny.

- Więc jest cała historia!

- Tak, opowiem ci ją, kiedy będę miała siły, ale na razie mogę tylko to.

Przez jakiś czas nie rozmawiały. Uspokajał je rytm jazdy pustego już autobusu.

- Niech będzie przynajmniej Margerita.

- Mieszka w małym, ceglanym domku. Pulchna, długie, czarne włosy, okulary. Chodzi się do niej najlepiej we dwie, bo jako honorarium chce któryś z jej ulubionych wiktuałów. Pudełko czekoladek albo pół litra. Więc we dwie przyniosłyśmy i jedno, i drugie.

- Święta racja - westchnęła zrezygnowana Urszula.

- Miała rzeczywiście wszystko, co powinna. Kulę kryształową, karty, fusy i czarnego kota. Nie wiem, czy nie musiała się z nim trochę dzielić.

- Na pewno, jeśli był mądry. Co powiedziała?

- Powiedziała - Daria w końcu zmusiła się do wyznań - że jestem inna niż moje otoczenie, że moje miejsce jest gdzie indziej.

- Tego mogła się dowiedzieć.

- Jasne, że tak. I wcale się nie przejęłam. No a potem stwierdziła, że moje życie całkowicie się zmieni pod wpływem czegoś bardzo niedobrego. Mam się tym jednak nie martwić.

- Świetna rada.

Na przystanku przywitała ich imponującej wielkości kałuża. Przeskoczyły ją, nawet nie ochlapując się błotem. Daria wiedziała, że jeszcze niedawno rozbawiłoby ją to. Teraz stanęła i wstrząsnął nią dreszcz.

- Podobno - popatrzyła w dal - stanie się coś strasznego. Margerita widziała w swojej szklanej kuli pistolety. Ale nie takie zwyczajne - zaczęła mówić szybko ze zdenerwowania, jakby chciała z siebie coś wyrzucić - które mają na przykład gangsterzy, tylko dziwne, rzeźbione, jak na filmach historycznych.

- Pewnie w tym stylu, co u Korendów. Doktor ma trochę ciekawych, starych rzeczy. Wiesz, niesamowitości mówisz. Powiedz, wierzysz w nie trochę?

Daria przez chwilę nie odpowiadała. Dochodziły do domu.

- Margerita mówiła coś jeszcze? Potrząsnęła głową.

- W sumie wystarczy. - Ula przyjrzała się przyjaciółce. Zaniepokoiła ją jej dziwna bladość. - Wyglądasz na bardzo zmęczoną. Robiłaś może ostatnio badania?

- Nie przesadzaj, nie jestem chora.

- O tak, ty wiesz najlepiej. Słuchaj, założę się, że nie masz u siebie nic prócz herbaty i słodczy, albo bardzo niewiele.

Zrobimy tak. Ty pójdziesz, a ja szybko podjadę dwa przystanki i zrobię większe zakupy. Natomiast jutro, do lekarza.

Nie było szans na dyskusję. Daria powoli weszła na górę. Chciała pójść do kuchni, żeby wziąć cokolwiek, ale przedtem usiadła w fotelu. Do lekarza oczywiście nie pójdzie. Zdaje sobie sprawę, że od pewnego czasu żyje w napięciu, w jakiejś niepewności. Wie od kiedy i wie, że nikt nie może jej pomóc. Na co wobec tego liczy? Może na to, że to, co się raz stało, powtórzy się. Coś się wyjaśni i pozwoli jej odzyskać spokój.

Zmęczona zasnęła. Myślała, że na chwilę. Gdy jednak obudził ją dziwny, niepokojący hałas na klatce, okazało się, że jest dobrze po jedenastej. Prawie potknęła się o torbę z zakupami, którą zostawiła przyjaciółka, korzystając z niezamkniętych drzwi.

Teraz wszystko ucichło, otworzyła jednak drzwi. Natychmiast z mieszkania obok wyjrzała Ula. Daria ledwie przebudzona nie rozumiała, co jej koleżanka robiła o tej porze u pani Alicji. Bez pytania jednak dała się wciągnąć do środka.

W pokoju, na kanapie, przykryta kocem, z rozrzuconymi włosami i twarzą mokrą od łez siedziała Bożena Korenda.

- Tyle mu chciałam powiedzieć - powtarzała. - Nie zdążyłam. Nie zobaczę go więcej. - Na chwilę zaparło jej dech. - Dlaczego? Dlaczego on? Już nie powiem, nie dowie się. Ale teraz mu wszystko jedno - wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Daria była zbyt wstrząśnięta, żeby normalnie myśleć, ale rozpacz, którą widziała, stała się tak bliska i namacalna, że nagle zaczęła odbierać ją jako własną. Miała wrażenie, że świat się zawalił.

Strata kogoś najbliższego jest zawsze cierpieniem niewyobrażalnym. Czowała niemal fizycznie ból młodej kobiety, a zaraz potem bezradność i żal, że ani ona, ani nikt naprawdę nie może jej pomóc.

Z odrętwienia wyrwała ją Urszula, prowadząc do drugiego Pokoju.

- Hubert Nocoń nie żyje - powiedziała cicho. Daria nie zrozumiała.
- Jak to? - Patrzyła niezbyt przytomnie.
- Tak, ten tłumacz, który tu bywał - szeptała dziewczyna. - Ja też myślałam, że coś się stało z doktorem, kiedy przyszła policja, ale on jest na dyżurze i ma przyjechać.
- Jak to się stało? Zawał?
- Nie, zaraz ci powiem. - Zajrzała do dużego pokoju, gdzie Alicja Bronowska próbowała napoić Bożenę jakąś herbatką. - W razie czego jesteśmy obok. - Wyciągnęła Darię do jej mieszkania.
- Mów. - Siadły w dużym pokoju przy niskim stoliku pamiętającym lata siedemdziesiąte.
- Nie uwierzysz. Został zamordowany. Zastrzelony. W tym domku Korendów w Zrębiaku. Dlatego tutaj przyjechała policja.
- Boże Święty, a ja mu sama dałam klucz. - Odruchowo ukryła twarz w dłoniach. - Posłałam go na śmierć.
- Nie wygłupiaj się! Przecież podobno bardzo mu ten Zrębiak pasował. Kto mógł przypuszczać, że będzie napad?
- Zamordowali go dla jakichś paru rzeczy? Dlatego, że akurat tam był? Ile warte stało się życie człowieka?
- Urszula zmarszczyła brwi.
- Słuchaj, ja tak myślę, wczoraj rano spotkałam w sklepie Bożenę, kupowała coś do mikrofalówki, mówiła, że wybiera się do Zrębiaka zrobić wiosenne porządki. Powiedziała, że w tej chwili jeszcze nie da rady, ale jutro to na pewno.
- Czyli to byłaby ona. Nie żyłaby teraz.

- Wiedziałam - stwierdziła sucho Izabela Dolant
- Doskonale wiedziałam, że coś się stanie.

- No, jakim sposobem? - spytał łagodnie Piotr Niespał, wybierając poranne gazety. - Prędzej te odrapane mury mogły się zawalić, co i tak nas pewnie nie minie.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Kobięca intuicja. Wyrobiłyśmy ją sobie przez wieki.

- Ciekawe. A jakie pani ma teraz przeczucia, jeśli wolno zapytać? - Wysoce akceptującym spojrzeniem ogarnął jej opalony dekolt.

Niestety nie dowiedział się, ponieważ do sklepu weszły dwie osoby. Powoli, z godnością Alicja Bronowska, a za nią energicznie Maciej Korenda. Oczy obecnych zwróciły się na lekarza, który, jakby nic się nie stało, poprosił o gazetę i paczkę kawy.

Ponieważ nagle zrobiło się niebywale cicho, zrozumiał, o co chodzi. Uśmiechnął się trochę jak przed rozmową z rodziną pacjenta.

- Dowiedziałem się wczoraj - natychmiast spoważniał - ale przyjechać mogłem dopiero o pierwszej. Bardzo, bardzo jestem pani wdzięczny za zajęcie się Bożeną. - Ukłonił się Bronowskiej. - Teraz na szczęście zabrała ją do siebie jej mama. Najwcześniej za godzinę pojedziemy z policją na miejsce, a potem będziemy składać zeznania.

- Panie doktorze - Iza Dolant starała się dać przykład opanowania i dobrych manier - z tego, co mówiła pana małżonka, wynikało, że to ona sama wybierała się w to nieszczęsne miejsce właśnie w tym czasie. Jak pan to przeżył?

Korenda potrząsnął głową.

- Chyba, jak każdy w tej sytuacji, jeszcze jestem w szoku. Dziękuję tylko Bogu za ukrywaną przez Bożenę niechęć do sprzątanania, która pewnie też skłoniła ją do zrobienia grzeczności koledze.

- A jego pan znał dobrze? - spytał krótko Niespał.

- W miarę. Na tyle, by stwierdzić, że był to niezwykle sympatyczny, wykształcony człowiek. - Spojrzał na zegarek. - Czas na mnie. Jeśli okaże się coś istotnego, przekażę państwu.

Gdy wsiadł do samochodu, ciszę przerwał inżynier Niespał.

- Bardzo dobrze. Naprawdę budujące wnioski. Sprzątanie może skrócić życie. Więc lepiej nie ryzykować. Prawda, szanowna pani? - zwrócił się niebywale uprzejmie do sąsiadki zwanej przez właścicielkę sklepu Alamakotą.

Niespeszona obrzuciła go od stóp do głów pogardliwym spojrzeniem.

- W tym temacie oczywiście pan jest największym autorytetem. Ja zostaję daleko na końcu. Czy serek ma datę ważności, czy jej ze wstydu zapomniał? - Oskarżycielsko podsunęła wspomniany produkt prawie pod sam nos pani Dolant.

- Proszę nosić okulary - warknęła. Klientka zaśmiała się szatańsko.

- Zaczarowanych, odświeżających stary towar, nie mam - uśmiechnęła się słodko. - A innych też nie potrzebuję. W odróżnieniu od niektórych - dodała, żeby już nie było wątpliwości, ostentacyjnie w stronę sąsiada i bez zakupów wyszła pewnie, stukając o świeżo sprzątnięty chodnik nowymi, wiosennymi czółenkami na nieco podwyższonym obcasie.

- Ja poproszę ten serek - zdecydował się Piotr Niespał. - Jeśli jest dobry, oczywiście.

- Ależ oczywiście, panie inżynierze. Świeżutki. Tylko niektórzy widzą problemy tam, gdzie ich nie ma.

Inżynier uklonił się i z serkiem, na który nawet nie spojrział, powoli pomaszerował w stronę domu.

- Niesłychane, pani Dario. - Mecenas Rawicz w zamyśleniu zaczął poprawiać na nosie okulary, które właśnie leżały przed nim obok teczki z aktami. - Znam, przelotnie wprowadzie, doktora Korendę, o jego żonie słyszałem, że ambitnie ilustruje bajki, natomiast z panem Hubertem widzujemy się, to znaczy - nerwowo

zabębnił palcami o lśniący blat biurka — widywaliśmy się częściej. Kiedyś on dla mnie coś tłumaczył, potem potrzebował porady. Właściwie, to wszędzie go było pełno. Daria skinęła głową.

- Pełen energii, uśmiechnięty do ludzi. Zawsze zainteresowany otoczeniem. Czuło się od niego taki optymizm, chęć do życia.

- Ma pani rację. Optymizm. Ostatni raz go widziałem, zaraz, tak, na Nowym Świecie. Zupełnie przypadkowo. Obaj śpieszyliśmy się i to on mnie poznał. Prawie chwycił za rękaw i zatrzymał. Wyglądało, że miał ogromną potrzebę podzielenia się swoim dobrym nastrojem. Powiedział jakoś tak: „Muszę pana poinformować, że idzie wiosna, życie jest piękne, a kobiety wspaniałe”. Zapytałem wtedy, czy w ogóle kobiety, czy raczej jedna. Roześmiał się i rzucił coś w rodzaju: Jedna oczywiście najbardziej”. Klepnął mnie po ramieniu i poleciał dalej. Wie pani, teraz żałuję, że nie rozmawialiśmy dłużej. Zawsze się żałuje, niestety.

Patrzyła w okno. Szary, ponury widok starych kamienic, które przeżywają swoich mieszkańców. Czy wszystko zawsze musi się kończyć źle?

- Zdaje się, że nie miał rodziny? - spytała.

- Mówił, że nie. Nie chciałem dochodzić szczegółów. Pewnie, lepiej nie. Mecenas też jest sam i ona nie pyta dlaczego.

Ona również będzie sama, i to chyba lepiej. Nikogo nie zostawi, jeżeli na przykład ktoś ją kiedyś zamorduje dla paru złotych.

- Niech się pani tak nie martwi, dziecko. - Rawicz nakrył jej drobną dłoń swoją. - Najlepiej zapamiętać to, co on powiedział. „Życie jest piękne”. Przyjmijmy to jako przesłanie. Zwłaszcza pani, przed którą jest jeszcze wszystko.

Zadzwoił telefon. To jej komórka. Po drugiej stronie Urszuli aż brakowało tchu.

- Muszę ci to powiedzieć, tylko się nie przejmuj. Pan Nocoń został zastrzelony ze starego pistoletu, takiego do pojedynków. Sprzed 1850 roku, więc nierejestrowanego.

Ostatniego zdania Daria nie usłyszała. Nie przejęła się. Po prostu zemdląca.

Mecenas błyskawicznie się nią zajął. Potem poprosił Ulę, żeby przyjechała, podał kawę.

- Może lepiej zawołam pogotowie - niepokoił się.

- Broń Boże!

- Czy pani przypadkiem się nie odchudza? Teraz jest taka mania.

- Niestety, nie. Ale zamierzam. - Próbowała się uśmiechnąć.

- Dobrze, że pani już żartuje. Koleżanka ma być za chwilę i zabierze panią do domu.

Rzeczywiście zjawiała się bardzo szybko.

- Słuchaj, moja droga, koniec żartów. Musisz zgłosić się do lekarza - stwierdziła stanowczo, gdy schodziły po krętych schodach.

Daria zatrzymała się.

- Tak, od wariatów. Wiem, że mam nerwicę, a za moment nabawię się zwykłego fioła, więc chcę z tym zrobić porządek.

Urszula uniosła cienkie, starannie umalowane brwi.

- Chyba nie zwykłego, bo od Margerity. Daria gwałtownie wzruszyła ramionami.

- Margerita, nawet gdyby zaczęła się ta przepowiednia sprawdzać, jest w sumie nieważna. Chodzi o to, że... Nie! - prawie krzyknęła. - Nie teraz. Potem ci powiem.

- Na święty nigdy? - spytała słodko przyjaciółka.

- Nie, w domu, zaraz.

Do końca drogi milczały. Nie spotkały nikogo.

- Zrobię ci zielonej herbaty. - Ula weszła do kuchni. - Tylko jeszcze ustalmy dla porządku. Czy jest jakiś problem z jakimś facetem? Toksycznym?

Potrząsnęła głową.

- Nie, absolutnie, nie. Wszystko dotyczy przeszłości. Dalekiej.

- Gadanie ciotki! No też coś. - Podała filiżankę Darii, która uspokojona wyciągnęła się na kanapie. Zmrużonymi oczami patrzyła w skupieniu, ważąc każde wypowiedziane słowo.

- Niestety gadanie się skończyło. Teraz będzie zwykła prawda. Dobrze, od początku. - Wzięła łyk zielonkawego płynu. - Czyli około roku 1849. Tak, nie żartuję. Kalińscy mieli na Mazowszu spory majątek, duży, ładny dwór. Również dwoje dzieci. Zofię i Adama. Zofia była urocza, wykształcona, może bardziej mądra i miła, niż piękna, ale nie straszyla wyglądem. Interesowała się literaturą, sztuką, a nawet matematyką i przyrodą. Oczywiście grała na fortepianie.

- Jeśli miała do tego posag, to rozumiem, że i powodzenie się znalazło.

- Cyniczna jesteś, ale masz rację. Skądinąd od dziecka wiadomo było, że Zofia Kalińska wyjdzie za niejakiego Ludwika Słodowicza. Z bardzo dobrym podobno herbem, lecz niezbyt dużym majątkiem. Mieszkał przez miedzę i wychowywali się właściwie razem. Ludwik i Zofia.

- Na odległość czuć nieszczęście - westchnęła Urszula.

- Potem on studiował nauki przyrodnicze, ale często przyjeżdżał. Przywoził książki, rozmawiali o nich i rozumieli się doskonale, pod każdym względem.

- Patrząc sobie głęboko w oczy?

- Mam nadzieję. Grali również na fortepianie.

- Super. Oświadczył się wreszcie? Bo zaczyna mnie irytować. - W sumie tak jakby, bo wszyscy żyli w przekonaniu, że to jedynie kwestia czasu. Pewnie każdego dnia spodziewali się takiej akcji. Natomiast Ludwik, zdaje się, chciał najpierw skończyć studia, zając odpowiednie stanowisko w nauczycielstwie, czy czymś podobnym. W każdym razie nic absolutnie nie zapowiadało, że sprawy mogły się potoczyć inaczej.

- Przepraszam cię, a jak Zofia mniej więcej wyglądała? Masz jakieś pojęcie?

- Sama zobacz,

Daria wstała i niespodziewanie zdecydowanym krokiem podeszła do regału, który swoim stylem z późnych lat sześćdziesiątych nie zapowiadał przechowywania przedmiotów o jakiegokolwiek wartości estetycznej czy historycznej. Zza rzędu książek o kolorowych okładkach pewnym ruchem wyciągnęła i położyła przed koleżanką oprawioną w skromną ramkę i szkło rycinę. Portret młodej dziewczyny. Suknia z charakterystycznym dekoltem i upięcie włosów wskazywały na połowę dziewiętnastego wieku.

- O Jezu, jest podobna - wyszeptała Urszula. Daria smętnie pokiwała głową.

- Ma twój owal twarzy i wykrój ust, nos na pewno dłuższy. Ale oczy i brwi te samusieńkie. Zobacz, malarz chciał jej zrobić takie obowiązkowe słodkie spojrzenie, no i oczywiście nie wyszło. U was, żeby nie wiem co robić, widać tylko rozum. Kompletny brak anielskości, niestety.- Uważnie studiowała portret. - Kolor włosów trudno wyczuć, ale też ciemne. Mówiłam ci, żebyś coś z nimi zrobiła.

- Wiesz, jak się kończy każde farbowanie.

- Wiem, tragedią. I nie zostawimy tego problemu. Ale teraz mów dalej.

- Otóż dalej robi się klasycznie. Podczas którejś dłuższej nieobecności Ludwika do majątku obok, takiego całkiem w pobliżu, przyjeżdża kuzynka, trochę młodsza od Zofii, towarzyszka zabaw dzieciennych sprzed lat, Marianna. Jej rodzice umarli i przygarnęli ją wujostwo. Bez posagu, bo ojciec zostawił same długi.

- To biedactwo.

- Zdecydowanie tak. Do tego śliczna i słodka, właśnie jak anioł. Odnawia się gorąca przyjaźń z Zofią. Dziewczyny opowiadają sobie wszystko, piszą liściki, marzą.

Daria mówiła coraz wolniej. Wydawało się, że zaczyna pograżać się w przeszłości jak we własnych wspomnieniach.

- Na znak wiekuistej przyjaźni - niespodziewanie wstrząsnął nią dreszcz - zamówiły sobie srebrne medaliki. Jednakowe. Przysięgały trzymać je i chronić do końca życia.

- Fantastyczne. - Niebieskozielone oczy Uli stały się jeszcze większe.
- Co było na tych medalikach? No, nie. Ty wyglądasz zupełnie jak wtedy, gdy zatrzymała się kremem waniliowym. Może to jakaś infekcja. Mierzyłaś temperaturę?

Nie doczekała się odpowiedzi, która i tak pewnie by jej nie zadowoliła, bo usłyszały dzwonek do drzwi. Pani Alicja nie chciała wchodzić do środka.

- Odbitka, o której mówiłyśmy w poniedziałek. Pamięta pani? - rzuciła w stronę Darii. - Najnowsze informacje o zdrowym odżywianiu. Proszę to wziąć, kochana, bo ja już muszę lecieć do redakcji. - Zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, spowodowała jednak, że Ula spojrzała na zegarek.

- No tak, czas nie stoi w miejscu. Wracam do szkoły. Słuchaj, ty weź termometr, a w razie czego, idź do przychodni. Ja mam jeszcze potem trening z jedną grupą i już nie pojadę do siebie, tylko prosto tutaj. - Spojrzała wzrokiem starszej siostry. — Wiem, że najważniejszego nie powiedziałaś.

Daria skinęła głową.

- Stary, naprawdę miło cię widzieć. - Inspektor Stanisław swoim uważnym spojrzeniem, ale z sympatią, prawie fotografował gościa, który czuł, że właśnie powstaje jego portret komputerowy w kartotece policyjnej. Pewnie. Trzeba go odświeżyć po tylu latach.

Karol Stanisław zanotował w pamięci, że jego rozmówca w gruncie rzeczy wcale się nie zmienił. Jak zwykle, opalenizna i jasne, krótkie włosy, nie widać, żeby były przerzedzone. Właściwie taki

sam jak przed ośmiu laty, może jakby brak tej chłopięcości, która zresztą niekiedy bywała denerwująca.

- Nie zamierzałem czekać, aż się do mnie odezwiesz, i zaraz po migawce telewizyjnej o sławnym rzeźbiarzu Janie Reisingu powracającym ze Stanów zgłaszam się, żeby osobiście pogratulować ci małżeństwa, bo kartka, którą wysłałem, nie może wyrazić, jak bardzo się cieszę, że masz tak piękną żonę.

Ponieważ nie otrzymał w odpowiedzi podziękowania ani nie zauważył żadnej innej reakcji, na serio się zaniepokoił. Czyżby? Nie, niemożliwe. Jego szczupła twarz zastygła w niemym oczekiwaniu, a zielonkawe, przerażone oczy domagały się odpowiedzi.

Reising w końcu uśmiechnął się w swój niewinny sposób, który kiedyś potrafił Stanisza błyskawicznie wyprowadzić z równowagi.

- No niestety, nieaktualne. Rozwiodłem się.

Inspektor tracąc w jednej chwili swoje słynne, nienaganne maniery, uderzył w biurko, aż laptop zatrzęsł się niebezpiecznie.

- Z taką kobietą! Jak mogłeś! - krzyknął. - Czwarty raz to zrobiłeś. Zdajesz sobie sprawę?

Rzeźbiarz przezornie odsunął się trochę z krzesłem.

- Chcę przypomnieć, że jestem twoim gościem, więc włos nie może spaść mi z głowy.

- Włos nie może - warknął Stanisz - ale mogę cię zamordować na szereg różnych sposobów. Zresztą mnie nie obowiązują góralskie zasady.

- Jasne. Wiem, że odkąd się znamy, nieraz miałeś ochotę zwyczajnie mnie zastrzelić. - Rozmówca z przekonaniem skinął głową. - Ale uwierz mi, naprawdę nie myślałem, że będę się rozwodzić. Po prostu tak wyszło. Teraz mam ochotę zacząć żyć godnie i odpowiedzialnie. Jak by nie liczyć, jestem już parę lat po czterdziestce, czas spoważnieć.

Karol Stanisz wzniosł oczy w górę. Chyba modlił się o wyrozumiałość i opanowanie.

- Zanim wróciłem, zaczęto mi tutaj budowę domku z pracownią. Nad Wisłą, żeby mieć czym oddychać. Jeszcze nie jest gotowy, więc siedzę w hotelu. Wolałbym coś wynająć, ale nie chce mi się szukać i pewnie przeczekam.

Karol Stanisław słuchający go do tej pory jak bajki dla grzecznych dzieci, niespodziewanie ożywił się.

- Bardzo dobrze - ogłosił niespodziewanie. - Rewelacyjnie.

- Wreszcie mnie pochwaliłeś.

- Nie ciebie. Sytuację. - Zadowolony, pedantycznie układał na biurku kartki papieru, kalendarz, długopisy. Z promiennym uśmiechem spojrzał w oczy rzeźbiarza.

- Wyprowadź się z hotelu. Już od dzisiaj jest do twojej dyspozycji ładne, dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze przy ulicy Skrętnej piętnaście.

Jan Reising obserwował go, jakby za chwilę miał zdać sprawę lekarzowi.

- Z widokiem na bardzo ładny skwer. Z drzewami.

- Rewelacyjnie. Marzyłem, żeby zobaczyć drzewo. Powiedz, drogi przyjacielu, dlaczego ty mi stale rozkazujesz?

Karol Stanisław przeciągnął się i prawie zakręcił na obrotowym fotelu.

- Pamiętasz, jak się spotkaliśmy?

- Do końca życia. Byłem po trzech małżeństwach i miałem dziewczynę. Zaraz potem ona stała się twoją dziewczyną.

- Weronika była niesamowita - westchnął Stanisław. - Do dziś **nie** rozumiem, dlaczego mnie zechciała.

Rzeźbiarz obrzucił go zawodowym spojrzeniem.

- Trochę młodszy, zupełnie inny. Poważny, dokładny, świetnie wychowany. Doskonała sylwetka, regularne rysy. Do tego kontrast zielonych oczu i ciemnych włosów. I też się w niej kochałeś. Wystarczy.

- Niestety, nie na długo. - Karol odruchowo przeciągnął palami po krótkich, ciemnych, z lekka siwiejących na skroniach

włosach. - Wtedy znalazłeś człowieka winnego śmierci dwóch informatyków, przy okazji kompletnie obrzydząc nam życie swoim zachowaniem. Później Weronika mnie rzuciła. Też nie wiem dlaczego. Pewnie się jej znudziłem. My obaj, niezależnie, przenieśliśmy się do Warszawy. I gdy spotkaliśmy się, szczęśliwie nie pobiliśmy się od razu. Reising skinął głową

- Kiedy zobaczyłem cię w biały dzień na Marszałkowskiej, sądziłem, że to koszmarny sen.

- Ja pomyślałem o wizycie u psychologa.

- W sumie chyba dobrze, że było tylu ludzi naokoło. - Stanisław z przekonaniem skinął głową. - Po wycedzeniu paru zdań okazało się, że jedziemy na tym samym wózku i możemy spokojnie pójść na piwo.

- Zobaczyłem, jak pracujesz i zaimponowałeś mi. Potem zaciągnąłem cię parę razy na strzelnicę.

- I wtedy mnie zatkało - zaśmiał się Reising. - Byłeś w swoim żywiole i w dodatku najlepszy. Zobaczyłem, z kim mam do czynienia i nabrałem respektu.

- Odrobina szacunku dla władzy nie zaszkodzi. Może więc dlatego zgodziłeś się wtedy we wrześniu pojechać do pensjonatu na Mazurach. Wyłącznie dla swojego dobra.

Jasne oczy rzeźbiarza szeroko otwały się ze zdumienia.

- Zgodziłem się? Sterroryzowałeś mnie regularnie. I dalej to robisz - westchnął.

- Ale wtedy uratowałeś życie porządnemu człowiekowi. I ująłeś podwójnego mordercę.

- I nabrałem ochoty na następne małżeństwo. Ale mi nie wyszło.

- Do tej pory wspominają cię w Pomyślewie.

- Potem ty mnie wyciągnąłeś z aresztu po skasowaniu dwóch dżentelmenów, niestety w świetnym lokalu. Trochę za bardzo się do nich przyłożyłem.

Stanisz wzruszył ramionami.

- Nie musiałem cię specjalnie wyciągać. Widziałeś, jak wsypywali dziewczynie prochy do drinka. Byli poszukiwani i, co ważniejsze, z trudem, ale przeżyli. Dobrze, że nie postarałeś się trochę bardziej, bo byłyby problemy.

- Potem ty się ożeniłeś z absolwentką prawa, prymuską i w dodatku w typie Sharon Stone. Z zawiści musiałem wyjechać.

- Może raczej na prestiżowe zaproszenie do USA.

- No może, może. Wszystko jedno, było nieźle. Pisałem ci przecież. Ale nigdy nie myślałem serio o pozostaniu tam na zawsze.

- Nawet z Marią Consuelą?

- Wtedy nie myślałem w ogóle. Była jak kwiat róży i ogień w jednej osobie.

- Dlaczego się, na Boga, rozstaliście?

- Rzuciła we mnie farbami. W ataku zazdrości.

- Miała powody?

- Wtedy jeszcze nie, słowo honoru. - Uderzył się pięścią w potężną pierś. - Potem, jak wszystko się rozsypało, to raczej tak. Rozstaliśmy się dziwnie spokojnie. Po dwóch latach. - Machnął ręką. - Lepiej powiedz, dlaczego siłą zamykasz mnie w jakiejś norze naprzeciw drzewa. Mam pilnować porządku na tym skwerku?

- To nie nora, tylko bardzo porządne mieszkanie. Skwer jest mi na razie obojętny. Sprawa polega na czym innym. - Inspektor spojrzał poważnie na Reisinga swoimi zielonkawymi oczami. - Na tym samym piętrze mieszka małżeństwo posiadające domek w Zrębiaku, pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy, w którym wczoraj wieczorem zamordowano ich znajomego.

- Doprawdy? - Rzeźbiarz niewinnie uniósł brwi. - Bardzo zamordowano?

- Bardzo. Zastrzelono pod prysznicem.

- Myślałem, że pod prysznicem dźga się nożem. Chyba wszyty to wiedzą.

- Janek, na miłość boską! - Karol Stanisław, znany z panowania nad sobą, nie wytrzymał. - To nie Alfred Hitchcock, tylko prawdziwa zbrodnia. Nie udawaj, że nie domyślasz się, jak mi zależy, żebyś się wszystkiemu przyjrzał.

Reising uśmiechnął się.

- Trzeba było tak od razu. Tylko dlaczego pakujesz mnie do tego bloku! Jak do klatki.

- Będiesz na miejscu, będzie łatwiej. Dobrze pamiętam, jak zastąpiłeś policję, oddając w ręce prokuratora mordercę dwu kobiet, kiedy cię przypadkiem wysłałem na Mazury.

- Też porównanie. Co innego dom w środku Puszczy Piskiej z bardzo specyficznymi ludźmi, zwłaszcza niesamowitą kobietą, a co innego nudziarstwo w bloku.

- Nie musi być nudziarstwo, niestety - westchnął inspektor. — A sprawa wygląda następująco. Hubert Nocoń, dość znany tłumacz, pracował wieczorem gościnnie w domku doktorostwa Korendów, bo u niego panował straszny hałas. Domek jest w Zrębiaku, to taka wioska na kilkanaście gospodarstw, w okolicy prawie nic nie ma. Najbliższy dom oddzielony skrawkiem lasu. W sumie oddalony o jakieś dwieście metrów. Tam w trakcie reklamy po „Wiadomościach” kobieta usłyszała strzał. Nie chciała jednak wychodzić, dopiero gdy przyszedł jej syn, sprawdził, co się stało i zawiadomił nas. Ale do rzeczy. Morderca dostał się bez problemu, nie włamywał się. Prawdopodobnie poszedł w kierunku łazienki, skąd słyszał prysznic. Zastrzelił Noconia jednym strzałem, nie odsuwając zasłony, zakręcił wodę, wrócił do pokoju, wysypał zawartość walizeczki ofiary, opróżnił portfel, zabrał zegarek, iPod, komórkę, powywracał szuflady, pozwał rzeczy z półek i zostawił laptop, który leżał na podłodze.

- Ja bym wziął. Musi nie lubić komputerów - domyślił się rzeźbiarz.

- Trudno powiedzieć. W pierwszym momencie wyglądało na to, że nie chciał laptopa, bo ten spadł i uszkodził się. Gdyby

z kolei został po prostu strącony ze stolika przez nieuwagę albo nawet w złości, upadłby w mniej szkodliwy sposób. A on został dewastowany.

- Ciśnięty o podłogę?

- Właśnie. Skuteczniej byłoby jakimś ciężkim przedmiotem. Rzucenie sugerowałoby, że chciał upozorować wypadek.

- Usprawiedliwić, że go nie zabrał, bo niedobry?

- Tak. Nie chciało mu się go wlec, nie miałyby co z nim zrobić, a przy napadzie rabunkowym wypada wziąć komputer. Niestety, jest też możliwe, że przekombinowaliśmy, bo złodziej z jakichś powodów nie mógł wziąć komputera i w złości cisnął go o posadzkę. Albo, jak powiedziałaś, bardzo nie lubi techniki, do tego głowę ma nie w porządku i tak reaguje na laptopy.

- Czyli trochę w stronę upozorowania napadu rabunkowego, ale wcale nie na pewno i dlatego macie problem?

- Dlatego mamy. Dodatkowo jest prawdopodobne, że sprawca naprawdę chciał zniszczyć dane w laptopie, ale te na szczęście da się chyba odtworzyć.

- Drzwi były otwarte?

- Też niewyjaśnione. Mamy tylko stare, zatarte odciski palców doktora i jego żony.

- W domku na odludziu, sam pod prysznicem przy niezamkniętych drzwiach. Raczej dziwne. Ale bywa różnie.

- Bardzo dziwne. Dziś rano pani Bożena Korenda stwierdziła, że też zapomina przekręcić klucz, ale ona czuje się tu u siebie, a poza tym taki ma charakter. Jest artystką, a ty też przecież, o ile wiem, gardzisz takimi drobnymi czynnościami.

Reising wzruszył ramionami.

- Ja to co innego. A o niej rzeczywiście ostatnio sporo słyszałem, podobno świetnie się rozwija jako ilustratorka. Bardzo chętnie ją poznam.

- Może nie bardzo chętnie - poprosił Stanisław. - Ona ma męża.

- A ty masz o mnie całkowicie mylne wyobrazenie - rzucił wyraźnie urażony rzeźbiarz. -1 niesprawiedliwe. Mów dalej.

- Oczywiście, Nocoń w każdym razie u siebie nie był i charakter miał, niekoniecznie artystyczny, a na skrzyni przy drzwiach leżały czarne, skórzane rękawiczki. Po rozmiarze sądząc, należały do niego. Według pani Bożeny bolały go stawy i o tej porze roku na dworze nie zdejmował rękawiczek. W sumie trudno się dziwić przy tej pogodzie.

- Czyli mógł zamknąć zamek i potem je ściągnąć. Ale też nic pewnego. Naprawdę wam współczuję.

Karol Stanisław z westchnieniem spojrzał w górę, otwarcie szukając wsparcia w niebiosach.

- Nie o współczucie chodzi, tylko o pomoc.

- Nie jestem cudotwórcą, a wy macie więcej możliwości.

- Spróbuj chociaż.

Reising męczyńsko pokręcił głową.

- Dobrze, wiem, że nie mam wyjścia. Jeszcze powiedz, bo ja w ogóle nie znam się na broni, z czego strzelano. Oczywiście wiecie?

- Był to pistolet pojedynkowy z początków dziewiętnastego wieku. Autentyk albo replika. Czyli nie dowiemy się niczego, bo broni z tych czasów się nie rejestruje.

- Piękna rzecz. Oczywiście nikomu nie zginęła.

- Oczywiście nie.

- Ciekawe, czy on w ogóle wiedział, do kogo strzela.

- Niekoniecznie. Żeby było bardziej interesująco, tego wieczoru miała tam być właśnie pani Bożena.

- Żartujesz!

- Ani trochę. Zmieniła plany w ostatniej chwili. Sam się dowiesz najlepiej. Ona najwyraźniej czuje sprawę, bo nerwy jej co chwila puszczają.

Rzeźbiarz skinął głową ze zrozumieniem.

- Wyobrażam sobie. W sumie nie wiadomo, co z taką świadomością zrobić. Szaleć ze szczęścia czy się bać. A w kwestii formalnej, dużo z nich wiedziało o tej zamianie?

- Chyba tylko sąsiadka, u której zostawiła klucze dla Noco-nia. Możesz ją znać, bo pracuje w kancelarii u twojego prawnika.

- U Rawicza - ucieszył się Janek. - Ma na imię Daria. Piękna twarz i osobowość.

- Nie - zaprotestował inspektor. - Tylko nie to. Uspokój się.

- Ale ja po prostu relacjonuję. Jest inteligentna i ma duże poczucie odrębności. Trochę nie pasuje na sekretarkę.

- Pewnie, że nie, bo jest nauczycielką. Rzeźbiarz machnął ręką.

- No, to dużo wyjaśnia. I mówisz, że tylko ona zdawała sobie sprawę. A mąż?

- Podobno nie.

- Ciekawe. Ja bym wiedział. Stanisław uniósł brwi.

- Bardzo by ci to pomogło. Do następnego rozwodu.

- Masz rację, że nie jestem autorytetem. Wracając do naszego niby włamywacza, nie zostawił żadnych śladów?

- Żadnych. Wziął się znikąd. Miał najprawdopodobniej nowiutkie, typowe tenisówki. O tej porze roku. I tak samo rozplynął się po wyjściu.

Reising nie ukrywał zdegustowania.

- Cóż za brak manier. Całkiem niezorientowany, że gubi się zapalniczkę z inicjałami, bilet do teatru, receptę albo chociaż broszkę.

- Mógł nie oglądać odpowiednich filmów — stwierdził inspektor. - I dlatego nic więcej nie mamy. Może jeszcze to, że w mieszkaniu Korendów, obok różnych staroci, na ścianie wiszą piękne dwa pistolety pojedynkowe z tego właśnie okresu

- Naprawdę? - ucieszył się rzeźbiarz. - Zaczyna mi się podobać ten adres. Jak mówiłeś? Skrętna piętnaście?

- Dokładnie. Pomogę ci przewieźć rzeczy. Tylko, Janek, to, co słyszysz ode mnie, nie jest w żadnym wypadku tajemnicą śledztwa. Te informacje mają wszyscy zainteresowani. Ty z kolei musisz pamiętać, żeby się z nimi nie zdradzić.

Reising uniósł brwi.

- Naprawdę masz mnie za idiotę? - spytał grzecznie. - Chociaż. .. wiesz, coś w tym jest. - Smętnie pokiwał głową. - Niestety, wychodzi na to, że nic innego mi nie zostaje.

Wciśnięta w róg skórzanej kanapy Bożena Korenda czuła się jak dziewczynka. Wzięła trochę drżącą ręką porcelanowy kubek z kakao, który podała jej matka.

- Nie, za tabletkę dziękuję.

- Dziecko, wykończysz się. Nie nadwyreżaj swoich sił, bo zapłacisz zdrowiem.

- Ależ, mam, Maciek mówi, żeby nie brać takich rzeczy. Kobieta z irytacją zacisnęła usta.

- Tak, tak, słuchaj go. I jak na tym wyjdiesz?

Bożena ze zdumieniem spojrzała dużymi brązowymi oczami, jeszcze błyszczącymi od łez.

- Jak możesz? Przecież on nie ma nic wspólnego z wczorajszym... - zaczerpnęła oddechu - wieczorem. - Odgarnęła z czoła jasne, proste włosy. - W żaden sposób nie można go winić za to, co się stało. A w ogóle, jest lekarzem, więc wie, co mówi.

Matka z westchnieniem podeszła do okna, najwyraźniej chcąc uspokoić się widokiem gałęzi drzew na tle zachmurzonego nieba. Bezwiednie poprawiła krótką, miedzianozłotą fryzurę, której idealnego kształtu na szczęście i tak nie można było zmienić.

- Córeczko, sama wiesz, nie muszę ci przypominać. Z twoją urodą i pozycją mogłaś wyjść za każdego, kogo zapragnęłaś.

- I wyszłam.

- No, rzeczywiście! - Nerwowo wzruszyła ramionami. - Nie powiesz, że nie interesowali cię ludzie, którzy kręcili się wokół ciebie. Byli i przystojni, i z przyszłością. Na poziomie. Czasem aż miło było spojrzeć. A on ci spokoju nie dawał. Doskonale pamiętam! Nie miałaś się jak zastanowić, wybrać, bo on stale był. Zabiedzony, zagłodzony student z akademika. Takie nic!

- Najlepszy na roku.

- I co z tego? Stopnie nie świadczą o człowieku. Dobrze wiesz, że znacznie bardziej pochodzenie, rodzina. I proszę. Ojciec, twój teść, chory psychicznie, groźny dla otoczenia.

Bożena skuliła się jeszcze bardziej, przytuliła do siebie ozdobną, wyszywaną jedwabiem poduszkę, osłaniając się nią jak tarczą przed padającymi słowami.

- Przecież wiesz, że to jest nieprawda.

- Tak? - Kobieta zaśmiała się nerwowo. - Bardzo ciekawe. Dobrze rozumiesz, o czym mówię. A jeśli już w kwestii uczciwości, to mam nadzieję, że przypominasz sobie, jak starając się o ciebie, spotykał się z innymi.

- Uczyli się razem do egzaminów.

- O, na pewno. Jakoś zawsze czułam, że jemu chodzi przede wszystkim o pieniądze. Akurat przy okazji kliniki, samo wyszło. Żeby nie było wątpliwości, jest i pielęgniarka. Sekretarka. Nie mów, że o tym nie myślisz.

Teraz Bożena rozplakała się na dobre. Matka usiadła obok i objęła ją ramieniem.

- No, już dobrze. Wiem, że go kochasz i na to nie ma rady. Pamiętaj, my chcemy przede wszystkim twojego dobra i zawsze możesz na nas liczyć.

- Wiem, mam, ale tak strasznie mi źle. Hubert był mi bardzo bliski. Sama już nie wiem, czy czuć się winna, że go wysłałam na śmierć, czy cieszyć się, że ocalałam.

Matka wzdrygnęła się, oparła czoło na złożonych dłoniach.

- Nie mam sił myśleć, co by było gdyby... Ale cały czas dziękuję Bogu, że mi pozwolił odradzić ci przedwczoraj ten wyjazd. Ze zadzwoniłaś pogadać, mówiłaś o porządkach, ale czułam, jak jesteś zaangażowana w co innego i nie bardzo się do nich palisz. Przekonałam cię, że w końcu twoja praca zawodowa jest ważniejsza.

- Mogłam mu nie dawać klucza - zamyśliła się córka.

- Nie musiał go brać. Zawsze pomagałaś innym. Skoro się z niego ucieszył, to widać tak miało być.

Bożena pokręciła głową. Łzy popłynęły znowu, nie mogła nad nimi zapanować. Matka pogładziła ją po włosach.

- Kochanie, wiem, o czym musisz myśleć. Na pewno sama widziałaś, że to nie wyglądało na bandycki napad rabunkowy. - Dziewczyna drgnęła jak przeszyta prądem. Ukryła twarz w dłoniach. - Wiesz, że mam rację. Zostań u nas. Tu będziesz bezpieczna.

- Jestem bezpieczna w domu z Maćkiem. Kobieta uśmiechnęła się gorzko.

- Gdzie on był tej nocy? Może na dyżurze w przychodni. - Córka skinęła głową. - Ale zdaje się, wyjeżdżał, prawda?

Bożena odsunęła się od matki. Spojrzała, jakby ją widziała po raz pierwszy w życiu.

- Jak możesz, mammo, jak możesz?

Dom przy Skrętej piętnaście okazał się stary, ale na pewno bez szans na stylowość i jakikolwiek urok. Szare mury z końca lat pięćdziesiątych wyglądały, jakby od tego czasu nie tknęła ich ludzka ręka. Znakomicie zresztą harmonizowały z wyboistym chodnikiem i dziurawym asfaltem. Zieleń, owszem, zgodnie z obietnicą była. Za parawanem drzew, niezastłonięty o tej porze roku liśćmi, ukrywał się biały, niewysoki budynek z granatowo-złotym

szyldelem „Salon urody Eurydyka”. W dalszym planie pętla tramwajowa na jedną linię, a jeśli odwrócić głowę, to naprzeciw numeru piętnastego kilkoma kolorowymi reklamami kusił sklepik ogólnospożywczy z małym barkiem oferującym domowe obiady.

Jan Reising wdzięczny inspektorowi Staniszowi, iż pozwolił mu się samodzielnie spakować i dopiero potem wywiózł jego rzeczy do nowego mieszkania, właśnie myślał, do której kieszeni wrzucił niezbyt upragnione klucze. Na szczęście, bo wygląd domofonu świadczył o jego nieużyteczności, usłyszał kroki kogoś schodzącego, a raczej zbiegającego po schodach. Chwilowo zaprzestał poszukiwań i strząsnąwszy z włosów resztki śniegu z deszczem, spokojnie czekał, aż zostanie wpuszczony.

Bezskutecznie. Kroki ucichły na samym dole, drzwi pozostały nieruchome. Tego się nie spodziewał. Mając do wyboru dobijać się lub poszukać własnych kluczy, wybrał drugie. Z niezrozumiałych powodów w żadnej z kieszeni nie znalazł nic, co by choć w przybliżeniu je przypominało. Rozpinać torbę? Nie ma sensu. Zguba musi być w najbardziej oczywistym miejscu, tylko nie chce się znaleźć z powodu niechęci właściciela.

Poza tym przed chwilą za drzwiami zdematerializował się człowiek. Może to coś poważnego.

Zrobił głęboki wdech i pewnym ruchem sięgnął do kieszeni spodni. Oczywiście były na samym dnie. Nic go nie uratuje. Zastanawiając się, po co tyle zachodu, skoro taka brama nie wytrzymałaby jednego kopnięcia, skutecznie, mimo zgrzytliwego oporu, przekreślił kluczyk.

Przygotowany na każdy widok, ostrożnie przekroczył próg. Zamiast jednak czegoś w rodzaju leżących zwłok, napotkał jakąś twarz i niezbyt przytomny wzrok. Najwyraźniej człowiek, teoretycznie przynajmniej, był żywy. Absolutnie jednak nie zareagował na obecność Reisinga, który będąc zdania, że nie powinien przejść obojętnie, przez chwilę zastanawiał się, co robić.

Żywy manekin miał wygląd młodego człowieka w swetrze nieokreślonego koloru i jeszcze gorszych, wymiętych džinsach. Nie pasowała do nich beżowa, markowa kurtka i taki sam plecak. Ten kontrast jednak był niczym w porównaniu z obuwiami. Napotkany lokator na nogach miał bowiem zwyczajne plastikowe klapki.

Janek Reising doszedł do wniosku, że trzeba zareagować. Szkoda, żeby chłopak się przeziębził, wychodząc na taką pogodę.

- Dzień dobry panu - powiedział głośno. - Jestem nowym lokatorem. Chciałem się przedstawić.

Młody człowiek drgnął i zamrugał oczami. Uśmiechnął się sympatycznie.

- Oczywiście, ma pan rację - stwierdził uprzejmie.

- Ach - odpowiedział mimo woli rzeźbiarz. - No, tak - dodał zaniepokojony, że już prowadzi tego typu dialog.

Rozmówca patrzył na niego z aprobatą.

- Jestem tego samego zdania, co pan - oznajmił i skierował się do wyjścia.

Reising naprawdę chciał powiedzieć coś sensownego. Na przykład: „Ma pan klapki na nogach”. Ale zrezygnował. Poddał się. W końcu za moment sprawa sama się wyjaśni. Ukłonił się z szacunkiem i skierował na górę.

Parter podobno niezamieszkały. Może to i lepiej. Na pierwszym piętrze numer cztery, drzwi z odrapanym lakierem. Trudno, klucz już się nie zgubi, trzeba je otworzyć.

- Na górę, obywatelu! - Usłyszał nagle donośny głos i o mało znalazłby się piętro wyżej, stosując się do tak konkretnie wydanego polecenia. - Już przywykłem do tego idiotyzmu, na coś się pewnie przydaje, ale idźże człowieku zmienić buty, bo zdrowemu twój widok szkodzi.

Na górę powoli wspinał się osobnik w kapciach mobilizowany przez wysokiego mężczyznę o krótko przyciętych siwych włosach i bródce, w okularach o srebrzystej oprawie.

- Coś takiego. Nie pomyślałem.
- To nie jest temat do myślenia. A może kogoś nie stać na buty, co?
- Oczywiście, że mam buty. - Młody człowiek nie sprawiał wrażenia poruszonego
- Tak sądziłem. A wie szanowny pan, w jaki sposób je teraz użyć? Nie było słycać odpowiedzi. Pewnie nie została udzielona.
- Akcja toczyła się już piętro wyżej i Reising w poczuciu obywatelskiego obowiązku przygotował się na ewentualne łapanie tego, co może lecieć z góry.
- Rzeczywiście, są nawet dwa jednakowe. Jeśli się nie pomyli lewego z prawym, będzie dobrze. Życzę dalszych sukcesów.
- Na szczęście nikt nie spadł, a schodami zszedł z godnością nowo poznany sąsiad. Wyprostowany mężczyzna po pięćdziesiątce w sportowym swetrze i nieprzemakalnej kurtce. Cały jak z reklamy sportowej mody męskiej.
- Zatrzymał się i nawet uśmiechnął.
- Widziałem migawkę z pana powrotu do kraju - oznajmił krótko. - Gratuluję decyzji. Nie interesuję się wprawdzie sztuką, ale to dobrze, że ludzie tacy jak pan nie spisują nas na straty.
- Myślę, że nie ma do tego podstaw - odparł rzeźbiarz. - Proszę bardzo, może pan wejdzie.
- Nowy znajomy wyciągnął rękę.
- Piotr Niespał - przedstawił się. - No, salonów tutaj pan nie będzie miał. Na długo, jeśli można wiedzieć?
- Na jakiś czas.
- Właściwie trafił pan na ciekawy moment. Prawie mamy morderstwo. Tego tłumacza, Noconia. Słyszał pan?
- Dzisiaj coś mi się obilo.
- To pokrótce. Widziałem go ze dwa razy. Miły. Dał się napaść w domku Korendów, spod szóstki. Był ich znajomym,

a raczej pani Bożeny, dała mu klucz, żeby sobie popracował, bo potrzebował spokoju.

- Taki osobisty znajomy?

Niespał zabłysnął uśmiechem i pokręcił głową.

- Nie, nic z tych rzeczy - machnął ręką. - Grubasek, okulary zawsze miał krzywo, sapał. Ale uśmiechał się do wszystkich. I dał się wykończyć byle opryszkowi!

- Nigdy nie wiadomo.

- Dokładnie. A w dodatku to pani Bożena sama miała tam pojechać, tylko w ostatniej chwili się rozmyśliła.

- Przeznaczenie - stwierdził Janek. - Albo jakieś przeczucie. Kobiety tak mają.

Piotr Niespał po krótkim okrążeniu prawie pustego mieszkania zbierał się do wyjścia.

- Ogólnie mam o nich nie najlepsze wyobrażenie. Jedna tutaj jeszcze dziś pewnie będzie starała się pana otruć. Rzecz jasna, zdarzają się chlubne wyjątki, do których pani Korenda z pewnością należy. A jeśli chodzi o przeznaczenie, to ten dom ma chyba nie najlepsze. - Odwrócił się w drzwiach. - Widział pan dwa puste mieszkania na parterze? Oba należą do Rolewskich. Pod dwójką do rodziców, a jedynka do syna, Damiana. Oni wyjechali do pracy do Londynu, już dawno, a on jakieś pół roku temu zniknął.

- Jak to? Tak po prostu?

- Ma pan rację, to powoli staje się zupełnie zwyczajne. I niestety, standardowo, nie z własnej woli, chyba ktoś mu w tym pomógł. Był bardzo miły, wszyscy go lubili i stawiali na głowie w tej sprawie. Ale o tym panu sto razy opowiedzą. - Machnął ręką, zostawiając rozmówcę w przekonaniu, że w tej okolicy może nie całkiem bezpiecznie jest być miłym.

Reising usiadł na szerokim parapecie. Otrząsnął się, usiłując zwichrzyć krótko obcięte kręcone włosy.

- Jednego mi nie powiedziałaś, Karol - westchnął. - To dom pełen wariatów. I wygląda, że raczej nikt ich nie pilnuje.

- Uważasz, że nie powinnam jeździć do mamy w takiej chwili? - Bożena Korenda nerwowo rozczesywała włosy. - A gdzie ty byłeś?

- Nie mogłem całkiem zostawić przychodni.

- Oczywiście, że nie. Wczoraj w nocy też.

- Też. Przecież wiesz doskonale o naszych dyżurach pod telefonem. Trzy razy w tygodniu w ramach nocnej pomocy pielęgniarka jest na miejscu i gdy ktoś się pojawi, dzwoni do któregoś z dwóch lekarzy. Zaakceptowałaś to.

- Pielęgniarka Aldona? Wzruszył ramionami.

- Tak, Aldona. Zadzwoiła po dwudziestej pierwszej, chwilę po tym jak wróciłem od ojca, a mamy z dziećmi posypały się jak z rękawa. Natomiast do tej pory nie wiem - Korenda odwrócił się od okna i spojrzał na żonę - dlaczego nie zastałem cię ani wtedy, ani przed wyjazdem do niego. Oczywiście sądziłem, że jesteś w Zrębiaku.

Bożena zaśmiała się nerwowo.

- Proszę bardzo, już ci się tłumaczę. Na obiedzie zostałam u mamy. Potem do siódmej byłam w bibliotece. Wróciłam, żeby ostatecznie dopiąć menu na urodziny. Zjadłyśmy kolację, obejrzałyśmy telewizję i przed dziesiątą byłam w domu. Tak samo zeznałam na policji. Czy coś jeszcze cię interesuje?

Mężczyzna odwrócił się i z rękami w kieszeniach obszedł Pokój. Zatrzymał się naprzeciw ściany, na której, kontrastowo odcinając się od białego tła, wisały symetrycznie dwa dziewiętnastowieczne pistolety pojedynkowe.

- Tak, jeszcze jeden drobiazg. Dlaczego dałaś klucz do Zrębiaka Noconiowi i nie powiedziałaś mi o tym?

- Bo wpadł mi do głowy pomysł i czułam, że muszę nad nim popracować. Również w bibliotece, nie chcę popełnić błędu, jeśli nawiążę do siedemnastego wieku. Dorosłam już do takiego spojrzenia. Hubertowi dałam klucz, dlatego że straszliwie narzekał na hałasy uniemożliwiające pracę. Nie powiedziałam ci, bo to nie było ważne. O co ci chodzi? Lepiej, żebym ja tam była?

Szybko podszedł i objął ją mocno.

- Nawet o tym nie mów. Nie mogę myśleć... Wtuliła twarz w jego ramię.

- Jakoś dziwnie. Tyle złych rzeczy. Najpierw zniknięcie Damiana. Lubiłam go.

- Też go lubiłam.

- Ale Huberta nie.

- Działał mi na nerwy, przyznaję. Kto wiedział, że on tam będzie?

- Tylko Daria z drugiego piętra. I ktokolwiek, komu powiedziała.

- Czy on też był klientem „Eurydyki”? Zaśmiała się cicho.

- O ile wiem, zajrzał tam ze dwa razy. Kupił ich tabletki i zapisał się na siłownię. Tak się skończyło, bo nie poszedł ćwiczyć, a witamin prawie na pewno nie wziął.

- To akurat dobrze. Westchnęła.

- Co to teraz za różnica. - Spojrzała na pistolety. - Dlaczego oni je oglądali?

- Żeby sprawdzić, czy z któregoś wczoraj strzelałam.

- O Boże!

- Były czyszczone w niedzielę wieczorem.

- To chyba dobrze?

- Mogłem je wyczyścić wczoraj.
- Głupie żarty.

Niebywały sposób poruszania się. Oczywiście, to jest dziewczyna z kancelarii Rawicza, ale jak idzie po schodach! Długa, widoczna spod kurtki spódnica nie przeszkadza jej, choć naprawdę powinna. Trzyma jej brzeg w ręce dyskretnie, lekko uniesiony, wyprostowana, jakby od urodzenia nic innego na siebie nie wkładała. Z wdziękiem i godnością wykształconej osoby z dziewiętnastego wieku. Urodziła się z tym, czy jakimś cudem gdzieś się tego nauczyła?

W kilku susach znalazł się piętro wyżej.

- Cóż za spotkanie! Pamięta mnie pani?

Tak, te same ciemne oczy i grzeczna obojętność. Idealnie regularny owal twarzy, spod grzywki wyglądają dumnie zarysowane brwi. Nie powinna ich chować pod włosami.

- Oczywiście, w kancelarii. - Uśmiech był tak dokładnie grzeczny, jak należy. - Witam. Co pana tu sprowadza?

Poczuł się jak uczeń, który musi skłamać, ale wie, że i tak nic dobrego z jego improwizacji nie wyjdzie.

- Pomysłowość mojego menedżera. Jestem pani nowym sąsiadem. Karol uznał, że muszę pomieszkać w takim właśnie domu, zanim będę miał skończony własny.

- W takim? - Nie kryła zdziwienia.

- Trochę na uboczu, trochę nietypowy i w dodatku podobno ostatnio ze specyficzną atmosferą.

- No rzeczywiście, specyficzną. Zwłaszcza od wczoraj. Słyszał pan, prawda? - Wskazała na pierwszą stronę codziennego tabloidu, który zamieścił duże zdjęcie Huberta Noconia z podpisem „Śmierć tłumacza” i po który specjalnie wyszła z domu.

Reising gorliwie przytaknął.

- Widziałem. I to chyba jeszcze bardziej wpłynęło na decyzję mojego menedżera. Zdaje się, uważa, że potrzebuję stymulacji do pracy.

Zupełnie słusznie patrzyła na niego jak na jakieś dno.

- Ludzkie nieszczęście ma panu pomagać w tworzeniu? Rozłożył bezradnie ręce.

- Nigdy nie wiadomo. Widziała pani Karola? Zmarszczyła brwi.

- Oliwkowy garnitur, ciemne włosy, ujmujące maniery?

- Dokładnie. Robi na wszystkich doskonale wrażenie, taki ma zawód. Ale jest klinicznie pragmatyczny i to on zajmuje się myśleniem. Ja nie muszę. Niech każdy robi swoje. O, proszę. - Chwycił jej torbę, nie dopuszczając, by spadła na niezbyt czystą posadzkę. - Manualne zadania dobrze mi idą i z nich żyję.

Daria nie ukrywała zaskoczenia złościwością rzeczy martwej.

- Dziękuję. Nie rozumiem, co się stało. Rzeźbiarz z uwagą obejrzał czarny pasek.

- Nic niezwykłego. To, co powinno trzymać, odmówiło posłuszeństwa.

Mimo woli westchnęła.

- Znowu coś.

- Nie ma problemu. Przyszyję to w kilka minut. Tak - dodał, widząc jej zdumienie - umiem wszystko, co potrzebne do przetrwania, a sąsiedzi powinni sobie pomagać.

- Pan gdzieś się wybierał. Nie chcę robić kłopotu.

- Zamierzałem rozejrzeć się po okolicy, ale pani mi lepiej o wszystkim opowie. Tylko wezmę swoją torbę.

Uśmiechnęła się, a jej oczy przybrały rewelacyjny, wydłużony kształt.

- Wobec tego zapraszam pana na zapoznawczą herbatę. Torba, o której mówił, istotnie sprawiała wrażenie, że zawiera

cały podręczny stan posiadania właściciela. Imponujących rozmiarów, z juchtowej skóry, miała też swoje lata. Janek rozsiadł się

wygodnie, szukając gdzieś w jej głębi przyborów do wyspecjalizowanego zszywania.

Daria wracając z kuchni z filiżankami, uprzytomniła sobie, że oto po raz pierwszy w życiu gawędziła na schodach, tak jak jej ciotka z sąsiadkami. Z Urszulą prowadziły niekończące się rozmowy przy trzepaku. Schody były terenem dorosłych. Po raz pierwszy też ktoś z sąsiadów przychodzi jej z pomocą. Ciekawe, zważywszy zaledwie kilkugodzinny staż tego sąsiedztwa.

- Widziałam w Sanoku kilka pana rzeźb - przypomniała sobie. - I od razu powiem, że jeśli je w ogóle zapamiętałam, to już bardzo dużo. Nie przepadam za sztuką współczesną.

Podniósł wzrok znad swojej pracy.

W zasadzie powinno na niej zrobić wrażenie, że zaistniała jako obiekt obserwacji słynnego rzeźbiarza. Wysokiego, świetnie zbudowanego mężczyzny, którego regularne, twarde rysy być może trochę przypominały wojownika rzymskiego. Jednak miękki sweter z owczej wełny natychmiast sugerował, że świadczą raczej o góralskim pochodzeniu właściciela. Jasne oczy patrzyły na dziewczynę z być może zawodowym, ale sympatycznym zainteresowaniem.

Ciekawe, że nie przejęła się tym ani trochę. Rzadko spotyka się ludzi, których nie obchodzi, że są obserwowani. Zwłaszcza kobiety.

- Nic dziwnego. Pani nie musi być nowoczesna, mając urodę ponadczasową.

Popatrzyła na niego, jakby był niespełna rozumu. Trudno.

- Chodzi mi o to, że nie tylko mogłaby pani być portretowana przez malarzy z czasów romantyzmu i później, ale też sposób, w jaki pani chodzi i trzyma głowę, pozwalałby na noszenie dowolnie skomplikowanej sukni. - Dziewczyna nie zdradzała entuzjazmu. - Mogłaby się pani z miejsca przenieść jakieś Półtora wieku w przeszłość bez żadnych problemów. - Usiłował Ja. rozbawić. - Wynajmiemy wehikuł czasu na pół dnia?

Nie do wiary. Nagle silnie zbladła. W tej chwili jej ciemne oczy z jasnoniebieskimi białkami patrzyły nieruchomo z prawdziwym lękiem.

Poczuł się głupio. Nie zdarzały mu się nietakty wobec kobiet. Zwłaszcza takie, których nie rozumiał.

Na szczęście po chwili przerwała niemiłe milczenie.

- Jestem nauczycielką historii - powiedziała cicho i bardzo obojętnie.
- To pewnie dlatego odniósł pan takie wrażenie.

- Nauczycielką? - Podrapał się po głowie. - No proszę. Szczerze mówiąc, wspomnienia ze szkoły mam nie najlepsze. Dobrze przynajmniej, że nie uczy pani matematyki, bo z nią miałem stale problemy - westchnął. - Może gdyby ktoś mi umiał wytłumaczyć, byłoby lepiej. Ale teraz to i tak nieważne.

Chyba w życiu bardziej nie skłamał. Powinien go uderzyć piorun albo zapaść się pod nim podłoga.

- Gotowe. Wzmocniłem od razu drugi uchwyt. Podziękowała trochę zdziwiona.

- Szczerze mówiąc, nie przypuszczałam, że ktoś, kto rzeźbi, może być tak precyzyjny. - Spojrzała na jego silne, opalone dłonie.

- To prawda - przyznał skromnie - jestem wyjątkowy. - Jeszcze raz ze znawstwem przyjrzał się czarnej damskiej torbie. - Dobrze pani wybrała. Duża, prosta. Przyjemny, lekki materiał. Skórzana tych rozmiarów byłaby dla pani za ciężka.

- Skóra ekologiczna. - Daria wreszcie uśmiechnęła się. - Nie uniknie pan, mieszkając tutaj, bezpardonowej indoktrynacji na te tematy.

- Ekologiczne? - przestraszył się. - Może więc poproszę panią o skrót tego, co może mnie spotkać. Bo właśnie widziałem na schodach jakiegoś słabo zaprogramowanego cyborga i siwawego furiata w okularach. Mam się przygotować, że będzie jeszcze gorzej?

- To zależy. - Nastrój Darii poprawił się. - Za ścianą mieszka pani Alicja Bronowska. Pisze artykuły o ekologii, wydaje

broszury, prowadzi kursy. W tej chwili jest całkowicie pochłonięta tym tematem, jeśli nie liczyć stałej wojny z panem inżynierem Niespałem. Sąsiaduje z nim dokładnie przez podłogę i nie mam pojęcia, o co im poszło. Po dziesięciu latach nieobecności nie znam nikogo. Tylko moja przyjaciółka często bywa w mieszkaniu mamy na parterze. Ale i ona dokładnie nie wie.

- Zważywszy osobowość tego pana, mogło pójść o cokolwiek - zauważył Reising.

- Pani Ali też niczego nie brakuje. Skądinąd, trudno jej nie lubić. Ma pogodny charakter, mimo że od lat jest wdową. Jej córka jest za granicą, więc mieszka sama.

- Sądzę, że pan Niespał również. Od czego on jest inżynierem?

- Coś związanego z elektroniką. W jakiejś firmie. I rzeczywiście mieszka sam. Sugerował, że kiedyś się rozwiódł, dzieci chyba nie ma. Natomiast poważniejsza sprawa to ten, jak pan mówił, cyborg. Może ma trochę usterek, ale mógłby się sam naprawić, bo jest doktorem informatyki. Nikt o nim nic nie wie, prócz tego, że gra na flecie, ale o tym pan się sam jeszcze przekona. - Zamilkła na chwilę. - No i doszliśmy do Korendów, czyli tak jakby do pana Noconia.

- Znała go pani? - spytał współczująco. Skinęła głową.

- Tak. I naprawdę go lubiłam.

- Mam wrażenie, że wszyscy go lubili. Uśmiechnęła się blado.

- Nie, tak dobrze to nie ma. Z tego, co wiem, doktor Korenda nie przepadał za nim i nie krył się z tym.

- Naprawdę?

- Wiadomość z pierwszej ręki. Kiedyś byłam z panią Bożeną i z nim na degustacji egzotycznych sałatek. Specjalnej, z zaproszeniami, i właściwie zostałam wzięta zamiast doktora, który nie mógł albo nie chciał. Pan Hubert twierdził, że on właśnie najchętniej zobaczyłby go na tamtym świecie jako przykład dla

pacjentów nieprzestrzegających diety. Kiedy byliśmy sami, powiedział: „O, po tym koreczku powinienem mieć zawał. Może przynajmniej się udławię, a Korenda się ucieszy, bo nie może na mnie patrzeć”. I śmiesznie przewrócił oczami. Rzeźbiarz podniósł brwi.

- Może to były takie żarty, docinki, a w rzeczywistości panowie lubili się. Czasem tak bywa.

Pokręciła głową z przekonaniem, zabawnie marszcząc nos.

- Nie tym razem. Doktor Korenda, choć znam go krótko, ale wiem, że zawsze jest serio. I pan Nocoń chyba naprawdę go irytował.

- Zdarzają się, niestety, ludzie tego typu. Chociaż może wolałbym leczyć się u kogoś, kto jest właśnie serio, niż u wesołka żartującego na przykład z mojej choroby.

- Z pewnością racja. Na parterze mieszka mama mojej koleżanki. Jest teraz w Kanadzie od paru miesięcy u swojej dawnej przyjaciółki. Pozostałe dwa mieszkania to jakaś okropna historia. Jesienią zaginał młody chłopak. Jedno należało do niego, a drugie do rodziców, którzy pracowali w Londynie. Miał na imię Damian. Podobno jeszcze go szukają. - Zdawała się bardzo poruszona. - Nie znam ich, ale naprawdę im współczuję. Takie życie, kiedy z każdym dniem traci się nadzieję, musi być męczarnią. W dodatku mówią, że sprawa od początku źle wyglądała, bo Damian pracował w tym nieszczęsnym salonie piękności obok. Zamknięto go w grudniu, a właściciele oskarżono o jakieś trucicielstwo. Z kolei Damian podobno zaprzyjaźnił się z moją ciotką przy okazji masażu. I ona twierdziła, że zwierzał jej się ze swoich problemów. To znaczy, bez szczegółów, tylko dawał do zrozumienia, że stoi przed trudnym wyborem. Z jednej strony miał być obowiązek i uczciwość, a z drugiej przejawy słabości.

- Rzeczywiście brzmi niewesoło. Pani nie rozmawiała o tym z ciocią?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie. Święta spędziłam, jak zawsze, u ojca w Bieszczadach. Tu bywałam rzadko.

Chciał coś odpowiedzieć, ale zabrzączał telefon. Oczywiście Karol.

- Przepraszam panią, ale mój menedżer już czeka. - Dziękując za herbatę, zatrzymał się w drzwiach. - Mam taki śmieszny pomysł. Chciałbym urządzić coś w rodzaju - zrobił minę, która nie mogła nie rozbawić - wieczorku zapoznawczego. Lubię być między ludźmi, a po powrocie, prócz pani szefa, prawie nie mam z kim pogadać. Pomyślałem o małym spotkaniu koło szóstej, żeby się wspierać w tych nieciekawych chwilach.

Zastanowiła się.

- Może to i całkiem dobry pomysł. Właściwie widzieliśmy się wszyscy razem tylko z okazji awantury o śmietnik. Postaram się ściągnąć całą kamienicę.

Inspektor Stanisław dotarł do drzwi Reisinga równo po siedmiu minutach, co nikogo nie powinno zdziwić. Rejestrującym wzrokiem skontrolował bardziej niż skromnie urządzone mieszkanie.

- No, widzę, że masz tu wszystko, co potrzeba. Jest duży materac, stół, ława.

- Dobrze, że nie ma pryczy - stwierdził pogodnie rzeźbiarz.

- Nie narzekaj, na pewno ci się spodoba. Nigdy nie miałeś dużych potrzeb, a pewien minimalizm w wystroju wnętrza powinien dobrze wpłynąć na artystyczną intuicję, na którą liczę.

- Zdaję sobie sprawę. - Janek przysiadł na parapecie naprzeciw gościa. - Mów, co wiesz.

Karol Stanisław, jak należało się spodziewać, nie musiał posługiwać się notatnikiem.

- Piątego września około godziny dziewiętnastej dwudziestojednoletni Damian Rolewski wyszedł z domu w kierunku budynku zajmowanego przez salon urody „Eurydyka”.

Reising z rozmachem stuknął się w czoło.

- Jak można tak się nazwać! Eurydyce oczywiście urody nie brakowało, ale jej losy ułożyły się wystarczająco fatalnie, z wykończeniem Orfeusza włącznie, żeby odstraszyć każdego, kto nie jest kompletnym ignorantem.

Stanisz spojrział karcąco. Jego oczy kolorem znakomicie harmonizowały z krawatem.

- Uspokój się. Wiadomo, że edukacja klasyczna społeczeństwa znajduje się w opłakanym stanie, ale jeśli nazwa brzmi ładnie, klienci się zainteresują. Inna sprawa, że szczęścia nie przyniosła.

- I dobrze im tak.

- Mam nadzieję, że nie najlepiej. List gończy rozesłano, w końcu w jakimś zakątku świata się znajdują, bo zdążyli w ostatnim momencie czmychnąć. Zarzuca się im, oprócz działań o charakterze korupcyjnym, stosowanie preparatów nie tylko niedopuszczonych u nas, ale również nieprzetestowanych za granicą. Myszkami doświadczalnymi byli klienci „Eurydyki” i nie wszyscy wyszli na tym dobrze. Z zaburzeniami jelitowymi jedni, a dermatologicznymi drudzy. Mimo to przez dłuższy czas interes kręcił się naprawdę nieźle. Damian Rolewski pracował tam jako masażysta i podobno szło mu bardzo dobrze. Nie wiadomo, czy piątego września poszedł do „Eurydyki”. Było jeszcze otwarte, ale klientów nie przyjmowano. Nikt go nie widział. Przesłuchiwany ochroniarz i konserwator w jednej osobie przysięga, że nie wie nic o obecności Rolewskiego w środku ani obok pomieszczenia. Natomiast na tyłach znaleziono komórkę chłopca, prawie wdeptaną między płyty chodnikowe, i ślady jego krwi w odległości około trzydziestu centymetrów. Tak, na pewno wszystko było jego - dodał, nie kryjąc irytacji.

- Przecież nic nie mówię.

- Nie musisz. Znam to spojrzenie niewiniątka, które ma zrobić z kogoś idiotę. Możesz nie protestować. Wracając do komórki. Karta SIM Damiana, obudowa rozpoznana jako jego i odciski palców też. Krew po zbadaniu DNA nie budzi wątpliwości. Świeża. Zaginięcie zgłosili mieszkańcy Skrętnej piętnaście. Umówił się na masaż z Małgorzatą Kalińską i nie przyszedł. Widziano, że przedtem wychodził, więc pan inżynier Niespał natychmiast podążył w kierunku salonu i znalazł komórkę. Nie dotykał, zawiadomił policję.

- Zauważyłem jego energię i zdecydowanie - westchnął rzeźbiarz.

- Były harcerz. Pewnie ci o tym wspomni. Wracając do szczegółów, Damian miał na sobie granatowy, luzacki sweter i szare dżinsy. Proszę cię bardzo, to jego zdjęcie.

Reising wziął fotografię, na której ze szczupłej, naprawdę miłej twarzy patrzyły na niego inteligentne, piwne oczy. Jasne, krótko przyszczyżone włosy i błakający się uśmiech.

- Może się sugeruję - powiedział w zamyśleniu — ale wyraz oczu mi trochę nie pasuje. Za smutne.

Stanisz wzruszył ramionami.

- Nic dziwnego. Z tego, co mówiła nieżyjąca już Kalińska, wynika, że czuł się zmuszony do podjęcia jakiejś decyzji. Wygląda, że albo z nią nie zdążył, albo skłonił się ku niewłaściwemu rozwiązaniu.

- Są sytuacje, gdy każde wyjście jest niedobre — zauważył Janek.

- Jeśli się w coś dobrze wplątać, to owszem - zgodził się inspektor. - Idźmy dalej. W okolicy komórki prócz krwi żadnych śladów walki. W pobliżu nie widziano i nie słyszano niczego podejrzanego. Nic dziwnego, bo było ciemno, a za „Eurydyką”, sam zobaczysz, rosną tylko krzaki. Resztki ogródków działkowych. Krzewy gęste, kłujące, zostały zbadane centymetr po centymetrze.

Nikogo posiadającego formę cielesną tam nie było. Wiemy, że to, co się stało, działo się na tyłach pawilonu „Eurydyka”. Ściana oczywiście bez śladów. Damian Rolewski rozpląnął się. Reising ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Postaram się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Od Darii Kalińskiej nie, bo właściwie dopiero co przyjechała. Rawicz mówi, że jest mądra, a od niego niełatwo to usłyszeć. Mam nadzieję, że inni, choć nie muszą jej dorównywać, powoli opowiedzą mi różne rzeczy. Od ciebie chciałbym dowiedzieć się o Korendzie, który przypadkowo ma taką broń, z jakiej strzelano.

- Albo podobną, niestety - sprostował szybko Stanisław.

- Dla nas. On ma jakieś swoje *niestety*. Co to za jeden?

- No cóż. Niestety jego alibi potwierdza tylko ojciec. W dodatku, co bardzo ciekawe, z Sieniewic, gdzie mieszka, do Zrębiaka są dwadzieścia trzy kilometry.

- Jeśli się sprężyć, można i odwiedzić tatusia, i zastrzelić Noconia. Potem spokojnie odwieźć pistolet do domu i pojechać do przychodni. Właśnie, umiecie jakoś sprawdzić jego zabytkowe pistolety?

Stanisław skrzywił się.

- Owszem. Że były czyszczone. Dopiero co. Jednak nie wiemy, czy przed chwilą, czy dwa dni temu. Bo wtedy on z nich strzelał i zgodnie z zasadami wyczyścił.

- Strzelał. Do kogo?

- O ile mi wiadomo, tym razem do nikogo. Sportowo na strzelnicy. Nie samo strzelanie jako takie go pasjonuje, tylko bawienie się starą bronią. U niego w domu zresztą widać więcej antyków. Obok pistoletów na ścianie muzealny kilimek. Kilka wiekowych kasetek, jakieś białe kruki w regale za szkłem. U ojca podobno jeszcze lepiej.

- Kolekcjoner? - zainteresował się rzeźbiarz.

- Wcale nie. Emerytowany nauczyciel polskiego przechowujący pamiątki rodzinne. Dla mnie osobiście, pretensjonalne.

Poza tym Korenda jakby izoluje się, domek stoi na uboczu. Może nic dziwnego, ponieważ niecałe dziesięć lat temu pan profesor Korenda przeszedł na rentę. Nie mogę ci powiedzieć z jakiego powodu.

- Aha - domyślił się Janek. - Ma świra.

- Nie komentuję - oznajmił Stanisław. - Ponieważ, jak mówiłem, nie ma sąsiadów, więc nikt prócz niego nie może dać doktorowi alibi.

- Ślicznie. Nie zatrzymaliście go jeszcze?

- Doktora? Chętnie, ale na razie nie ma podstaw. Każdemu wolno trzymać w domu wyczyszczone broń sprzed półtora wieku. Motywu też nie widać, bo trudno tak nazwać demonstrowaną niechęć do grubaska. Oczywiście - uprzedził pytającego rozmówcy - trzeba by poszukać motywów do zabójstwa żony, bo nie wiemy, czy morderca wiedział, do kogo strzela.

- Ja wolę rozwody - oznajmił Reising. - Ale można wybierać szybsze metody.

- O, na pewno. - Stanisław zaczął spacerować po bardziej niż skromnie umeblowanym pokoju. - Tylko że nic nie wiadomo o kłótniach w tym małżeństwie, groźbach, zdradach, przemocy i korzyści finansowej po śmierci małżonki. Jej rodzice, owszem, są zamożni i powiem brutalnie, Korenda ile mógł, już z nich wyciągnął. Sam wyrastał w kiepskich warunkach. Na studiach musiał się utrzymywać właściwie bez pomocy z domu. Jego matka chorowała, umarła, gdy był na czwartym roku. Chwytał się wszystkiego, czego mógł, żeby przetrwać i być najlepszy. Informacje mam z dobrego źródła, bo od teściowej.

- One nie są wcale takie złe. Ostatniej mniej się bałem niż żony.

- Swoją drogą, nie zazdroszczę mu - ciągnął inspektor. - Ze wsi, bez pieniędzy, zarywający noce na pracę, podczas gdy jego dobrze ustawieni koledzy imprezowali, wiedząc na przykład, że i tak dziedziczą gabinet po tacie czy mamie.

- Ale jakoś sobie to odbił?

- W sumie tak. Profesor Widzewski, który od początku wysoko go cenił, w pewnym momencie zniechęcony dzisiejszymi czasami i biurokracją postanowił założyć własną małą przychodnię. Był samotnikiem i idealistą. Pozostając konsultantem w szpitalu, realizował swoje marzenie, by leczyć ludzi bez słuchania administracyjnych rozkazów. Powoli wciągał do pracy Korendę i, o dziwo, świetnie dawali sobie radę. Niestety, niespełna rok temu profesor zmarł na zawał. We śnie. Nie miał rodziny i okazało się, że jego jedynym spadkobiercą jest Maciej Korenda.

- Ciekawe. Zupełnie jak w bajce. W dodatku najwyraźniej mamy do czynienia z lekarzem i człowiekiem doskonałym. To prawda?

Karol Stanisław lekko się skrzywił.

- Lekarz na pewno rewelacyjny. Pod względem naukowym i w opinii pacjentów. Natomiast jako człowiek - wzniosł oczy w górę - gdybym miał jakąś ciężką chorobę, oczywiście byłoby mi wszystko jedno, ale w rozmowie demonstruje nieprawdopodobną pewnością siebie i całkowitą obojętność, jakby nie istniało nic poza jego sprawami, które dla kogo innego są oczywiście za mądre.

- Może są - zastanowił się Janek.

- Co więcej - inspektor zaczął się denerwować - patrzy na ciebie i od razu przeświewa. Czujesz, że ci coś diagnozuje. - Wstrząsnął się. - Bardzo niemiłe doświadczenie.

- Zaraz, a jeśli ty właśnie jesteś chory? Masz stresującą pracę. Kiedy robiłeś badania?

Wzrok Stanisława nie wróżył nic dobrego. Reising pomyślał, że niestety, jego przyjaciel naprawdę źle znosi tego w sumie bardzo pozytywnego człowieka.

- Wiesz, może to i niegłupi pomysł z jego strony - kontynuował Karol.

- Planuje popełnić zbrodnię, ustawia kilka wskazań na siebie, oczywiście bezsensownych. Bo któż by zabijał z broni

wiszącej na ścianie, z marnym alibi i z jeszcze gorszym motywem.

Wiec od razu go z powodu tych bezsensowności wykluczamy. A jemu tylko o to chodziło.

- Może żona zdradzała go z Noconiem?

- Myśleliśmy o tym, ale nasze koleżanki stwierdziły, że zważywszy na jego urodę, musiałaby być nienormalna. Sam przyjrę się jego alibi - dodał prawie do siebie.

- O, nie wątpię - mruknął rzeźbiarz. - A ten Nocoń, miał jakąś rodzinę czy innych wrogów?

- Nikogo. Żadnych wrogów, rywali. Zajmował się głównie przekładami literackimi. Tylko czy rzeczywiście chodziło o niego?

- Mord rabunkowy wchodzi w grę?

- Do końca nie wiadomo - westchnął Stanisław.

- No dobrze, ale jeśli bierzemy pod uwagę wersję, że ofiarą miała być żona Korendy, to czy przyjrzelście się reszcie sąsiadów? Wszyscy prócz Darii Kalińskiej sądzili, że to ona będzie w Zrębiaku.

Inspektor skinął głową.

- Owszem. Motywów ani za grosz. Natomiast alibi mają całkiem średnie. Alicja Bronowska cały wieczór siedziała u przyjaciółki na plotkach. Rzeczona przyjaciółka potwierdza, ale nikt inny jej tam nie widział. Piotr Niespał ćwiczył jogging przełajowy po okolicy. Jest tu trochę miejsca na półtorej godziny biegania. Świadka może doprowadzić, bo podobno znajdzie emeryta wojskowego, z którym wdał się w awanturę. Powodem był bodajże jamnik, a konkretnie jego stosunek do biegaczy.

- Tak, to mądre psy - potwierdził z uznaniem Janek.

- Natomiast Sebastian Wolski jako jedyny jest kryty. Kiedy w końcu dotarło do niego, że ma powiedzieć, co robił, przyznał się z trudem do bytności na imprezie z grillem od osiemnastej do dwudziestej trzeciej. I to się potwierdziło.

- Grill o tej porze roku. Bez sensu.

- No, niestety. Wiesz, ja myślę, że pan Sebastian jeszcze nie do końca ogarnia, czego my od niego chcemy.

- Ciekawe - mruknął rzeźbiarz - jest tak dobrze zakręcony, że już lepiej się nie da.

P

- ^✓zy ja zwariowałam? - Urszula wpadła jak burza. - Będę przysięgać, że na schodach zobaczyłam faceta pięknego jak sen, który mi się, wyobraź sobie, uklonił. W dodatku kojarzę, jakbym go już gdzieś widziała. - Z rozmachem położyła na kuchennym stole dwa ciepłe, zawinięte w papier kebaby. - Mów, czy ze mną coś nie tak, czy tu się zrobiło inaczej.

Daria wyjęła talerze i wstawiła wodę.

- Spokojnie, wszystko pod kontrolą. Czy to był blondyn?

- Właśnie, blondyn. Całkiem nie w moim typie, a mało nie umarłam z wrażenia. Wygląda jak rzeźba grecka.

- Bardzo możliwe, bo to rzeźbiarz.

- Rany, co ty mówisz! - Ula dopiero teraz ściągnęła krótką kurteczkę i zaczęła odwijać z szyi długi pobłyskujący złotawą nitką szal. - Przecież rzeźbiarz jest czymś zupełnie innym. Co takiego? - Znieruchomiała - No, wiem! Widziałam w telewizji, Jan Reising. Sława światowa. Wrócił ze Stanów i już nie chce na długo wyjeżdżać. Pochodzi ze Starego Sącza, ale mieszka w Warszawie. Skąd on się tutaj wziął? To dziwniejsze od jakiegokolwiek morderstwa.

- W zasadzie racja. Morderstwa zdarzają się codziennie, a ktoś taki jest jeden. - Daria przyjrzała się pachnącej potrawie. - Czy to zamach na moje odchudzanie?

Koleżanka machnęła ręką.

- Na razie powinnaś się dobrze odżywiać, a potem ułożę ci zestaw ćwiczeń.

- Chętnie. Jeśli chodzi o Reisinga, to wprowadził się tu na krótko, zanim będzie miał dom gotowy do zamieszkania. Poznałam go wczoraj. Jest znajomym mecenasa. Na chwilę wpadł do kancelarii.

- I nic nie mówiłaś.

- Zapomniałam.

Urszula spojrzała, jakby ją widziała po raz pierwszy.

- Niepokojące. Rzadko spotyka się faceta, który naprawdę coś sobą reprezentuje. Jedyne, co może cię usprawiedliwić, to kompletna fascynacja innym. Mów.

Daria zmieszała się, sama nie wiedząc dlaczego.

- Nie jestem zafascynowana.

- Ciągłe nie mogę uwierzyć, że w całych Bieszczadach nie znalazł się jeden młody, atrakcyjny człowiek. - Patrzyła podejrzliwie.

- Nie byłam w całych Bieszczadach i dajmy temu spokój. Z tego wszystkiego zapomniałam ci powiedzieć o dzisiejszym powitalnym wieczorku. Tak, tak, nowy lokator chce wszystkich od razu poznać i zaprasza na osiemną.

Wufistka wyciągnęła i skrzyżowała swoje idealnie zgrabne nogi.

- I słusznie. Tak powinien zachować się artysta. A na osiemną już się cieszę. Powiedz mi jeszcze w dwóch słowach, jaki on jest. Bardzo artystyczny?

- Nie bardzo. W ogóle zwyczajny i raczej poczciwy.

- Chcesz powiedzieć, że prochu nie wymyśli? - zaniepokoiła się Ula.

- Może nie wymyślić. Wspomniał, że miał problemy z matematyką.

- To nie najlepiej.

-Bo mu nikt nie wytłumaczył.

- Jeszcze gorzej. Ale nieważne. W sumie nie jest od tego. Natomiast niezależnie od wszystkiego innego - wstała i bardzo krytycznie przyjrzała się przyjaciółce - robimy małą zmianę

dekoracji. Twoja spódnica jest z zeszłego sezonu, a sweterek

- horror.

Daria rzuciła jej złe spojrzenie.

- Spódnica jest ponadczasowa. W dżinsach źle się czuję, ponieważ są za ciasne. Zgadnij, dlaczego. Poza tym nie idę do sąsiada, żeby czarować, bo nie będzie kogo.

- Zawsze jest, drogie dziecko. Nawet siebie powinnaś czarować, kiedy jesteś sama. Ale żeby cię nie stresować, proponuję kompromis. Spódnicę zostawimy, bo dobrze leży, a obciachowa góra znika jak koszmarny sen.

Bez ceregieli wykonała ekspresowy przegląd półek w szafie, którą pamiętała jeszcze z czasów dzieciństwa. Stała przed koleżanką, dzierżąc tryumfalnie dwa sweterki, ciemnofioletowy i granatowy. Pierwszy przez moment rozciągała swoimi długimi, silnymi palcami.

- Kolor ciekawy, ale ta dzianina jakaś zbyt sztuczna. Granatowy ci pasuje i ma dobry dekolt. - Rzuciła sweterek w kierunku koleżanki. - Obróć się. Tak, bardzo dobrze. Zgrabne wycięcie i trzeba coś zawiesić na szyi.

Daria nagle zeszywniała. Wydawałoby się, że znów pobladła.

- Nie - powiedziała cicho, ale tak, że Urszula musiała zrezygnować.

Prawie siłą posadziła dziewczynę na kanapie, a do ręki włożyła szklankę z sokiem grejpfrutowym.

- Znowu podejrzanie wyglądasz. Przez telefon mówiłaś, że nie masz temperatury i że ci lepiej. Najwyraźniej masz jakąś nerwicę, pewnie trochę związaną z historią, którą miałaś mi opowiedzieć do końca. Teraz słucham.

Daria rozłożyła ręce i demonstracyjnie wzniosła oczy w górę.

- Nie uda mi się wykręcić. Nie mam szans.

- Pewnie, że nie odpuszczę. O mężczyźnie mówiłoby się, że jest konsekwentny i stanowczy, a o kobiecie, oczywiście — uparta.

- Rozsiadła się wygodnie w fotelu. - Skończyłaś na medalikach.

- I przyjaźni po grób. - Pociągnęła łyk orzeźwiającego soku. - Otóż dalej, jak się należało spodziewać, wrócił Ludwik. Mariannę pamiętał z czasów, gdy przyjeżdżała jako dziecko, ucieszył się na jej widok.

- Słodkiego aniołka - wtrąciła smętnie Ula.

- Tak, dokładnie to, co myślisz. Były wspomnienia beztroskich zabaw sprzed lat, spacerów w trójkę, wspólne czytanie książek, gra na fortepianie. W końcu Ludwik znowu wyjechał i pisał do Zofii listy, dokładnie informując, co robi w Warszawie.

- Jak do siostry?

- Niestety. Ale i tak była szczęśliwa. Natomiast do Marianny wysłał zupełnie co innego. Oświadczył się jej.

Urszula uderzyła w poręcz fotela tak, że całość konstrukcji została zagrożona.

- No weź! Musiał się strasznie zakochać.

- Jak najbardziej. Ona w nim też. Mimo że jej zaproponował niezbyt zamożne życie z nauczycielem w Warszawie, dla niej był prawdziwym księciem z bajki.

- Nie miała żadnych skrupułów, cienia lojalności wobec przyjaciółki?

- Najmniejszych. Nie było zresztą żadnych obietnic dla Zofii. Nie padło ani jedno słowo.

- Jasne. Złoty aniołek. Zdobyła, to jej. Pewnie była jeszcze dumna z siebie.

- Mogła być. Przede wszystkim jednak bardzo szczęśliwa. Ale niezbyt długo - oznajmiła Daria. - Ludwik oczywiście bał się pokazać Zofii na oczy.

- Wyobrażam sobie. Odważnych facetów właściwie nie ma.

- Przyjeżdżał tylko do wujostwa Marianny, sądząc, że sprawa przyschnie. Zofia ze swym posagiem znajdzie męża i o nim zapomni.

- Zastanawiam się, jak ona to znosiła.

- Wydaje mi się, że początkowo nie była w stanie uwierzyć, wbrew oczywistości marzyła, że Ludwik się opamięta i będzie jak

dawniej. Ale gdy oficjalnie ogłoszono zaręczyny, straciła ostatni cień nadziei.

Urszula w zamyśleniu rozczesywała opadającą na czoło złocistą grzywkę.

- Słuchaj, niesamowicie mi jej żal. Jak to wszystko zniosła? Chorowała?

- Zaraz przestaniesz żałować. Masz rację, że na początku nie jadła, nie spała, ale dwa dni po nieszczęsnej uroczystości wstała z postanowieniem, że tak dalej być nie może.

- Bardzo dobrze!

- No, nie wiem. Stwierdziła, że jeśli Ludwik nie będzie jej, to nie będzie również Marianny.

- Zabiła go! - jęknęła dziewczyna.

- Jakaś ty bezpośrednia. Wspomniałam ci, że Zofia miała brata Adama. W odróżnieniu od niej wcale nie był intelektualistą. Za to świetnie jeździł konno i co ważniejsze w posługiwaniu się bronią, zwłaszcza palną, nie miał w okolicy równych sobie.

- Rewolwerowiec?

- To nie Dziki Zachód. Był paniczem z bardzo dobrej rodziny z nazwiskiem i majątkiem. Siostra nie musiała go bardzo prosić o pojedynek. Nie mógł wyzwąć Ludwika z jej powodu, bo to by ją kompromitowało, natomiast nie było nic prostszego nad zasymulowanie jakiegoś potrącenia w przejściu czy innej banalnej obrazy. Na życzenie Zofii zażądał najostrzejszych warunków.

- Czyli egzekucja.

- Dokładnie. W pojedynku na szable mógłby go na przykład tylko mocno poturbować. On miał ściśle wyznaczony cel. Poszedł go zlikwidować. - Odetchnęła, jakby opowiedzenie tego przyniosło jej ulgę. - I wykonał to. Tak po prostu. W pięć minut.

- O Boże! A co Marianna?

Daria wstała i zamiast odpowiedzi zaczęła chodzić po pokoju, po chwili zatrzymała się naprzeciw przyjaciółki.

- Właśnie o to chodzi. O nią.

- Też się zabiła?

- A skądże. Natomiast dostała jakiejś hysterii, do której oczywiście miała wszelkie prawa. Ale w tym stanie pobiegła do Zofii i wykrzyczała, że przeklina ją i wszystkie kobiety, które przyjdą na świat w jej rodzinie.

- No, nie! - Urszula chwyciła się za głowę. - Niesamowite. Nieprawdopodobne. Chcesz powiedzieć, że takie coś działa? O to chodzi cały czas?

Daria spokojnie pokiwała głową. Siedziała naprzeciw już zupełnie spokojna. Powiedzenie wszystkiego sprawiło jej większą ulgę, niż oczekiwała.

- O to chodzi i jak najbardziej działa.

- W dwudziestym pierwszym wieku!

- Nie tylko. W dziewiętnastym i dwudziestym również. Zauważ, że klątwa dotyczy tylko płci żeńskiej. Mężczyźni mają spokój. Wiedzie im się normalnie, bez problemów. Kobiety według Marianny mają nie zaznać szczęścia, odwzajemnionej miłości, nie mówiąc już o małżeństwie.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę żadna dziewczyna w twojej rodzinie od tego czasu nie wyszła za mąż? - Ula otworzyła szeroko i tak duże niebieskozielone oczy.

- Żebyś wiedziała. Ani jedna. Zresztą nie było ich tak wiele, akurat nie rodziło się dużo dzieci jak na te czasy. Adam Kaliński na przykład miał tylko dwóch synów, z których przeżył jeden i doczekał się dwóch wnuków i wnuczki, Anny, która z jakichś powodów, mam nadzieję, że z powołania, wstąpiła do klasztoru- Jeden z jej braci miał dwóch synów, drugi syna i dwie córki, Marię i Luizę. Ich brat zginął podczas pierwszej wojny, zanim S1? ożenił. Maria była dzielna, wykształcona i zainteresowana prawami kobiet. Niespodziewanie zakochała się, podobno bez specjalnej wzajemności, w obiecującym dziennikarzu. Ten z koki dał się komuś po bandycku zamordować w ciemnej uliczce. Mimo że bynajmniej nie byli parą, Maria nie przyszła do siebie

po jego śmierci. Najpierw nie jadła, chorowała, potem znaleziono ją w rzece.

- Makabra - orzekła Ula.

- Tak jest. Luiza natomiast przesadzała w drugą stronę. Nie interesowała się niczym poza flirtowaniem, które z biegiem lat przerodziło się w imprezowanie. Wyzwolenie kobiet rozumiała niestety jako ułatwienie dostępu do alkoholu. Pozbawiona wszelkich innych zainteresowań, uzależniła się. Organizm długo nie wytrzymał, zmarła przed trzydziestką.

- Nikt jej nie dopilnował? Daria rozłożyła ręce.

- Czasy po pierwszej wojnie, obyczajowość nagle się zmieniła, a terapeutów nie było. - Potarła czoło. - Wracając do ich braci stryjecznych, jednemu urodził się syn i córka, Danuta, a drugiemu dwie dziewczynki. Danuta nie przeżyła zapalenia płuc w wieku kilkunastu lat. Jedna z jej kuzynek, Aleksandra, należała do pokolenia Kolumbów. Nic nie wiadomo o jej życiu uczuciowym, raczej go nie miała. Marzyła o karierze scenicznej, ale los był okrutny. Nie dysponowała ani głosem, ani urodą. Ciągle jednak brała lekcje śpiewu i nie chciała słyszeć o żadnej innej przyszłości. Nieoczekiwanie wszystko zmieniło się z wybuchem powstania. Z dnia na dzień stała się kim innym. Żołnierzem. Zginęła jako łączniczka.

- O Jezu. A druga?

- Daniela. Też niespecjalnie, choć inaczej. Ona była intelektualistką, studiowała, prosiła cię, historię. Podobno świetnie się zapowiadała i na odmianę wyglądała atrakcyjnie. Na tyle, że zakochał się w niej wykładowca. Ze wzajemnością.

- Pewnie też był niezły.

- Jasne. W dodatku nieźle zawracał głowę, bo miał żonę i obiecywał rozwód. Poprzez zmianę religii, czy w jakiś inny sposób z tamtych czasów. Oczywiście ufała mu do momentu, gdy okazało się, że jego małżonka jest w ciąży, a on nigdy nie

zamierzał jej rzucić. Daniela zrozumiała, że od początku traktował ją jak zabawkę i popełniła samobójstwo. Połknęła jakieś tabletki.

- Niesamowite - kręciła głową Urszula. - Kim ona była dla ciebie?

- Siostrą stryjeczną dziadka, który miał dwoje dzieci. Mojego ojca i ciotkę. O niej nie muszę ci mówić, jej życie było puste. Lubiła tylko siebie i słodycze.

- W tym całkowicie się z tobą zgadzam, niestety. Ale mam jedną wątpliwość. Prawda, że tym wszystkim kobietom ułożyło się fatalnie i nie sposób było tego nie zauważyć. Czy wobec tego nie powstała romantyczna legenda tłumacząca ich nieszczęścia?

- Wiedziałam - uśmiechnęła się Daria. - Tylko czekałam, kiedy wpadniesz na ten pomysł. I jestem przygotowana. Otóż cała historia jest, jak zauważyłaś, krótka i lakoniczna. Nic dziwnego, bo znana z relacji Adama Kalińskiego, który po śmierci siostry zdecydował się napisać coś w rodzaju pamiętnika. Może należałoby powiedzieć, wspomnień. Zaznaczył tam, że nie czuje się winnym swojego czynu, bardziej żałuje, iż nie zastrzelił Ludwika wcześniej, zanim ten zdążył złamać Zofii życie.

- A to dopiero! - Urszula z podziwu aż podskoczyła w fotelu. - Podoba mi się człowiek. Choć przedtem niezbyt go lubiłam.

- Niestety zginął w powstaniu styczniowym, a rodzina, jak to było praktykowane, została pozbawiona majątku. Zona przeniosła się z dziećmi do rodziców. Przechowało się trochę rzeczy, między innymi pamiętnik, a raczej jego fragmenty, bo całość nie przetrwała okupacji.

Wstała i zza rzędu kolorowo oprawionych książek wyciągnęła drewnianą kasetkę z metalowymi okuciami. Na dnie leżały skórzane okładki, w nich kilka kartek, a właściwie ich połówek, Spełnionych równym, ozdobnym pismem. Atrament był trochę wyblakły, ale czytelny.

Urszula na moment zaniemówiła. Ostrożnie trzymając zabytkowy rękopis, powoli, dokładnie *przeczytała* całość.

- Fantastyczne. - Ledwie łapała oddech. - Dokładnie to, co mówiłaś.

- Brakujące fragmenty ma mój ojciec. To znaczy nie oryginalne, tylko ręczną kopię całości sporządzoną na wszelki wypadek przez mojego dziadka.

- A wiesz, co się potem stało z Zofią? - Ula położyła delikatnie zamknięty pamiętnik na stole.

- Zofia - Daria zmarszczyła brwi - nie przyszła do siebie. Chyba nikt nie wie, czy żałowała tego, co się stało, i czy uważała, że postąpiła źle. W każdym razie nie wyszła za męża, odrzucała wszystkich starających się. Umarła mniej więcej koło trzydziestki na jakąś gorączkę, nie wiadomo skąd. Tak wtedy bywało.

- No, to mam jasność. Tylko jednego jeszcze jestem ciekawa. Co mianowicie z kochaną Marianną, moim aniołkiem?

- Z Marianną Mizerowiczówną zupełnie inaczej. Wyszła, czy też została wydana, za dużo starszego od siebie człowieka. Tak, oczywiście, majątnego. - Ula skinęła głową z satysfakcją. - Nie miała z nim dzieci. W odróżnieniu od Zofii pisała cały czas pamiętnik, z którego wynika, że trochę wstydziła się swojego zachowania.

- Tak, było nieładne.

- A przede wszystkim nieeleganckie. Pamiętnik stał się własnością jej młodszego brata, który w czasie tych wszystkich awantur uczył się w jakiejś szkółce. W całej sprawie jednak dobrze się orientował. Najciekawsze jednak jest, skąd to wiadomo. Jak się można domyślić, przypadek. Kiedyś dziadek mojego ojca, będąc na Podkarpaciu, napotkał zabytkowy kościółek, tak piękny, że nie mógł go ominąć. Właśnie miało zacząć się nabożeństwo i przez przypadek usłyszał nazwisko księdza. O dziwo, Mizerowicz. Był to młody, sympatyczny człowiek. Dziadek został na mszy i postanowił z nim porozmawiać, bo nazwisko do częstych nie należało.

Okazało się, że miał rację. Spotkał w prostej linii wnuka brata Marianny, który w dodatku doskonale znał całą historię. Mówił, że mu bardzo przykro z powodu tego, co się stało, że siostra jego dziadka bardzo zgrzeszyła, ale żałowała.

- Łatwo mu mówić - prychnęła wuefistka. - Bo to nie jego dotyczy. A o Zofii nic nie mówił, nie komentował?

- Nie sędzę. Zapewnił natomiast, że modlił się o pojednanie naszych rodzin i dziękuje Bogu, że się spotkali, ponieważ na nim kończy się jego ród. Miał jeszcze siostrę, ale ona nie żyje. Sam chorował na gruźlicę, lecz uważał się za podleczonego. Niestety nie do końca, bo umarł niecałe dwa lata później. I to wszystko.

- Zupełnie wystarczy. - Urszula z przejęcia zburzyła sobie całkowicie krótką fryzurkę, w rezultacie czego przypominała postać z teatrzyku dla dzieci. - W sumie wcale ci się nie dziwię, ale mimo wszystko uważam, że ciotka nie powinna ci o tym mówić. Posłuchaj mojej rady. Musisz się natychmiast umówić z kimś' na poziomie. Z odpowiedzialnym człowiekiem, nie z macho, którym i tak będziesz musiała się poopiekować, albo smętnym mózgowcem wpędzającym cię systematycznie w depresję.

- O, to są w ogóle jacyś inni? - zainteresowała się Daria.

- Zdarzają się. Problem, że najczęściej już zajęci. Więc trzeba naprawdę dobrze poszukać. Kochanie, tradycję rodzinną musisz przełamać, najpierw się rozejrzyj. Co właściwie z mecenasem?

- Słucham? - prawie krzyknęła. - Chyba zwariowałaś. Przyjaciółka z dezaprobata pokręciła głową.

- Pomyśl przez chwilę. Jest starszy o dwadzieścia parę lat, ale na to nie wygląda i pewnie się nie czuje. Przystojny, miły, lubi cię bardzo, a na moje oko, również mu się podobasz. Jest zdaje się wdowcem?

- Tak, od dawna, ale ty chyba oszalałaś. - Ani trochę. Teraz się dobrze zastanów, nie będzie ci planować życia jakaś Marianna.

Jan Reising dość zadowolony z przebiegu wydarzeń wsiadał do swojego volvo. Właśnie odbył biznesową rozmowę z niezwykle panią Izą Dolant, której nazwisko widniało na szyldzie sklepu. Całkowicie zdając się na nią, ustalił menu kolacji. Poza tym wysoko ocenił jej figurę. Również złocisty brąz skóry, uzyskany chyba dzięki samoopalaczowi. Bardzo rozsądne.

Nie mógł skarżyć się na trudności w nawiązywaniu rozmowy. Dowiedział się mianowicie, że doktor Korenda jest świetnym lekarzem i pod każdym względem w porządku, a jeśli chodzi o jego małżeństwo, to wszystkie ewentualne plotki są bez sensu i nie należy ich słuchać, jeżeli chce się zachować obiektywizm. Nie wolno również pod żadnym pozorem dać się wciągnąć w tematykę ekologiczną, która chociaż jest jak najbardziej nowoczesna i pożyteczna, to często bywa wykorzystywana przez ludzi nie zrównoważonych umysłowo i w związku z tym niebezpiecznych.

Samego Huberta Noconia pani Dolant oczywiście dobrze pamięta. Kilka razy zamówił u niej coś ciepłego i bardzo mu smakowało. Lubił wypić jeszcze jakiś sok, posiedzieć, kolorowe pismo przejrzeć. Miło było również patrzeć, jak się przyjaźnili z panią Bożeną. I to była naprawdę tylko przyjaźń, co się niezmiernie rzadko zdarza w dzisiejszych czasach, a między kobietą a mężczyzną - to już wcale.

Janek w zasadzie też miał wątpliwości, co do skuteczności takiego układu, ale próbować zawsze można. Po pierwsze jest to przyjemne, a jeśli się nie uda, może stać się jeszcze miłsze.

Nie ryzykował jednak zaprzeczania, a nawet wtrącania się do monologu pani Izy, która przy jednym z dwóch domowo wyglądających stoliczków zaprosiła go na firmową kawę.

- Nie ma również przepisu na szczęśliwy związek - kontynuowała.- Pan sam na pewno o tym wie najlepiej. Tak - uśmiechnęła się — przecież wiadomo o pana licznych małżeństwach.

Zdziwił się.

- Nie sądzę, żebym był aż tak znany. Uniosła ciemne brwi.

- Tu, rzeczywiście, może i nie tak bardzo. Ale to akurat normalne. Ja natomiast dostałam od przyjaciółki z Nowego Jorku folder z pana wystawy. Bardzo ciekawy i starannie wydany, jest wywiad z panem, relacje przyjaciół. I niestety - ruchem hinduskiej tancerki błysnęła złotą bransoletą - wydało się parę rzeczy. Ale bardzo życzliwie, cztery żony to w sumie nic złego.

- Mam nadzieję, że pani naprawdę tak uważa. - Spojrzał niewinnie. - Nie wybiera się pani może do Stanów? - Spróbował zmienić temat.

Nieoczekiwanie roześmiała się, wstrząsając obłokiem czarnych włosów.

- Dziękuję bardzo, wystarczy. Chociaż kraj i ludzi wspominam bardzo dobrze. I to po prawie dziesięciu latach pobytu. Znacznie gorzej małżeństwo. Ze wspaniałym, kulturalnym człowiekiem. Eleganckim ideałem.

- Ktoś stamtąd?

- Teraz już tak. Jako inżynier od aerodynamiki dostał tam stypendium jeszcze w latach osiemdziesiątych. Potem je przedłużył. Żyło się nam jak w bajce. Postanowiliśmy nie wracać. Zaproponowano mu bardzo dobre warunki. Ja też próbowałam realizować się w swojej dziedzinie. Jestem magistrem kulturoznawstwa. Wszystko z wierzchu wyglądało to tak, że tylko pozazdrościć. - Uśmiechnęła się gorzko. - Niestety po ośmiu latach, pewnego pięknego wieczoru, oznajmił mi, że będzie miał dziecko z inną kobietą i chce się rozwieść.

- Świnia - stwierdził Reising autorytatywnie. - Co pani z nim zrobiła?

- Miałam niewielki wybór. Moja następczyni była dziesięć lat młodszą koleżanką z instytutu i z rozkosznie zamożnego

domu. Byłam w szoku i rozpaczony przez tydzień. Dalej pamiętam niewiele. W depresji i z dużą sumą na koncie wróciłam do kraju.

- Dzięki Bogu chociaż za sumę.

- To prawda, że przynajmniej nie musiałam martwić się

o przeżycie. I przez te ćwierć wieku dawałam sobie radę. Żałuję tylko - naląła szklankę wody - że sama nie zdążyłam mieć dziecka.

- Przecież mogła pani ułożyć sobie życie z kim innym. Pokręciła głową.

- Teoretycznie. Ale już nie umiałam nikomu zaufać. I nie żałuję, bo moja koleżanka ze studiów w podobnej sytuacji, tylko w kraju, ciągle szukając szczęścia rodzinnego, łądowała się w toksyczne związki. Całe życie dawała się wykorzystywać i teraz jest schorowaną emerytką bez grosza. - Zapatrzyła się w okno. - Ale może być jeszcze gorzej. Kilka miesięcy przed rozpadem mojego małżeństwa miałam jakby złą wróżbę. Sama nie wiem, dlaczego panu to wszystko mówię. Pewnie nudzi pana babskie gadanie.

- Skądże! Uwielbiam słuchać kobiet. - Reising rozsiadł się wygodniej przy stoliku.

- No więc była taka dziewczyna prosto z Polski. Bardzo piękna. Jakże ona się nazywała? - Pani Iza bezradnie potrząsnęła głową. - Jakoś ładnie. Nie przypominę sobie. Po filologii rosyjskiej, miała uczyć. Brunetka z długimi, prostymi włosami. Czesła się z przedziałkiem. Klasyczna uroda. W Warszawie narzeczony.

I nagle kontakt się urwał. A ona już miała pewność, że jest z nim w ciąży. Była taka szczęśliwa. No i zaraz potem dowiedziała się, że jej chłopak będzie miał dziecko z inną i że mu bardzo przykro.

- Drań - skomentował krótko rzeźbiarz.

- Właśnie. Ja myślałam, jak by jej pomóc, ale bez specjalnego zaangażowania. Mimo że jestem emocjonalna. Tak, jakbym się bała, przeczuwała coś. No i słusznie, bo za parę tygodni u mnie grom z jasnego nieba.

- Bardzo możliwe, że pani miała przeczucie. A co z tamtą dziewczyną?

- Jak najgorzej. W nerwach wzięła samochód i gdzieś na zakręconej drodze w Kanadzie wpadła na drzewo. Nie przeżyła. Uważałam, że to nie był przypadek, i w depresji chciałam pójść w jej ślady, ale miałam koło siebie przyjaciół i udało mi się stanąć na nogi - westchnęła. - Człowiek nie powinien być sam.

- Ma pani rację. I jeszcze źle być pesymistą.

- Źle. Ale niech pan patrzy. Ten Nocoń był taki pogodny, towarzyski i nic mu nie pomogło. - Wskazała sąsiedni stolik. - Tak jak panu mówiłam, tutaj siedział, zamówił naleśniki i rozmawiał przez telefon.

- Jakoś zabawnie?

- Może niezabawnie i mało sympatycznie. Chociaż chyba nie było mu łatwo, bo wyglądało, że komuś z czymś nawalił. Powiedział coś w rodzaju: „Sorry, Ted, nie zdążyłem z twoim tłumaczeniem. Wiem, że twój klient czeka, ale mam zbyt słabą wolę i nie mogłem zmusić się do roboty”. Obiecał bodajże na pojutrze. Ciekawe, czy dotrzymał

- Nie liczylbym na to. Szkoda, że go nie znałem. Polubilibyśmy się. I mówi pani, że to było całkiem niedawno?

- Nie, nie. Raczej w środku zimy. Kojarzy mi się z padającym śniegiem. Przyzna pan, że są ludzie, którym się dużo wybacza.

- Ma pani świętą rację. - Do sklepu weszła starsza pani z trojgiem wnucząt i pani Iza musiała przerwać towarzyskie pogaduszki.

Reising też się pożegnał.

W planach miał obiad ze starym, wypróbowanym znajomym, mecenasem Rawiczem. Zaczął się powoli przedzierać w kierunku Starówki.

Po mecenasie, jak stwierdził po przyjeździe, upływu czasu nie dało się zauważyć. Te same równo przycięte ciemnoblonde włosy, którym, podobnie jak starannie zaczesanej czuprynie, minimalny cień siwizny dodawał elegancji. Dobroduszny wyraz twarzy i serdeczny uścisk dłoni należały z pewnością do jego stylu pracy,

nie wpływało to jednak na sympatię, którą budził w Reisingu, skądinąd, należało sądzić, odwzajemnianą.

- Cieszę się, że pan właśnie tam się chwilowo zatrzymał, panie Janku.
- Patrzył poważnie znad złotych okularów. - Chodzi o Darię, córkę mojego dobrego znajomego i do wakacji sekretarkę. To wspaniała, wartościowa dziewczyna. Ponadto, jestem przekonany, silna. Jesteśmy zaprzyjaźnieni od lat, odkąd po raz pierwszy zawitałem w Bieszczady. Uważam jednak, że od jesieni w jakiś sposób się zmieniła.

- Negatywny?

- W pewnym sensie. Jakby ją coś gnębiło, brak jej dawnej radości życia, chociaż bezbłędnie robi wszystko, co do niej należy, a nawet więcej, bo stale komuś w czymś pomaga.

- Może źle się czuje. Zmieniła klimat na gorszy. Rawicz uśmiechnął się.

- Wiem, że pan trochę mówi za siebie, ale z pewnością nie o to chodzi. Dlatego byłbym panu niesłychanie wdzięczny za zwrócenie uwagi, co się z nią dzieje.

- Nieodpowiednie towarzystwo? - zastanowił się rzeźbiarz.

- Pojęcia nie mam. - Rozłożył ręce. - Dlatego mam nadzieję, że pan coś zaobserwuje i w razie czego poradzi.

- Panie mecenasie - Janek spojrzał mu w oczy z wyrzutem - czyżby pan mnie w ogóle zapomniał? Jak pan może mnie uważać za choć trochę znajomego się na kobietach?

- Pana nie można zapomnieć - stwierdził z uśmiechem Rawicz. - Nawet po jednym spotkaniu, a my znamy się od lat. Ma pan zwyczaj źle trafiać z małżeństwami, ale może tym bardziej ma pan o płci pięknej wiedzę, której inni nie posiadli.

- O, na pewno. - Reising smutno pokiwał głową. - Pewien rodzaj wiedzy posiadam. Niestety łączy się z konkluzją, że absolutnie wszystko jest moją winą. Ale na panią Darię chętnie zwrócę uwagę, oczywiście nie tak, jak można by myśleć.

- Mam nadzieję - ucieszył się mecenas. - Liczę na pana zwłaszcza w tej szczególnej sytuacji związanej - westchnął - z tym, o czym pan wie.

- Jasne. Chodzi o zabójstwo Huberta Noconia i jeszcze - podrapał się w głowę - porwali tego chłopaka.

- Tak, niestety. Poszukiwania Damiana Rolewskiego prowadzono bardzo intensywnie, lecz bez rezultatu. Niestety, nie znałem młodego człowieka, wszyscy twierdzą, że był bardzo sympatyczny.

- Zupełnie jak Hubert Nocoń - wtrącił rzeźbiarz.

- Ale on był naprawdę sympatyczny! - Mecenas prawie podskoczył. - To znaczy Nocoń. Może pan mi wierzyć lub nie, ale od tego człowieka czuło się ciepło, akceptację. Chciało się przy nim być. Rozumie pan, o co chodzi?

Janek doskonale rozumiał.

- Teraz mówią, że ktoś ma dobrą aurę.

- Może to i trafne określenie. W każdym razie zawsze byłem zadowolony, kiedy się spotykałem z nim zawodowo.

- Miał w ogóle jakąś rodzinę?

- Wspominał, że jest sam. Ale chcę panu powiedzieć, stale mi się przypomina taki ciepły dzień, spotkaliśmy się w przelocie na Nowym Świecie i zdążył mi powiedzieć słowa, których już na pewno nigdy nie zapomnę. „Muszę pana poinformować, że idzie wiosna, życie jest piękne, a kobiety wspaniałe”.

- Ciekawe, czy wszystkie, czy szczególnie jedna.

- O to samo go zapytałem. Roześmiał się i rzucił coś w rodzaju, że „jedna najbardziej” i popędził dalej. Wie pan, straszna szkoda się stała, że ktoś przerwał takie życie.

Reising zajmujący się do tej pory swoim talerzem, spojrział Pytająco.

- No właśnie. A gdyby był nietowarzyski, ponury? Może warto by smutasowi skrócić cierpienia?

Mecenas Rawicz aż poczerwieniał.

- Wie pan co! Zaraz pan zrobi ze mnie faszystę. Nienormalnego jakiegoś. Przecież pan wie, co mam na myśli.

Janek skinął głową.

- Oczywiście, wygłupiam się. To był napad rabunkowy? Rawicz uniósł brwi.

- Tak podano. Ale chodzą plotki, że raczej nie. No i w takiej sytuacji sprawa staje się jeszcze bardziej nieprzyjemna dla właściciela domku. Zna go pan?

- Tylko ze słyszenia jako bardzo dobrego lekarza.

- Na pewno. Poznałem go jako biegłego i nabrałem dużego zaufania. Nawet myślę, czy nie odwiedzić jego przychodni. Podobno udało mu się podpisać umowę z Funduszem. O, to właśnie jest - poszukał w portfelu - ich wizytówka.

- Czyli człowiek sukcesu - stwierdził rzeźbiarz, rzuciwszy okiem.

- Rzeczywiście, ale autentycznie pozytywny.

- Czyżby też był miły? - zaniepokoił się. - Może lepiej niech uważa na siebie.

Mecenas wzniosł oczy do nieba, zdesperowany.

- Czasem mi ręce opadają, gdy pana słucham. Choć właściwie powinienem się już przyzwyczaić. - Reising skinął głową z przekonaniem. - A doktora Korendy akurat nie nazwałbym miłym, to - zawahał się - nie znaczy, że jest niemiły.

- Zaplątał się pan w zeznaniach - ogłosił rzeźbiarz.

- Tak, przez pana. - Rawicz wziął głęboki oddech. - Mam na myśli, że doktor nie ma przylepnej natury, natomiast jest człowiekiem nad wyraz prawym, kulturalnym. Robi bardzo dobre wrażenie, również na kobietach.

- Słyszałem, że ma atrakcyjną żonę.

- Nie wiem, ale - w oczach prawnika błysnął niepokój — pan, o ile pamiętam, nigdy nie bawił się w rozbijanie małżeństw?

- Nie, na miły Bóg! Wystarczyły mi własne.

Daria czuła się winna. Opowiedziała przyjaciółce całą historię, ale przecież nie wspomniała o najważniejszym. Urszula i tak się zorientuje, że nie usłyszała nic, co mogłoby aż tak wyprowadzać z równowagi. Rzeczywiście z wywróženymi pistoletami i morderstwem mamy ponury zbieg okoliczności. Ale może nie bardzo dziwny, zważywszy rosnącą modę na starocie i fascynację bronią. Podobno nieszkodliwą.

Zacząła szybkim krokiem chodzić po pokoju. Nie, nie może dłużej tego ukrywać. Jeszcze dzisiaj zda Uli sprawę z tego, co się wydarzyło jesienią. Może nawet powiedzieć to innym ludziom, żeby mieli świadomość. Najwyżej wezmą ją za chorą psychicznie, ale fakty są faktami.

Dzwonek do drzwi. Długi, alarmujący. Trochę zaniepokojona spojrzała przez wizjer. Nikogo. Właściwie powinna się przestraszyć, ale o tym zapomniała, otwierając nieznanemu, a w zasadzie niematerialnemu.

Na pierwszy rzut oka nikogo nie ma.

Wyrzwała w stronę schodów. No, tak. Ze też nie pomyślała od razu.

- Sebastian! - krzyknęła. - Czy ty normalny jesteś? Bez odpowiedzi, tylko mglisty uśmiech.

- Zresztą, o co ja pytam! Wchodź. Sama sobie dawno odpowiedziałam. - Ruchem pełnym bezradności odgarnęła grzywkę, wichrząc włosy. - Mów, co chciałeś.

Uważnie się przyjrzał jej swoimi błyszczącymi, szarymi oczami.

- Przecież to ty coś chciałaś - zauważył uprzejmie. - Wyszłaś i zaczęłaś rozmowę.

Opadły jej ręce.

- Ja? Oparłeś się o mój dzwonek i dziwisz się, że wyszłam?

- Naprawdę? - Zamrugął i zmarszczył brwi, jakby walczył z oporną świadomością. - Skoro tak mówisz. - Uznał

temat za zakończony i zajął się irytująco skrupulatną obserwacją rozmówczyni.

Była przekonana, że zarejestrował *każdy* dostępny szczegół jej osoby.

- Wszystko się zgadza? - spytała zjadliwie. - Liczysz na mnie bajty czy piksele?

Chyba niezupełnie do niego dotarło. Przeszła do konkretów.

- Pamiętasz, co ci powiedziała Urszula? O osiemnastej pod czwórka. Przypomnimy ci. A w ogóle, Sebastian - Daria uznała, że musi się upewnić - czy ty ogarniasz, co się stało?

Niespodziewanie ożywił się.

- Jasne. Tylko się zdziwiłem, że to jakiś' inny człowiek.

- Jaki inny? - prawie krzyknęła.

- Inny niż ta ładna żona doktora z dołu.

Darii na chwilę odebrało mowę. Szkoda, że nie ma przeszkolenia do nauczania początkowego albo w szkole specjalnej. Trzy razy wykonała głęboki wdech.

- Powiedz od początku. Wszystko dokładnie, co sobie myślałeś na ten temat i dlaczego.

Chyba dało jej się wzbudzić w Sebastianie poczucie odpowiedzialności, bo zaczął sprawiać wrażenie dość przytomnego.

- Jakiś czas temu, kiedy jadłem placki u tej pani w sklepie, przyszła żona doktora, który mieszka dokładnie pode mną. Ma na imię Beata.

- Bożena.

- Bożena. Coś kupowała, rozmawiały o swoich sprawach i w końcu tak dziwnie przerwała, że zwróciłem uwagę. Wyglądała na zdenerwowaną czy przestraszoną. Zrobiło się jakoś inaczej. Nawet przestałem jeść placki. Usłyszałem, jak pani Bożena mówi o sobie. Przecież nie mogłem zatkać uszu?

- Nie wypadaloby.

- No więc chodziło jej jakby o poczucie zagrożenia.

- Jakby czy naprawdę? - nie wytrzymała Daria.

- Według mnie, naprawdę, bo powiedziała zdanie w rodzaju: Nie mogłam się tego dowiedzieć przez osiem lat małżeństwa, ale na pewno lepiej by dla mnie było". - Zsunął okulary i potarł czoło. - Pani za ladą próbowała ją uspokoić: „Na pewno wszystko będzie dobrze”, a ona dodała, że źle jej się żyje w charakterze kogoś, kto wie, przecież nie powie, ale tego do końca nie wiadomo. Że raz miała jakieś odczucie i dalej nie usłyszałem, bo wyglądało, jakby się miała rozplakać. Wtedy ktoś wszedł do sklepu. Rozmowa się skończyła, nic więcej nie wiem.

- Przedziwne - westchnęła Daria. - W gruncie rzeczy takie coś należałoby powiedzieć policji, to znaczy pani Iza powinna. - Sebastian zdecydowanie przytaknął. - Z drugiej strony, jakaś sprawa mogła być chwilowo wyolbrzymiona, na przykład po kłótni, i pani Bożena już sama nie pamięta, o co chodziło.

- Masz rację. - Sebastianowi wyraźnie spodobało się ostatnie zdanie. - Zawsze mi mówiono, żeby nie wtrącać się w sprawy małżeństwa. Żadnego.

- Nawet jeśli ktoś o to prosi. Teraz dobrze się zastanów i powiedz, wychodziłeś czy wchodziłeś?

Z wielką uwagą przyjrzał się zawartości swojej torby.

- Wchodziłem - zdecydował.

Wypuszczając go na klatkę, uważała, żeby nie zadzwonił z kolei do pani Bronowskiej. Niepotrzebnie jednak, ponieważ ta właśnie skądś wracała.

Na dworze musiało znowu padać, bo na jej miodowo-złotych włosach miękko sięgających do kołnierza widniały duże, srebrne krople.

- Pani Dario. - Zaczęła gwałtownie poszukiwać kluczy w wielkiej plecionej torbie wypełnionej książkami. - Nie zdążyłam pani zapytać, jaki jest naprawdę nasz nowy lokator. Słyszałam, że sławny i uroczy.

Daria zastanowiła się.

- Rzeczywiście, chyba uroczy. I mądrze robi, zbierając nas wszystkich razem. Ostatnio spotkaliśmy się, o ile pamiętam, podczas batalii o śmietnik.

- Która została wygrana - przypomniała pani Alicja, potrząsając cudem odnalezionymi kluczami. - Pomimo chorobliwie destrukcyjnej postawy jednej osoby. Socjopatycznej.

Nie musiała wymawiać nazwiska. Dziewczyna wiedziała, bo dyskusji prowadzonych przez sąsiadkę i inżyniera Niespała, na które trafiła zaraz po swoim przyjeździe, nie zapomni do końca życia.

- Czy może rozmawiała pani z Bożeną po tym, co się stało? - Posadziła Darię na czymś, co z pewnością pełniło rolę fotela, ale przypominało leżak. - Nie? No właśnie. Ja myślę, że sprawa jest bardzo skomplikowana i powinno się jej pomóc, tylko trzeba uważać, bo można zaszkodzić. Policja pytała ją, czy ma wrogów. Skąd takie rzeczy można wiedzieć! Nikt jej nie groził, w nic się nie zaplątała. Nawet nie bywała w „Eurydyce”. - Pani Alicja, mówiąc, spacerowała bosą po miękkim dywanie. - Ale gołym okiem widać, że jest zdenerwowana i trudno się dziwić. W dodatku przed konkretnym niebezpieczeństwem można się bronić, a trudno unikać czegoś, o czym nic nie wiadomo.

Podła Darii wysoką szklankę napełnioną musującym kwasem chlebowym z butelki ozdobionej stylizowanym napisem *wyłącznie ze składników naturalnych*.

- Ja myślę - ciągnęła - że główny ciężar spoczywa teraz na doktorze. Jako mąż powinien ją wspierać i ochraniać.

- Jest lekarzem - zauważyła Daria. - To chyba dobrze.

- Bardzo dobrze. Jednak nie wiem, czy nie lekarzem zbyt zajęтым własną karierą. Broń Boże, nie sugeruję, że zaniedbuje pacjentów, na pewno nie. Słyszałam natomiast, że angażuje się w działalność społeczną. Nie, nie charytatywną, raczej chodziło o coś związanego z Izbą Lekarską.

Wzrok jej *zatrzymał* się na chwilę na wskazówkach starego, szafkowego zegara. Szybkim ruchem wyciągnęła spod stolika parę zdobionych z hinduska drewniaków na szerokim koturnie i wsunęła w nie zgrabne, wygimnastykowane stopy. Z uśmiechem zadowolenia zaczęła spacer naokoło dywanu trochę tanecznym krokiem, głośno stukając ciężkim, chociaż bardzo zdrowym i estetycznym obuwiem. Nie zwracając uwagi na zaskoczenie gościa, kontynuowała rozpoczęty temat.

- Tak więc, pewnie nic dziwnego, że pani Bożenka szuka teraz wsparcia u matki, ale to niezbyt pomyślnie rokuje na przyszłość. Nawet najbliższą.

Daria zastanowiła się. Sąsiadka z pewnością ma dużo racji, ale może trochę przesadza.

- Mnie się wydaje - włączyła się - że po kobiecie zawsze widać, jeśli małżeństwo nie jest dobre. Przynajmniej tak bywało z moimi koleżankami. Wszystkie kłótnie, rozczarowania odbijały się na ich wyglądzie, zachowaniu. Od razu było wiadomo, że źle się dzieje. A pani Bożena, chyba nie można zaprzeczyć, jest osobą szczęśliwą.

Pani Alicja wykonała taneczny półobrót mocno zaakcentowany obcasem.

- Rzeczywiście, zgadzam się. Ale w czasie przeszłym. Dzisiaj to raczej kłębek nerwów i dlatego doskonale rozumiem matkę, że się nią zajmuje. Powinna jednak pamiętać, że dla małżeństwa właśnie trudne chwile są najważniejsze i pozwolić zięciowi być oparciem dla córki, a nawet mu w tym pomagać. - I kończąc energicznym przytupem, zadowolona opadła fotel. - Mogę się wypowiadać, bo osobiście jestem w innej sytuacji, moja córka siedzi w Niemczech razem z mężem. Nie mam dylematu, czy się wtrącać czy nie. Jestem najlepszą teściową.

Daria uznała panią Bronowską za autentycznie dobrą teściową, nie była jednak przekonana, czyjej i mamie Bożeny Korendy

chodzi o to samo. Z tego wszystkiego zdecydowała się jeszcze na jedno pytanie:

- Czy pani ćwiczy jakiś taniec, czy to taki trening ogólny? - zapytała, obawiając się, że popełnia nietakt.

Niesłusznie. Pani Alicja roześmiała się swoim lśniącym białością, perlistym śmiechem.

- Trening dla zdrowia oczywiście. Świetnie mi robi. Naprawdę doskonale.

Jan Reising uznał, że skoro jest niedaleko od przychodni doktora Korendy, grzechem by było do niej nie zajrzeć. Trudno powiedzieć, czego się spodziewał, ale na pewno nie drzewek iglastych i dobrze zakomponowanego ogródka skalnego wyraźnego nawet o tej porze roku.

Wejście sprawiało tak przytulne i zachęcające wrażenie, że z wrodzonej przekory zaczął na odmianę oczekiwać czegoś okropnego wewnątrz.

Pomylił się. Za półokrągłą ladą koloru kawy z mlekiem dyżurowała dwudziestokilkuletnia brunetka o urodzie, której nie potrzeba poprawiać makijażem, o czym, niestety, nie wiedziała. Ale i tak była rewelacyjna. Spod długich, zakręconych rzęs duże, ciemne oczy patrzyły z wystudiowaną słodyczą, zachęcającą przybysza do zostania pacjentem tej, a nie innej przychodni. Idealnie regularne rysy i nieskazitelny owal twarzy zdobił jednak podbródek, swoim kształtem świadczący raczej o zdecydowaniu niż anielskim charakterze.

Gdy Reising zapytał o doktora Korendę i dowiedział się, że wyszedł, ale zaprasza po dwudziestej, uważnie przeczytał plakietkę przy dekolcie błękitnego pielęgniarzkiego uniformu. Aldona Miecik. Ciekawe, jak by wyglądało, gdyby zamienić Miecik na Reising.

W miękkich fotelach, przeglądając leżące na stoliku gazety, czekały trzy osoby. Zmiennik szefa miał pełne ręce roboty. Przed drzwiami z napisem *Fizykoterapia też* ktoś siedział. Bardzo ładnie, że przychodnia spełnia oczekiwania.

Janek nie reflektował na wizytę u doktora Korendy i miał nadzieję, że jego zdrowie nigdy nie będzie w dostatecznie alarmującym stanie, więc zamierzał wyjść, gdy w recepcji zadzwonił telefon.

Aldona, nosząca jeszcze nazwisko Miecik, w sposób naprawdę budzący zaufanie zgłosiła się, przedstawiła i zapytała, w czym może pomóc. Rzeźbiarz odruchowo został, uważnie studiując jakąś reklamę. Miał rację, bo rozmowa najwyraźniej nie była służbowa.

Dziewczyna nie odzywała się, tylko z nieoczekiwanie ciepłym uśmiechem słuchała kogoś po drugiej stronie. Potakiwała tylko cały czas.

- Babciu - powiedziała w końcu - ja nie mogę tutaj rozmawiać. Zadzwoń do ciebie później.

Wprawdzie babcia Aldony z całą pewnością różniła się od tej, którą miał kiedyś w Starym Sączu, ale mimo to poczuł, że mają z fantastyczną brunetką coś wspólnego. Uznał to za niezły temat do rozmowy, los jednak zrzędził inaczej.

Z trzaskiem otwieranych drzwi do przychodni wkroczyła pulchna blondynka w okularach, wlokąc za sobą troje dzieci, z których przynajmniej dwoje nader wyraziście manifestowało niechęć do osobistych kontaktów ze służbą zdrowia.

Reising, nie bez dreszczyku lęku, szczęśliwie przeskakując przez fioletowo-żółtą, klekoczącą zabawkę na różowym sznurku, odłożył szukanie wspólnych tematów na jutro, oczywiście precyzyjnie w godzinach nieobecności doktora Korendy.

Po wyjściu od sąsiadki Daria miała nadzieję przez jakiś czas zostać sama. Czuła dziwne, może niepotrzebne zdenerwowanie. Dlaczego nagle czepiać się spraw małżeństwa Korendów? Jasne, morderstwo w Zrębiaku. Ale czy do nas należy analizowanie ich życia? Najchętniej w ogóle by o nich nie myślała. Jakby nie istnieli. Sama właściwie nie wie, dlaczego.

Siedząc przy stole w kuchni, oparła podbródek na splecionych dłoniach. Lubiła się w ten sposób zastanawiać.

Od początku, gdy przyjechała, niechętnie przypominała sobie o tym, że mieszkają pod szóstką. Owszem, lubiła patrzeć na Bożenę Korendę i gdy z nią rozmawiała, czuła się naprawdę dobrze.

Czy też dobrze rozmawiała jej się z doktorem? Trudno powiedzieć. Raczej nie, chociaż z pewnością inaczej. Na pewno pierwsze wrażenie było świetne. Gdy przyjechała i wchodziła, wlokąc dwie ciężkie torby, pojawił się, nie zauważyła skąd, i bez słowa przejął od niej uciążliwy bagaż. Dopiero przed jej drzwiami przedstawił się i przywitał. Uśmiechnął się przy tym dokładnie tyle, ile wypadało, i zszedł piętro niżej.

Chyba po prostu niechętnie przyjmuję do wiadomości, że tych dwoje ludzi może mieć normalne ludzkie problemy, nieuniknione jako małżeństwo.

A jeśli na przykład ich wcale nie mają? Przecież jeśli są pary stale kłócące się, to dla wyrównania mogą istnieć takie, które doskonale się dogadują i razem przewyciężają trudności.

Do tej pory Daria chętnie przyglądała się napotkanym związkom, żeby spokojnie stwierdzić, ile traci, będąc singlem. Jak na razie, bilans wychodził na zero. Spotkała wśród swojego pokolenia mniej więcej tyle samo małżeństw szanujących się i wspierających w trudnych chwilach, co zatruwających sobie życie kłótniami i złością.

Na pewno, nie ma się co oszukiwać, znaczenie miał fakt, że Oie wychowywała się w pełnej rodzinie. Ciotka zastępowała jej matkę, której nigdy nie знаła. Nie miała przykładu własnych rodziców, by nauczyć się, jak wygląda wspólne życie dwojga ludzi, którzy zdecydowali się być ze sobą. Ani złego, ani dobrego przykładu. Żadnego.

Dzięki temu, oczywiście, nie miała obciążeń zarówno pesymistycznych, jak i optymistycznych, ale i tak nie miało to znaczenia, ponieważ w jej życiu - zgodnie z zainspirowaną przez Mariannę tradycją rodzinną - na absolutnie żadne małżeństwo się nie zanosilo.

Nawet nie mogła sobie wyobrazić siebie w takiej roli. Dzielenia życia i codzienności z kimś innym, z mężczyzną. Coś takiego działo się piętro niżej, pod szóstką, nie rozumiała tego, więc może trochę się bała.

Symboliczne stukanie i wejście Urszuli przywołało ją do rzeczywistości.

- Świetnie wyglądasz - stwierdziła.

Rzeczywiście, szeroki pasek na biodrach kończący dzinsy, jak zwykle nie za ciasne i nie luźne, świetnie pasował do jasnozielonego sweterka. Śmieszne, czarno-beżowe koraliki znakomicie zwracały uwagę na kolor jej platynowych włosów.

- Słuchaj, nie uwierzysz. - Urszula wpadła do kuchni swoim szybkim, kocim krokiem. - Naprawdę nie podsłuchiwałam, ale normalnie samo wpadło w ucho. - Siadła naprzeciw Darii przy stole. - Wyszłam po ciebie, musiałam przejść przez pierwsze piętro, bo teleportować się jeszcze nie umiem, i zza drzwi Korendów dochodziła wyraźnie jakby awantura.

- Jakby czy prawdziwa? Dziewczyna uniosła szczupłe ramiona.

-- Wyglądała dość prawdziwie. Właściwie słyszałam tylko Bożenę, ale chyba wystarczy, bo takim głosem, jakby chciała płakać. Mówiła: „Tak, zgubiłam, przyznaję się”. A potem chyba: „Nie możesz mnie obwiniać. Nie mów o stracie zaufania”. Nie wiem,

czy było cokolwiek dalej, szybko się ulotniłam, bo wolałam być dalej, nawet przez drzwi. No i co ty na to? Daria patrzyła kompletnie zaskoczona.

- Powiem, że to brzmi dla mnie beznadziejnie. Co ona mogła zgubić? Dokumenty, pieniądze? I dlatego miał stracić do niej zaufanie? Nie rozumiem.

- Bo nie przeżyłaś rozpadu związku, kochanie. I nie życzę ci. Wtedy pretensje można mieć w zasadzie o wszystko, a już zgubienie czegokolwiek będzie normalną zbrodnią.

- Parasolki?

- O, zapewniam cię, że chusteczka wystarczy. Wtedy, gdy ludzie mają siebie dosyć.

- Ale u nich nie ma mowy o rozpadzie małżeństwa, przecież dobrze wiesz.

- W takim razie - Urszula wycelowała w nią palec wskazujący — ona musiała zgubić coś naprawdę ważnego.

Daria potrząsnęła głową.

- Nie wyobrażam sobie tego, co mówisz. Ale dziękuję Bogu, że jestem singlem. Mogę gubić, co chcę, a jeśli stracę jakąś cenną rzecz, nikt mi nie będzie na dokładkę urządzał awantury.

- Tu masz dużo racji. Już małżeństwo z kretynem potrafi być uciążliwe, a co dopiero, jeśli w grę wchodzi człowiek inteligentny i pewny siebie. - Otrząsnęła się. - Szczerze współczuję.

Kuchenny zegar wskazywał szóstą. Daria ociągając się, wstała z taboretu.

- Chyba na nas pora. Spodziewamy się czegoś ciekawego? Urszula uśmiechnęła się szeroko.

- Absolutnie nie - oświadczyła.

Meble służące do siedzenia zorganizował inżynier Niespał. W przeciwnym bowiem wypadku kolacja w mieszkaniu pod

czwórką odbywałyby się na stojąco. Teraz z uznaniem oglądał w kuchni efekt starań pani Izy Dolant.

- Trzeba przyznać, że zmobilizował ją pan. Podkarpackie menu. Barszcz z uszkami i pierogi ruskie. Coś wspaniałego.

Urszula zajęła się optymalnym rozłożeniem talerzy na przestrzeni, którą dysponowano. Daria pomagała Bronowskiej nie upuścić wielkiej, tajemniczej tacy.

- Ciasteczka z ziaren - oznajmiła pani ekolog, uśmiechając się.

- Nigdy w życiu nie widziałem podobnych smakołyków. - Gospodarz złożył pocałunek na jej dłoni.

- Pamięta pan? Mówiłem coś i już się sprawdza. - Piotr Niespał z rękami w kieszeniach przyglądał się scenie wejścia sąsiadki.

- Przewidział pan, że powie zdanie bez sensu? - Zatrzepotała rzęsami. — Do tego nie trzeba jasnowidza.

- Ściągnę Sebastiana - przypomniała sobie Daria. Reising wyszedł za nią na schody.

- Przepowiadał, że kobieta będzie chciała mnie otruć. Ale tak na oczach wszystkich? - Podrapał się w głowę. - O co tu chodzi?

Poczuła się, jakby rozmawiała z uczniem. Przecież mu już mówiła.

- Tylko o nienawiść. Chyba nikt tu nie wie, skąd się wzięła. Mogę powiedzieć Sebastianowi, żeby przyniósł flet?

Nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ naprzeciw otwarły się drzwi Korendów i rzeźbiarz stwierdził, iż opinie o atrakcyjności Bożeny nie zostały przesadzone. Skądinąd również ci, którzy ją znali, wysoko oceniliby jej wygląd. Świeżo ułożone włosy przypięła za uszami, co odsłoniło jej twarz i niedostrzegalnie podkreślone tuszem oczy. Na podkoszulek założyła świetnie pasującą do szarych džinsów krótką marynarkę. Całość rozświetlały cienkie perełki na skromnym dekolcie.

- Znamy się tylko ze słyszenia. - Spojrzała prosto w oczy Reisinga.

- Jest okazja, żeby to szybko nadrobić. Przeszła pod jego ramieniem trzymającym drzwi. Zamykający mieszkanie doktor odsunął się, żeby przepuścić

Darię.

- Pani wychodzi? - zdziwił się. W odróżnieniu od żony nie ubrał się wizytowo, a w ciemnym swetrze, spod którego wystawał biały obrąbek podkoszulka, przypominał wyglądem pastora. Może dlatego nagle pomyślała, że wolałaby mieć na sobie o kilka sztuk ubrania więcej.

- Idę po Sebastiana - wyjaśniła szybko. - Czy ma pan coś przeciwko temu, żeby nam zagrał?

Niespodziewanie w jasnych oczach Korendy błysnęła prawdziwa wesołość i Daria zdała sobie sprawę, że widziała to po raz pierwszy.

- Ja? - uśmiechnął się. - Jestem ostatnią osobą, którą się pyta, czy przeszkadza jej Sebastian. Codziennie staję się ofiarą jego braku muzykalności, ale i wytrwałości godnej podziwu. - Patrzył na nią, intensywnie, szukając zrozumienia. - W dodatku ofiarą całkiem bezbronną, bo tylko ewentualne morderstwo mogłoby tego człowieka uciszyć.

Daria zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy słyszy od niego tyle słów naraz. Ale okazuje się, że problem rzeczywiście istnieje i może warto by go rozwiązać.

- Czy próbował pan z nim rozmawiać? Negocjować na przykład godziny grania i godziny spokoju?

Pokiwał głową, jakby dyskutował problem na sympozjum.

- Owszem, usiłowałem wdrożyć tę metodę. Jednak potraktowano mnie tak przekonującym udawaniem idioty, że musiałem zrezygnować.

Mimo woli roześmiała się.

- Wyobrażam sobie. Ale może nie należało się poddawać. Czasem daje się z nim dogadać.

Uniósł ciemne, odpowiadające karnacji brwi.

- O, na pewno. Kiedy mu się akurat to podoba. Mnie raczej wolał spławić. Ale jeżeli pani ma na niego jakiś sposób, to chętnie się dowiem.

Daria już podjęła decyzję.

- Sposobu wypróbowanego, oprócz wytrwałości, nie mam, ale myślę, że mogłabym być mediatorem.

Lekarz zrobił gest jakby dotknął jej ramienia. Poczwała się dziwnie miło, chociaż na pewno nie była teraz pacjentką.

- Wierzę w pani talent pedagogiczny. I z góry dziękuję.

Nie musiała nic odpowiadać, a w dodatku nie miała wielkich szans z powodu nagłej atrakcji akustycznej w postaci dość udanej próby odtworzenia na flecie *Adagio g-moll* Albiniego.

Oczywiście, że Sebastian ma prawo być smutny, jak każdy człowiek. Nie powinien jednak aplikować im wszystkim takiej dawki żalości. Odwróciła się i eleganckim gestem zawijając spódnicę, pobiegła na górę.

Korenda przez chwilę nie wchodził do środka. Z rękami w kieszeniach stał nieruchomo zapatrzony w nieokreśloną dal. Drgnął na odgłos otwieranych drzwi i spokojnie obejrzał stojącego w nich gospodarza.

Jan Reising uśmiechnięty wyciągnął rękę.

- Miło mi pana poznać, doktorze. Już się obawiałem, że został pan wezwany do nagłego przypadku.

Maciej Korenda uściśnął jego dłoń w sposób zdecydowany i budzący zaufanie. Rzeźbiarz poczuł się jak ktoś, kto już na pewno powinien wybrać tę przychodnię i tego lekarza. Zwłaszcza pamiętając spojrzenie spod rzęs Aldony Miecik.

- Przypadek nie jest nagły i wymaga, niestety zupełnie innej specjalności niż moja.-Weszli do środka.

Tam pani Alicja samozwańczo, lecz sprawnie, pełniła obowiązki gospodyni. Urszula próbowała rozmawiać z Bożeną Korendą, która przy oknie udawała, że delektuje się barszczem,

w rzeczywistości jednak trzymała go na parapecie. Nie mógł również nikogo zwieść jej uśmiech, bez wątpienia wymuszony.

Piotr Niespał skubiąc krótką bródkę, uważnie przyglądał się wszystkim po kolei. Chrząknął znacząco, gdy Alicja Bronowska wzięła się do szczegółowego przepytывania doktora na temat organizacji pracy w przychodni. Gdy z uniesionymi brwiami odwróciła się w jego kierunku, wzruszył ramionami.

Zabębnił palcami i energicznie podniósł się z krzesła.

- Drodzy państwo - spojrział znad okularów - proszę łaskawie o chwilę uwagi. Chciałbym powiedzieć głośno to, co i tak dla wszystkich jest oczywiste. Widzimy się tutaj dzięki panu Reisingowi, ale doskonale wiemy, że nie jest to normalne spotkanie towarzyskie. Dramat, który spotkał państwa Korendów, moglibyśmy oczywiście uznać za ich prywatną sprawę i z amerykańskim uśmiechem zgodnie twierdzić, że idzie świetnie i w ogóle mamy same sukcesy. Ale chyba nie o to nam chodzi, pamiętając jeszcze o Damianie Rolewskim i jego nieszczęśliwych rodzicach.

- O tak - westchnęła głośno pani Alicja, wywołując zdumienie swoją zgodnością z sąsiadem.

- A ponieważ szczęśliwie jesteśmy razem - skłonił się w kierunku Darii, która właśnie wchodziła, prawie wlokąc za sobą Sebastiana - mam propozycję. Spokojnie, wspólnie przeanalizujemy sytuację. Na pewno każdy z nas ma coś do powiedzenia na ten temat i chyba nie zaszkodzi, jeśli się tym podzieli.

- Bardzo słusznie. - Urszula sięgnęła po pierogi. - Poza tym, nasz gospodarz może jeszcze się nie orientuje.

- Już trochę wiem - uśmiechnął się Janek. - Ale chętnie sobie utrwale, żeby mi się nie myliło.

Nastąpiła chwila wyczekującego milczenia.

- Niech pan zacznie, panie inżynierze - powiedziała cicho Bożena. - Pan jest taki poukładany.

Na te słowa pani Alicja zakrztusiła się barszczem, lecz nie przeszkodziła Piotrowi Niespałowi.

- Jak państwo słyszeli, wczoraj tuż po dwudziestej w miejscowości Zrębiak, czterdzieści kilometrów od Warszawy, w domku należącym do państwa Korendów został zastrzelony Hubert Nocoń, znany tłumacz z języka angielskiego. Użyto nietypowej broni, pistoletu z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku lub oczywiście jego repliki. Bardzo sprytnie, bo ich się nie rejestruje.

Doktor Korenda skinął głową.

- Zgadza się. Ja swoich, autentycznych nie zgłaszałem nigdzie. - Spojrzał uważnie na zebranych. - Może od razu powiem. Wyczyściłem obydwa w niedzielę po strzelaniu, co naturalnie - skrzywił się lekko - stawia mnie w kręgu podejrzanych.

- Nie, panie doktorze. - Inżynier prawie podskoczył. - Proszę nawet tak nie mówić. Ale jasne, że lepiej by się pan czuł z dwoma nieużywanymi, zakurzonymi pistoletami.

- Na pewno najlepiej, gdyby zamierzona obecność pana Huberta w Zrębiaku była faktem powszechnie i od dawna znanym. Proszę, niech pan mówi dalej.

- Właśnie. Najpierw było dla wszystkich oczywiste, że pan Nocoń padł ofiarą rabusia, który go zastał pod prysznicem. Bandyta strzelił przez foliową zasłonkę, potem dopiero ją odsunął, żeby zakręcić wodę.

- Jaki porządny - skrzywiła się Urszula. Pani Alicja odetchnęła ciężko.

- Jak zwierzę. Strzelił, nieważne do kogo. Bo mu było potrzeba.

- Najpewniej zakręcił kran, bo chciał mieć spokój przy wybieraniu co cenniejszych rzeczy. O ile wiem, zabrał zegarek, iPod, telefon, ale zostawił komputer. I to trochę dziwne.

Bożena Korenda w zamyśleniu skubała rękaw marynarki.

- Tak. W ogóle przeszukał wszystko, co się dało. Szafy, szuflady, rzeczy Huberta. Ale komputer zostawił, więc nie wiem, Po co przyszedł. Nigdy niczego ciekawego w Zrębiaku nie trzymaliśmy. No może z wyjątkiem - uśmiechnęła się - ulubionego

dzbanuszka Maćka, zresztą mojego autorstwa. Ale nawet go nie przewrócono. I całe szczęście, bo Maćkowi bardzo się podobał. - Przesłała mężowi uśmiech.

- Właśnie - wtrąciła Urszula. - Z tego, co się słyszy, jeśli ktoś obrabowuje taki letni domek, to przeważnie przychodzi z zamiarem wyniesienia, ile się da. A tutaj mamy grymasy.

- Ma pani rację, zostawiają czasem tylko gołe ściany- pokiwała głową Bronowska. - Ale słyszałam, że laptop był uszkodzony.

- Był. - Piotr Niespał doszedł znów do głosu. - Bo ktoś nim cisnął o podłogę.

- Z nerwów? - zainteresował się Reising. - Jak talerzem?

- Widzę, że pan ma konkretne doświadczenia - ucieszył się inżynier. - Ale pan Nocoń furiatem chyba nie był. - Bożena machnęła ręką. - Trudno też wnioskować, że włamywaczowi z jakichś powodów komputer się nie spodobał i w ten sposób na niego zareagował. Konkluzja nasuwa się sama. Nie był to napad rabunkowy, tylko ktoś chciał, żebyśmy tak myśleli.

Janek pokręcił głową.

- Czy może pan powtórzyć? Dlaczego nie rabunkowy? Niespał spojrzał na niego życzliwie znad okularów.

- Złodziej, gdyby zrezygnował z laptopa, toby po go prostu zostawił, nie rozważając, co o nim pomyśla. Ten nie chciał zabierać ze sobą laptopa, choćby ze względu na rozmiary, więc chcąc uchodzić za rabusia, upozorował nieszczęśliwy wypadek. Zniszczonego się nie kradnie, bo nikt go nie kupi.

- Rozumiem - bardzo ucieszył się rzeźbiarz.

- Według policji również wszystko na to wskazuje - dodał Korenda. - Z poprawką na słowo „włamywacz”. Ten ktoś po prostu wszedł.

- Podobno pan Nocoń mógł nie zamknąć drzwi, choć przyznaję, że trudno mi sobie to wyobrazić.

- O tej porze roku nosił rękawiczki, więc nie da się powiedzieć, czy dotykał zasuwki - dorzuciła lekko poirytowana

Bożena Korenda. - I jeśli już mówimy o Hubercie, to dodam, że nie miał żadnej rodziny, żył tylko pracą, właściwie uciekał w nią. Nawet u niego w domu, ani przy nim, nie znaleziono nic istotnie związanego z prywatnością. Dlatego wszystko jest takie trudne.

Korenda skrzywił się lekko.

- Jeśli nie liczyć twojej opaski na włosy i świstka z wystawy rysunków pacjentów szpitali psychiatrycznych.

- Maciek - wzniosła oczy w górę - ten świstek to cegiełka i pewnie ta, którą dostał ode mnie. Świetna wystawa, nazywa się „Spojrzenia”, chciałam, żeby ją kiedyś zobaczył.

- Może być naprawdę ciekawa - zainteresowała się Alicja Bronowska.
- Potem od pani wezmę adres.

- No, na pewno. - Inżynier Niespał rzucił w jej kierunku znaczące spojrzenie. - I teraz to, co dla nas wszystkich najważniejsze.

- Zrobił małą przerwę. - Otóż wczoraj w domku w Zrębiaku miała być pani Bożena i prawie wszyscy byli o tym przekonani. Powiem zdanie, które nie będzie dla nikogo zaskoczeniem. Hubert Nocoń zginął zamiast pani. Morderca dowiedział się o tym zaraz po dokonaniu czynu. Mamy wszelkie prawo się spodziewać, że będzie chciał naprawić swój błąd. Apeluję do obojga państwa

- podniósł lekko głos - proszę sprawy nie lekceważyć. Niech pani pod żadnym pozorem nie zostaje sama. Nawet tu, w tym domu. Każdy z nas zawsze będzie do pani dyspozycji. - Zanim skończył, odpowiedziały gorliwe potakiwania. - Poza tym, bardzo ważne. Państwo muszą rzetelnie zastanowić się, jakich mogą mieć wrogów. Przepraszam, to brzmi jak z filmu kryminalnego, ale policja musiała zadać pytanie: Kto posiada motyw do czyhania na pani życie? Czy pan, panie doktorze, ma wroga, który chciałby się na panu zemścić? Bo okrutniej już by nie mógł.

Bożena Korenda przymknęła oczy, być może łudząc się, że w ten sposób nie będzie słyszeć.

Jej mąż słuchał uważnie. Ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, z odwiniętymi rękawami ciemnego swetra, przypominał trochę kogoś, kto przyszedł prosto od pracy fizycznej i z dużym dystansem obserwuje sytuację.

- Ma pan oczywiście słuszność. Policja pytała nas o to. Niestety nikogo takiego nie możemy wskazać. Żeby nie pozostawiać państwu wątpliwości - chłodnym spojrzeniem powiódł po obecnych - przedstawiłem również swoje alibi. Mianowicie, po osiemnastej wyjechałem do Sienewic odwiedzić ojca, o co prosił mnie dwa dni wcześniej. Cały czas byłem u niego, czego niestety nikt inny nie może potwierdzić. Do domu wróciłem przed dwudziestą pierwszą. Jeśli chodzi o bezpieczeństwo Bożeny, cieszę się, że państwo skłonni są nam pomóc i z góry dziękuję. Na razie odwożę ją do jej mamy, która z pewnością stanie na wysokości zadania.

Wstał i otaczając ramieniem żonę, skierował się do drzwi.

- Jeśli państwo będą mieli ochotę jeszcze porozmawiać, rano jestem u siebie.

Tylko Alicja Bronowska westchnęła. Inżynier Niespał przecierał okulary. Urszula wyciągnęła się na krześle.

- To naprawdę dobre małżeństwo — stwierdziła. - Ale cała reszta źle wróży. Nawet nie wiemy, kto miał być ofiarą, więc trudno szukać motywu. Narzędzie zbrodni tak jakby nie istniało, bo z innej epoki i nikt go nie widział. Słyszałam, że śladów sprawcy też nie ma. Wprawdzie każdego stać na rękawiczki, ale żeby się pojawić niepostrzeżenie na takim pustkowiu, najprościej mieć skrzydła.

- Albo wziąć się znikąd - podsumowała pani Alicja.

Daria poczuła, że robi jej się zimno. Czyżby znowu miała zasłabnąć? Nie, musi nauczyć się odciąć od tamtej sprawy. To, co jej się zdarzyło, na pewno nie może mieć nic wspólnego ze Zrębiakiem.

Wzięła głęboki oddech.

- Sebastian, żyjesz? - Pociągnęła go za rękaw.
- Oczywiście, masz rację - stwierdził z przekonaniem.
- Wiem. Zagraj coś miłego. Zrozumiał i nie zastanawiał się długo.

Dźwięki *Marsza tureckiego*, w dodatku naprawdę dobrze wykonanego, błyskawicznie zmieniły atmosferę. Wszyscy, jak na komendę, wyprostowali się i nawet Piotr Niespał stracił marsowy wyraz twarzy.

Reising zdumiony poczuł, że sam mimo woli uśmiecha się. Nigdy nie był wrażliwy na jakąkolwiek muzykę, ale ta, okazuje się, działa całkiem inaczej. Może czas zrewidować stosunek do świata dźwięków.

I nagle szok.

Świetlista, ożywcza nitka melodii zniknęła. Słuchający zastygli porażeni hukami. Ciemne okno rozświetliło się błyskiem. W pierwszym momencie nikt się nie poruszył, ale i tak widać było płomienie.

- Pali się „Eurydyka”. - Niespał chwycił za telefon.
- Tam na pewno nikogo nie było - powiedziała z przekonaniem Urszula.
- Na pewno - uspokoiła Bronowska i sama zastygła z filiżanką w ręku.
- Boże, coś sobie przypomniałam!
- O tabletkach na głowę? - spytał szybko inżynier. Zignorowała go.
- To samo, to samo pan grał, gdy Damian wychodził do „Eurydyki” ostatni raz. Wiem na pewno, bo minęłam się z nim, kiedy wchodziłam na klatkę. Miałam ciężki dzień, ale zrobiło mi się przyjemnie, wchodziłam do domu, gdzie wita mnie Mozart i uśmiecha się młody człowiek, którego lubię. - Głos jej się załamał.
- Jednak tabletki byłyby w sam raz - mruknął sąsiad. Ula ze zdenerwowania zaczęła gryźć ekologiczne ciastko z ziaren.

- Może na razie więcej tego nie graj - zleciła Sebastianowi - a my i tak nie będziemy się tam pchać. Zresztą chyba już jadą.

Rzeczywiście, syrenę straży pożarnej było słychać coraz bliżej. Daria podeszła do okna. Miała pretensje do siebie, że paradoksalnie poczuła coś w rodzaju ulgi. Pożar, skądkolwiek się wziął, w żaden sposób nie wiązał się z jej historią i tym, co przeżyła.

Za nią stanął Reising.

- Czy ma pan już swoje wrażenia? - Nie powstrzymała się. Z westchnieniem pokiwał głową.

- Kiedyś bawiłem się w happening i nawet z powodzeniem, ale nigdy nie używałem ognia. Nie interesuje mnie.

- Bo pewnie pan jest spod tego żywiołu, mam na myśli znaki zodiaku - przyłączyła się pani Alicja.

- Zgadza się. Spod barana. - Objął obydwie kobiety. - Popatrzmy, zaraz wszystko będzie ugaszone i zostaną same zgliszcza. Szkoda, bo nie zdążyłem sobie dobrze obejrzeć tej „Eurydyki”.

- I nie zostanie już żaden ślad. - Nieoczekiwanie zbliżył się do nich Sebastian.

- Jaki ślad? - spytali prawie równocześnie. Młody człowiek wyglądał na spłoszonego.

- No, na przykład po Damianie. Tam było jakby jego ostatnie miejsce pobytu. - Czując na sobie zaskoczone spojrzenia, zmieszał się jeszcze bardziej. - Trochę się z nim zaprzyjaźniłem.

- I nic pan nie mówił! - Bronowska załamała rękę.

- Bo to nie była żadna bliska przyjaźń. Bardziej on miał do mnie pytania. - Niepewnie uśmiechnął się. - Na przykład, czy można popsuć czyjaś stronę internetową. Takie w sumie dziecinne pomysły. W ogóle interesowały go różne zabezpieczenia i jak sobie z nimi radzić. Chyba miał mnie za hackera. - Spojrzał bezbrinnie znad okularów.

- Możesz sobie przypomnieć, o jakie zabezpieczenia mu chodziło? - spytała łagodnie Daria.

- Konkretnie? Chodziło mu, zdaje się, o kartoteki pacjentów. Twierdził, że pyta z ciekawości. Innym razem zagadnął mnie, czyby można przykładowo przyjrzeć się takiemu ośrodkowi. Nazywał się - Sebastian zmarszczył brwi - jakby coś z promieniami. Tak. „Słoneczny Domek”.

- I co on chciał od tego „Domku”? - nie wytrzymała Bronowska.

- Obejrzelśmy jego stronę i powiedziałem Damianowi, że jeśli chodzi o jakiegokolwiek włamywanie, to na mnie niech nie liczy i sam trzyma się od tego z daleka.

- Myśli pan, że posłuchał? - zapytał Reising.

- Chyba posłuchał.

- A taką stronę internetową to można komuś zepsuć? Sebastian westchnął.

- Można. - Schował flet do futerału. - To ja już pójdę.

Po „Eurydyce” rzeczywiście zostały tylko zgliszcza. Szkoda. Reising właściwie zdążył się do niej przyzwyczaić. Z drugiej strony, może dobrze, że takie pechowe miejsce się zlikwidowało.

- Jak wyglądał Damian? - zapytał.

- Wiedziałem, że pan spyta - Nie spał odpiął zamek płaskiej torby na ramię - i przyniosłem zdjęcie z plakatu.

Rzeźbiarz pokiwał głową.

- Miły. Żałuję, że go nie spotkałem.

Daria oparta o smętną, dawno nielakierowaną framugę odwróciła wzrok od ciemności za oknem.

- Ja żałuję, że go w ogóle nie znałam. Nie zdążyłam się niczego o nim dowiedzieć.

- Pani mogłaby wiedzieć więcej niż inni. Ludzie często się pani zwierniają?

- Wystarczająco... - Nie skończyła, ponieważ inżynier Nie-spał miał dla nich coś jeszcze.

- Pani Bożena kiedyś ilustrowała taki zbiorek wierszy. -" Wyciągnął książkę dość dużego formatu i w twardej oprawie.

- Bardziej dla szkoły podstawowej. Tu, na dwudziestej stronie, dała grzecznego młodego człowieka przy fortepianie. Elegancki, w żabocie i właśnie jako modela wzięła Damiana. Nie identyczny, bo dołożyła mu ciemne loczki i wąsik, ale miał być panicz z dziewiętnastego stulecia.

Ostatnich słów Daria nie słyszała. Gdy nie przeczuwając niczego, spojrzała na kolorową, bardzo tradycyjną ilustrację, ogarnął ją nagły, silny lęk. Poczwała, że się dusi i straciła świadomość.

Następne, co zobaczyła, to wpatrzone w nią duże, przestraszone oczy Uli, i zorientowała się, że leży na swoim tapczanie, a obok siedzi Reising z wyrazem twarzy sugerującym, że myśli.

- Powinnam była zawlec cię do lekarza - denerwowała się przyjaciółka. - Ze też ten Korenda nigdy nie jest we właściwym czasie na właściwym miejscu.

- Bardzo dobrze. Nie potrzebuję go. Rzeźbiarz rozłożył ręce, nie rozumiejąc.

- Dlaczego? Podobno bardzo dobry lekarz i pod ręką. Poczwała irytację, która pomogła jej przyjść do siebie.

- Wiem bez niego, co mi jest. Nie - dodała dobitnie. - Wprawdzie ostatnio przytyłam, ale nie jestem w ciąży. W porządku?

Janowi Reisingowi na moment odebrało mowę, zaraz jednak odważył się zaprotestować.

- Mój Boże, czy wy, dziewczyny, myślicie tylko o jednym? Przepraszam. - Cofnął się przezornie razem z krzesłem, widząc reakcję Urszuli. - Nie jestem seksistowską świnią. Miałem na myśli stałe liczenie kilogramów. - Ponieważ odległość od wuefistki ciągle nie gwarantowała bezpieczeństwa, a wyraz jej twarzy nie wróżył nic dobrego, zdecydował się na dyplomację. - Oczywiście, dbanie o figurę może być niezwykle zdrowe. A w ogóle, jestem

Janek i bardzo chciałbym, żebyśmy sobie mówili po imieniu. Jeśli to, rzecz jasna, możliwe.

Zmarszczyła gęste brwi, zastanawiając się.

- Daria, co ty na to? Może tak być?

Daria niezbyt zainteresowana tematem, jeszcze niepokojąco blada, myślała raczej o swoich sprawach.

- Wszystko jedno, jak będziemy mówić do siebie. Słuchajcie! - Usiadła i zdecydowanym ruchem odgarnęła włosy. - To było nerwowe. I wiem na pewno, że nie dam sobie rady, jeśli wszystkiego nie powiem.

- Jak to? - Podskoczyła Urszula. - Nie powiedziałaś wszystkiego?

- Nie. Powiedziałam o Mariannie, ale jest drobnutki ciąg dalszy.

- Ja zwariuję. - Przyjaciółka potrząsała bezradnie krótką jasną czupryną. - Myślałam, że wszystko jest wyjaśnione, a tu, zdaje się, jakieś najgorsze zostało. Dlaczego?

- Bo to nie jest proste, tylko bardzo trudne. Ale już się zdecydowałam. Tylko potrzebuję chwili spokoju. Idźcie do kuchni i zróbcie kawę. Urszula - wzięła głęboki oddech - opowiedz mu szybko o Mariannie. Całą sprawę.

- Naprawdę? - ucieszył się rzeźbiarz. - Dowiem się, kto to jest?

- To mój kochany aniołek i słodka idiotka. Ale nie ciesz się, bo nie ma na co. - W drzwiach kuchni przywoływała go gestem rodem z sali gimnastycznej. - Daria, jesteś pewna?

- Najzupełniej. Idźcie już.

Podjęcie decyzji dobrze jej zrobiło. Energicznie wstała. Najpierw zaczęła chodzić po pokoju, za chwilę podeszła do małej komódki, wyciągnęła szufladkę, a z niej pudełko. Wyjęła medalik. Srebrne serduszko ozdobione ornamentem roślinnym. Łańcuszek był przerwany, więc położyła go tylko naokoło szyi.

Poprawiła włosy i usiadła w fotelu.

- Wyglądasz jak z portretu - stwierdził Janek, wchodząc z kawą. - To ten medalik? Poczekaj, zaraz ci go naprawię.

- Tak, ten należał do Zofii - uściśliła. - Ale dziękuję, niech taki zostanie. Nie będę go nosić, jest trochę zbyt pretensjonalny. A na rewersie macie datę.

- Niesamowite - stwierdziła Ula. - Zgadza się. Piętnasty maja tysiąc osiemset czterdzieści dziewięć.

- Imieniny Zośki - zauważył rzeźbiarz. - Robione na zamówienie, niepowtarzalne?

- Dokładnie. Przysięgły, że będą strzec ich do końca życia. Zofia mimo wszystko dotrzymała słowa. O Mariannie nie wiem, to znaczy, tak mi się wydaje. Też ją polubiłeś?

- O, tak. Jak nie lubić chodzącej słodczy! Natomiast osobiście wolałbym trzymać się z daleka od obu dam i muszę szczerze przyznać, że moje doświadczenia z czterema małżeństwami nie były znowu takie pechowe na tle tego, co może zdarzyć się innym.

- Cztery? - Urszula spojrzała z dużą dezaprobatą. - To chyba nie może być normalne. Potem nam wyjaśnisz. Teraz mówi Daria.

Daria skinęła głową. Wyprostowana, z filiżanką kawy w delikatnej dłoni, przyciągała wzrok pewną ponadczasową subtelnością.

- W listopadzie pewnego dnia pojechałam do Leska - mówiła spokojnym, równym głosem. - Miałam parę krótkich spraw do załatwienia, a potem przeszłam się przez dom towarowy, odwiedziłam małą księgarnię, do której zwykle wstępowałam. Tam zaprzyjaźniona sprzedawczyni pokazała mi nieduży album. Właściwie szkolny, ale bardzo starannie wykonany. Były w nim głównie stroje, ozdoby i broń z różnych epok. Kupiłam go i wyszłam na zewnątrz. Nie chciało mi się jeszcze wracać, przeszłam się po skwerze, miałam ochotę zajrzeć do albumu, pamiętam, że wyciągnęłam go z torby i myślałam, że przypadkowo otworzyłam na stronie z dziewiętnastowieczną bronią. Była ciekawa, patrzyłam na pistolety i więcej nie pamiętam. - Spojrzała im głęboko

w oczy. - Nie pamiętam, nie wiem, co dalej się ze mną działo.

Kompletna pustka, czarna dziura. Następne, co zobaczyłam, to światła samochodu, i usłyszałam pisk hamowania. Wchodziłam komuś pod koła mniej więcej w tym samym miejscu. Z tą różnicą, że było już prawie ciemno. Musiało upłynąć dobrze ponad godzinę.

- Nie najlepiej - pokręcił głową Reising. - Czegoś takiego nie można lekceważyć. Zaobserwowałaś cokolwiek wskazującego na to, co mogło się z tobą dziać?

Uśmiechnęła się blado.

- Nazwijmy to wskazówką. Czułam ogromne zmęczenie i wiedziałam, że coś przeżyłam, coś ważnego, ale nie mogę do tego sięgnąć pamięcią. Świadomość czyjejs bliskości, raczej psychicznej, ale najważniejsze... - Wstała i z najniższej szufladki wyjęła niepozorne tekturowe pudełko, otwarte położyła na stole. - To miałam w kieszeni - dodała z westchnieniem ulgi.

Oboje wbili wzrok w błyszczący srebrem medalik. Urszula odruchowo wyciągnęła rękę, ale cofnęła ją przestraszona.

- Matko Boska! - jęknęła. - Taki sam.

Reising potarł czoło. Jeśli dobrze rozumiał, wchodzi w obszary, w których nie można czuć się dobrze. Przynajmniej, jeśli się jest choć trochę normalnym.

- To Marianny? - spytał cicho. Skinęła głową.

Urszula jeszcze przed chwilą pełna energii, teraz nieruchoma 'w fotelu wyglądała, jakby straciła wszystkie siły życiowe.

- Czy chcesz powiedzieć - przymknęła oczy, nie chcąc chyba widzieć pudełka, a konkretnie jego zawartości - że na jakiś czas przeniosłaś się w przeszłość?

- Masz inne wytłumaczenie?

- Nie, ale przecież nie chcę zwariować. - Nikt nie chce - zauważył Janek.

- Dobrze, uporządkujmy wszystko.- Urszula zaczęła mówić cicho, ale wyraźnie. - Przeglądając książkę, odbyłaś podróż w czasie. Gdzie jest ta książka?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Kiedy się to skończyło, już jej nie miałam.

- Nie wróciła - wyjaśnił Reising. - Została.

- Genialne. I tam, gdzie byłaś, dostałaś medalik. Tylko ciekawe, od kogo, chyba od kochanej Marianny. Bo Zofia swój przekazała ci całkiem zwyczajnie, uwzględniając kolejne pokolenia, i masz go od dawna.

- Przecież nie wiem. - Daria nie reagowała na ironię. - Może jej go odebrałam albo ukradłam.

- A może Marianna dała go Ludwikowi - rozmarzył się rzeźbiarz - a Ludwik tobie. Przecież byłaś tam z kimś blisko, a teraz zemdlałaś na widok ilustracji z przystojnym, grzecznym młodzieńcem z tej epoki.

- Nie takie blisko, jak myślisz - wtrąciła spokojnie.

- Wszystko jedno. - Machnął ręką. - Grunt, że całość się zgadza.

- Co się zgadza? - Urszula była bliska hysterii. - Nawet w filmach SF bardziej się trzeba pofatygować, wsiąść do wehikułu czasu albo cokolwiek podobnego. Zresztą wszystko jedno. Podróże w czasie nie istnieją! - krzyknęła.

- Też prawda - zgodził się Reising. - Nie istnieją.

- Czy sugerujecie, że sobie wszystko wymyśliłam? - spytała rzeczowo Daria.

- Nie - odpowiedzieli równocześnie.

- Wobec tego, wyjaśnicie mi, co się stało.

- Nie - odparli szybko w taki sam sposób.

- Właśnie. - Uśmiechnęła się. - Mam nadzieję, że nie potrzebuję was prosić o dyskrecję. - Spojrzała na rzeźbiarza.

- Powinienem się obrazić, ale mnie nie znasz, więc po prostu daję ci słowo.

- Na pewno nie będzie ryzykował, że go wezmą za wariata - skomentowała niewesoło Ula. - Czujesz się lepiej? To może się teraz położyć, jutro będzie dobrze. Problem już nie jest tylko twój, masz go z głowy.

- To niezły pomysł. - Daria poczuła senność.

- W razie czegokolwiek, daj znać- przypomniała przyjaciółka. Na schodach Reising spojrział pytająco.

- Jakiego czegokolwiek? Co miałaś na myśli? Potrząsnęła głową.

- Właściwie nic. Ale dziwnie się czuję.

- Jasne. Mogę cię pocieszyć co do jednego. - Mimo woli westchnął. - Przenoszenie się w czasie jest bajką dla grzecznych dzieci.

- Naprawdę? - Zbiegała już piętro niżej. - Wiesz, to wspaniała wiadomość. Do jutra!

SD

pamiętał, kiedy zasnął. W każdym razie dobrze, że to zrobił. Każda chwila rozmyślenia o sprawie byłaby błędem. Ale i tak na razie może odnotować same porażki. W sprawie Noconia nie doszła ani jedna nowa informacja. Stale to samo jednakowe nic. Zero śladów, tyle samo motywów, nawet ofiara, logicznie rzecz biorąc, niepewna, bo może miała nią być Bożena Korenda.

Zegarek wskazywał trzecią rano.

Charakterystyczne, że jedyny ślad, nie wiadomo zresztą czego, to kwitek z wariackiej wystawy. Najwyraźniej zaburzenia psychiczne to fakt, o którego istnieniu nie można ani na chwilę zapominać przy Skrętnej piętnaście.

No właśnie. Ciekawe, jak dalece są zaraźliwe. Wnioskując, że chyba bardzo, wziął do ręki telefon. Nie będzie się dłużej męczył.

W Kalifornii teraz zbliża się wieczór, a o tej porze nawet profesor fizyki nie ma wykładu.

Najwyżej go zwymyśla, nie pierwszy raz. Tak piękna kobieta mogła nie liczyć się ze słowami i wiedział o tym. Gorzej, bo zważywszy, z czym dzwoni, nawet dowolnie obraźliwa reakcja będzie absolutnie na miejscu.

Koniec zastanawiania się. Wcisnął numer zatytułowany imieniem *Marta* i już widział jej niezwykle, mieniające się zielenią oczy.

- Cześć, Janku. Jak dobrze cię znów słyszeć. Ciągłe się mijamy. Jesteś w Warszawie?

- Tak. Marto. - Mógł się jeszcze wycofać, ale zebrał resztki odwagi. - Dzwonię do ciebie w związku z twoim zawodem. Czy wy, fizycy, oczywiście całkiem teoretycznie, na przykład w tych swoich równaniach, uwzględniacie możliwość ewentualnego, naprawdę w sensie abstrakcyjnym... - zabrakło mu siły.

- Zamordowania przez telefon dziwnego rozmówcy? Oczywiście.

- Dobrze, powiem. Chodzi mi o możliwość przemieszczania się w czasie.

- O dużo?

- Jakieś sto kilkadziesiąt lat.

- W którą stronę?

- Tam i z powrotem, w obie.

W słuchawce nastąpiła chwila ciszy. Potem usłyszał głos Marty, zaskakująco łagodny:

- Janek, przecież ty nigdy nie potrzebowałeś się niczym wspomagać. I dalej nie potrzebujesz. Jesteś świetnym artystą bez prochów i bez alkoholu. Pamiętaj, że zawsze tak było.

Owszem, do tej pory, ale ona go chyba doprowadzi do złamania tej zasady.

- Odpowiedz. Poważnie, jako autorytet. Westchnienie.

- Nie ma podróży w czasie. W żadną stronę. Ani o minutę, ani o sto lat. Proszę cię bardzo, porozmawiaj z kimś, do kogo masz zaufanie. Ja wracam za miesiąc, Wojtek trochę wcześniej.

- Nie jestem pijany.

- Posłuchaj mnie, nie możesz być sam. Na pewno jest ktoś, do kogo masz zaufanie. Pamiętaj, że wszystko jeszcze będzie jak dawniej.

- Marta, ze mną wszystko w porządku. Ale jestem w otoczeniu, które powoduje takie pytania.

- Wobec tego natychmiast zmień otoczenie. Uciekaj stamtąd jak najszybciej.

- Zaczynam mieć na to ochotę. W każdym razie, dziękuję ci. Za miesiąc opowiem wszystko.

Gdy ciągle zaniepokojona Marta pożegnała się, odłożył telefon i popatrzył w czerń okna. W świetle dużej latarni resztki „Eurydyki” wyglądały jak dekoracja teatralna. Przynajmniej normalny pożar. Zresztą ciekawe, jak bardzo normalny.

Na razie za jedyny sukces może uznać fakt, że Marta ma go za alkoholika i ćpuna jednocześnie. Pięknie. Gratulacje.

Zirytowany zaczął chodzić naokoło pustego pokoju. Czas skończyć z tą becznością umysłową. Oczywiście, nic nie wiadomo, nie ma żadnych śladów, żadnych wskazówek. A jednak coś musiało być. Niemożliwe, żeby przez cały czas nikt niczego nie powiedział, nie stało się nic ważnego.

Po dość długim, jak na tę porę, spacerze położył się na łóżku. Już skoncentrowany zaczął, dziękując Bogu za swoją pamięć, głównie zresztą wzrokową, odtwarzać wszystkie rozmowy. Jak na filmie obejrzał jeszcze raz każdą scenę, której był świadkiem i reakcje ludzi na to, co się dokoła nich działo.

- No, nie - powiedział do siebie, choć nie miał tego zwyczaju - na pewno nie jestem wariatem, ale zwykłym baranem. - I wkrótce po tym zasnął.

-I nie ma „Eurydyki"! Nie ma. - Pani Iza Dolant drżącą ręką nalewała kawę, na którą został również zaproszony Piotr Niespał wracający z porannego biegania. - Kiedy teraz rano zobaczyłam te czarne, sterczące zgliszcza, mówię panu, prawie się przewróciłam. Serio.

- Najzupełniej pani wierzę.

- Zrobiły mi się miękkie nogi i byłabym upadła, gdyby nie ten chłopak, pamięta pan, który u nich pracował.

Niespał machnął palcem jak wskaźnikiem przy mapie.

- Wiem. Typu Złota Rączka, z wyglądu obły, ogolona głowa. Jakoś się nawet nazywał, bo jak do pani przychodził, to był zaetykietowany.

- Słusznie pan to określił. Miał plakietkę. No, nie pamiętam. - Potrząsnęła gęstymi, czarnymi włosami. - Tylko on tu bywał z „Eurydyki”, nikt ważniejszy nie raczył. Zaraz, zaraz - zmarszczyła brwi - jakoś tak, może Karol?

- Kamil! - prawie wykrzyknął inżynier. - Oczywiście. I widzi pani, tylko on jest na wolności. - Z satysfakcją pociągnął łyk ciepłego, słodkiego płynu. - Wyborna kawa.

Pani Iza przesłała mu pierwszy tego dnia uśmiech.

- Dowiedział się o pożarze, bo, jak mówi, kumpel do niego zadzwonił. I rano przyjechał zobaczyć nieszczęście. Zachciało mu się pić, poczekał parę minut, aż przyjadę i otworzę.

- Straszna, kolejna straszna sprawa - rozważał Niespał. - Ciekawe, co stwierdzi policja. Jaki to w ogóle mogło mieć sens?

Izabela Dolant w zamyśleniu bawiła się łyżeczką.

- Wie pan, ja zaczynam sądzić, że wszystko w naszym życiu ma jakiś sens. Tylko nie zawsze o tym wiemy.

- Wszystko z sensem? - Inżynier niósł brwi. - Ma pani na myśli nieszczęścia, które się zdarzyły? Może dla kogoś, bo mu się

opłaciły w taki czy inny sposób. I chciałbym wiedzieć, kto to jest. Ale spalić teraz „Eurydykę”? - Pokręcił głową. Pani Iza patrzyła przed siebie.

- Pewnie jestem egoistką, ale być może ma sens dla mnie. Pomoże mi podjąć decyzję. Nie - spojrzała prosto w oczy Niespała - nie powiem panu, bo to wyłącznie sprawa mojego sumienia. Tak, problem, czy postąpić zgodnie z poczuciem obowiązku, czy myśleć o sobie.

Piotr Niespał wyprostował się.

- Droga pani, zasady, w jakich nas wszystkich wychowano, są bardzo ważne. Jednak proszę pamiętać, jest pani kobietą, nie ma pani obowiązku, by na przykład ryzykować w imię zbawienia świata. Proszę to zostawić silniejszym od siebie.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo wbiegło dwóch chłopców zainteresowanych chipsami. Jakby nic się nie stało, stanęła za ladą.

Daria obudziła się wypoczęta. Był to najlepszy poranek od wielu miesięcy, a miała wrażenie, że od niepamiętnych czasów. Pysznic działał dokładnie, jak powinien, i zaraz przypomniała sobie o kupionych jeszcze w październiku - w małym, likwidującym się sklepie — dzinsach z mnóstwem kieszeni. Wtedy wydawały jej się ciekawe i zabawne, ale nie zdecydowała się ich nosić od razu, a potem już nie miała ochoty. Całkiem niesłusznie leżały zapomniane na dnie szafy i być może już nie do włożenia.

Przygotowana na porażkę związaną z obwodem w biodrach, odważnie wciągnęła nogawki i ku swemu zdziwieniu bez problemu zapięła suwak. Kontrola przed lustrem wypadła nadspodziewanie dobrze. Leżały idealnie.

Uznając to za cud, szybko przypomniała sobie o czarnym sweterku z kilkoma delikatnymi białymi paskami, którego również dotąd nie nosiła, bo jakoś nigdy jej do niczego nie pasował.

Teraz pasował, a nawet więcej. Gdy tylko zobaczyła swoje odbicie, po raz pierwszy od dawna, najzwyczajniej w świecie spodobała się sobie. Nieduże, trójkątne wycięcie, a do tego czerń i biel, które znakomicie podkreślały jej karnację. Odgarnęła włosy do tyłu. Może dałoby się je spiąć.

Zastanawiała się przez chwilę i, patrząc w lustro, myślała o tym, jak bardzo w nowym uczesaniu przypomina Zofię. Po raz pierwszy od dawna myślała spokojnie. Rodzinne podobieństwo ma prawo być, ale nic więcej z niego nie wynika.

Dzwonek u drzwi nie wyrwał jej z pozytywnego nastroju, choć trochę zaskoczył. Zdziwiła się jeszcze bardziej, rozpoznając w wizjerze doktora Korendę i sama nie wiedząc dlaczego, poprawiła włosy. Odruchowo cofnęła się, gdy wszedł z większą niż zwykle energią. Wpadł chyba prosto spod prysznic, bo jego krótkie, jasne włosy były wyraźnie wilgotne. Na nieskazitelnym jak zawsze białym podkoszulek miał narzuconą jakąś szarą, cienką bluzę, w sam raz do bardzo spranych, kiedyś niebieskich dżinsów. Daria na jego widok poczuła, zresztą niesłusznie, jakby była niestosownie ubrana.

Z trudnością wytrzymała ostre, kontrolujące spojrzenie.

- Co się dzieje? - rzucił szybko i nie otrzymując odpowiedzi, przesunął ją do światła, traktując w gruncie rzeczy jak przedmiot. - Jak się pani czuje? - spytał w taki sposób, że przez moment musiała zebrać myśli.

- Całkiem dobrze - odpowiedziała jednak bez zająknięcia.

- Doprawdy? - Przenikliwie spojrzał oczami tym jaśniejszymi, że na tle ciemnej karnacji. - Nie byłbym taki pewien, zwłaszcza że wczoraj pani poczuła się, delikatnie mówiąc, całkiem niedobrze. Z tego, co wiem, nie po raz pierwszy.

Poczuła wzbierające oburzenie. Jak on śmie włączyć w jej życie? Wzięła głęboki oddech i uniosła brwi, mając nadzieję, że wygląda dostatecznie po belfersku.

- Nie wydaje mi się, żebym była pana pacjentką, panie doktorze. - Po pierwszym zdaniu natychmiast uspokoiła się. - Na pewno też nie jest pan upoważniony do zbierania informacji na mój temat. Oczywiście, dziękuję bardzo za troskę, ale nie prosiłam o poradę.

Chciała się jeszcze uśmiechnąć, ale nie wyszło. Natomiast Korenda wbrew oczekiwaniom, nie pożegnał się trzaśnięciem drzwiami. Wprost przeciwnie, niezapraszany powędrował w głąb dużego pokoju.

- Czy ma pani jakieś świeże badania? - spytał konkretnie.

- Słucham? - Oczy Darii zwęziły się. - Świeże mogą być bułki i nimi mogłabym pana poczęstować, gdybym je oczywiście miała. - Czuła, że zaraz mimo woli zacznie się śmiać z sytuacji i z siebie. - Ale żyjemy w wolnym kraju i na pewno nie będę się na komendę legitymować żadnymi świstkami.

Oparty o ścianę obok okna spokojnie patrzył na jej oświetloną poranną szarością twarz w obramowaniu ciemnych włosów.

- Brak świeżego pieczywa akurat jeszcze nikomu nie zaszkodził - powiedział łagodnie, może, jak w gabinecie. - Jednak żaden ustrój nie zwalnia z dbania o swoje zdrowie. Świstka, rozumiem, pani mi nie pokaże nie ze względu na demokrację, lecz dlatego, że go pani nie ma.

Nie znalazła odpowiedzi. Oczywiście, że nie robiła żadnych badań, nie miała powodu. I chyba trzeba skończyć z tym przesłuchaniem.

- Proszę, może pan usiądzie, zrobię kawy.

Nie zareagował. Tylko odszedł od ściany i zanim znowu zaczął się jej przyglądać, chyba rozejrzał się po pokoju.

Jasne, że w niczym nie przypomina jego mieszkania z antykami. Daria uświadomiła sobie, że zna je wyłącznie z opowiadań, ale i tak poczuła się nie najlepiej z powodu zaniedbania, a co gorsza - fatalnego stylu miejsca, które przecież dopiero od niedawna do niej należało.

Gdy skierowała się do kuchni, poszedł za nią.

- Dziękuję za kawę. Zaliczyłem ją przed wyjściem z domu.

- Znow znalazli się w kiszkatym przedpokoju, na szczęście pozbawionym już paradnej maty słomianej z lat sześćdziesiątych. Stał pewnie trochę bliżej, bo czuła delikatny zapach dezodorantu. Nie była ekspertem, ale przypuszczalnie najbardziej markowego z możliwych.

- Czy pani się odchudza? - zapytał kontrolnym tonem. Zaskoczona roześmiała się.

- Chyba widać, że nie. Ale rozumiem, że powinnam. Uśmiechnął się i w jego chłodnych zwykle oczach zabłysło nieoczekiwane coś trudnego do nazwania.

- Na pewno nie. - Sprawiał wrażenie całkiem inne niż zwykle. Kogoś ciepłego i przyjaznego. - I proszę przyjąć to jako wiążącą opinię. Czy pani przed przyjazdem do Warszawy chorowała?

- nie ustępował.

Pokręciła głową.

- Czy miała pani jakiegokolwiek dolegliwości, których nie uważała pani za chorobę?

- Absolutnie nie. - Zdała sobie sprawę, że musi to trochę wytłumaczyć. - To, co zdarzyło mi się ostatnio, było całkowicie emocjonalne i myślę, że się nie powtórzy.

- Emocjonalne? - Zmarszczył brwi. - Zwykle pani tak reaguje na stresy?

- Nie, oczywiście nie. - Czuła, jak się płacze, ale nie da z siebie nic wycisnąć. - Poradziłam sobie z przyczyną. Z pomocą przyjaciół - dodała szybko, świadoma banalności tekstu.

Korenda też chyba nie był zachwycony.

- Ma pani na myśli panią Urszulę i kogoś jeszcze?

- Urszulę i pana Reisinga, który mnie podobno dostarczył na górę.

- Zamiast do lekarza - stwierdził chłodno. - Doceniam działanie psychologiczne, zwłaszcza terapię przez sztukę, wolałbym

jednak, żeby pani pomyślała o bardziej tradycyjnych metodach, typu wizyta u lekarza pierwszego kontaktu. - Wzruszył ramionami- - Oczywiście, absolutnie nie narzucam się pani w tej roli.

Poczuła się głupio. Nie zamierzała mu sprawić przykrości, przecież chciał dobrze.

Był już przy drzwiach. Uchwyciła jego spojrzenie.

- Wiem, że to, co pan mi radzi, jest słuszne. I w razie potrzeby, zastosuję się.

Przez chwilę patrzył na nią, jakby myśląc nad tym, czy warto dalej rozmawiać.

- Proszę mi obiecać - powiedział, nie odrywając wzroku od jej ciemnych oczu - że gdy tylko poczuje się pani źle, powie mi pani o tym.

Umiała bardzo długo patrzeć bez mrugnięcia. Tak jak teraz.

- Obiecuję. - Skinęła głową. Prawie się uśmiechnęła.

- Wierzę pani. I proszę dbać o siebie.

Gdy została sama, od razu usiadła na niskim taborecie przy wieszaku na ubrania. Może już jej się robi słabo? To byłoby zabawne. Oparła głowę o chłodną ścianę. Nie sądziła, że krótka rozmowa potrafi być taka męcząca. Tylko skąd on właściwie wiedział? O, nie!

Zerwała się z nagłym przyływem energii i chwyciła komórkę. Wcisnęła guziczek w taki sposób, jakby chciała kogoś udusić.

- Urszulo Więcek! - powiedziała dobitnie do telefonu. - Jakim prawem niejaki Korenda dowiedział się czegokolwiek o moim zdrowiu? - Słysząc było odgłos jadącego tramwaju. - Nic nie usprawiedliwia sypania koleżanki.

- Daria, błagam - usłyszała prawie z płaczem - on mnie sterroryzował. Wychodziłam, dopadł mnie na klatce i zmusił do rozmowy. To było przesłuchanie.

- Torturował cię? - spytała zgryźliwie.

- Psychiczenie! Ten człowiek jest jakiś straszny. Wywarł na mnie presję, nie miałam wyjścia. Nie spał mu doniósł, że zemdlałaś, a on wziął mnie w obroty, żeby wyciągnąć szczegóły.

Daria westchnęła zrezygnowana.

- Sama jesteś szczegół. - Wyłączyła telefon.

Reising nie należał do fanów Internetu, ale już nie raz docenił jego przydatność, toteż nie zastanawiając się, przed śniadaniem włączył laptopa, tak że przelatykając pierwsze kęsy, mógł spokojnie wstukać do przeglądarki „Słoneczny Domek”.

Liczba odpowiedzi przerosła oczywiście jego oczekiwania. Wśród żłobków, domów wczasowych i nadmorskich barów wyróżnił się ośrodek dla niepełnosprawnych, oferujący rehabilitację i pełną opiekę medyczną. Adres brzmiał: Sieniewice, ulica Boczna 26.

- O, masz! - Mało brakowało, wylałby herbatę na klawiaturę. - Wszyscy do Sieniewic! Cóż się odbywa w tej dziurze?

Nie. Najpierw spokojnie skończy śniadanie, a potem pomyśli, czy go ktoś wpuszcza w maliny i jak bardzo. Oczywiście, Damianowi mogło chodzić o zupełnie inny „Słoneczny Domek”, niektóre z nich wyglądały całkiem ciekawie dla młodego człowieka. Niewykluczone jednak, że lada chwila pojawi się ktoś znajomy, gwałtownie interesujący się na przykład zabytkową wieżą kościółka w Sieniewicach albo dostawcami dla tamtejszego sklepu spożywczego. No i zawsze jest jeszcze szkoła.

Właśnie. Szkoła ma bardzo piękną stronę internetową z widoczką tradycyjnego budynku na tle starannie przystrzyżonych drzewek. Po budujących informacjach o pracy liceum można sobie obejrzeć listę pracujących nauczycieli. I w niej nie widać nikogo szczególnego. Natomiast wśród emerytowanych mamy pana profesora Władysława Korendę. Uczył języka polskiego,

zgadza się. Tylko, co on mógł mieć wspólnego ze „Słonecznym Domkiem”? Wszystko albo nic.

Janek odsunął się z krzesłem, nieprzychylnie patrząc na ekran.

Może chwilowo wystarczy nowoczesności, spróbujemy tradycyjnie pogadać. Na pewno nie zaszkodzi.

Dziękując budownictwu za cienkie mury i tandetne drzwi, usłyszał kroki kogoś schodzącego z góry, a potem otwieranie drzwi do mieszkania naprzeciw. Korenda. Gdzie łąził po klatce o tej porze i po co?

Nie ma wyjścia, trzeba zawrzeć sąsiedzką przyjaźń. Zadanie nie należy do łatwych, ale też nie niesie ze sobą większego ryzyka. Co najwyżej, wyrzucenie za drzwi. Z pewnością zdąży uciec, jeśli niezadowolony z wizyty doktor zechce wymierzyć w niego jednym ze swoich dziewiętnastowiecznych pistoletów.

Albo z dwóch, jeśli będzie naprawdę niezadowolony.

Rozważając takie możliwości, powlókł się do kuchni i za chwilę uzbrojony w menażkę, którą po trapersku zawsze miał ze sobą, stuknął do drzwi Macieja Korendy.

Otworzyły się prawie natychmiast i również od razu pożałował, że nie przychodzi z jakąś prawdziwą lub wymyśloną chorobą, ponieważ z twarzy doktora, a może i z całej sylwetki, wyczytać się dało jedno pytanie: Co panu dolega?

Nie, nie da się opętać tak jak inspektor Karol Stanisław. Przesłał gospodarzowi swój naturalny, rozbrajający uśmiech.

- Wykombinowałem, że sam w domu, nie ma sąsiad nic odpowiedniego na rano po dyżurze. Został jeszcze barszcz z uszkami, samo zdrowie, więc postanowiłem wprosić się z nim, jeśli można, na kawalerskie śniadanie. - Udawał, że nie widzi spojrzenia, od którego powinien zamienić się w sopel lodu. Chciał mówić dalej, choć nie wiedział co, ale z góry nagle popłynęły z fletu pierwsze dwa takty *Serenady* Schuberta. I na tym się skończyło, bo nagle artysta przerwał grę jak trafiony strzałą trębacz na

wieży kościoła Mariackiego. Dziwne, ale zamiast zrozumiałego zaskoczenia wywołało to u Korendy poprawę nastroju.

- Nic się nie stało - uspokoił gościa. - Pani Daria obiecała z nim negocjować pory grania i najwyraźniej właśnie przypomniał sobie o umowie. Dziękuję, że pan o mnie pomyślał. - Zaprosił go do urządzonej jak z katalogu kuchni. - Szczęśliwym przypadkiem mam świeże bułki.

Szybko i sprawnie wyjął talerze. Jego sposób poruszania się nieuchronnie kojarzył się Reisingowi z jakimś mniej czy bardziej oswojonym drapieżnikiem. Ciekawe zresztą, jak by został przyjęty, gdyby nie przygrywka Sebastiana. Co do tego, niestety, nie miał żadnych złudzeń. Ale póki jest dobrze, należy korzystać.

- Mam wielką prośbę. - Z zakłopotania usiłował zwichrzyć krótkie, kręcone włosy. - Zle się czuję w oficjalnych formach i jest mi dużo łatwiej mówić po imieniu. Czy może tak być? - Wyciągnął rękę. - Jestem Janek.

- Maciek. - Korenda uściśnął jego dłoń. Wydawało się, że całkiem szczerze.

Reising pomyślał, że może akurat ma przed sobą kogoś, kto chętnie by najzwyczajniej na świecie pogadał.

- Też promujesz zdrowe odżywianie? - zagadnął. - Uczysz pacjentów, co mają jeść?

- Nie do końca. - Lekko się skrzywił. - Przede wszystkim czepiam się cholesterolu i to wystarczy, żeby niektórym obrzydzić życie.

- O, to na pewno. - Rzeźbiarz przytaknął z przekonaniem. - Swoją drogą, dla mnie też najwyższy czas rozważyć temat, ale ciągle odkładam to na później.

Przez chwilę zapanowała znacząca cisza. Wiadomo była, że obaj myślą o tym samym. Przerwał ją gospodarz.

- Rewelacyjny smak barszczu. Widać, że zmobilizowałeś panią Izę. - Popatrzył prosto w oczy Reisinga jakby w rentgenowski

sposób. - Oczywiście, nie uciekniemy od sprawy. Hubert Nocoń nie pilnował cholesterolu, nie przestrzegał diety w żaden sposób. Ze swoją otyłością i wyraźnymi zaburzeniami krążenia był podręcznikowym kandydatem do zawału. Wiedział o tym, ale na wszelkie uwagi reagował humorem. - Wzruszył ramionami. - Nie ukrywam, że mnie wtedy irytował.

- Odwdzięczałeś mu się? - uśmiechnął się Janek.

- Czasem tak. W sumie wolałem go za często nie widywać i chyba ze wzajemnością.

- Jasne. Byłeś wyrzutem sumienia.

- Jeśli grubasy mają sumienie. Oczywiście - dodał, widząc zaskoczenie rozmówcy - przyczyny nadwagi bywają różne. Czasem całkowicie niezależne od pacjenta. Miałem na myśli grubasów, których tusza stanowi odzwierciedlenie stosunku do świata. Celem ich życia jest dogadzanie sobie.

- Egoizm?

- Może niezupełnie. Taki grubasek po uzyskaniu tego, na czym mu zależy, będzie uroczy dla ludzi, nawet altruistyczny. Ale nie jest w stanie zrezygnować ze swojej przyjemności i dlatego odchudzanie w ogóle w grę nie wchodzi.

- Rozumiem. - Reising błędnym wzrokiem po błyszczących metalowymi listwami szafkach kuchennych. - I tak myślę, że wobec tego Nocoń mógł zginąć, bo wszedł w drogę komuś, kto miał ochotę na to samo, co on.

Korenda wziął głęboki oddech.

- Szczerze mówiąc, chciałbym, żeby tak było. Niestety, zainteresowania materialne Huberta koncentrowały się głównie wokół jedzenia, a nie sądzę, żeby ostatnio odebrał komuś kurczaka z frytkami. I mam prawo obawiać się, że nie chodziło o niego.

- Jasne. - Janek pokiwał głową ze zrozumieniem. - Wyobrażam sobie, co czujesz. Też byłem żonaty.

- Tak? I co się stało? - spytał z troską lekarz. Rzeźbiarz podrapał się w głowę.

- W zasadzie stale to samo. Rozwód. Cztery razy - dodał skromnie. -
Wiem, że patrzysz na mnie jak na ciężki przypadek, ale naprawdę nie
jestem w żaden sposób okropny.

- Aha - stwierdził terapeutycznie Korenda.

- Zobacz - wyciągnął na marmurkowym blacie swoją opaloną dłoń,
rozkładając do liczenia długie, silne palce. - Nie palę, nie upijam się,
nie bywam agresywny ani nawet kłótniwy i jestem typowym
monogamistą.

- Czyli w ogóle ideał - zgodził się doktor.

- Jak najbardziej. Niestety, niezbyt doceniany. Mówią nawet, że
trudno ze mną wytrzymać.

- Wiesz, może to z powodu twojego braku wad. Podobno lepiej mieć
kilka.

Reising nie ukrywał zadowolenia.

- To się nazywa doktor. Jeszcze dzisiaj wybiorę sobie jakieś i
wszystko będzie OK.

- I pomyślisz o piątej rundzie? - zaniepokoił się lekarz.

- Na pewno. Ale nie będę się śpieszył. Chciałbym, żeby to był ostatni
raz - westchnął. - W sumie zazdroszczę ci, bo pewnie jesteście razem
ładnych parę lat.

- Osiem.

- Fantastyczne. - Pokiwał głową z uznaniem. - A wracając do sprawy,
na wypadek gdyby... - zająknął się - gdyby nie chodziło o Noconia,
masz pomysł, jak chronić żonę? Tak z ostrożności.

Korenda przez chwilę nie odpowiadał. Reising patrząc na niego,
przyznawał rację policjantkom. Właściwie nie wchodzi w grę, żeby
kobieta zdradzała, z nawet najpogodniejszym na świecie grubaskiem,
kogoś o tak filmowej urodzie. Sztywne, proste włosy zostały przycięte
przez fryzjera tak, że kształt głowy znakomicie harmonizował z
regularną, zdecydowaną linią profilu. Gładko wygolone skronie,
ciemna jak na blondyna karnacja, brwi i lekki zarost. Duże, jasne,
zimne, ale inteligentne oczy. Ciekawe, ile pacjentek zapisuje się do
niego ze względu na wygląd, a nie fachowość.

- Możliwości mam niewiele - odpowiedział powoli. - W sumie, gdy pracuję, Bożena najbezpieczniejsza jest u rodziców.

- To chyba całkiem dobre rozwiązanie - uznał rzeźbiarz. - Powiedz mi, czy jednak nie bierzecie pod uwagę normalnego napadu rabunkowego?

- Naprawdę chciałbym. Tylko, że nic specjalnego nie było i nie mogło być do wzięcia w takim domku. Akurat zdarzył się laptop, ale został.

- Podobno rozbity.

- Tak, całkiem teoretycznie, psychopata mógł liczyć na przykład na telewizor, nie znalazł go i ze złości potłukł komputer, bo mu się nie spodobał. Ale jakoś sobie tego nie wyobrażam.

- Broń też mógł mieć kradzioną - wtrącił Janek.

- Akurat podobno nikomu nie zginęła. Poza tym wydaje mi się, że złodziejaszek zwykle zostawia jakieś ślady przyjscia albo wyjścia, a tutaj mówią, że wziął się znikąd i donikąd wrócił.

- Razem z dziewiętnastowiecznym pistoletem. Korenda skinął głową.

- Wiem, jak to wygląda. Ale jesteśmy chyba dorośli i nie wierzymy w podróże w czasie.

- Oczywiście, że nie. Byłoby za banalne - dodał Reising, niespodziewanie czując dziwny dreszcz na wspomnienie tematu. Przez moment zaczęło mu się wydawać, że rozmówca wyglądem bardziej pasuje do romantycznego portretu niż współczesnego otoczenia. Dżentelmeni z zaprzeszłego stulecia postanowili wyrównać rachunki w domku na uboczu? Nie, tę wersję odrzucamy i obojętne, czy jest prawdziwa czy nie.

- Nie wiem, czy zabytkowej broni, albo jej repliki, użyto dla wygody, czy w jakimś innym celu - lekarz mówił powoli, z namysłem. - Nie mam pojęcia, czy ta zbrodnia ma jakikolwiek związek z nami. Natomiast ktoś, kto chciał upozorować napad rabunkowy, powinien zgarnąć laptop, a jeśli tego nie zrobił, to naprawdę nie mógł, więc zdewastował go ze złości albo próbował

pokazać, że jest uszkodzony i dlatego nie do wzięcia. Pozostaje jedno pytanie. - Patrzył zamyślony w okno. - Dlaczego nie mógł wziąć niezbyt dużego przedmiotu, jakim jest laptop? Torba wisiała obok, na oparciu drugiego krzesła. Wydaje mi się, że jeśli znajdziemy odpowiedź, dowiemy się, kto jest mordercą.

Rzeźbiarzowi udało się uśmiechnąć dokładnie tak mało inteligentnie, jak sobie zaplanował.

- Chyba akurat nie za bardzo chwytam. Nie ma sposobu dojść, dlaczego ktoś czegoś nie chciał, ale dlaczego wtedy mielibyśmy rozwiązanie problemu?

Korenda nie zdenerwował się i Janek uznał go za lekarza o dużej cierpliwości.

- Wtedy dowiemy się czegoś bardzo szczególnego o mordercy - wyjaśnił spokojnie - i będzie nam łatwiej go znaleźć.

- Byłoby świetnie - przytaknął entuzjastycznie. - Ale jak się tego właśnie dowiedzieć?

Doktor pokręcił głową naprawdę bezradnie.

- Nie mam zdolności do rozwiązywania zagadek kryminalnych. A bardzo by mi się teraz przydały. Chcę jednego. Zobaczyć Bożenę spokojną. Nieważne, jakim kosztem.

- Dasz radę - zapewnił go rzeźbiarz.

- A przy okazji chciałem cię zapytać o to wczorajsze omdlenie pani Kalińskiej.

- Darii? W końcu wyszło na to, że nerwy.

- Ma powody do stresu?

- Chyba już nie. Wczoraj długo rozmawialiśmy, wszystko będzie dobrze, mam nadzieję... - Przerwał, bo akurat zadzwonił telefon. Oczywiście Karol. - To tylko menedżer - poinformował, rzucając rozmówcy szybkie spojrzenie.

Może niepotrzebnie. Wzrok doktora Korendy skierowany ku niemu wyrażał pragnienie czegoś, co miało tylko jedną nazwę: mord ze szczególnym okrucieństwem.

Reising ciesząc się, że jednak żyje, udał kogoś', kto w ogóle niczego nie zauważa i aby zyskać na czasie, pobawił się trochę klawiszami.

- Daria dała klucze Noconiowi. Takie coś się pamięta - stwierdził odkrywco i pomyślał, że lekarz musiał wziąć kilka oddechów, bo wyglądał już całkiem w porządku.

Zadzwoiła z kolei jego komórka. Odebrał tonem automatu, wyraźnie myślami będąc zupełnie gdzie indziej.

Po krótkiej chwili jednak jego obojętność zmieniła się w coś przeciwnego.

- Dzwońcie do niej cały czas - mówił ze sztucznym spokojem, mocno akcentując sylaby. - Nie mogła tak po prostu zniknąć. Poproście koleżankę, niech przypomni sobie jeszcze jakiś kontakt.

Jego twarz już nie przypominała portretu poety, raczej oficera napoleońskiego. Brakowało bagnetu. Był skupiony, zacięty, mimo swojej karnacji, zdecydowanie pobladły.

- Tak, rozumiem doskonale. Nic więcej nie wie. Będziemy w kontakcie.

Złożył komórkę ruchem takim, jakby chciał ją zgnieść. Reising poczuł na sobie jego rentgenowskie spojrzenie.

- Aldona, moja sekretarka, nie przyszła do pracy. Telefon nie odpowiada. Nie wie nic koleżanka, z którą wynajmuje pokój, ani babcia mieszkająca gdzieś pod Warszawą. Koleżanka twierdzi, że Aldona wyszła z domu wieczorem, ściśle mówiąc, wymknęła się bez słowa, gdy tamta brała kąpiel. Więcej nikt jej nie widział.

Tak, Janek doskonale ją sobie wyobraził, jak zdecydowanym krokiem idzie do drzwi, myśląc wyłącznie o swoich planach. Tylko jakie one były?

- Co zamierzasz? - zapytał mało pomysłowo. Doktor nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Mogę tylko jedno. Zgłosić policji.

Daria stwierdziła autorytatywnie, że nie przewiduje w najbliższej przyszłości żadnych omdleń. Zero dolegliwości nerwicowych. Ten etap ma na razie za sobą. Również nie planuje rozmów na temat zdrowia z jakimkolwiek lekarzem, a zwłaszcza po sąsiedzku troskliwym.

Z przyjemnością zrobiła głęboki wdech, wychodząc na świeże, trochę wilgotne powietrze. Może już niedługo zobaczą wiosnę. Marzy o ciepłych, kojących promieniach słońca. I nie byłaby kobietą, gdyby zmiana nastroju nie znalazła choć symbolicznego odbicia w jej ubiorze. Gdy przed wyjściem brała do ręki stale ostatnio noszoną arafatkę, poczuła nagły impuls. Automatycznie odłożyła ozdobiony czarną kratką materiał i założyła na szyję wełnianą chustkę w przyjaznym kolorze lila z delikatną złotą nitką.

Nie pamięta swojego odbicia w lustrze, tylko uczucie ulgi, nawet dziwnego zawieszenia w rzeczywistości, jakby coś się zasadniczo zmieniło. Pewnie mają rację ci, którzy mówią o terapii kolorami.

- Dzień dobry, kochana. - Alicja Bronowska dość hałaśliwie zbiegła ze schodów i teraz w pośpiechu zawiązywała na szyi coś beżowo-zielonego. - Pani pewnie do pracy, a ja na rehabilitację i to właśnie do Wi-Medu, który zresztą bardzo sobie chwałę. Możemy być dumni z naszego sąsiada.

- A cóż to sobie szanowna pani rehabilituje? - Usłyszały tubalny głos. Piotr Niespał wynurzył się zza swojej skody. - O ile wiem, Korenda nie zatrudnia jeszcze lekarzy tej specjalności, która mogłaby się przydać.

- Skreśliłam sobie kostkę jesienią - wyjaśniła z godnością, zwracając się wyłącznie do rozmówczynie.

Inżynier przyjrzał się jej uważnie znad okularów.

- Chora noga? Ciekawe. Może od chodzenia w niewłaściwym czasie, miejscu, obuwiu i sposobie nawet we własnym domu. - Daria powoli zaczynała się czegoś domyślać. - Jeśli ktoś nie umie się zachować, w końcu los go ukarze. A ponieważ tak się składa, że stać mnie na słuchawki, może się pani wysilać do woli, wyłącznie, mam nadzieję, że na własną szkodę. - Nagle wyjaśniło się zagadkowe stukanie drewniakami po parkiecie.

W odpowiedzi pani Alicja rzuciła spojrzenie, po którym powinien zamienić się w garstkę popiołu. Nie przejął się.

- Może panią podrzucić do centrum? - zaproponował Darii uprzejmie. Dziewczyna zawahała się. Nie chciała być niegrzeczna wobec sąsiadki.

- Niech pani z nim jedzie - rzuciła szybko Bronowska. - Przyda się ktoś, kto pomoże mu dotrzeć do celu podróży.

Daria nie zrozumiała złośliwości. Piotr Niespał wyglądał na człowieka godnego zaufania i radzącego sobie za kierownicą. Dobrze poczuła się we wnętrzu octavii, czyściuteńkim, pachnącym płynem do spryskiwania szyb. Samochód prowadzony pewną ręką, płynnie wynurzył się z wąskiej uliczki obok pętli tramwajowej i włączył do ruchu na szerokim paśmie dość zatłoczonej ulicy.

- Dobrze, że pani przyszła do siebie - stwierdził. - Muszę przyznać, źle to wczoraj wyglądało. Czy aby nie prowadzi pani nieodpowiedniego trybu życia? - Daria miała trudności z odpowiedzią, więc kontynuował monolog. - Doradzałbym pani więcej ruchu. Poranny jogging mógłby być w tej chwili zbyt dużym wyzwaniem, ale gorąco polecam piesze wycieczki. Czy należała pani może kiedykolwiek do harcerstwa? - Potrząsnęła głową, a właściwie, wzdrygnęła się. - O, wszystko jasne. - Był wyraźnie zadowolony z odkrycia. - Muszę pani powiedzieć, że nic tak nie kształtuje charakteru, jak stawianie czoła trudnościom,

przewyciężanie własnych słabości w młodych latach. Czas spędzony w organizacji harcerskiej procentuje przez całe życie.

- Naprawdę? - zdziwiła się z grzeczności.

- Tak jest. Daje oczywiście umiejętności praktyczne, prócz nich przyzwyczajenie do pracy nad sobą, odpowiedzialność i dobre funkcjonowanie w grupie. Wyrabia, miła pani, właściwy stosunek do drugiego człowieka.

Przed nimi, w odległości trzech samochodów, czerwony fiat beztrąsko wyjeżdżając z niedużej uliczki, skutecznie wymusił pierwszeństwo, powodując kilkakrotny pisk hamulców i jednoznaczne komentarze.

- O, na przykład ten - zauważył inżynier. - Ma pani typowy przykład kogoś, kto z pewnością nigdy w życiu nie był nawet na jednej zbiórce.

Bardzo możliwe, z tą hipotezą nikt nie będzie dyskutował. Jedna rzecz jednak Darię zastanowiła.

- Ja przepraszam, że się wtrącam, ale jeżeli panu jest tak bliski harcerski tryb życia, więc i pewne współistnienie z przyrodą - czuła, jak zaczyna się plątać w wypowiedzi - wobec tego wydawałoby się, że bardzo łatwo mógłby pan znaleźć wspólny język z panią Alicją. Z racji zbieżnych zainteresowań.

Przez chwilę ciszy, która zapanowała, dziewczyna zaczęła się obawiać, że zostanie wyrzucona z samochodu za bezczelność.

Na szczęście nie. Kierowca tylko uśmiechnął się nieco diabolicznie znad starannie przystrzyżonego srebrnego zarostu. Tego samego koloru okulary zsunęły mu się na nos.

- Wspólny język, mówi pani. Z człowiekiem rozumnym, na pewno. Ale jednostka nie zrównoważona na takie miano nie zasługuje i jako niebezpieczna, winna być izolowana.

Przerwał, hamując dość nieoczekiwanie. Zmusił go do tego czerwony fiat, wciskając się bez włączenia kierunkowskazu na środkowy pas tuż przed jego nosem. Tym razem nie komentował. Po prostu wysiadł z samochodu.

Daria zaskoczona patrzyła, jak jej towarzysz pewnym krokiem dochodzi do stwarzającego problem auta i zdecydowanym ruchem otwiera drzwi kierowcy. W odpowiedzi ukazała się uniesiona pod sporym kątem noga, najpewniej w celu zablokowania jego dalszych czynności.

Inżynier Niespał nie zraził się jednak. Mocno chwycił za wystający but w celu wyciągnięcia z wozu jego właściciela, który taktycznie zaklinował się między oparciami przednich siedzeń.

But był dość wysoki i dobrze zasznurowany, więc znakomicie nadawał się do tej akcji, nawet mimo rozpaczliwie wierzgającej prawej nogi, która gwałtownie spotykała się z kierownicą i fragmentami deski rozdzielczej.

W ogóle panu Piotrowi szło całkiem nieźle, zwłaszcza że pomagał sobie, opierając fachowo stopę o boczną ścianę wozu. Towarzyszył mu zresztą niemały aplauz dochodzący z sąsiednich samochodów. Kierowcy unosili entuzjastycznie kciuki i naciskali klaksony.

- Panie, zabij go pan, bo to bandyta! - krzyknął taksówkarz.

I to wytrąciło Darię z osłupienia. W uzasadnionej obawie, iż jej znajomy zastosuje się do przyjacielskiej rady, wyskoczyła na jezdnię. Starając się nie zawadzić o zderzaki, podbiegła do Nie-spała. Tak silnie, jak umiała, chwyciła go za ramiona, a praktycznie rzecz biorąc, uwiesiła się desperacko na jego potężnych plecach.

Szczęśliwie utrudniła mu działalność interwencyjną na tyle, że życie feralnego kierowcy fiata przestało być bezpośrednio zagrożone. Ponieważ nie rezygnowała i wczepiła się w niego konsekwentnie, musiał ustąpić wobec przeciwności losu i puścić but, chociaż noga, do której należał, była już właściwie cała na zewnątrz i za chwilę reszta człowieka też zostałaby wyciągnięta.

Niechętnie, ale spokojnie wrócił za kierownicę swojej octavii.

- Dobrze mnie pani trzymała - stwierdził rzeczowo. Darię zdziwił u niego kompletny brak zdenerwowania. - Ma pani w tym jakieś doświadczenie? - Skinęła głową. - No właśnie. A wracając

do sytuacji, klient w samochodzie jest w takim układzie bez szans. Za nogę ciągnie się go z dobrym wektorem i zapieranie się o przednie oparcia nie ma znaczenia. Potem, na asfalcie, bardzo łatwo się go odwraca i przydeptuje - stwierdził z zadowoleniem.

Daria nie chciała wiedzieć, jakie doświadczenie ma jej towarzysz w akcjach wspomnianego rodzaju. Ona sama nauczyła się wdrażać działania częściowo obezwładniające w związku z reakcjami jej ojca na właścicieli, którzy nieludzko obchodzili się ze swoimi zwierzętami. Całe szczęście, że tym razem też się udało, wystarczy kryminalnych atrakcji. Mord na środku jezdni, nawet w słusznej sprawie, to już stanowczo za wiele.

Potrójny sznur samochodów podążał z normalną o tej porze niedużą prędkością. Piotr Niespał, wyraźnie zrelaksowany, zaczął rozmowę towarzyską na aktualne tematy.

- No i co pani myśli o naszych problemach? Podejrzewa pani kogoś? Mówi pani coś kobieca intuicja?

Daria wzięła głęboki oddech. Nie spodziewała się tak obcesowego pytania. Chociaż dziwne, że sama do tej pory nie postawiła sobie podobnego.

- Nie mam pojęcia. W książkach zazwyczaj mordercą okazuje się osoba najmniej podejrzana.

- A w rzeczywistym świecie, najbardziej podejrzana - zaśmiał się pod nosem. - Była pani może kiedyś w tych Sieniewicach? - Pozornie zmienił temat.

- Nigdy w życiu.

- Ładna miejscowość, chociaż nieduża. - Przerwał zaskoczony widokiem imponującego korka ciągnącego się do skrzyżowania, chociaż o tej porze raczej nikogo nie powinien on dziwić.

Zaskoczył jednak samochód jadący za nimi, ponieważ usłyszeli lekkie stuknięcie w tylny zderzak. Niespał nie odezwał się, tylko spojrzął w lusterko w sposób niewróżący nic dobrego.

Po krótkiej chwili podjechali kilka metrów i uderzenie powtórzyło się.

Daria zobaczyła drapieżny uśmiech swojego towarzysza. Nie czekała na ciąg dalszy.

- Panie inżynierze, przepraszam, spóźnię się do pracy. - Dziękując z najpiękniejszym uśmiechem, ewakuowała się z samochodu. Po czym korzystając z bliskości przystanku tramwajowego, slalomem między stojącymi autami, jak najszybciej dotarła do wysepki.

Złamała oczywiście kilka przepisów bezpieczeństwa, ale w poczuciu, iż właśnie z troski o siebie samą. Zdecydowanie nie stać jej było na powtórne przeżywanie akcji porządkowych Piotra Niespała.

Stłoczeni na zimnym przystanku ludzie w większości spoglądali w stronę widocznego na horyzoncie tramwaju. Niektórzy nerwowo chodzili wzdłuż wysepki, inni - zmarznięci tkwili w miejscu z widocznym napięciem, pochłonięci problemami, jakimi witał ich kolejny dzień.

Jednak wśród nich poczuła się bezpiecznie. W sumie nie groziło jej ani uczestnictwo w wypadku ulicznym, ani, co ważniejsze, w rytualnym mordzie, który być może dokonałby się za chwilę na jakimś nieodpowiedzialnym kierowcy.

Oparta o słupek wiaty obserwowała szare, zachmurzone niebo. Ani śladu słońca, ani śladu wiosny. Trudno. Kiedyś przyjdzie.

Zawsze czuła się dobrze wśród warszawskiego tłumu. Szarego o tej porze roku, bezimiennego, ale w jakiś sposób opiekuńczego.

Odetchnęła wilgotnym powietrzem. Dzień zaczął się dobrze. Właściwie nie wie dokładnie dlaczego, ale tak czuje. Stwierdziła, że nagle mimo woli uśmiecha się. Do samej siebie. Podoba się sobie. Od bardzo, bardzo dawna tak nie było.

Z chwilą pojawienia się tramwaju szary tłumek ożył i Daria jak zwykle w takim momencie zauważyła, że już nie stoi blisko brzegu wysepki, bo jakimś sposobem została odsunięta w jej głąb przez chcących zająć najlepsze miejsca w czasie jazdy. Wsiadła "więc prawie na końcu, w ostatnim momencie jeszcze odepchnięta przez niższego o pół głowy, lecz potężnie zbudowanego emeryta.

Nie sprawiło jej to specjalnej przykrości. Wewnątrz wprawdzie nie było zbyt luźno, ale bez problemów znalazła w miarę wygodne miejsce do stania, koło poręczy przy dużej szybie. Mogła wygodnie oprzeć torbę i patrzeć na zewnątrz, czytając mimo woli wszystkie duże reklamy. Przesunęła się kawałek, żeby zrobić miejsce dla starszej pani z dużą reklamówką wyładowaną zakupami. Podziękowała jej z westchnieniem ulgi.

Dzwonek komórki. W czyjejs torebce za plecami Darii.

- Tak, dojeżdżam. Za dziesięć minut będę. - Młoda dziewczyna miała chyba za bardzo skrzekliwy głos. - No, jadę tramwajem! - wrzasnęła. Starsza pani wzdrygnęła się. - Rozumiem cię, ale teraz nie mogę mówić. Nie wiem, co za ludzie tu są, no nie? - Daria zaczęła się śmiać prawie na głos i zdumiona stwierdziła, że chyba tylko ją to rozbawiło.

Rzeczywiście, może zaczynało być mniej komfortowo. Właśnie wsiadł pan w widocznym spod rozpiętej kurtki ciemnym garniturze z lśniącym krawatem, roztaczający wyraźne woń wczorajszego alkoholu. Obok, w lisim futerku, babcia z dwojgiem przedszkolnych wnucząt.

- Chcę usiąść! - oznajmił rezolutnie chłopczyk.

- Nie ma miejsca, kochanie, ale tu możesz stanąć. - Bezceremonialnie odsunęła kogoś, kto jeszcze stał na drodze, wpychając wnuki między Darię a jej sąsiadkę. Starsza kobieta syknęła z bólu.

- Proszę uważać. Depczą mi po palcach.

- Trudno. To tylko dzieci - pouczyła ją babcia.

Od perspektywy stratowania uratowała ich siedząca obok pani w okularach, odstępując swoje miejsce przedszkolakom.

- Tylko grzecznie siedźcie - przypomniała pani w lisku, niezupełnie pamiętając o podziękowaniu.

I bardzo dobrze, że dzieci zostały umieszczone na krzeselku, ponieważ rozpędzony już tramwaj całkiem niespodziewanie i gwałtownie zahamował.

Daria w ostatniej chwili zdołała drugą ręką chwycić się poręczy, ale nie wszyscy mieli taki szczęście, sądząc po krzykach strachu i bólu.

- Furgonetka chciała przejechać przez tory - informował ktoś z przodu. - Dostała szpindlem.

- No i prawidłowo.

- Na szczęście wszyscy żyją. Ale koniec jazdy.

Słysząc było wóz policyjny. Przez otwarte drzwi tramwaju większość pasażerów już się wydostała i próbowała sforsować ulicę mimo pędzących samochodów. Dziewczyna rozejrzała się. Chyba nikt z pozostałych nie potrzebował pomocy. Natomiast starsza pani obok zrobiła się niepokojąco blada. Duża, wypchana reklamówka stała na podłodze, ona sama otaczając ramieniem metalowy drążek, usiłowała utrzymać się na nogach.

- Jak się pani czuje? Czy coś się stało? Kobieta z trudem markowała uśmiech.

- Nic takiego. Uderzyłam się w rękę.

- To niedobrze. Mogę zobaczyć?

Delikatnie odsunęła rękaw brązowej, wytartej jesionki i ściągacz ręcznie robionego wełnianego swetra. Na szczęście nadgarstek nie ucierpiał, ale prawe przedramię było silnie stłuczone.

- Może być pęknięcie. Trzeba to prześwietlić. Musi pani zgłosić się na pogotowie.

Potrząsnęła głową.

- Potem. Teraz muszę szybko pojechać i oddać zakupy. Nie mogę się spóźnić.

Plastikowa torba wyglądała imponująco, ale chyba nie była aż tak ważna.

- W tej chwili najpilniejsza jest pani ręka. Ktoś, komu robi pani zakupy, na pewno zrozumie i troszeczkę poczeka.

Starsza pani patrzyła na nią szeroko otwartymi żółtawozielonymi oczami.

- Moja kochana, pani nie rozumie. To są zakupy dla mojej sąsiadki, która jest stomatologiem. Część jest zwyczajnych, część do gabinetu. Bardzo potrzebnych. - Daria miała wrażenie, że skądś zna takie oczy. Nie pamiętała skąd, ale wiedziała, że nie byłoby to miłe wspomnienie. - Dorabiam sobie tak do emerytury. - Jej głos zadrżał. - Nigdy w życiu, przez czterdzieści lat pracy się nie spóźniłam i teraz też się nie spóźnię. Zdrową ręką próbowała chwycić reklamówkę, ale przeszkadzała jej jeszcze torebka na ramieniu i druga siatka. Zostały już same w pustym wagonie.

- Nie da pani rady. Daleko do tego gabinetu?

- Nie, parę przystanków w stronę Żoliborza. Dam radę.

- Akurat. - Daria chwyciła reklamówkę i wyciągnęła ramię, pomagając kobiecie zejść ze schodków. - Pojadę z panią. Ale pani jeszcze utyka!

- To nic. Tylko ten mały nadepnał mi na stopę, którą niedawno skręciłam. Naprawdę nic takiego. Pani się nie spóźni?

- Nie, tylko nie przyjdę wcześniej, ale na dzisiaj dam sobie spokój z nadgorliwością.

Ostrożnie kierowały się do przystanku. Daria widząc, że jej towarzyszka zdecydowanie utyka, odebrała od niej obietnicę niezwłocznego zgłoszenia się na pogotowie. Na szczęście w autobusie było całkiem luźno.

Skąd zna te oczy i dlaczego kojarzą się jej niedobrze? Starsza pani siedząca naprzeciw, z ulgą odpoczywając na wygodnym siedzeniu, miała pogodną twarz ze zmarszczkami zdradzającymi skłonność do częstego uśmiechania się. Zaczęła mówić coś, czego dziewczyna właściwie nie słuchała. O sąsiadce piętro wyżej z gabinetem dentystycznym, pracowni przeróbek krawieckich obok, o cenach, które ograniczają korzystanie z tych pierwszych usług, a zachęcają do drugich.

Kiwając grzecznie głową, Daria bezskutecznie starała się przypomnieć sobie to, co ją dręczyło. I nagle, nie wiadomo w jaki

sposób, w jednej chwili zrozumiała, gdzie widziała takie same oczy. Może nie identyczne, bo u dużo młodszej osoby, ale również żółtozielone, szeroko otwarte, lekko wypukłe.

Tak właśnie patrzyła sprzedawczyni w księgarni w Lesku. Dała jej książkę, którą dla niej specjalnie wybrała i zatrzymała, a potem wydarzyło się TO. Dlatego odczuwa lęk, który w tej chwili już zaczął być całkiem realny.

Co stanie się za chwilę?

Nie ma mowy, żeby spotkanie tej kobiety było przypadkiem. Zresztą przypadki nie istnieją. Wszystko ma swoją przyczynę i skutek. Poczula zimny dreszcz. Gdyby chociaż wiedziała, czego może się spodziewać!

- Czy pani źle się czuje?

Potrząsnęła głową, usiłując się uśmiechnąć.

- To dobrze, bo wysiadamy.

Blok wyglądał zwyczajnie i sympatycznie. Na parterze ciąg sklepów, duże okna, świetlicie przeszklona klatka schodowa. Winda nieczynna, ale trzecie piętro nie było wysokie. Po drodze na górę minęły co najmniej trzy osoby. Najpierw jakiś pacjent, potem ktoś wychodził, trzaskając drzwiami z napisem „Pracownia krawiecka. Poprawki”, z dołu wspinała się na schody kobieta z dwiema torbami z hipermarketu. Prawdziwe mrowisko, ani chwili spokoju. Teraz widać, że odludna Skrętna 15 ma również swoje zalety.

Przed gabinetem starsza pani podziękowała prawie wylewnie i zniknęła za jego drzwiami. Daria odetchnęła głęboko. Chce wydostać się stąd jak najszybciej. Od chwili, gdy wysiadły z autobusu, miała bezsensowne, ale przykre wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Na klatce schodowej odczuła to jeszcze silniej. Teraz najważniejsze, by znaleźć się daleko stąd i zapomnieć o całym zdarzeniu.

Energicznie odwróciła się, by zejść schodami, i nagle straciła równowagę. Świat jej zawirował. Zaczęła zsuwać się ze stopni. Szczęśliwie w ostatnim momencie zdołała chwycić poręcz.

Trochę oszołomiona stwierdziła, że stoi, a nie leży, i to jest najważniejsze. Ma lekko nadwerżoną nogę w kostce, jest oblana zimnym potem, a jej torba rozerwana po zaczepieniu o coś wystającego.

Rozejrzała się już przytomniej. Nie, ponad wszelką wątpliwość nie została strącona ze schodów przez nikogo, a nawet przez nic niematerialnego. Za jej wypadek, który mógł skończyć się znacznie gorzej, odpowiadała nieduża, lecz groźna plama z nie-zmytego detergentu.

Właściwie powinna być wdzięczna losowi. Pamięta, że rok temu podobna przygoda męża jej koleżanki skończyła się wstrząśnieniem mózgu.

Zmobilizował ją niespodziewany odgłos jadącej windy. Już czynna, dobry znak. A ona na pewno nie będzie tu dłużej czekać na następne nieszczęścia. Byle dalej stąd, na świeże powietrze.

Nawet nie wiedziała, kiedy znalazła się na parterze. Ponieważ miała do wyboru dwoje drzwi, odwróciła się od tych, którymi wchodziła. Niech wszystko będzie inaczej. Decyzja okazała się słuszna, po drugiej stronie bloku widać było niedaleko inny przystanek tramwajowy, który dawał możliwość bezpośredniego i w miarę szybkiego dostania się do pracy.

Nie zważając na lekki ból nogi, podbiegła i w nagrodę zdążyła wsiąść bez czekania do prawie pustego wagonu. Wreszcie coś miłego. Teraz chwila na odpoczynek i przemyślenie tego, co się stało.

Przymknęła oczy. Równomierny stukot działał uspokajająco. Musi jakoś przyjść do siebie, bo jeszcze przed nią cały dzień. Właśnie, do południa daleko, a już zdążyła wziąć udział w awanturze z wariatem na środku jezdni, w niegroźnej stłuczce, a potem niestety szlachetnie okazała pomoc, co kosztowało ją drobną kontuzję stopy i większą - torebki. Prócz tego jakieś głupie zdenerwowanie i jeszcze głupsze przecucie nie wiadomo czego.

O nie. Jedno jest pewne. Do akcji pomocy nie przyzna się za żadne skarby. Nie zniesie oczywistych komentarzy mecenasa. "Wiadomo, że on chce dla niej dobrze, jednak sama musi w końcu poradzić sobie ze swoim tak zwanym altruizmem.

A może nie jest bardzo śmieszna, troszcząc się o innych. Dzisiaj rano ktoś obcy, tylko sąsiad, też zainteresował się jej sprawami, chociaż nikt go o to nie prosił. Wprawdzie zrobił to w formie awantury, ale widocznie taki ma charakter. Do pacjentów z pewnością odnosi się inaczej.

Nie mogła wyzbyć się obrazu zimnych, niebieskich oczu Ko-rendy ze zmarszczonymi brwiami, patrzącego na nią jak na przypadek medyczny. Niestety na zasadzie skojarzeń przypomniawszy sobie wiszące w jego mieszkaniu nieszczęsne pistolety, których zresztą nigdy nie widziała. I zbrodnię, o której nie chciała pamiętać, bo przecież w sumie nie miała z nią nic wspólnego.

Morderstwo, które wygląda na upozorowany napad rabunkowy. Wobec tego ofiara raczej jest przypadkowa. A zatem Bożena Korenda powinna na siebie uważać.

Wszystko dlatego, że morderca najpewniej umyślnie uszkodził laptop i jeśli nie był to wyraz antypatii do elektroniki, to z pewnością chęć uwiarygodnienia faktu pozostawienia komputera. Również najpewniej wszedł do domku przez niezamknięte drzwi.

Prócz popełnionej zbrodni nie ma tu nic na sto procent pewnego. Nikt więc nie będzie zaskoczony, jeżeli śledztwo utknie w martwym punkcie i zostanie zakończone. Chyba że dojdzie jakiś fakt niebudzący wątpliwości.

Poczuła zimny dreszcz.

Fakt bez cienia wątpliwości może być tylko jeden.

Nie! Dlaczego w ogóle coś takiego przychodzi jej do głowy!

Postawiła kołnierz kurtki, jakby mógł ją odseparować od otoczenia. Czemu miałyby się stać coś złego, najgorszego? Ponieważ °na czuje się dziwnie? To jeszcze nie powód.

Na kolejnym przystanku wsiadło parę osób. Ktoś zajął miejsce za Darią. Wiedząc, że jest śmieszna, odwróciła się i rozejrzała. Jakaś blondynka w jej wieku. Całe szczęście. Ale kogo właściwie się obawia? To już chyba coś gorszego niż nerwica. Oczywiście Urszula wytłumaczyłaby to wszystko powracaniem do legend z przeszłości. Przesada, od lat przywykła pamiętać o Mariannie i jej historycznej klątwie. Natomiast w tej chwili trudno powiedzieć, dlaczego już któryś raz myśli o jednej z ofiar tej akcji, czyli Danucie Kalińskiej, studentce historii. Zakochała się nieprzytomnie w wykładowcy. Żonatym. Ciekawe, czy od pierwszego wejrzenia, czy trochę to trwało? I czy szybko okazało się, że ze wzajemnością? Czy była choć przez jakiś czas naprawdę szczęśliwa? Chyba była, jeżeli tak mocno przeżyła jego oszustwo. Jak potwornie upokarzająca musiała być ta cała sytuacja!

Jak silne musi być uczucie kobiety, żeby godzić się na taką rolę? A może raczej, jak starannie należy ją okłamywać.

Daria spojrzała w okno. Pogoda poprawiała się i było już niedaleko. Powinna starać się pomyśleć o czymś bardziej optymistycznym, zwłaszcza że sprawy uczuciowe może sobie odpuścić.

Czemu jednak nie może pozbyć się lęku? O co tu chodzi? Dlaczego czuje, że stało się coś złego? I to coś, co jej bezpośrednio dotyczy.

- Nie, mamó, nie będę tu siedzieć jak w więzieniu. - Bożena Korenda po kąpieli, w grubym, różowym szlafroku rozczesywała wilgotne włosy. - Ja wiem, że chcesz najlepiej, że wszyscy chcecie mnie chronić, ale w ten sposób tylko wpędzicie mnie w chorobę nerwową.

Matka patrzyła na nią przestraszona.

- Dziecko, o jakim więzieniu ty mówisz? Dzwoniłam do Amsterdamu, ojciec ma wrócić wcześniej, przecież zawsze byłaś - uśmiechnęła się - ukochaną córeczką tatusia.

Dziewczyna podeszła i objęła ją z czułością.

- Nie tylko tatusia, ale mamusi przede wszystkim. Wiem doskonale. I ty właśnie powinnaś mnie zrozumieć. Nie umiem siedzieć i chować się nie wiadomo przed kim, bojąc się nie wiadomo czego.

- Wiadomo czego - wtrąciła matka. - Niestety doskonale wiadomo.

Bożena potrząsnęła głową zdecydowanie. Położyła jej ręce na ramiona.

- U siebie w domu nic mi nie grozi. Ten ktoś atakuje w ciemności, na odludziu, ja się w takich miejscach nie pokażę. - Ucałowała matkę. - Przysięgam, będę na siebie uważać. Przecież mnie znasz i wiesz, że jestem odpowiedzialna.

- Obiecałam Maćkowi opiekę nad tobą.

- On to zrozumie. Musi.

Po chwili już w dzinsach i białej koszulce na ramiączkach zamawiała przez komórkę taksówkę. Szybko wciągnęła miękki, długi sweter z brązowej wełny.

Matka siedziała w fotelu z ułożonymi równo jak uczennica, bardzo zgrabnymi nogami, trzymając na kolanach oprawiony w wytłaczaną skórę notesik.

- Bożenko, nie zanotowałam sobie w końcu przepisu na sandacza faszerowanego z tego waszego starego pamiętnika. Wiesz, o który chodzi? A chciałam coś takiego podać na przyjęciu.

Skinęła głową.

- On został w Zrębiaku, ale myślę, że zadzwonię i nie będą ci robić problemów.

- Dobrze by było, bo już się nastawiłam na sandacza, a prawdę mówiąc, mam nadzieję, że jakiś oryginalny deser też bym tam znalazła. Oczywiście na pewno niezdrowy. - Uśmiechnęła się

ironicznie. - Ufam, że twój mąż wyjątkowo mi wybaczy i może nawet w tym zasmakuje.

- Jestem tego pewna.- Córka ucałowała ją. - Taksówka już podjeżdża.
- Narzuciła krótką skórzaną kurtkę. - Wiesz, mam takie przeczucie - uśmiechnęła się do matki - że wszystko skończy się jak najlepiej.

- Dzień dobry, panie Sebastianie. Co dzisiaj bierzemy?
- Uśmiech pani Izy był całkiem szczery. Lubiła, kiedy przychodził, czuła, że się nim troszeczkę opiekuje. - Zje pan coś ciepłego?
- odpowiedziała.

Usiadł przy stoliku, co oznaczało, że zaakceptował propozycję. Jego uwagę przykuł wzorek na obrusie, który miał stwarzać przytulną, domową atmosferę.

- Zrobię panu jajecznicę, bo w tym wieku trzeba się dobrze odżywiać. Zwłaszcza gdy ktoś dużo pracuje.

A młody człowiek sprawiał takie wrażenie. Znad patelni przyglądała się zaokrąglonym plecami i zmęczonej twarzy.

- Mam placuszki z jabłkami. I kawę?
- Tak, tak, poproszę. - Była przekonana, że naprawdę zrozumiał. Najchętniej pogadałaby sobie, ale z nim się przecież nie da.

Poczuła dużą ochotę na papierosa. W zasadzie nie paliła od lat, dzisiaj jednak to co innego. Od rana myśli o tym, co pewnie powinna zrobić, ale absolutnie nie może się zdecydować. I wiadomo dlaczego. Boi się wygłupić, wyjść na plotkarę.

Najgorsze, że tak naprawdę, nikt jej w tej sprawie nie doradzi.

Ostatkiem silnej woli powstrzymując się od wzięcia paczki mentolowych, patrzyła w szarość okna, gdy Sebastian w błyskawicznym tempie wygrywając z kopiastym talerzem, podniósł na nią wzrok znad okularów o szerokich ciemnych oprawkach.

- Tak myślę o tym tutaj wszystkim, wie pani? - Pani Iza wiedziała. - I o tej żonie doktora. Czy ona się teraz nie boi. Bo w zasadzie to ona już jakiś czas temu była podenerwowana, przynajmniej mnie się tak wydawało. - Uśmiechnął się niepewnie.

Pani Dolant zdecydowanym krokiem podeszła do jego stolika, biorąc dla siebie szklankę źródlanej wody.

- Niech pan mówi - poprosiła. Zmarszczył czoło jak uczeń przy odpowiedzi.

- Bo jakieś dwa albo trzy tygodnie temu spotkałem ją na klatce z drugą panią, pewnie mamą. Gdzieś się wybierały, niosły torby. W jednej chyba coś zabrzęczało i mama zapytała: „Co tu masz?”. - Przerwał i połknął prawie cały placek dla nabrania sił.

- I co było w torbie? - spytała Iza Dolant bez tchu.

- Stwierdziła, że dzbanuszek. Zorientowała się, że słyszę, i powiedziała do mnie, że zrobiła go własnoręcznie mężowi na imieniny, ale mu się nie spodobał, więc go lepiej wywiezie do Zrębiaka.

- Jasne - westchnęła kobieta.

- Wtedy mama jakoś tak zmarszczyła się o to, jak mógł się nie podobać, a pani Bożena szybko zaczęła tłumaczyć, że on jej tego nie powiedział, ale było widać. Więc zabiera „nieszczęsnego tłuka”, żeby Maciek nie musiał udawać. Jej mama miała taką minę, jakby dostała bóleści, a ja już sobie poszedłem.

- No tak. Ale, co w tym dziwnego.

- Jest jedna rzecz. Kiedy mówiła o bałaganie, który zrobił morderca, wyraźnie usłyszałem, że na szczęście zostawił w spokoju ulubiony dzbanuszek doktora, jej dzieło. Tak, powiedziała, że ulubiony. Po co kłamała, skoro specjalnie wywiozła „tłuka”?

- No, nie wiem. - Pani Iza uniosła ramiona i rzeczywiście poczuła się bezradna wobec zadanego pytania. - Ale ma pan rację- W sumie trochę niezrozumiałe zachowanie. - Powoli wypiła wodę i zaczęła bawić się pustą szklanką. - Tylko że kiedy chodzi o uczucia między dwojgiem ludzi, to często trudno do końca

wszystko zrozumieć. Kobieta czasem sama nie wie, dlaczego zachowuje się tak, a nie inaczej.

Młody człowiek patrzył na nią uważnie i naprawdę słuchał.

- Rozumiem. Ale zawsze jest przyczyna tego, co się robi. Jakaś logika.

- Nie zawsze. - Pokręciła głową. - Czasem powstaje chaos.

- Ale kiedy? - zastanowił się. - Pewnie, jeśli ktoś jest w jakiejś panice. Czyli po prostu boi się?

Pani Iza Dolant nie odpowiedziała. Poczowała, że robi jej się zimno. Sebastian siedzący naprzeciw chyba też się wzdrygnął. Czyżby myślał o tym samym? Tak, teraz przypomniała sobie. Chyba był tutaj przy jej rozmowie z Bożeną. Wtedy sądziła, że oczywiście nic do niego nie dociera, ale mogła się mylić. Teraz skojarzył sobie tamtą rozmowę i też odniósł takie samo dziwne wrażenie jak ona.

Mimo wszystko lepiej będzie trochę zmienić temat.

- Panie Sebastianie - konfidencjonalnie dotknęła jego rękawa - muszę przyznać, że mnie pan zaskoczył. Zwykle jest pan bardziej wyłączony, a tutaj nagle zapamiętał pan całą rozmowę. - Z uśmiechem spojrzała mu prosto w kryjące się za szklami zmęczone ciemne oczy.

Nie spieszył się pytaniem.

- Rzeczywiście, kiedy nad czymś pracuję albo mam pomysł, to nie za bardzo uważam. Ale wtedy akurat wysłałem, co miałem do zrobienia, a pani Bożena miała bluzkę w takim bardziej ciekawym kolorze, że się zapatrzyłem i zasłuchałem.

- Kolor taki bardziej niebieski? - podchwyciła pani Iza. Skinął głową prawie entuzjastycznie.

- I bluzka nie pod szyję, tylko taka bardziej wycięta?

- Tak, też pani pamięta? - ucieszył się. Kobieta roześmiała się.

- Skądże. Nawet na pewno jej nie widziałam. Ale sądząc po tym, że pan ją w ogóle zauważył, musiała tak właśnie wyglądać.

Potrząsnął głową.

- Nie rozumiem.

- Nie musi pan. - Machnęła ręką. - Panie Sebastianie, pan powinien pomyśleć o jakimś sensowniejszym zorganizowaniu sobie życia. Na pewno byłoby panu łatwiej pracować, gdyby panem zaopiekowała się żona. Czy wśród różnych projektów rozważał pan może, ewentualnie zmianę stanu cywilnego?

Młody człowiek zmiął serwetkę i trochę się zaczerwienił.

- Już się przyzwyczailem do bycia singlem.

- To niech pan powoli weźmie pod rozwagę myśl o odzwyczajaniu się. - Wstała, ponieważ w drzwiach pojawił się jakiś, zabłąkany chyba, klient. - Z takiej zmiany akurat wyniesie pan jedynie same korzyści.

Daria pomyślała, że stanowczo nie doceniała atmosfery w kancelarii, w której czuła się jak w domu. W sumie niezbyt często szef daje poczucie bezpieczeństwa. Trzeba przyznać, że sama praca też trochę ją odprężyła. Nie potrafiła angażować tak, jak szkoła ale w jakimś stopniu odpędzała niechciane myśli.

Mecenas przejął się, niegroźnym przecież, wypadkiem komunikacyjnym bardziej, niż sądziła.

- Nie ma pani pojęcia, w odróżnieniu ode mnie, ile groźnych obrażeń może się pojawić przy takim szarpnięciu w tramwaju. He odszkodowań udało mi się uzyskać dla klientów. Ale nikomu tego nie życzę i bardzo proszę, żeby pani zawsze uważała. Może przydałby się łyk koniaczku na uspokojenie? - Przyglądał się jej zatroskany.

Podziękowała z uśmiechem. Nie czuła się aż tak źle. Nawet z każdą chwilą lepiej. Spokojny, przyjazny, pewny siebie mężczyzna stwarzający atmosferę akceptacji z pewnością był najlepszym

towarzystwem dla kogoś w jej nastroju. Konkretnie dla kobiety w jej nastroju.

Pewnie pod wpływem dobrodusznego spojrzenia znad złotych okularów przyszło jej do głowy, że bluzka, którą wybrała rano, leży dobrze, a kolor też chyba ma właściwy. Mecenasa Rawicza może bardziej interesowały ciemne kosmyki jej włosów opadające na śmiało zarysowane brwi i podkreślające regularny owal twarzy.

Zabrzęczała komórka.

- Czy siedzisz i czujesz się dobrze? - Głos Urszuli brzmiał, jakby ona sama potrzebowała pomocy. - Zaginęła pielęgniarka z przychodni u Korendy. Właściwie bardziej sekretarka.

- Skąd wiesz? - Daria podparła czoło dłonią.

- Pani Alicja była tam na fizykoterapii, oczywiście natychmiast się ze wszystkimi zaprzyjaźniła i zrobiła maksymalny wywiad. Miała mój telefon na wszelki wypadek, kiedy mama chorowała, więc jestem pierwszą poinformowaną.

- Mów.

- Otóż ta Aldona wyszła wczoraj normalnie z pracy, przyszła do domu, to znaczy do mieszkania, które wynajmuje z koleżanką, po osiemnastej. Ale kiedy współlokatorka weszła do wanny, ona bez słowa wymknęła się i już jej nikt nie widział. Jakoś tak po „Wiadomościach”.

- Skądś znamy tę porę. Musi być odpowiednia.

- Właśnie. Na mordowanie. Choć na razie nic nie wiadomo. Może z wyjątkiem tego, że Korenda dotarł do Wi-Medu dopiero przed dwudziestą pierwszą.

Daria zmarszczyła brwi.

- Pewnie nie najlepiej, ale dlaczego właściwie ma mieć alibi?

- Podobno w jakimś stopniu byli zaprzyjaźnieni. Tak wywnioskowała pani Ala. Ja tę dziewczynę chyba pamiętam, bo podobno przez krótki czas pracowała w „Eurydyce”, ale jej się

nie spodobało. Świetnie zbudowana, bardzo ładna, ciemna. I wy-
nikało, że niegłupia.

No, rzeczywiście. Raczej zaprzyjaźnieni. Jeśli oczywiście chodzi o
brunetkę ze sklepu na Marszałkowskiej. Podobnie jak wtedy, Daria
poczuła przygnębienie. Nie ma się co oszukiwać, trudno będzie liczyć
na szczęśliwe zakończenie tej sprawy.

- Pani Dario, jakiś problem? - Rawicz chyba naprawdę się
zaniepokoił.

- Tak, ale nie mój. - Dobrze, że spytał, bo miała ochotę pogadać. -
Zniknęła sekretarka z przychodni doktora Korendy.

- Brunetka! - wykrzyknął. - W recepcji. Oczywiście, że pamiętam.
Czy coś wiadomo?

- Tylko tyle, że wyszła z domu i nie wróciła.

- Szkoda Korendy - westchnął prawnik. - Niepotrzebny mu jeszcze
jeden kłopot.

Po szybkim pożegnaniu z Korendą, w trakcie którego ledwie zdążyli
wymienić numery telefonów, Reising poczuł się bezrobotny, a jako
lokator samotny w opuszczonym przez wszystkich po kolei domu. W
końcu stwierdził, że z braku innego zajęcia, najlepiej będzie, nie
zwlekając, odwiedzić słynne już Sieniewice.

W zasadzie nie miał konkretnego planu zwiedzania, oczywiście
należałoby rzucić okiem na „Słoneczny Domek”, który tak
zainteresował kiedyś Damiana Rolewskiego, na pewno chętnie
poznałby pana profesora Korendę, ale o tym nawet nie będzie marzył.

Wybierając ulice odległe od centrum, udało mu się uniknąć korków i
w rekordowo krótkim czasie zobaczył wyraźnie przechyloną tabliczkę
oznajmującą, że dotarł do celu podróży.

- Ktoś się z nią mocował - mruknął do siebie, uznając ten fakt za
niezbyt dobrze wróżący na najbliższą przyszłość.

Nawierzchnia szosy dorównywała jakością tabliczce, ale szczęśliwie za chwilę pojawił się drogowskaz z napisem: „Słoneczny Domek” 500 m. Reising skręcił w prawo, zadowolony z dość zadbanej żwirówki obsadzonej równymi drzewami. Prowadziła do zabudowań strzeżonych przez niewysoki murek, na oko, niestety, niezamieszkałych. Po przejściu przez uchyloną furtkę widać było wyraźnie żelazną sztabę na drzwiach, bardzo kontrastującą z niebiesko-żółtym szyldem informującym o niewątpliwiej słoneczności miejsca.

Ze świadomością porażki usiadł w fotelu swojego volvo i przez otwarte drzwi kontemplował beznadziejność smętnego krajobrazu, jak również całej sytuacji. Z tej mało produktywnej czynności niespodziewanie wyrwał go odgłos czyichś kroków.

Wysokie buty, zniszczona kurtka, czapka z daszkiem, papieros, wczorajszy zarost. Czy tu z kolei czas się zatrzymał?

Starszy mężczyzna podszedł bliżej.

- Redaktor? - spytał krótko.

- Nie - odparł rzeźbiarz w takim samym trybie.

- A to i szkoda. - Przysiadł na ławeczce pod ogrodzeniem. - Ale z Warszawy? - upewnił się.

- Z Warszawy. Czemu szkoda? Wzruszenie ramion.

- A bo dawno nikogo nie było. Przydaliby się.

- Do czego?

- Nic pan nie wie - rzucił wzgardliwie mężczyzna. - To po co pan przyjechał?

Reisingowi niezbyt podobała się rozmowa, ale nie w jego interesie było ją kończyć. Popatrzył strapionym wzrokiem.

- Słyszałem, że to dobre miejsce dla starszych ludzi. Kombinuję gdzieś wujka oddać.

Mężczyzna w leninówce przydeptał niedopałek.

- Tu pan nie odda. Skończyli się.

- Całkiem?

- A całkiem. Gdzieś tak w listopadzie. Wieczór wszystko normalnie, a rano już nikogo nie było. Nic nie było słyhać, jak wyjeżdżali, chociaż tu, zaraz mieszkam. - Wskazał dach rysujący się za kępą drzew. - Staruszków zaraz pozabierali, gdzie się dało, telewizja przyjechała. Policja też, ale nikogo z kierownictwa nie znaleźli. Kamień w wodę. O takich rzeczach trzeba pisać, myślałem, że pan z prasy, ale skoro nie... - Machnął ręką.

Janek postanowił nie rezygnować. Z zakłopotaniem podrapał się w głowę.

- Wie pan co, bo ja tak trochę przy okazji, jak gdzieś jestem, to lubię na różne starocie popatrzeć. Ale tylko ładne - dodał stanowczo.

Tutejszy skrzywił twarz w uśmiechu.

- Ano pewnie, z czegoś trzeba żyć. I to nieźle - dodał ruchem zarośniętego podbródka, wskazując na samochód. - Ale tu będzie z tym słabo. Chyba, że - zaśmiał się pod nosem - u profesora. Tylko raczej od niego pan nic nie dostanie, najwyżej pięścią między oczy.

- Jezu, a co to za profesor? Wuefu?

Starszy człowiek pokręcił głową z nieukrywana pogardą.

- Nie od wuefu, a od polskiego i na emeryturze. Ale przysunąć może, bo furiat. Dlatego już dawno nie pracuje.

- To przeszkadza?

- Niby nie, ale jak z uczniem była sprawa, znaczy, niedobrze.

- Co pan powie! Z uczniem?

- A jak! Strzelił chłopaka z garści i wyszło, że jest wariat. Poleczyli go, ale do szkoły już nie wrócił.

Rzeźbiarz nie ukrywał zdumienia.

- A to ci historia! W takim razie zastanowię się, czy rozmawiać. Na wszelki wypadek, gdzie on mieszka?

- Musi pan przejechać przez Sieniewice i z drugiej strony, bardziej pod lasem. Pozna pan, bo ma taki czerwony dach i z jednej strony się sypie.

Reising podziękował i bez specjalnego entuzjazmu rozpoczął drogę w kierunku centralnych rejonów miejscowości.

- Pięścią między oczy. Całkiem nieźle! - powiedział głośno, mijając bardzo przeciętne zabudowania i kilka sklepów ozdobionych jaskrawymi reklamami. - Ładny przykład dla młodzieży, nawet mimo wariackich papierów. I ma być dobrze!

W lepszy nastrój wprowadził go widok wieży kościelnej. Wyraźny koniec szesnastego wieku, oczywiście nie autentyczny, ale starannie odrobiony, szlachetną linią odcinał się od szarego nieba i czegoś, co imitowało główny plac w Sieniewicach.

Do końca wsi nie było daleko, do lasu również. Pod ścianą drzew stał, a bardziej straszył, dość spory dom rzeczywiście pod czerwonym dachem, ale w przedziwny sposób łączący resztki typowego starego dworku z niewielkim bezstyłowym ceglany budynkiem.

- Może robię się nietolerancyjny, ale kim trzeba być, żeby mieszkać w takiej potworności! - Zmartwił się, że na serio zaczyna mówić do siebie. W sumie ciekawe, czego to jest objawem.

Skrzywiony, z niesmakiem zawrócił do wsi. Wykonał jeszcze jedną rundkę naokoło kościoła dla poprawy humoru i zdecydował się na powrót do Warszawy. Oczywiście przez Pragę. Klub dzielnicowy z wystawą powinien być otwarty mimo dość wczesnej pory.

W mglistej pogodzie panorama lewego brzegu stolicy trochę mniej straszyla wieżowcami, skutecznie zakłócającymi koronkową linię dachów Starego Miasta. Błogosławiąc Internet za to, że nie ma problemu ze zlokalizowaniem i dotarciem do wystawy „Spojrzenia”, skręcił powoli w boczną uliczkę prowadzącą wśród kilkupiętrowych bloków ozdobionych długimi balkonami. Klub rozpoznał z daleka i właśnie gdy do niego dojeżdżał, zadzwoniła komórka.

Powinien był się domyślić. Karol.

- Już wiesz? - zaczął krótko.

- Pewnie nie. - Janek westchnął filozoficznie.
- Aldona Miecik.
- Wiem. Piękna dziewczyna, poszukajcie jej dobrze. - Zasuwał zamek swojej skórzanej torby. - A na razie powiedz mi o tych „Spojrzeniach”. Sprawdziliście autorów prac i wszystko inne, prawda?
- Wyobraź sobie, że tak. Żadnych powiązań ze sprawą wśród pacjentów i personelu. Jeśli chcesz, prześlę ci nazwiska i dane.
- Proszę cię bardzo, ale jeśli wy nic nie znaleźliście - westchnął - to ja tym bardziej.
- Na wszelki wypadek, wyślę. I powiem ci coś, czego mam nadzieję, nie wiesz. Otóż dzisiaj rano, gdy koleżanka Aldony Miecik poszła do pracy, ktoś wszedł do ich mieszkania i dobrze skotłował pokój Aldony.
- Żartujesz! - Janek zastygł, trzymając rękę na klamce otwartych drzwi samochodu.
- Ani trochę. Domyślasz się, co zabrał?
- Komórkę i MP3?
- Dokładnie. Laptopa szczęśliwie nie miała. Jak wszedł, też pewnie wiesz.
- Bez problemu, mimo zamkniętych drzwi - zaproponował ponuro rzeźbiarz. - Bo rozumiem, że koleżanka otwartych nie zostawiła.
- Oczywiście, nie. Przysięga, że przekręciła klucz dwa razy i trudno jej nie uwierzyć, bo drzwi były zamknięte, gdy przyszliśmy. Sąsiedzi z góry zadzwonili do niej, że w mieszkaniu słychać dziwne hałasy. Ona do nas i razem wchodziliśmy.
- Rozsądna dziewczyna.
- Tak, też pielęgniarka. Nic nie wie o żadnym chłopaku Aldony ani nawet adoratorze, zna tylko jej babcię, która też nic nie wie 1 z wnuczką nie rozmawiała od tygodnia. Sąsiedzi oczywiście nic nie widzieli. W sumie duży blok, tylko ściany cienkie. Muszę na

razie kończyć. Aha, jeszcze jedno - dorzucił szybko. - Pracowała rok temu przez jakiś miesiąc w „Eurydyce”. Cześć.

- Cześć - odpowiedział myślami całkiem gdzie indziej. Taka atrakcyjna dziewczyna miałaby nie mieć chłopaka.

Oczywiście, życie w samotności nie jest zabronione, można na przykład poświęcić się dla społeczeństwa, składając w ofierze życie osobiste. Jednak nie wiadomo czemu, Jan Reising żywił głębokie przekonanie, iż w przypadku Aldony tego typu poświęcenie nie wchodziło w grę. Inne, być może.

Chyba dobrze, że ludzie wynaleźli coś takiego, jak praca. Od jakiegoś czasu Daria nie myślała o niczym innym i było jej z tym świetnie. Mecenas z uśmiechem nazwał ją małym samochodzikiem i spytał, czy nie zwolniłaby tempa, bo zaczyna za nią nie nadążać ze swoimi sprawami. W końcu zaproponował jej kawę. Przyjemnie było siedzieć obok niego w fotelu i przez chwilę poczuć się domowo. Bardziej niż we własnym mieszkaniu, bo w nim jest sama. Zaskoczyła ją ta nagła myśl. Banalne stwierdzenie, że dom tworzą ludzie, a nie ściany, i że może nie do końca dobrze jest być singlem.

Na to jednak nic nie poradzi. Nie będzie się siłować z życiem, bo nie ma ochoty na tragedię. Wspomnienie Danuty, która wydarła losowi trochę szczęścia i drogo za nie zapłaciła, powróciło znowu. Bez sensu, bo nie ma i nie będzie z jej postępowaniem mieć nic wspólnego.

- Zdążyła pani trochę poznać pana Reisinga? - Skinęła głową. — Bardzo jestem ciekaw pani wrażenia, w sumie jest moim klientem od dawna.

Nie miała zbyt wiele do powiedzenia.

- Wrażenie mam jak najlepsze. Składa się z samych zalet.

- Wszystkie kobiety tak twierdzą - stwierdził z przekonaniem Rawicz.
- Na początku - dodał mimochodem.

Roześmiała się.

- Słyszałam o jego czterech żonach. Ale chyba wszystkie żyją, -więc nie jest typem Henryka VIII.

- No rzeczywiście, nic z tych rzeczy. Co nie zmienia faktu, że jego rozprawy rozwodowe przypominały teatr. Raz Fredry, raz Witkacego. Zawsze z publicznością. - Pokręcił głową z uśmiechem na wspomnienie tych przeżyć. - Podejrzewam, że on już nigdy nie wydorosłeje.

Daria zastanowiła się.

- Nie myślałam o nim w ten sposób. Prawdę mówiąc, wydał mi się całkiem odpowiedzialny.

Mecenas westchnął zabawnie, kładąc przyjacielsko dłoń na jej ramieniu.

- To zdaje się normalna reakcja na pana Janka. Błagam, niech pani uważa na siebie. Małe zauroczenie w pani wieku oczywiście nie zaszkodzi, ale broń Boże, przed czymś więcej. W jego przypadku jestem autorytetem.

- W innych też - stwierdziła z przekonaniem. - Ale co do mnie, to myślę, że się nie zakochałam w nim na śmierć od razu, więc może uda mi się jakoś uchronić.

- Dzięki Bogu! - Komicznie wzniosł oczy do góry. - Mam nadzieję, że dotyczy to również pozostałych sąsiadek.

- Pewnie tak - uspokoiła go. - Urszula jest za mądra, a pani Bożena przecież - zamiast kończyć, wzruszyła ramionami - jest męzatką po prostu - dodała, widząc pytające spojrzenie Rawicza.

Wie, skąd się to wzięło. Niestety, jako profesjonalista wychwycił jej minimalne wahanie. Przyszło razem z błyskawicznym przypomnieniem momentu, gdy Bożena Korenda pierwszy raz zobaczyła Reisinga przed drzwiami jego mieszkania. Podali sobie ręce, on uśmiechał się po swojemu, ale jeśli chodzi o Bożenę, -Daria pamięta, że zobaczyła co innego. Spojrzenie i wyraz twarzy,

jakiego u niej nie znała. Czyżby mecenas, nawet żartując, jak zwykle miał rację?

Potem nie zwracała na to uwagi. Teraz też nie powie ani słowa.

- Rozum, niestety, nie ma tu najmniejszego znaczenia - przypomniał łagodnie prawnik - ale miejmy nadzieję, że pani koleżanka, o ile pamiętam po rozwodzie, ma trochę dystansu do spraw uczuciowych. Bo o panią doktorową nie bałbym się absolutnie.

Skinęła głową z przekonaniem. Rawicz z uśmiechem mówił dalej:

- Chociaż, z ręką na sercu, moje dziecko, najchętniej widziałbym panią szczęśliwie zakochaną. Ale, powtarzam, szczęśliwie. W kimś naprawdę odpowiednim.

Nie zdążyła nic powiedzieć, częściowo dlatego, iż nie miała na to żadnego pomysłu, a poza tym właśnie przysłała, trochę przed czasem, umówiona klientka.

Daria siadła przy komputerze. Wiedziała, że mecenas naprawdę troszczy się o nią. Trudno, żeby mu tłumaczyła, jaka jest prawda. I tak uznaliby ją za zwykłą bajkę.

Może to i lepiej. Szczęśliwe zakochanie trwa oczywiście jakiś czas. Potem jest bardzo szczęśliwe małżeństwo, a potem można na przykład zobaczyć męża w bliskiej przyjaźni z ładną brunetką. Chociaż jeśli ludzie sobie ufają, to taka scena może być całkowicie bez znaczenia.

Czy można komuś całkowicie wierzyć? Kogoś do końca poznać?

Niespodziewanie nasunęło jej się wspomnienie dzisiejszej porannej wizyty Korendy i jego badawczego spojrzenia. I nagle zrozumiała. Teraz wiedziała, że interesowało go nie tylko jej omdlenie.

On chciał wiedzieć wszystko.

Poczuła dreszcz, choć nie był to lęk. Przynajmniej nie taki, jak dzisiaj w bloku na Żoliborzu.

Jasne, musiało jej się to przypomnieć. Owszem, jeszcze trochę czuje nogę naciągniętą w kostce i przeszkadza jej nieco rozpruta

torba, jednakże ten krótki fragment życiorysu postanowiła nie tylko ukryć, ale całkowicie wymazać z pamięci.

Dzwonek telefonu pomagający zająć się terażniejszością. Ma szczęście, Urszula.

- Powiem od razu. Dzwoniła Bożena Korenda. Nie uwierzysz, co się stało.

- Na pewno nie. Dlaczego do ciebie stale ktoś dzwoni? I w dodatku z horrorami.

- Bo nie mieszkam tam stale, a mój numer miała, już nie pamiętam skąd. Otóż, powiem ci, że była bardzo zdenerwowana, bo okazało się, że z ich domku w Zrębiaku zginęła jeszcze jedna rzecz... - Na chwilę głos zanikł, może nabierała tchu.

- Coś bardzo cennego?

- No, nie wiem. Chodziło o taki jakby pamiętnik, ale służący też do zapisywania porad domowych i przepisów. Coś w rodzaju notesu, tylko stare i grube.

- Całkiem stare?

- Właśnie chyba całkiem. Ale i trochę nowe.

- Jesteś beznadziejna.

- Wiem. Nowe, bo jeszcze ojciec doktora zapisywał tam kiedyś swoje sprawy, a pochodziło w ogóle z głębokiego dziewiętnastego wieku. Co ty na to?

Daria nie odpowiedziała.

Ten ktoś pojawił się właściwie znikąd, zastrzelił człowieka z pistoletu sprzed stu sześćdziesięciu lat i zabrał pamiętnik z tych samych czasów.

- Żyjesz? - upewniła się Ula.

- Niestety. Ale już chyba niedługo. Wy tłumacz mi tylko, skąd zabytkowa książka znalazła się na działce.

- Doktorowa mówiła, a bardziej wrzeszczała, że kiedyś chcieli Przyrzędzić na grillu poncz według starego przepisu, ale nie wyszło i książka została w Zrębiaku.

- Też mi powód!

- Masz rację. Żaden. Wiesz, mnie się wydaje, że ona tego pamiętnika raczej nie lubiła.

- Możliwe. W sumie, nie musiała.

- Ale mogła bardziej szanować i teraz to rozumie. Słuchaj, chodźmy dzisiaj do galerii, ja wieczorem muszę być u siebie, to przedtem jeszcze pogadamy. Odreagujemy może na jakichś niewielkich zakupach.

Daria z trudem opanowała westchnienie. Oto cała Urszula. Jak mało kto ma zdrowie i zapał do biegania po dużych sklepach. Ale pomysł może być nie najgorszy.

- Chyba dobrze wymyśliłaś. Tam przynajmniej nie będzie nic muzealnego. Same cudowne, kochane, bezwartościowe rzeczy.

- Kończę o wpół do pierwszej. Będiesz miała przerwę?

- Chyba tak, ale nie wiem na pewno.

- Zadzwoń, a jeśli nie, to i tak chwilę zaczekam. Korenda mówił, że w żadnym wypadku twoich omdleń nie wolno lekceważyć, więc może jeszcze się naradzimy, jak cię postawić na nogi.

- Czy mogłabyś o mnie nie plotkować?

- Przecież to sąsiad - zaśmiała się Urszula. - Czyli obgadywanie w normie.

Pani Iza Dolant już wiedziała.

Przed kwadransem Alicja Bronowska, jakby zapominając o antypatii, wbiegła do sklepu, zatrzymała się przed właścicielką układającą na półce torebki z zupkami, nabrała tchu i bez wstępów wyrecytowała informację z ostatniej chwili. Pani Iza usłyszała, że pielęgniarka i sekretarka z Wi-Medu zaginęła wieczorem w niewyjaśnionych okolicznościach. Nie spotykała się z nikim, nie miała chłopaka, mimo że bardzo atrakcyjna, a jedynym mężczyzną, z którym była w jakikolwiek sposób zaprzyjaźniona, jest

doktor Korenda. On zresztą ściągnął ją do przychodni z kliniki, gdzie przedtem razem pracowali.

- Mówię pani to wszystko - zakończyła Bronowska - bo jest pani również, w jakiś sposób kobietą. - Na szczęście nie zauważyła morderczego błysku w oczach rozmówczynie. - A kobiety powinny się bez względu na wszystko trzymać razem. Bo nie wiadomo, co je spotka. - I uroczyście włożyła do koszyka paczkowane ciasto, chipsy, czekoladę i butelkę coli, posyłając sprzedawczyni porozumiewawczy uśmiech. - Teraz jadę spędzić dzień w redakcji. Mimo wszystko trzeba trochę popracować.

Po jej wyjściu dodatkowo ozdobionym promiennym, ostentacyjnie życzliwym uśmiechem, pani Iza usiadła przy ladzie, podpierając się łokciami.

Tak, pamiętała tę dziewczynę, uderzająco ładna i zgrabna. Przy tym towarzyska i inteligentna. Kiedy przez jakiś czas pracowała w „Eurydyce”, często wpadała do sklepu po coś słodkiego albo kolorowe czasopismo. Zdarzało się, że zamieniały parę zdań. Na początku o pogodzie, cenach, ciuchach. Potem trochę o pracy, ale nic szczególnego. Raz tylko, pamięta jak dzisiaj, ciepły, piękny dzień. Aldona przyszła wcześniej, miała przed „Eurydyką” chwilę na kawę i ciastko.

Wtedy jeszcze pani Iza obsłużyła młodą kobietę z córeczką, która chciała lizaka. Dziewczynka miała jakieś trzy lata, cztery kokardki na jasnych loczkach i dwa rzędy falbanek przy spódnicy.

Po jej wyjściu temat nasunął się sam. Małżeństwo, dzieci i co one dla kobiety oznaczają. Naprawdę była ciekawa, czy Aldona nia kogoś na poważnie i zdziwiła się bardzo, gdy ta stwierdziła, że nie. Owszem, spotyka się z różnymi kolegami, ale ani nie za często, ani niezobowiązująco.

Pani Iza zaczęła sobie przypominać siebie sprzed lat i zapytała ją, czy nigdy nie była zakochana. Dziewczyna jakoś tak dziwnie spojrzała i odpowiedziała, że do tej pory nie. I na chwilę zamilkła, jakby się bała coś powiedzieć. Potem westchnęła. Jak nastolatka,

a może trochę jak niedzisiejsza, sentymentalna panienska. Popatrzyła w okno, lekko się uśmiechnęła, chociaż nikogo nie było tam widać. Wzięła swoją wielką torbę z grubego płótna, pożegnała się i wyszła. Pani Iza z ciekawości wyjrzała za nią, ale dziewczyna stuknęła obcasami po wąskim chodniku prosto do „Eurydyki”.

Teraz stało się z nią coś niedobrego, może za mało mówiła o sobie. Nie dała sobie szansy na wysłuchanie rad, które niektórym czasem pomagają. Chronią na przykład przed zaplątaniem się w sprawy, z których potem trudno się wyrwać.

Iza Dolant sama nie zauważyła, kiedy zaczęła chodzić w kółko naokoło stolika i półek sklepowych. Jej zdenerwowanie rosło coraz bardziej. Za dużo jest nieszczęść. Najpierw znika Damian, potem zostaje zamordowany Hubert Nocoń, płonie „Eurydyka”, teraz z kolei znika Aldona. Wszystko to nie dzieje się nawet w jednym miejscu, a przecież nikt nawet nie wspomni, że nie ma ze sobą związku.

No właśnie. Związek między nimi. Dokładnie jeden i wystarczająco ważny, żeby pamiętać, co o nim mówią. Nie, nie będzie dłużej się dręczyć zastanawianiem, co robić.

Jednym ruchem wyjęła zza lady małą torebkę na długim pasku, na drzwiach przełożyła tabliczkę na stronę z napisem „Zamknięte”.

Powiew chłodnego wiatru nie ostudził jej nerwów, skłonił ją tylko do zarzucenia kaptura na bujne, długie włosy.

- Pani gdzieś idzie? - Były ochroniarz z „Eurydyki”, Kamil, podszedł właśnie od strony tego, co zostało z gabinetu piękności.

Energicznie przekręciła klucz w zamku.

- A owszem. Na policję.

- O, nieźle. - Nie przestawał żuć gumy. - Może złapią tego. - Ruchem ogolonej głowy wskazał zgliszcza. - Chociaż wolałbym pierwszy go spotkać.

- A co pan teraz porabia? Wzruszył ramionami.

- Bierze się to i owo. Panią ciągną do psiarni w temacie pożaru?

Uśmiechnęła się.

- Nie ciągną, bo sama idę. Ale z całkiem czym innym. Uniósł brwi z aprobatą.

- Pani idzie. - Skinął głową. - Pani mówi im, co wie, bo tu się coś niefajnego dzieje.

Oglądanie wystawy „Spojrzenia” nie mogło zająć dużo czasu. Mała salka trochę za gęsto wypełniona obrazkami różniącymi się bardzo formatem, techniką i poziomem. Od całkiem nieudolnych do dość interesujących. Takich było naprawdę kilka. Reising jeszcze raz uważnie przeczytał wszystkie podpisy. W sumie nie wiadomo po co, przecież Karol ma ich dawno wszystkich sprawdzonych. Tytuł pochodził pewnie od serii obrazków, których tematem były oczy. Dość pretensjonalne i w zasadzie nic szczególnego.

Wyróżniał się może jeden. Z pomarańczowego tła wyłaniało się ozdobione pokręconymi rzęsami, ale i bogate w czerwonawe żyłki, jasnoniebieskie oko. Spoglądało jakoś szczególnie, autentycznie wołało o pomoc. Rzeźbiarz postanowił, że wychodząc, kupi pocztówkę z tym właśnie oczkiem, żeby na niego patrzyło i przypominało, czym ma się zająć.

Przy stoliku starsza pani przyjmując skromną należność, wręczyła mu cegiełkę i pocztówkę z okiem i dopiero wtedy zauważył coś, co powinien był spostrzec od razu, wchodząc. Za jej plecami, obok wazonu wypełnionego suchą trawą, na jasnobieżowej ścianie wisiał utrzymany w podobnej tonacji, poprawnie, starannie namalowany widoczek przedstawiający nic innego, tylko kościół w Sieniewicach.

Dopiero, co go widział. Ale spotkanie. Janek z ledwością opanował głośnie: „Sie ma”. Babcia przy stoliku jednak nie mogła nie zauważyć jego reakcji, zwłaszcza że ta ją chyba uszczęśliwiła.

- Podoba się panu ten obrazek? - ośmieliła go.
- Niesamowicie. Musiał go namalować ktoś genialny.
- Ach, pan Władysław. - Pokiwała energicznie głową. - Niezwykle mądry człowiek. Dał go nam w prezencie, nie należy do wystawy. Sam zresztą też był tylko pacjentem dochodzącym.
- Widać świetną rękę. I architektura piękna.
- Tak, bo to kościółek w jego rodzinnej miejscowości. On jest, to znaczy, był nauczycielem. Polskiego. Wspaniały człowiek. - Jej okrągła twarz rozświetliła się. - Bardzo, bardzo nam pomagał.

No z pewnością. Reising jeszcze raz wyraził zachwyt obrazkiem i pożegnał się, pobierając dla porządku skromny katalog ze zdjęciami wszystkich obrazków.

Głęboko odetchnął wilgotnym powietrzem. Marcowy wiatr, mimo że przenikliwy, był teraz jego jedyną nadzieją na uspokojenie nerwów.

- Strach będzie schowek w aucie otworzyć - stwierdził głośno - bo któryś Korenda może nagle wyskoczyć.

Z zamyślenia upuścił kluczyki. O dziwo, nie trafił w kałużę.

- I jeszcze przez niego zaczynam gadać do siebie - obwieścił.

Ponieważ, może na szczęście, nikt go nie słuchał, z braku lepszych pomysłów rozłożył sobie katalog zgrabnie wydany w formie harmonijki. Oparty o szybę zajął całą szerokość deski. Naprawdę nie wiedział, czego szukać. W sumie na malarstwie za bardzo się nie znał. Na psychiatrii w ogóle. Nie ma też pojęcia, która z fotografii mogłaby stanowić jakiś punkt zaczepienia. Kompletnie nic sensownego nie przychodzi mu do głowy.

Jedyną metodą jest chwilę posiedzieć i zaczekać, aż któryś obrazek sam przemówi do niego. Niekoniecznie talentem, obojętne czym.

Przez jakiś czas, starając się tylko widzieć, a nie myśleć, uważnie lustrował wzrokiem całą miniaturową wystawę. I już wiedział, że liczą się tylko trzy.

Oczywiście, patrząc oczko, które od razu polubił, następnie znacznie mniej realistyczne w szczegółach drzewo, a raczej pień z grubą korą rozoraną przez jakieś nieszczęście, z kilkoma kroplami krwi. Dla lepszego wyrazu. Wygląda jakby temat ekologiczny, ale coś w nim jest.

No i trzeci, nie do uwierzenia. Dwa, trochę nieudolnie, ale z dużym staraniem odtworzone pistolety pojedynkowe. Jedna z luf dymiła. W tle z jednej strony kawałek łąki, z drugiej, fragment okna z białą firanką.

Reising westchnął ciężko. Prawie kpina. Ze zdrowego rozsądku. Czy ostatnio wszyscy myślą tylko o jednym?

Może w obiecany mailu od Karola znajdzie się coś, co postawi sprawę na nogi.

Zwinął katalog i wrzucił do torby.

- Albo na głowie - oznajmił sam sobie.

Z tak optymistycznym przypuszczeniem włączył silnik i powoli skierował się w stronę Wisły z zamiarem jak najszybszego dotarcia do centrum, które wbrew pewnym oporom, jakoś zdążył polubić.

Rzeka widoczna z mostu Poniatowskiego swoją bezbarwnością i smutkiem przywodziła na myśl ryciny Canaletta. Rzeźbiarz postanowił zatrzymać się w pobliżu Nowego Świata i dla poprawienia humoru posiedzieć trochę w pierwszej mniejszej lub większej kawiarni, która będzie odpowiednia do jego nastroju.

Właśnie chciał skręcić w Smolną i w jej wąskim przełyku szukać miejsca do zaparkowania, gdy słodko zabręczała komórka. Wyświetlone nazwisko spowodowało, że o mało nie wjechał na rondo, spotykając się z palmą. Maciek Korenda. W sumie niewiele przesadził z tym schowkiem.

Doktor nie ukrywał zdenerwowania. Okazało się, że zadzwonił do teściowej, chciał rozmawiać z żoną, a to było niemożliwe.

- Podobno Bożena pojechała do domu. Tak po prostu, chociaż miała być u niej. Jakby nic nie rozumiała.

- Skomentowałeś? - domyślił się Janek.
- Trochę. Mam prośbę. Boję się o nią. Czasem bywa strasznie dziecinna i nierozsądna. Nie rozumie, że teraz nie powinna być sama. - Zawahał się. - Czy mógłbyś sprawdzić, co się z nią dzieje i przez jakiś czas przypilnować? Dopóki nie będę wolny.
- Przestał mieć ochotę na kawę.
- Możesz być spokojny. Już jadę do domu i jestem bodyguard-dem twojej żony.

Alicja Bronowska z ulgą zrzuciła buty. Skórzane, z szerokimi nosami, na sam ich widok robiło się wygodnie i przyjemnie, a jeszcze milej po przeczytaniu marki. Ona jednak czuła, jakby były a żelaza. Dopiero potem zdjęła kurtkę i powiesiła na wieszaku. Zawiązując gumką jasne, ładnie ułożone włosy w sterzący kucyk, szybko doszła do kuchni, automatycznie włączyła czajnik i wsypała do kubka trzy czubate łyżeczki kawy.

Ciężko usiadła na taborecie i bez ruchu poczekała, aż ciemny napój będzie gotowy. Włączyła komputer i sącząc łyk po łyku, otworzyła skrzynkę mailową. Zacisnęła palce, aż krótkie paznokcie wbiły jej się w dłonie. Dopięła kawę i błyskawicznie wystukała krótką wiadomość.

Zerwała się i zaczęła nerwowo krążyć naokoło pokoju. W końcu zdecydowanym ruchem wyjęła z szuflady biurka kartonik z pastylkami i od razu połknęła dwie.

Już spokojniej usiadła w fotelu, opierając efektowne, zgrabnie ukształtowane nogi o niski stołeczek. Przymknęła oczy.

- Co ja zrobiłam? Czy tak musiało się stać? - spytała głośno. - Ale w końcu ona zawiniła - dodała ciszej.

Z krótkiej półdrzemki wyrwało ją bicie zegara. Odetchnęła głęboko i pomaszerowała przebrać się do sypialni. Bez namysłu zmieniła kolorystykę. Granatowa, wyszczuplająca spódnica leżała

doskonale, a niebieska bluzka miała dokładnie ten sam odcień. Skromny, ale staranny makijaż pomógł osiągnąć cel. Z włosami nie miała problemów nigdy. Kilka ruchów grzebieniem i mogła wyjść.

Doktor Korenda odprowadził do drzwi sześćdziesięcioletnią panią z chorobą wieńcową. Jeszcze raz przypomniał jej o diecie i mierzeniu ciśnienia. Była jego ostatnią zapisaną na przedpołudnie pacjentką i chyba całe szczęście. Wprawdzie umiał się koncentrować na pracy niezależnie od okoliczności, ale dzisiaj nie mógł dać sobie rady z dręczącym niepokojem.

Są sprawy, które trzeba wyjaśnić i to jak najszybciej. Niezależnie mogą okazać się tragiczne w skutkach.

Wreszcie sam w swoim niedużym, ale bardzo funkcjonalnie i nowocześnie urządzonej gabinecie, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Kiedy zauważył, że zaczyna bezwiednie kręcić się na obrotowym krześle, wstał i zamienił tę nerwową czynność na inną, czyli chodzenie w kółko po pokoju. Za chwilę zaczął jeszcze poprawiać ustawienie przedmiotów na biurku i półkach.

Nie, wystarczy. Koniec z zastanawianiem się. Jeśli nie zacznie działać, sam za moment będzie wymagał leczenia. Trzeba coś zdecydować, a najprostsze rozwiązania są najlepsze.

Zdecydowanym ruchem wyjął z kieszeni telefon i szybko odnalazł numer. Mecenas Rawicz.

Nie dając sobie czasu na wahanie, połączył się z kancelarią. Głos Darii, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, brzmiał naprawdę bardzo spokojnie. Nie była też zaskoczona, słysząc jego nazwisko. Albo jest tak profesjonalna, co bardziej prawdopodobne.

- Przede wszystkim proszę się nie obawiać, nie dzwonię z żadną nowiną, ostatnio było ich zbyt dużo. Mam natomiast

prośbę. Czy zechciałaby pani poświęcić mi trochę czasu dzisiaj w porze tak zwanego lunchu? Gdzieś na neutralnym gruncie. Chwila ciszy. Tego oczywiście nie miała prawa się spodziewać.

- Oczywiście. Czy jednak coś się stało?

- Nie, nie, naprawdę nic. Ale myślę, że w związku z ostatnimi wydarzeniami, jako sąsiedzi, mielibyśmy parę spraw do omówienia.

- No tak. - Znów wahanie. - Jakąś konkretną? Zrozumiałe, że to nie mogła być łatwa rozmowa. Bezwiednie

zaczął bawić się długopisem, czego absolutnie nie miał w zwyczaju.

- Owszem. Ale może pomówmy o tym gdzie indziej. Na przykład, jest takie spokojne miejsce, normalna kuchnia, bez egzotyki. Chyba, że pani woli co innego, może południowego?

- Zdecydowanie lepiej czuję się w naszym klimacie i polegam na pana wyborze.

- Jest to odpowiedzialność, ale postaram się nie zawieść. Mam tylko jedną prośbę. — Długopis już kreślił na papierze niezrozumiałe zygzaki. - Jestem przedtem umówiony w Akademii i będę jechał Alejami Niepodległości. Tam nie ma skrętu w lewo w Nowowiejską, a zanim przedrę się w pani kierunku, utknę w którymś z tamtejszych korków. Czy zamiast podjechać pod kancelarię, mógłbym umówić się z panią na rogu Nowowiejskiej? Tam, gdzie jest taki kiosk. W tym miejscu mogę być prawie co do minuty.

- To bardzo dobre miejsce, również dla mnie. O której pan mnie stamtąd zdejmie? - W jej spokojnym głosie słychać było lekkie rozbawienie.

- Dziękuję, że pani się nie obraziła. W południe, o trzynastej?

- Bardzo dobra godzina. Wobec tego, do zobaczenia. Pożegnał się i odetchnął z wyraźną ulgą. Mogło być znacznie

gorzej, taki sposób umawiania się jest jednak chamski. Na przykład teściowa z pewnością skomentowałaby odpowiednio jego zachowanie.

W sumie nie czuje się z tym dobrze.

Z niczym nie czuje się dobrze. Teraz jeszcze jeden telefon.

Bożena Korenda bardziej niż siebie, przypominała którąś z postaci ze swoich ilustracji do bajek. Na bawełniany, brązowy T-shirt zarzuciła przetykaną złotawą nicią, miękką pasową chustę. Rozsypujące się na ramiona włosy przypięła dużą spinką w tych samych kolorach.

Widząc ją na tle starego kilimu, pistoletów i mosiężnego żyrandola, Reising miał przez chwilę wrażenie znalezienia się w innej epoce. Na szczęście bardzo krótko. Zdenerwowanie żony doktora, aż nadto wyraźne przez telefon, nie minęło ani trochę.

- Wiem, że Maciek się o mnie boi, wiem, że powinnam siedzieć u mamy, wiem, że sprawiam ci kłopot, ale jest większy problem.

Zawinięta w chustę zaczęła nerwowo krążyć naokoło dużego, politurowanego stołu.

Janek oparty bezpiecznie o ścianę usiłował nadążyć za nią wzrokiem.

- Nie rozumiem, jak mogłam tego nie zauważyć. Po prostu, nie myślałam, całkiem zapomniałam! Policja ma mnie teraz za wariatkę, która nie wie, co mówi. Dla nich stałam się kompletnie niewiarygodna i nie będą mnie słuchać.

Wzruszył ramionami.

- Chyba można o czymś zapomnieć. Zwłaszcza w stresie.

- Nie wiem, w jaki sposób im powiedzieć i czy w ogóle mówić. Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Podsumowując, ani cebulki, ani w co wkroić. Ale najpierw zatrzymaj się. No, po prostu stań w miejscu.

W końcu posłuchała. Udało mu się nawet posadzić ją na krześle z wysokim oparciem. Sam usiadł po drugiej stronie stołu.

- Teraz poproszę wszystko od samego początku - powiedział łagodnie. Patrząc, nie mógł powstrzymać się od ustalania, w jakim materiale należałoby utrwalić jej niezwykle piękną twarz.

- Dobrze. - Z wysiłkiem uśmiechnęła się. - Mamy, to znaczy, mieliśmy taką książkę, a raczej brulion, w którym zapisywane były różne rzeczy. Zdarzenia, adresy, przepisy, czasem wiersze. Należał do rodziny Maćka, głównie pisały go kobiety, ale nie tylko. - Zawahała się a moment, ale mówiła dalej. - Był bardzo stary, chyba gdzieś z połowy dziewiętnastego wieku, ale miał sporo ciekawych przepisów. Chcieliśmy wypróbować poncz podczas grilla i przywieźliśmy pamiętnik do Zrębiaka. Ponieważ ja nie przepadam za gotowaniem, chyba że na powietrzu, więc już tam został. I na pewno nikt go nie ruszał z kufra. - Spojrzała prosto w oczy rzeźbiarza.

Już wiedział. Ona może być tylko z porcelany. Cudo.

- Kiedy patrzyliśmy, czy nic nie zginęło, sprawdzałam kufer, bo tam były poza nim tylko moje dawne książki jeszcze z dzieciństwa i zapomniałam o tamtym. Ale wiem na pewno, że go wtedy nie było. I dzisiaj potwierdziło się. Moja mama chciała przepis na tego nieszczęsnego sandacza, dałam jej klucz, pojechała do Zrębiaka z policją. I nie ma! Na pewno był przedtem, pamiętam, w którym miejscu w kufrze!

Reising w zamyśleniu próbował zmierzić swoje krótko przycięte, jasne włosy.

- Na pewno nikt przed morderstwem nie zabrał książki? Może była na chwilę potrzebna.

Energicznie wstrząsnęła głową.

- Absolutnie nie. Klucz do Zrębiaka jest jeden i stale u nas. A Maciek nie wziął pamiętnika na pewno. On wie, co robi.

- Rozumiem. Ale właściwie, czym się tak przejmujesz? Gwizdnięcie starego brulionu, to w porównaniu z zastrzeleniem człowieka, niewiele. Było w nim coś specjalnego? Ważnego dla ciebie?

Bożena Korenda zmięła w drobnych palcach frędzel chusty.

- Tam nie było nic mojego - odpowiedziała dziwnie spokojnie. Stanowczo zbyt spokojnie. Ułożona panienka z dobrego domu, która wie, że eleganckie jest tylko opanowanie. Rzeźbiarz był przekonany, że nie wróży to nic dobrego, bo nerwy w końcu upomną się o swoje.

- Mam prośbę - mówiła swoim równym, niskim głosem. -Janku, bo rozumiem, że mogę cię tak nazywać - uśmiechnęła się.

- Przecież jesteśmy kolegami — zaznaczył.

- Jeśli masz trochę czasu, by stracić go dla mnie, to powinnam pojechać do mieszkania mojej koleżanki podlać kwiatki i nakarmić ryby. Nie jest blisko, ale pokażę ci, jak ominąć korki.

- To w ogóle możliwe? - roześmiał się. - Świetnie, pomogę zrobić dobry uczynek.

- W nagrodę pokażę ci od razu naprawdę ciekawy sklep w tym samym domu. Można w nim dostać różne dziwne rupiecie. Jedne egzotyczne, drugie udają antyki, a jeszcze inne są naprawdę stare i czarująco niepotrzebne.

Narzuciła krótką, skórzaną kurtkę, chustę zawiązując pod brodą. Schodząc na dół, zeskakiwała ze schodów jak dziewczynka.

- Czuję normalność - stwierdziła. - Przynajmniej przez chwilę. W samochodzie skupiona obserwowała przednią szybę, jakby to ona prowadziła, a nie siedziała obok kierowcy.

- Ilona jest moją koleżanką ze studiów - wyjaśniała. - Pojechała na południe Francji, a ja w rozsądnych granicach zajmuję się jej mieszkaniem. Prócz standardowego podlewania i karmienia, wyjmuję korespondencję czasem świecę światło. Chociaż naokoło przewija się tyle ludzi, że włamania można się nie bać. Bardziej zagrażają najazdy Malutkiej.

- Brzmi groźnie.

- Właśnie. Młodsza siostra Ilony mieszka w Katowicach Czasem pojawia się na kilka dni, bierze klucz i najczęściej urządza imprezę. Potem oddaje klucz. Jest cały czas miła.

- A mieszkania nie daje się poznać.
- Dokładnie. Ostatnio złożyła wizytę jakieś trzy tygodnie temu.
- Współczuję.
- Zależało mi tylko, żeby sanepid się nie czepiał i do tego ograniczyłam działalność interwencyjną.
- Absolutnie słusznie - uśmiechnął się rzeźbiarz. - A co twój mąż na to?

Spoważniała.

- Maciek? Zupełnie nic. Nie wiem nawet, czy pamięta, że tam jeżdżę. Przez jakiś czas milczeli. Reising starając się nie ochlapywać niewinnych przechodniów i nie zabijać tych, którzy się o to proszą w pobliżu przystanków, miał chwilę na ocenę swojej działalności. W sumie źle nie jest. Opiekuje się piękną kobietą na wyraźne polecenie jej męża, który jako jedyny ma cień szansy stać się podejrzanym. Nic bardziej spektakularnego do roboty nie było.

Najwyżej trochę zaniedbał wcielanie się w rolę ciężko myślącego. Ale może wcale nie potrzebuje udawać. Nie pamięta, żeby ostatnio wymyślił coś sensownego, nie mówiąc o inteligentnym pomysle.

Na razie należy mieć przynajmniej nadzieję, iż mieszkanie Ilony nie okaże się kolejnym składem zabytków. Ani nie znajdzie się tam nagle jakaś rzecz prościutko z Sieniewic!

- Mówi się o twoich licznych małżeństwach. - Zmieniła temat, ale oczywiście nie zaskakująco. - I rozwodach bez złości i nienawiści.

Skrzywił się.

- W zasadzie tak. O nieuniknionych inwektywach staram się nie pamiętać. - Nawierzchnię coś zepsuło, skupił się na prowadzeniu. - Jest to sposób na miłsze życie.

Rzuciła krótkie spojrzenie na jego widoczne spod odwiniętych rękawów swetra opalone, silne ręce.

- Pewnie nie możesz sobie wyobrazić, jak można żyć w poczuciu, że jest się gorszym?

- No, nie bardzo. Ale wiem, że ludzie usiłują radzić sobie z takim problemami.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Oczywiście. Trochę nawet czytałam. Ale jeśli obiektywnie wszystko jest w porządku, a jednak stale czuje się dominację najbliższej osoby, taką niewolę emocjonalną, wtedy - przerwała na sekundę i wzięła głęboki oddech - nie wiadomo czasem, czy się istnieje naprawdę.

Zatrzymali się na światłach. Reising położył ramię na oparciu jej fotela. Poczul na sobie spojrzenie dużych, jasnobrązowych oczu.

- Jeśli obiektywnie nic nie widać - powiedział cicho - to może problem istnieje w tobie. Może zaszłości z dzieciństwa. Z tego typu sprawami na ogół nietrudno się uporać.

Zawinęła się szczelnie w kurtkę i utkwiała wzrok w przedniej szybie. Ruszyli na zielonym.

- Niezupełnie. Dzieciństwo miałam świetne. I nie nauczyło mnie, jak żyć bez poczucia bezpieczeństwa. Nie wiedziałam, co to zagrożenie.

- Coś ci zagraża?

-Nie wiem. W zasadzie raczej ja jestem zagrożeniem.

- O, to chyba lepiej - odezwał się tak głupio, jak potrafił. -Nie rozumiesz. Jeżeli w małżeństwie staje się, chcąc nie

chcąc, świadomym pewnych spraw rodzinnych, to w pewnym momencie wie się na przykład taką rzecz, która dla mnie w istocie w ogóle nie jest ważna, a dla kogoś może być... - Zadrzała, choć w samochodzie było ciepło. - Ja wiem, że o sprawie nie będę mówić, ale czy to dla wszystkich jest pewne? Przecież nic w życiu nie jest pewne.

- Tu masz rację - stwierdził z powagą.

Nie słuchała go przejęta własnymi myślami.

- Jeszcze ten nieszczęsny pamiętnik z zapiskiem. To mnie dobiło. - Wyraźnie usiłowała zapanować nad nerwami. - Nie, proszę cię, nie myśl o tym, co powiedziałam. Najlepiej w ogóle zapomnij. Wiesz, że w małżeństwie zdarza się histeria.

Skinął głową z głębokim przekonaniem. Wiedział, ale jeśli chodzi o Marię Consuelę, to żadna europejska histeria nie dorównywała jej leciutkiemu podenerwowaniu.

Dojeżdżali. Sklepiak ze starociami zaliczyli obowiązkowo, ale bez entuzjazmu. Oboje nie mieli nastroju i na szczęście był mały, wciśnięty jak dziupła między większe sklepy na parterze dość długiego bloku mieszkalnego.

Bożena Korenda uspokoiła się, albo przynajmniej sprawiała takie wrażenie.

- Wejdiesz ze mną na górę? Winda stale się psuje, ale to tylko trzecie piętro. W środku nie będę miała dużo do roboty.

Rzeczywiście, wchodzili po schodach. Po drodze minęli na pierwszym piętrze dwie starsze osoby, wyżej mamę z dzieckiem i rozgadane licealistki.

- Ruch jak na Marszałkowskiej - zdziwił się rzeźbiarz. - Co się tutaj wyprawia?

- Normalnie. Popatrz, gabinet masażu, przeróbki krawieckie i dentysta. Dla każdego coś się znajdzie.

- Faktycznie. - Rozejrzył się. - Brakuje tylko zakładu pogrzebowego. O, przepraszam - dotknął leciutko jej włosów - głupi dowcip.

Spojrzała swoimi dużymi jasnobrązowymi oczami, rozświetlając twarz uśmiechem.

- Może poczucie humoru pozwoliłoby to wszystko jakoś przetrzymać. Tu jest mieszkanie Ilony. Spodoba ci się.

Miała rację. Weszli do jasnego, niedużego przedpokoju. Na białych ścianach wisały ozdoby z kolorowych sznurków.

Bożena pewnym krokiem, zagłębiając swoje luźno zawiązane martensy w beżowym futrzaku, przemierzyła duży pokój

i uchyliła okno. Na pewno poprawiło to atmosferę składającą się głównie z zapachu papierosów i jakiegoś perfumowanego środka czystości.

Podczas gdy jego towarzyszka zajmowała się nalewaniem wody do doniczek, Reising bez specjalnego zainteresowania rozglądał się naokoło. Królowało sosnowe drewno. Dużo półek zastawionych przede wszystkim książkami, ale również figurkami z gliny i drewna. Na służącej za stół ławie coś chyba własnoręcznie uplecionego.

Złotawoczerwone rybki w dużym akwariium wyraźnie ożywiły się, przewidując ucztę. Rzeźbiarz zrobił sobie spacer po reszcie mieszkania. Tak, stwierdził, że żona doktora wzorowo wywiązywała się z dbania o mieszkanie. W kuchni urządzonej trochę w stylu wiejskiej chaty wszystko umyte i równiutko ustawione. W sypialni prawie całą powierzchnię zajmowało duże, tradycyjne łóżko idealnie, niemal wojskowo zaścielone. Janek odruchowo uniósł brwi. Doktor musi być zadowolony z tak starannej małżonki.

Wrócił do dziennego pokoju. Bożena Korenda na wysokim taborecie kończyła podlewać pnącego się po ścianie scindapsusa.

- Gotowe. Misja zakończona - oznajmiła, zamierzając zeskoczyć.

- Ostrożnie! - Wyciągnął ramiona, żeby jej pomóc. Oparła się na nich i pozwoliła postawić na podłodze. Przez moment trzymał ją bardzo blisko, czując jej lekkie drżenie. Odsunęła się.

- Wracajmy - powiedziała trochę zmienionym głosem i błyskawicznie znalazła się przy drzwiach. Gdy podawał jej kurtkę, popatrzyła w lustro i wtedy ich spojrzenia spotkały się. Oboje przez chwilę oglądali siebie jako parę. Kobietę i mężczyznę, który obejmował ją, podając okrycie.

Nie powiedzieli ani słowa. Ze schodów zeszli szybko. Przed blokiem Bożena chciała założyć na głowę chustkę, ale Przeszkodził jej dzwonek komórki. Po stosunkowo krótkim czasie

udało się jej wyszarpnąć telefon z głębi przepaścistej, sztruksowo--skórzanej torby.

Przez chwilę słuchała, tylko potakując. Na koniec z wyraźną ulgą, choć uśmiechając się jak automat, wcisnęła czerwony guziczek.

- Oni chcą ze mną coś jeszcze ustalić. To znaczy, policja.

- Odetchnęła ciężko. - Może i dobrze, od razu powiem o pamiętniku. Będę miała sprawę z głowy.

Reising otwierał drzwi samochodu.

- Bardzo słusznie. Lepiej pozbyć się problemu i nie myśleć o nim. - Uśmiechnął się swoim jasnoniebieskim spojrzeniem.

- Na pewno nic ważnego się nie stało, że tamta rzecz zginęła. Przecież nie mogła mieć związku z morderstwem.

- No właśnie.

Z nieznanых powodów zajęła tylny fotel, ignorując miejsce obok kierowcy. Nie zdecydował się zapytać. Czasem lepiej nie wiedzieć, dlaczego kobieta postępuje tak, a nie inaczej.

- Mów mi, jak mam jechać, bo nie mam dużej wprawy w wizytach w stołecznej policji.

Przez drogę zamienili tylko parę krótkich zdań niezbędnych, by trafić na miejsce.

Reising widział w lusterku piękną twarz dziewczyny nieruchomą w zamyśleniu. Nieobecną, zasłuchaną we własne myśli.

- Zaczekam na ciebie - stwierdził, gdy dojechali. Potrząsnęła głową.

- Nie wiadomo, ile to zajmie, dziękuję ci. Poproszę, żeby oni odwieźli mnie do mamy.

Po telefonie od Korendy Daria czuła się dziwnie. Prawdę mówiąc, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Może najmniej kłopotliwie było po prostu odmówić, tłumacząc się nawałem pracy, ale

mecenas nie miał nic przeciwko jej wyjściu, zwłaszcza że właśnie pojawiło się dwoje gotowych do pracy aplikantów.

- To bardzo dobry pomysł - uśmiechnął się ciepło. - Spotkanie z lekarzem każdemu z nas by się przydało, a Korenda jest miłym człowiekiem. Poza tym - uniósł palec do góry - lunch na pewno będzie bardzo, bardzo zdrowy.

Z odliczeniem czekania na tramwaj dwadzieścia minut powinno znakomicie wystarczyć. Daria nie miała nigdy problemu z punktualnością, teraz też będzie co najmniej kilka minut przed czasem, żeby spotkanie odbyło się zgodnie z umową.

Rzuciła okiem w lustro. Naprawdę dobrze, że zmieniła chustkę, tym bardziej, że arafatkę nosiła stale. Równie dobrze pasuje do sztruksowego beretu z daszkiem, który zaraz naciągnie na uszy.

Szybko zbiegała po krętych schodach. Do tej pory jeszcze nie zaczęła się zastanawiać, dlaczego Korenda do niej zadzwonił i o czym chce z nią rozmawiać.

Mimo że świeciło blade słońce, nie czuło się wiosennego ciepła. Wymijając szybko idących przechodniów, znalazła się na Nowowiejskiej, żeby zobaczyć dziewiętnastkę właśnie odjeżdżającą z przystanku przed Waryńskiego. Nie szkodzi, są inne tramwaje.

Biorąc przykład z innych, odruchowo przyglądała się wystawie z wyprzedzą zimowego obuwia. Wysokie, starannie wyprofilowane kozaczki skojarzyły jej się z Aldoną Miecik.

Z nią, oczywiście, Korenda miał dużo wspólnych tematów.

Daria wzdrygnęła się. Bezsensowne. Automatycznie spojrzała na zegarek. Jest jeszcze trochę czasu.

Korenda musiał mieć jakiś naprawdę ważny powód, żeby umawiać się z nią w środku dnia. Może wobec tego nie powinna iść. Nie ma takich rzeczy, o których nie można mówić w domu, a nawet przy innych.

Na plac Zbawiciela skręcała trzydziestka piątka. Daria, przepuściwszy mamę z małym dzieckiem, stanęła przy oknie w środku pierwszego wagonu. Dziewczynka w ocieplanym, spacerowym

wózku chyba już od jakiegoś czasu marudziła, mimo obwarzanka rozpaczliwie wpychanego jej przez bladą matkę, z wymykającymi się spod beretu wypłowiałymi włosami.

Nie była to chodząca reklama macierzyństwa. No cóż, dla niej, Darii, problem nie istnieje. Wprawdzie do urodzenia dziecka nie potrzeba szczęścia w miłości, ale nawet to nie udało się żadnej z rodu Kalińskich, z Zofią włącznie i po niej. W sumie nieźle choć trochę znać swoją przyszłość, może dobrze byłoby wiedzieć, czy będzie się cierpiało z czyjegoś powodu. Ale na to przecież można mieć wpływ. Nic nie zmusi kobiety do wplątania się w romans, zwłaszcza beznadziejny.

Tramwaj zatrzymał się przy Politechnice i od razu bardziej zaludnił. Oprócz głośno rozmawiającej grupki studentów, powoli i z godnością wkroczyła dama w wieku nie bardzo określonym, ale z pewnością powyżej osiemdziesiątki. W szerokim, fałdzistym płaszczu, ozdobiona dziwnym szalem i jeszcze niezwyklejszym kapeluszem, najbardziej wiarygodna byłaby jako ożywiony eksponat muzealny. Jednak uwagę wszystkich wokół zwróciła dopiero, gdy wypuściła na podłogę trzymanego pod pachą średniej wielkości pieska rasy zdecydowanie mieszanej.

Kudłaty pasażer szybko i z wdziękiem depcząc po nogach podróżnych, przemieścił się w kierunku wózka i usiadł przy nim zadowolony. Najpierw kontrolnie obwąchał dziecko. Po stwierdzeniu, że wszystko w porządku, wywiesił język i tryumfalnie rozejrzał się dokoła.

Matka dziewczynki podskoczyła nerwowo.

- Czy pani ma kaganiec dla psa? - spytała ostrym tonem. Starsza pani wzruszyła ramionami.

- Nie, ale on jest na smyczy. Nie widzi pani? - odparła niskim, schrypniętym głosem, a jej pupil potwierdził to radosnym szczeknięciem.

- Pies w tramwaju musi nosić kaganiec - stwierdziła młoda kobieta dobitnie i spojrzała na studentów.

- Tak, taki jest przepis - odezwała się dziewczyna z długimi włosami, w okularach o szerokiej ciemnoniebieskiej oprawie. - Bo inaczej stanowi niebezpieczeństwo - dodał jej kolega.

- Nie będziecie mnie uczyć - zareagowała ostro dama. - Cicho, Niuniek.

Niuniek jednak niespecjalnie chciał być cicho, znacznie bardziej wolał brać aktywny udział w dyskusji. Nie mogło to ujść uwagi motorniczego, który zamknął swoją kabinę i pojawił się na schodkach.

- Pani nie chce założyć kagańca psu - poinformowała dobitnie matka dziewczynki.

Motorniczy, czterdziestokilkuletni, lekko łysiejący, skrzywił się.

- Ma pani kaganiec?

- Nie mam, no i co?

- Pani wysiada. -Nie.

- To nie jedziemy.

- Też coś!

Niuniek również się oburzył i dał temu głośny wyraz.

- Nie jedziemy.

- Niech pani wysiądzie, nie ma rady - zaczęli perswadować studenci.

Motorniczy stał z rękami w kieszeniach. Starsza dama wzięła pieska pod pachę i spojrzała wyniośle. - Dziad - skomentowała, wychodząc z tramwaju. Wypuściła kundelka na chodnik i wzięła głębszy oddech.

- Dziad, dziad! - powtórzyła bardzo donośnie. Wyciągnęła w kierunku kabiny motorniczego dłoń w falbaniastej rękawiczce i wskazała na niego palcem.

- A żebyś teraz, dziadu, z miejsca nie ruszył! - I zamasyście skierowała się w stronę Noakowskiego.

Motorniczy, który zresztą mógłby być jej wnukiem, spokojnie włączył zamykanie drzwi w celu kontynuowania jazdy. Pasażerowie siedząc już wygodniej, z ulgą spojrzeli w okna, czekając na ruszenie tramwaju.

I nie stało się dokładnie nic.

Tramwaj został w miejscu.

Dobrą chwilę trwało, zanim w drzwiach znów pojawił się motorniczy, tym razem bardzo zakłopotany.

- Naprawdę nie wiem, co się stało. Mamy awarię. - Rozłożył ręce. - Nie pojedziemy. Bardzo mi przykro, nie mam pojęcia.

Ludzie skierowali się do wyjścia szybko, bez komentarzy. Tylko studenci ze śmiechem mówili o oczywistości przyczyny niezbyt miłego zdarzenia.

Daria spojrzała na zegarek. Przystanek jest krótki, ale nawet, jeśli się bardzo pośpieszy, będzie kilka minut po dwunastej. Bardzo nie lubiła się spóźniać, zwłaszcza umówiona w taki szczególny sposób. Szła szybkim krokiem, wymijając innych na wąskim chodniku wzdłuż torów, z trudem powstrzymując się od biegu. Lekko zdyszana dotarła do skrzyżowania z Alejami Niepodległości.

Czekając na czerwonym świetle, oglądała przez szerokość ulicy miejsce, w którym właśnie powinna się znajdować. O tej porze było tam mało przechodniów. Pod kioskiem trójka licealistów, pewnie ze Staszica po drugiej stronie Nowowiejskiej, przestrzeń przy zbiegu ulic prawie pusta. Prawie. Stała tam tylko jedna dziewczyna i Daria zastygła w zdumieniu.

Właśnie zobaczyła samą siebie.

Wszystko się zgadzało. Wzrost, figura, dzinsy i czarna, lekko odcinana w pasie kurtka, prostokątna torba na dwóch paskach, identyczna czapka z daszkiem. Spod niej ciemne, proste włosy wokół owalnej lekko opalonej twarzy częściowo zasłoniętej dłonią, ponieważ dziewczyna rozmawiała przez komórkę. Tylko jedna rzecz była inna.

Daria dotknęła chustki pod szyją. W porządku. Wełniana, z tureckim wzorem w kolorze lila, którą założyła po raz pierwszy. \V odróżnieniu od arafatki, którą właśnie ma na sobie po drugiej stronie ulicy.

Wiedziała, że powinna tam znaleźć się jak najszybciej i urealnić to coś, czego nie rozumie.

Czy dziś rano zaczęła istnieć dwa razy, w równoległy sposób? Dziewczyna naprzeciw, ciągle rozmawiając, zbliżyła się do jezdni zaledwie kilka kroków. Daria zamrugła powiekami przy wiejącym w oczy wietrze. Prawie na pewno widzi swoją twarz. W każdym razie nie dostrzega żadnej różnicy.

Chciała przejść, ale światło znowu zmieniło się na czerwone. Samochody ruszyły, stopniowo nabierając prędkości. Z wyjątkiem jednego, czarnego BMW, które właśnie dojeżdżało do pasów, mając na liczniku wyraźnie dużo więcej niż dozwolone. Jeszcze przyśpieszając, płynnym, węzowym ruchem przecięło półkolisty chodnik rogu ulicy i precyzyjnie dołączyło do ruchu na Alejach Niepodległości.

Wszystko stało się błyskawicznie, auta przejeżdżały dalej. Dziewczyna z komórką nawet nie zdążyła krzyknąć. Leżała nieruchomo w szybko powiększającej się kałuży krwi.

Daria nie wiedziała, ile czasu upłynęło do zmiany świateł, ani jak przebiegła ulicę. Gdy znalazła się wystarczająco blisko, żeby zobaczyć to, co skłoniło ją do zamknięcia oczu, ktoś delikatnie pociągnął za rękaw jej kurtki.

- Chodź, nic nie pomożemy. - Jeden z licealistów z sięgającymi kołnierza kręconymi włosami patrzył na nią uważnie zza okularów. - Już wezwałem pogotowie - rzucił głośniejszym głosem w kierunku mężczyzny, który zaczynał wysiadać z furgonetki.

Odwróciła się i próbowała rozejrzeć. Nadeszła straż miejska, nieliczni przechodnie zatrzymywali się na chwilę, ale widok zmasakrowanego ciała był zbyt przerażający, by zgromadzić tłum gapiów.

Zdrętwiała, usiłowała powiedzieć cokolwiek. Drugi z uczniów, wysoki szczupły ze sterczącymi ciemnoblond włosami, chyba pytał, jak się czuje. Jego koleżanka, drobna, z gładko zaczesanym, ciemnym końskim ogonem była bardziej energiczna.

- Oddychaj głęboko - rozkazała. - I patrz na nas. Ja jestem Aśka, a to Michał. Łukasz zdążył zapamiętać część numeru tego bandyty, daleko nie ucieknie.

- Ja jestem Daria. - Głos miała całkiem nie swój, jakiś zduszony.

- Mówisz! - ucieszył się Michał. - To znaczy, że jesteś prawdziwa.

- Przestań - wtrąciła dziewczyna.

Oboje przyglądali jej się uważnie, Aśka udawała, że tego nie robi. Chłopak swoimi bardzo żywymi, szarymi oczami lustrował ją od stóp do głów.

- Jeden element jest wyraźnie różny - stwierdził z zadowoleniem, nie zważając na średnio dyskretne uciszanie przez koleżankę. - I to chyba bardzo dobrze.

- Weźcie ją stąd. Może na herbatę. - Podszedł Łukasz. - Ja muszę zostać.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Umówiłam się. Ale nie odchodźcie przez chwilę - poprosiła.

Zapanowała dziwna cisza. Młodzi ludzie wymienili spojrzenia, drobna twarz Aśki znieruchomiała. Michał podniósł brwi.

- Miałaś tu być o tej porze? - spytał z naciskiem.

- Tak, ale się spóźniłam - odpowiedziała automatycznie. Jego błyszczące oczy zwęziły się.

- Wiesz, to chyba lepiej będzie, jeśli staniesz gdzie indziej. Na przykład przy kiosku. - Lekko się uśmiechnął. - Albo lepiej gdzieś za nim.

- Przestań - powtórzyła Aśka.

Daria nie protestowała. Przeszła z nimi kilka kroków. Karetka już była. Pojawił się czarny, plastikowy worek. Nieliczni ciekawscy rozchodzili się.

Nareszcie. Beżowy opel z charakterystycznym zderzakiem, nieomylnie należący do Macieja Korendy, zatrzymał się na chodniku w niedozwolony sposób, ale doktor szybko przywitał się z lekarzem z pogotowia i podbiegł do Darii.

- Nic się pani nie stało? - zapytał, nie zwracając uwagi na ironiczny uśmiezek Michała. - Nie powinna pani tu dłużej być.

- Otoczył ją ramieniem. - Dziękuję wam za zaopiekowanie się.

- Podał im rękę każdemu po kolei. - I bardzo przepraszam za spóźnienie. Zatrzymano mnie na oddziale.

Przed wejściem do samochodu odwróciła się. Młodzi ludzie nie ruszyli się z miejsca. Stali i odprowadzali ją wzrokiem. Chciała zamachać na pożegnanie, ale nie miała siły.

Korenda usiadł za kierownicą i odwrócił się do niej. Nagle zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy znalazła się w jego bezpośredniej bliskości.

- Uczestnictwo w tak traumatycznym zdarzeniu to poważna rzecz. - Czują na sobie jego kontrolujące spojrzenie. - Myślę, że najlepiej by było, gdyby panią w tej chwili zajął się specjalista. Mam kolegę, który jest bardzo skuteczny.

- Nie - odezwała się tak zdecydowanie, że zaskoczyła samą siebie. - Absolutnie nie. Mnie przecież nic się nie stało. - Położyła akcent na „mnie”.

- Rzeczywiście, to nie była pani - stwierdził. - Ale... Daria wzdrygnęła się.

- Czy sprawa, o której pan chciał rozmawiać, może poczekać?

- Przerwała mu.

- Oczywiście.

- W takim razie, prosiłabym o zawiezenie mnie do szkoły Urszuli. Jest niedaleko.

Skinął głową. Prowadził samochód uważnie, w sposób płynny, zaskakujący, jeśli pamiętać jego zwykle energiczny sposób poruszania się.

- Byłbym spokojniejszy, gdyby pani teraz płakała, krzyczała albo miała inne sensacje. Natomiast w tej sytuacji, obawiam się, że stres da znać o sobie w sposób podstępny. Przyda się teraz bardzo opieka kogoś bliskiego. Pani Ula Więcek, to dobry pomysł.

Słuchała go niezbyt uważnie. Wiedziała, że nie powie jej tego, co istotne.

- Na wszelki wypadek, wymieńmy numery telefonów. Chciałbym mieć pewność, że wszystko w porządku.

Spojrzała na niego po raz pierwszy, odkąd znalazła się w samochodzie. Kolorystycznie zespolony z otoczeniem, jasnowłosy, tylko zarost odcinał od tła ciemnym obramowaniem jego zarysowany regularną linią profil. Pewny siebie, panujący nad sytuacją, nawet opiekuńczy. Obok kogoś takiego kobieta po prostu musi czuć się świetnie.

Nie ona i nie dzisiaj.

Wyjęła komórkę. Marzyła teraz o jednym. Zobaczyć się z Urszulą.

Reising stwierdził, że do obiadu, na który był umówiony z mecenasem Rawiczem, zostało dużo czasu. E-mail od Karola jeszcze nie przyszedł, pora zająć się czymś pożytecznym.

Dojeżdżając do ronda, musiał się na coś zdecydować i wybrał skręt w prawo.

Pożyteczne jest spełnianie dobrych uczynków. Na przystanku autobusowym, wśród zziębniętych wypatrujących swojego numeru, krążył niezbyt chyba obecny duchem Sebastian. Szczęśliwie na krótki dźwięk klaksonu zareagował prawidłowo i szybko znalazł się w volvo rzeźbiarza.

- Gdzie pana podrzucić? - spytał Janek. - Bo mnie wszystko jedno - dodał, widząc wahanie.

- Jadę na wydział. To jest przy Banacha, w lewo od Grójeckiej.

- Banacha? - ucieszył się Reising. - Przy Zieleniaku. Tam macie Uniwersytet?

Do tego miejsca czuł sentyment jako do pierwszego swojego kontaktu ze stolicą. Położony na początku trasy wylotowej do Krakowa, a dla niego na końcu drogi z Krakowa, był pierwszym, co zainteresowało go, gdy przyjechał tu jako dziecko.

- Uniwersytet mamy niemal wszędzie. Ciężko powiedzieć w ilu miejscach. Ale wie pan, to niesamowite. - Młody człowiek ożywił się. - Warszawa duża, a pan jest już dzisiaj drugą osobą, którą spotykam.

- Naprawdę? Ma pan jakieś szczęście.

- I w dodatku tak trochę dziwnie.

- No, proszę.

- Najpierw chciałem parę rzeczy ze sklepu muzycznego, ale nie mieli i poszedłem dalej. Kiedy idę, to akurat dość sprawnie mi się myśli. Połaziłem trochę, a w końcu postanowiłem wstąpić do takiego małego tureckiego barku i wtedy nagle zobaczyłem pana Niespała. Właściwie, wpadłem na niego. A on, kiedy mnie zauważył, prawie się przestraszył.

- On? Żartuje pan!

- Właśnie o to chodzi, że nie. I zamiast na przykład robić awanturę, zaczął mi się normalnie tłumaczyć.

- Mój Boże, z czego?

- Z tego, że tam był. Od razu opowiedział mi o ziółkach, które podobno właśnie kupił. W sklepie zielarskim niedaleko. Jest taki, rzeczywiście. Ale ja w ogóle nie mogłem ruszyć się z miejsca, bo musiałem wysłuchać, że pan Niespał, w tym wieku potrzebuje ziółek na wątrobę, żołądek, reumatyzm i jeszcze ostatnio na nerwy. Przekonywał mnie tak intensywnie, że w końcu poprosiłem,

żeby mi pokazał któreś, na przykład na nerwy, a on wtedy, niech pan sobie wyobrazi, dostał jakiegoś szalu, prawie piany.

- Ale o co?

- O nic. Darł się, że nie potrzebuje niczego na nerwy, że to ja odbiegam od normy, nie on, i żebym mu zszedł z drogi jak najszybciej. I tak zrobiłem. - Rzeźbiarz skinął głową z przekonaniem o słuszności decyzji. - Schowałem się do baru, a Turek, porządny człowiek, chciał mnie od razu ukryć na zapleczu. Więc kiedy wypilem kawę i ochłonałem, pomyślałem, że Niespał w ogóle tych ziółek nie miał i nawet w sklepie nie był.

- Wie pan co! - Reising z wrażenia ledwie zdążył zahamować pod kościołem na placu Narutowicza. - Ma pan rację. Dlatego musiał wrzeszczeć. Ale w takim razie, czemu tyle o nich opowiadał?

Sebastian musiał być przyzwyczajony, że ludzie myślą trochę wolniej niż on.

- Najpewniej znalazł się tam w związku z czymś, co chciał ukryć - tłumaczył cierpliwie. - I dlatego wymyślił bajeczkę o ziołach.

- Rozumiem! - ucieszył się rzeźbiarz. - Moja babcia mówiła, że to się nazywa zamiatać ślady ogonem.

Powoli dojeżdżali do celu. Dawny Zieleniak przemienił się w bazar i utworzył spore lokalne centrum handlowe. Reising lubił targowiska, a to szczęśliwie zachowało swoją atmosferę.

Gdy jego pasażer już przebiegał przez ulicę w kierunku swojej uczelni, cudem chyba udało mu się znaleźć miejsce do zaparkowania. Z niepokojem przeczytał ulotkę zaczynającą się od słów: „Nie oddamy bazaru”, kupił pączka od szczupłej blondynki w budce i z przekonaniem podpisał się pod listą protestacyjną przeciwko likwidacji targowiska, którą kobieta mu wręczyła.

Wtedy właśnie dostał maila od Karola, co oznaczało koniec wycieczki krajoznawczej.

Wiadomość była długa ale, jak zapowiedziano, ani nazwiska, ani informacje nie pokazywały żadnego związku ze sprawą. Czyżby ślepy tor? Całkiem możliwe. Jeszcze raz przyjrzał się autorkom trzech prac, które wybrał. Ciekawe. Akurat wszystkie już nie żyły

Patrzące oko. Helena Wilson, 30 lat. Ciężka depresja, mimo to wyglądało, że się z niej wydobywa. Jednak popełniła samobójstwo dwa tygodnie temu, sprytnie uspiwszy czujność lekarzy. Podobnie, jak niegdyś jej matka.

Rozdarta kora drzewa. Tatiana Kolska, 49 lat. Od ćwierć wieku na oddziale w stanie stabilnym, przed niespełną miesiącem umarła na zapalenie płuc.

Pistolety. Hanna Mościcka, 28 lat. Urojenia, że żyje w dziewiętnastym wieku i ma rywalizujących adoratorów. Wypisana w stanie wyraźnego polepszenia. W domu popełniła samobójstwo, nie chcąc, żeby się o nią pozabijali konkurenci sprzed stu kilkudziesięciu lat.

- Za duża dawka Jane Austen - mruknął Reising. Wyciągnął się na obrotowym fotelu, na szczęście w kawiarence nie było tłoku, i zaczął mierzwić zbyt krótkie, jasne włosy. - Albo i nie - stwierdził głośno.

Ściszona komórka zaczęła drgać. Wyświetliła się Urszula. Na odmianę będzie bardzo normalnie.

Po chwili już nie odpoczywał zrelaksowany, tylko siedział pochylony jak do skoku, zaciskając telefon w dłoni.

- Przede wszystkim nie panikujcie. - Silił się na spokój. - Alternatywna rzeczywistość byłaby najlepszą hipotezą, ale chyba nie da się jej przeforsować. Na razie trzeba uważać i jeśli Daria - zawahał się - wie o czymś, o czym nie mówiła, albo nie zdaje sobie sprawy, to dobrze, żeby powiedziała. Rozumiesz, co mam na myśli?

Daria leżała na kanapie w kawalerce Urszuli. Zdążyła opowiedzieć wszystko, choć zaczęła dopiero, gdy znalazła się w jej mieszkaniu. Nie odezwała się słowem ani w taksówce, ani kiedy Korenda bardzo przejęty, lecz opanowany, powierzył ją opiece koleżanki.

- Proszę na nią uważać - mówił cicho, ale bardzo wyraźnie, patrząc intensywnie w jej oczy. - Wiem, że pani zajmie się nią najlepiej, jak tylko można. W razie czego jednak, bardzo proszę o telefon.

Na szczęście, przynajmniej na razie, powodu do takiego telefonu nie było.

- Słuchaj, czuję się dobrze, nic mi się w sumie nie stało. Masz dowód, zjadłam dwie kanapki i wypłam herbatę.

- To dowód, że żyjesz, ale wytłumacz mi jeszcze, po co on właściwie chciał się z tobą spotkać.

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Podobno miał coś ważnego.

- Umówiliście się na trzynastą, ty się spóźniłaś trochę, on bardziej. Tamta dziewczyna była o czasie.

Daria skinęła głową.

- O moim czasie. Sama też mogła być spóźniona. Albo była za wcześnie.

- Dobrze, że założyłaś inną chustkę.

- Myślisz, że naprawdę miała znaczenie?

- Nigdy nie wiadomo. - Urszula siedziała w fotelu i najwyraźniej źle znosiła beczynność. - Mam pomysł, zadzwonię do naszego rzeźbiarza. On do bardzo kumatych nie należy, ale będzie różnie. A ty zajmij się resztą kanapek. Każda robi swoje.

Ich rzeźbiarz chyba się przejął bardziej, niż było w planach.

- Mówi, żebyś sobie przypomniała, jeśli coś wiesz.

- Nie wiem nic - stwierdziła Daria autorytatywnie.

- Jasne, ale chce, żebyś się zastanowiła. Może zapomniałaś albo nie jesteś świadoma. - Pokręciła głową z dezaprobatą. - On ma chyba za dużą wyobraźnię.

- Od tego jest artystą. Ale to nie zmienia faktu, że ja, licząc od początku, nawet nie znałam Damiana i na pewno go nigdy nie spotkałam, nie byłam ani razu w „Eurydyce”, nie mam pojęcia, kto ją podpalił. Huberta Noconia widziałam kilka razy w życiu i nie zwierzał mi się. Kiedy mu dawałam klucz do domku, też nie rozmawialiśmy i nie zauważyłam dokładnie niczego. W przeciwnym wypadku powiedziałabym policji. Nie dotykałam też nigdy starego pamiętnika, przepisy mnie nie interesują.

- Aldony nie znałaś, bo skąd.

- Aldony nie. - Wzdrygnęła się. Oczywiście, pamiętała ją, piękną brunetkę w sklepie ze szkłem w towarzystwie Korendy. Bez znaczenia, każdy tam może wejść.

Nie będzie teraz o niczym myśleć. Zamknęła oczy. Poczowała, że Urszula okrywa ją dodatkowym kocem i spokojnie zasnęła.

Mecenas Rawicz zawsze miał słabość do dobrych samochodów, mówiąc, że to najlepsza zabawka dla starego kawalera. Reising więc nie zdziwił się, gdy z miejsca zainteresował się jego srebrnym volvo, którego przedtem nie miał okazji zobaczyć.

Po zadaniu kłopotliwych pytań o wersję silnika i ile dobrze nadepnięty faktycznie wyciąga, szczęśliwie zajął się lustracją tapicerki oraz innych fascynujących elementów wnętrza.

Janek, który uważał auto za coś, co go wiezie, bo taka jego natura, i jeszcze tylko powinno być w miarę czyste, standardowo me speszył się bałaganem nieodmiennie panującym na tylnym siedzeniu. Dopiero teraz zauważył pąsowo-złotą chustkę Bożeny, Pewnie jej zapomniała, zostawiwszy wciśniętą pod oparcie, a on

jeszcze teraz nie oglądając się, rzucił na nią katalog z nieszczęsnej wystawy, która mu się chyba przyśni.

Gdy oględziny dobiegły końca, mogli już ulokować się w wygodnych krzesłach z wysokimi oparciami przy restauracyjnym stoliku.

- Jestem staroświecki - stwierdził mecenas - i traktuję obiad jak rytualną przerwę na relaks w środku dnia. Więc bardzo się cieszę, że pan zgodził się mi potowarzyszyć. Przypomni pan sobie polskie dania.

- Nigdy ich nie zapomniałem. I powiem szczerze, że największą atrakcją jest dla mnie towarzystwo pana, jako osoby najbardziej łączącej mnie z przeszłością.

- Rzeczywiście, panie Janku, jak długo my się znamy? - Machnął ręką z uśmiechem. - Lepiej nie liczyć. I myśleć o terażniejszości - dodał - a najlepiej o przyszłości.

- Faktycznie, lepiej o przyszłości - zauważył smętnie Reising. - Przynajmniej, jeśli chodzi o mnie, terażniejszość wygląda mniej niż średnio.

Zajęli się zupą pieczarkową, specjalnością kuchni.

- Ma pan na myśli zabójstwo Huberta Noconia i przyległości? W sumie wszyscy to przeżywamy. Pan nie zdążył poznać sekretarki Korendy?

- Zawsze zdążę poznać ciekawą kobietę. Widziałem ją raz. Zdecydowanie atrakcyjna i chyba serio traktująca życie.

- Też odniosłem takie wrażenie. Przywiozła kiedyś do kancelarii dokumenty i mój aplikant prawie zemdlał.

- Wobec tego może nie powinna być pielęgniarką? Mecenas uniósł brwi

- Nie wiem, czy nie funkcjonowała bardziej jako asystentka doktora. Czyli raczej bezpieczniej dla przytomności pacjentów, ale... - Westchnął trochę z zakłopotaniem. - No, cóż. Coś pewnie okazało się niebezpieczne dla niej.

Janek skinął głową.

- Wygląda, że jeszcze się nie znalazła. Wiem, że normalnie nie szuka się tak szybko dorosłej osoby, bo każdy ma prawo do ucieczki, sam widziałem parę takich akcji. Ale w kontekście wydarzeń, to niestety co innego.

Rawicz błysnął wzrokiem znad złotych okularów.

- Zwłaszcza że ona podobno pracowała w tej „Eurydyce”, tak jak tamten chłopak. Kiedyś mi ją nawet polecali.

- Aldonę?

- Nie. „Eurydykę”. - Mecenas spojrzał urażony, ale za chwilę się roześmiał. - Pan jednak zawsze będzie sobą.

- No, nie wiem. - Rzeźbiarz spojrzał w okno, za którym jak w kinie przesuwali się przechodnie. Przez chwilę wahał się. - Głupio mi o tym mówić. Ale pan mnie przecież zna - uśmiechnął się niepewnie.

Mecenasowi opadły ręce. Dosłownie, bo upuścił serwetkę, którą dyskretnie ocierał starannie przystrzyżone, płowe wąsy. Wziął głęboki oddech i pociągnął łyk wody mineralnej.

- Znam pana dobrze w jednym aspekcie - powiedział cicho, lecz dobitnie, jak na sali sądowej. - Ściśle określonym. Panie Janku, proszę mi od razu odpowiedzieć na pytanie. Czy planuje pan piąte małżeństwo?

Reising westchnął.

- Niezupełnie. To właśnie jest bardziej skomplikowane.

- Nie! - Rawicz podparł czoło dłonią. - Ale proszę mówić.

- Wiem, że dla pana jestem recydywistą, ale przecież i porządnym człowiekiem - mecenas skinął głową - więc może mnie pan nie zabije, jeśli powiem, o co chodzi.

Ponieważ rozmówca w dalszym ciągu zgodnie kiwał głową, Janek kontynuował:

- Tak naprawdę, nie wiem, od czego zacząć, ale jak pan się domyślił, chodzi o kobietę. Piękną. Zjawiskową.

- Skąd wiedziałem - mruknął Rawicz.

Kelner przyniósł drugie danie w postaci schabu z zawiniętymi w środku aromatycznymi różnościami.

- Znam ją od niedawna, ale wydaje mi się, że wieki. Może mi pan nie wierzyć, ale przy pierwszym spojrzeniu stało się ze mną coś dziwnego. Jakby to była pierwsza kobieta, którą zobaczyłem w życiu. - Mecenas wznosił oczy ku niebu, szukając zmiłowania. - Ale nie chodzi tylko o ciało. Jako człowiek jest niesłychanie głęboka i subtelna zarazem.

- Dużo młodsza?

- No, trochę. -Aha.

- Wydaje mi się, że ona też czuje coś do mnie, choć nie pytałem.

Rawicz przestał kiwać głową i spojrzał prosto w błyszczące szczerością srebrno-niebieskie oczy rzeźbiarza.

- Wierzę panu, ponieważ są to kliniczne objawy najbardziej charakterystyczne dla wieku młodzieńczego lub zdecydowanie średniego. Czyli za późno i trochę za wcześnie, ale skoro się stało, trudno, z faktami nie dyskutujemy. Żeby było śmieszniej, przyznam się panu, że sam od jakiegoś czasu nie mogę sobie poradzić z czymś, mniej intensywnym, ale podobnym. Niestety - uśmiechnął się z przymusem - platonicznym. Różnica wieku jest bardzo duża. Ale na czym właściwie polega pana problem, skoro dziewczyna nie daje kosza?

- No, tak. - Reising w zakłopotaniu skubał wybornie przyrządzone zapiekane ziemniaki. - W zasadzie chodzi o to, że są pewne komplikacje.

- Pomogę panu. Nie jest wolna.

- Właściwie jakby była. Teoretycznie ma męża.

- Nie można mieć męża teoretycznie. Albo się go ma, albo nie - poinformował prawnik. - Chodzi o separację?

- Nie, ale małżeństwo ma wkrótce przestać istnieć.

- Tak mówiła?

Skinął głową.

- Miał się pan w takie układy nie pakować!

- Miałem, ale to nie zależy ode mnie. Nigdy jeszcze nie zachwycało mnie w kobiecie dokładnie wszystko - opowiadał niezrażony krytyką. - Od trzymania flamastra, do podlewania kwiatków. W dodatku nie w swoim mieszkaniu. - Westchnął znowu. - Tylko jest jeszcze jedna sprawa.

- Bo to zbyt mało? - zaniepokoił się mecenas.

- Ona była do tej pory z kimś związana. Ten ktoś jej imponował, dawał poczucie bezpieczeństwa. Ale dla niej to już skończone, choć on chyba o tym jeszcze nie wie.

Rawicz pokręcił głową z dezaprobatą.

- Trochę tego dużo. Najważniejsze, co młoda dama naprawdę czuje i co zamierza.

- Dała mi do zrozumienia, że jej na mnie zależy. Wszystko działa się niesamowicie szybko, ale niektórych rzeczy człowiek może być pewien.

- Dla pana, oczywiście, nieważne, ale czym zajmuje się pańska wybranka?

- Byłoby nieważne, natomiast w tym wypadku jej praca też nas łączy.

- Jest z branży?

- Tak, ale proszę mnie nie pytać. Mam do pana absolutne zaufanie, czuję jednak, że byłbym nielojalny, gdybym powiedział więcej.

- Oczywiście, doskonale rozumiem. Jeśli mogę coś doradzić, proszę nie robić jeszcze przez chwilę planów na przyszłość. Być może, i życzę panu tego, pojawiła się kobieta na całe pana życie. - Proszę jej mimo wszystko dać trochę czasu. Niech upewni się w swoich uczuciach. Mówię z doświadczenia kogoś, kto właśnie cierpliwie czeka. - Wzruszył ramionami. - Ponieważ nie ma innego wyjścia. Ale nie mówmy już o tym - dodał, widząc

zaskoczenie rozmówcy. - Mam wrażenie, panie Janku, że pan jeszcze czegoś ode mnie oczekuje.

Reising uśmiechnął się. Mecenasa trudno było oszukać.

- Filozofii - odpowiedział krótko. - Jak zwykle.

- W związku z ostatnimi tragediami? Bo chyba się należy liczba mnoga. Zaginięcie, morderstwo, pożar i jeszcze zaginięcie. Bez względu na to, czy one łączą się ze sobą, czy nie, choć tak by się wydawało, nasuwa mi się jedna banalna myśl. - Zdjął okulary i powoli je przetaił. - Proszę się zastanowić, jak bardzo mało wiemy o sobie nawzajem. Nie chodzi o całkowite, dogłębne poznanie drugiej osoby, lecz o zaskoczenie, które tak często przeżywamy. I przeżywamy je najczęściej niesłusznie. Zaryzykowałbym, że z naszej winy. Bo nie dostrzegliśmy tych przesłanek, które nam na przykład od dawna zwiastowały ponury finał.

- Czasem bardzo trudno jest coś zauważyć.

- Rzadko. Zazwyczaj nie widzimy tego, czego nie chcemy widzieć, ponieważ nas przerasta. Ciekawe, że mechanizm działa czasem również w kwestiach pozytywnych. Nie dostrzegamy choćby wybitnych uzdolnień u dziecka, bo one sprawiłyby nam kłopoty i wydatki.

- Nie wyobrażam sobie - kręcił głową rzeźbiarz.

- A jednak. Zwykle, niestety, chcemy realizować taką wizję rzeczywistości, jaka nam najbardziej odpowiada. I wtedy, jeśli parę rzeczy się nieodpowiednio złoży, następuje złe zakończenie.

- I robi się za późno?

- Niekoniecznie. Myślę, panie Janku, że w życiu prawie nigdy nie jest za późno.

- Jeszcze marlboro, jeśli pani tak łaskawa. - Inżynier Nie-spał wziął już kilka puszek coli, chińską zupkę i chipsy.

- Jezu, przecież pan nie pali! - Iza Dolant spojrzała, jakby go widziała po raz pierwszy.

- Rzeczywiście, rzuciłem siedem lat temu, ale w wolnym kraju to jeszcze nie przestępstwo - odparł z godnością.

- Ma pan nerwową sytuację? - domyśliła się współczująco. Wzniósł oczy do góry.

- Jak by pani zgadła. Życie, proszę pani, jest tak urządzone, że nawet jeśli człowiek wykaże odrobinę, cień dobrej woli, natychmiast dowiaduje się, że popełnił błąd. Kardynałny. - Przytaknęła ze szczerym przekonaniem. - Szczęśliwie ja należę do pojętnych i na własnych błędach jednak w końcu się uczę. Życzę pani miłego popołudnia.

Wychodząc, ukłonił się prawie wojskowo. Pani Dolant westchnęła, pokręciła głową i zaniepokojona podeszła do szklanych drzwi, obserwując jego dalsze poczynania.

Było się o co martwić, ponieważ właśnie od strony pętli tramwajowej nadeszli Alicja Bronowska i Sebastian. Na szczęście jednak Piotr Niespał z wysoko podniesioną głową o krótko ostrzyżonej, dość przeredzonej fryzurze przemaszerował obok nich, nie zwracając najmniejszej uwagi na czyjąkolwiek obecność.

Alamakota natomiast śmiała się, jak na swój wiek stanowczo za głośno, i zadowolona tłumaczyła coś swojemu towarzyszowi. Co, tego niestety pani Iza już nie mogła usłyszeć. I całe szczęście, z pewnością wiele nie straciła.

Po dawno nienaprawianym asfalcie Skrętnej nie za szybko jechało błyszczące volvo.

Bardzo dobrze, jasnowłosy, misiowaty góral raczej wpadnie na kawę i pogawędkę. Jeśli zdąży, bo ona chyba z powodu zmęczenia i nadciągającego bólu głowy zamknie dzisiaj sklep dużo "wcześniej.

Wchodzący natomiast zaczekali, aż z samochodu wyłoni się szara> amerykańska podróżnicza kurtka, puchatym kołnierzem osiadająca lekką opalenizną twarzy ozdobioną błyskiem uśmiechu.

- Jak miło wrócić i spotkać sąsiadów! - Reising wyciągnął swoją torbę, zatrzasnął drzwi, po czym, nie oglądając się na samochód, bardzo pragmatycznie ominął dwie wynikające ze starości chodnika kałuże.

- Nie ma pan pojęcia, panie Janku, o jakich ciekawych rzeczach mówi pan Sebastian. - Bronowska niemal telewizyjnym uśmiechem podziękowała za przytrzymanie drzwi. - Właśnie wraca z seminarium, zapytałam, powiedział mi, co na nim było, i nawet parę słów zrozumiałam.

Piotr Niespał, który szukając kluczy, jeszcze nie wszedł do mieszkania, zademonstrował ostentacyjne zdumienie.

- Czyżby tam była mowa o sałatkach? Tworzą z pewnością rozległą dziedzinę wiedzy.

Bronowska wspinała się już piętro wyżej.

- Dla niektórych stanowią jednak barierę intelektualną nie do pokonania - rzuciła, nie oglądając się.

Inżynier trzasnął drzwiami.

- Panowie, zapraszam na filiżankę zielonej herbaty, panie Janku, koniecznie.

- Bardzo chętnie, tylko zostawię rzeczy. Prawdę mówiąc - westchnął - tak zagadałem mojego znajomego, że już nawet nie chciał kawy po obiedzie.

Postawił torbę swoim zwyczajem na środku pokoju. Sam podszedł do okna i na chwilę zapatrzył się na świeże zgliszcza „Eurydyki”.

- Zachowałem się jak cyniczna, kłamliwa świnia - stwierdził głośno. - W stosunku do człowieka, który zawsze, od lat był mi życzliwy. Najgorsze jednak - zmrużył oczy - że nie czuję się z tym źle.

I po chwili w kilku susach pokonał piętro, by znaleźć się w mieszkaniu pani Bronowskiej, gdzie Sebastian czekał na swoją herbatę zlokalizowany na ozdobnym pufie, oparty o gruby, zielonkawy kilim.

- Niech pan powie jeszcze raz te wszystkie słowa - zachęcała go gospodyni.

Powiedział, nawet dwa zdania, i Reising bez specjalnego zdziwienia przekonał się, że nic nie rozumie. W trakcie tłumaczenia, niestety, całkiem uciekł myślami. Na szczęście dotarły do niego dwa słowa i umiał je powtórzyć.

- Zapamiętam - ogłosił z fotela z filiżanką w dłoni. - Programowanie strukturalne.

- Tak - ucieszył się Sebastian i mówił dalej. Rzeźbiarz bohatersko zmuszał się do słuchania.

- Rozumiem - powiedział, żeby zakończyć temat. - Jakby drobiazg zamiast całości.

- Mniej więcej - potwierdził uprzejmie informatyk, ale Janek już nie słuchał. Powtarzał w myśli zdanie, które przed chwilą wypowiedział. Tak, drobny element może komuś zastępować całość.

Czy to możliwe? Poczuł się dziwnie. Prawdopodobne, że właśnie znalazł to, czego szukał. I to dzięki całkiem abstrakcyjnym wywodom, które skojarzyły mu się czysto estetycznie. Zadziwiające, jak bardzo czasem myśl jest podobna do emocji. Może u niektórych one się w ogóle nie różnią.

Spojrzał na młodego człowieka w okularach, jakby go widział po raz pierwszy, wszystko jednak w tym momencie zostało przerwane przez głośne pukanie, a następnie coś, co można nazwać wtargnięciem.

- Nie powiedziałam „proszę” - zauważyła Alicja Bronowska.

- Co świadczy o pani - stwierdził Piotr Niespał i prawie defiladowym krokiem przemierzył odległość dzielącą go od stolika, na którym uroczyście złożył niedużą, lecz wypchaną skórzaną kosmetyczkę.

Oczy pani Alicji zaokrągliły się ze zdumienia, nerwowo zaczęła przeszukiwać torbę.

- Działanie bez sensu i logiki - skomentował przybysz. - Problemy z kojarzeniem faktów i elementarnym wnioskowaniem.

Uśmiechnął się wzgardliwie, gdy kobieta chwyciła kosmetyczkę i automatycznie zajrzała do środka.

- Spokojnie. Nie otwierałem. Wolałbym osobiście puszkę Pandory.

- Bardzo dobra herbata - zauważył Reising trochę nie na temat, ale w nadziei, że uświadomi gospodyni, jak powinna się zachować.

Wzruszyła ramionami, wsunęła stopy w klapki i lekko kołysząc biodrami, udała się do kuchni, skąd po krótkiej chwili doszedł ich alarmujący dźwięk będący mieszaniną brzęku i stukotu. Zaraz po nim nastąpiło przepelnione chęcią zemsty wezwanie pomocy boskiej.

Sebastian zadrżał nerwowo, Janek wtuleniem w fotel odmówił mieszania się w niebezpieczne akcje.

Piotr Niespał natomiast, w pełni zdecydowany wykonać czynności interwencyjne, udał się do kuchni.

- Wiem, że działałam na kobiety, ale do tego stopnia! - Usłyszeli stamtąd, a w jego głosie brzmiała prawdziwa satysfakcja.

- Chciałbyś! Jakkolwiek - syknęła.

- Żebyś wiedziała.

Wyłonili się z kuchni. Niespał z herbatą, Bronowska wycierając dłonie w śnieżnobiłą ściereczkę.

- Mam nadzieję, że nic się nie stłukło - współczuł rzeźbiarz. Wstrząsnęła jasnymi włosami.

- Na szczęście nie. Przedmioty martwe, wbrew pozorom, również mają swoje charaktery i potrafią o nich przypomnieć.

Inżynier poważnie skinął swoją przystrzyżoną, siwawą bródką.

- Jak najbardziej, inteligencja garów jest powszechnie znana. Aby ją jednak zrozumieć, nie można zbyt od niej poziomem.

Błysnęła mściwym uśmiechem.

- Poziom najlepiej wyrównać poprzez bliski kontakt z pojemnikiem blaszanym posiadającym poprzeczny uchwyt.

Inżynier prawdziwie niszczycielsko błysnął spoza okularów i nawet Sebastian zrozumiał, że ani on, ani drugi gość nikogo już nie obchodzą. Jednocześnie wstali i dziękując za herbatę, sprawnie opuszczali nie do końca bezpieczny teren.

Obawiając się nieco wszelkiego dialogu z Niespałem, który wzgardliwie skinąwszy głową, poszedł w ich ślady, stosunkowo szybko schowali się w swoich mieszkaniach.

W pustym pokoju Reising po przemaszerowaniu kilku okrążeń stanął w oknie, studiując beznadziejną szarość krajobrazu. Wiedział na pewno, że u pani Alicji zdarzyło się jeszcze coś dla niego istotnego. Zaskakujące było to, co usłyszał z kuchni, i ponad wszelką wątpliwość już kiedyś niedawno to samo go zdziwiło.

- Dlaczego ja niby wszystko pamiętam, a nie myślę? - zirytował się głośno i nagle trzasnął potężną pięścią we framugę. - No tak!

Zaczął znów krążyć po pokoju, ale teraz z prędkością grożącą obijaniem się o ściany.

- Chyba za dobrze jedno z drugim się zgadza. - Stanął na chwilę. - Pewnie mam jednak zdeformowaną wyobraźnię.

Po tym wspomnieniu, nie pamiętał już z której sprawy rozwodowej, usiadł spokojnie na brzegu materaca i zdecydował się jeszcze raz od początku wszystko sobie przetrwać przed wieczornym spotkaniem z Karolem.

Okazało się jednak, że musi to odłożyć na później, a powodem jest pukanie do drzwi.

Alicja Bronowska lekko zmieszana, z uśmiechem już nie tak telewizyjnym.

- Przyniosłam panu zieloną herbatę na później. - Wręczyła mu termos.
- Wiem doskonale, że pan nie ma czasu na dbanie o zdrowie, więc chociaż trochę pomogę po sąsiedzku.

Podziękował. Przyjęła zaproszenie świadoma niewygody siedzenia na ławie, a nie w fotelu.

- Tylko na chwilę, bo jestem umówiona. Panie Janku - spojrzała mu poważnie w oczy - krótko się znamy, ale sądzę, że jest pan tu jedynym mężczyzną, któremu mogę zaufać. No, niestety, tak. I chciałabym, żeby pan wiedział o tym, o czym - na moment jakby zabrakło jej tchu - i tak wie policja. Ale na nich, szczerze mówiąc, nie bardzo liczę.

- Rany boskie, pani Alu, niech pani mówi, bo zaczynam się bać.

- Myślałam, że to nic wielkiego, że głupie żarty. Otóż dzisiaj rano dostałam maila z pogrózkami.

- Żartuje pani!

- Daleko mi do żartów. Napisane było „Masz siedzieć cicho, bo pożałujesz. Nie wtrącaj się. Zrozumiałaś?”.

- Niesamowite. Zgłosiła pani od razu?

- A skądże! Wyglądało jak z marnej powieści. Nie chciałam się wygłupiać. Natomiast potem - w zdenerwowaniu odgarnęła z czoła włosy i zaczęła je przeczesywać palcami - potem stało się coś, co nie sądziłam, że jest możliwe w normalnym świecie. Kiedy wychodziłam z redakcji, samochód, który jechał powoli i wyglądało, że się zatrzymuje, bo wchodziłam na pasy, nagle potwornie przyspieszył i zwyczajnie - rozłożyła bezradnie ręce - chciał mnie przejechać. Tak jakby zapolował na mnie. Cudem udało mi się przebiec, ale mało nie zemdlałam. Potem weszłam do kawiarni i minęło trochę czasu, zanim byłam zdolna w ogóle o tym mówić.

- Zrozumiałe. A co na to policja?

- Bardzo uprzejmie, oczywiście. Pytali, czy zapamiętałam samochód. Bez sensu. Wiem tylko, że był czarny. Osobowy, z tych większych. Interesowali się, czy rzeczywiście w coś się wtrącam, czy mam jakieś informacje.

- No, właśnie. Miała pani? Wzruszyła ramionami.

- Nie za bardzo. Jedyne, czego kiedyś byłam świadkiem, to głośna, słyszalna przez drzwi awantura u Korendów. On miał pretensje do niej, że coś zgubiła i że zawiodła jego zaufanie. Potem sobie to skojarzyłam, kiedy była mowa o jej opasce na włosy zostawionej u Noconia w domu.

- No tak - kiwał głową rzeźbiarz. - Rzeczywiście.

- Jeszcze musiała to słyszeć pani Urszula, bo wchodziła z dołu, ale mnie chyba widzieli, bo zaraz potem byłam na dole. A teraz tylko opowiadałam o pielęgniarce od doktora, kiedy usłyszałam, że zginęła.

- Pani Alu - Reising objął ją opiekuńczo - po pierwsze niech się pani nie boi, bo komuś o to właśnie chodzi. Z kolei wyrywać się za bardzo też nie ma sensu, prawda?

Przytaknęła. Jeszcze raz poprawiła włosy.

- Panie Janku, dziękuję, że mnie pan wysłuchał. Pan umie słuchać - zaznaczyła. - Widać, że się pan zna na psychice kobiet.

Fakty raczej temu przeczyły.

Po jej wyjściu znowu usiadł na materacu. Tylko teraz na kształt ludowej rzeźby frasobliwie ukrył twarz w dłoniach.

- Jeszcze jedno wariactwo - stwierdził. - Do kompletu. Bo brakowało. Następny będę ja, to oczywiste.

Widziałam jej torbę, a raczej moją. Leżała obok. A ja miałam ją przecież na ramieniu. - Daria po kilkugodzinnym śnie obudziła się wprawdzie w znacznie lepszym stanie, ale myślami stale wracała do tamtej sceny.

- No właśnie. I masz ją do tej pory. Nie jest jedyna na świecie, bo kupiłaś ją w sklepie z końcówkami markowych serii. Dziewczyna skinęła głową.

- Nie widziałam twarzy tej dziewczyny. Potem nie widziałam, przedtem tak. Wyglądała jak ja.

- Jeżeli widziałaś ją wyraźnie przez szerokość Alei Niepodległości, to znaczy, że miała zdecydowany makijaż. A ty się nie malujesz.

- Pewnie racja, ale wszystko miała moje. Włosy też. Chustkę, tę, którą zawsze noszę.

- Taką samą. Sprawdzisz w domu, że została nienaruszona. Swoją drogą, gdybyś ubierała się mniej standardowo, dobierała sobie ciuchy bardziej indywidualnie, nie byłoby problemu.

Daria zmarszczyła brwi.

- Tak myślisz? Może rzeczywiście wtedy nie byłoby już problemu ze mną w ogóle.

Urszula wzdrygnęła się.

- Janek nie powiedział wyraźnie, ale chyba też tak uważa. A przynajmniej bierze pod uwagę. Nie uważasz, że on swój rozum jednak ma?

- Może jakiś rozsądek. Na pewno zdrowy. - Powoli wstała z kanapy. - Wiesz, pojechałabym do domu.

Koleżanka spojrzała z powątpiewaniem.

- Mądrzej by było, gdybyś została u mnie.

- Nie ma sensu. Wezmę taksówkę, pamiętam, że masz umówioną agentkę od ubezpieczenia, poradzę sobie, jestem przytomna. - Zrobiła kilka kroków po pokoju. - W sumie dobrze mówisz, że powinnam się zmienić. Coś mi obiecywałaś na odchudzanie. Miesiąc temu, ale właśnie dojrzałam.

- Oczywiście. - Tego Uli nie trzeba było dwa razy powtarzać. - Proszę bardzo. Ciężarki, taśma, instrukcja. Książka i płyta. I jeszcze jedno! - Rzuciła się jak nurek do szafy, wyciągając stosik kolorowych rzeczy. - Tych ciuchów nie będę nosić, bo zjechałam o numer. Jedne już są na ciebie, inne - jeśli się postarasz z ćwiczeniami. - Zauważyła zdecydowany brak wiary w spojrzeniu Darii. - Dzisiaj pierwszy krok. Zrobię błyskawiczną dietetyczną sałatkę.

- Dobrze. - Opór nie miał szans. - Ale zamawiam taksówkę na osiemną i piętnaście.

Zapadał zmierzch, gdy ułożona wygodnie na tylnym siedzeniu szarego peugeot, obok dużej sportowej torby z rzeczami od Urszuli, zaczynała czuć się bezpiecznie wyizolowana z otoczenia. Światła ulic rozmywały się w dokuczliwej mżawce i nie zachęcały do jakiegokolwiek oglądania widoku zza szyb samochodu. Przymknęła oczy. Niezależnie od jej woli pamięć przesuwiała się jak obrazy na filmie, wszystko od początku dnia.

Najpierw Korenda dziwny, jakby kontrolujący, potem - z pewnością dla widzów zabawna - furiacka scena na jezdni, niestety z jej udziałem. Dalej było znacznie gorzej. Kobieta z oczami przywołującymi niemal paraliżujące wspomnienia i zaraz ten niewytłumaczalny lęk. Poczucie zagrożenia. Minęło oczywiście przy mecenasie, ale niedługo później telefon od Korendy. Bezsensowny. No i najgorsze.

Awaria tramwaju uratowała jej życie? Chustka? Tych troje uczniów najpierw patrzyło na nią jak na ducha, a potem logicznie sobie wszystko ułożyli.

A jednak kiedy zobaczyła niby-siebie w miejscu, w którym powinna się znajdować, i tak samo ubraną, nie mogła się oprzeć wrażeniu namacalnego rozdwojenia czasu. Przecież jeśli tam, w Lesku, mogło stać się to, co się stało, dlaczego tutaj nie miałyby zdarzyć się coś podobnego?

Oczywiście znajdą się inne wytłumaczenia, zawsze była racjonalistką, ale wrażenie, którego doznała, patrząc na samą siebie po drugiej stronie ulicy, było na tyle silne, że nie może go tak po prostu zlekceważyć.

Peugeot miękko jechał po asfalcie prowadzony przez szczupłego, siwiejącego taksówkarza.

- Zmęczona pani? - zagadnął. - Niedługo dojedziemy.

Rozejrzała się. Rzeczywiście niedaleko. Dobrze, bo zrobiło się już ciemno. Marzyła o chwili, gdy znajdzie się u siebie.

Jechali wzdłuż torów tramwajowych. Pustych, nic dziwnego, jedna linia. Samochód zakołysał się bardziej na jedną stronę

i prawie usiadł przechylony. Kierowca mamrocząc przekleństwa, wyszedł zbadać sytuację.

- Złapałem gumę. - Zajrzał przez otwarte drzwi. - Przeklęta ta ulica, mówili mi o niej. - Potarł dłonią czoło. - Chwilę potrwa.

Nie zastanawiała się.

- Przejdę ten kawałek. - Usiłowała nie wpaść do kałuży, wyciągając torbę.

- Może pani pomóc - zaproponował wyraźnie bez entuzjazmu.

- Dziękuję, to niedaleko. - Wręczyła mu banknot.

Nie wiadomo, co było najgorsze. Ciemność, spowodowana złym oświetleniem, gęsta mgła, w którą przerodziła się mżawka, czy błotniste wyboje w od dawna nienaprawianym chodniku. Daria wiedziała, że musi dać sobie radę. Dojść bez kontuzji i większego ochłapania się.

Naokoło było pusto. Już nawet mogła zobaczyć, że w jej domu okna też straszą czernią. Kompletne bezludzie. Nie szkodzi, może i lepiej, bo bezpieczniej.

Nagle w ciszy przerywanej tylko człapaniem jej butów wyraźnie usłyszała odgłos kroków za sobą. Po chwili stały się coraz bliższe i niewątpliwie szybsze.

Wolała się nie oglądać. Również przyśpieszyła. Ktoś za nią zrobił to samo. Budynek przy Skrętnej piętnaście był już bardzo blisko.

Zaczęła biec. Chyba w tym momencie przestała cokolwiek słyszeć, wiedziała tylko, że prześladowca jest tuż za nią.

Za chwilę ją dogoni. Nie rezygnowała. Ostatkiem sił przyśpieszyła i potknęła się. Torba, która wyleciała jej z ręki, częściowo zamortyzowała upadek. Tego już nie wiedziała. Ogarnęła ją ciemność, ostatnie, co czuła, to obezwładniające ramiona napastnika.

- Zrobiłeś zapiekankę! - Janek Reising nie ukrywał podziwu.
- Jest jedną z kilku potraw, które mi się udają, więc się nią chwale - przyznał skromnie Karol. - A dzisiaj chciałem zabłysnąć jako słomiany wdowiec.
- I udało ci się. Mam nadzieję, że przepis miałeś normalny, nie z jakichś lepszych, dziewiętnastowiecznych czasów.
- Masz na myśli zaginiony pamiętnik Korendów? - uśmiechnął się inspektor.
- Owszem. Nie tknąłbym nic z niego. Choć dobrze brzmi.
- Też ci dokuczył. Chora sprawa. Albo chora kobieta - westchnął. - Prawie uwierzyłem, że zawitał w Zrębiaku jakiś gość sprzed półtora wieku, dokończył pojedynek i zabrał brulion, bo chciał go zachować dla siebie. Albo, co bardziej prawdopodobne - Karol Stanisz powoli dawał upust irytacji - potrzebował przepisu na poncz. Nocoń przez zasłonę powiedział, że mu nie pozwala wziąć, więc go zastrzelił i zabrał swoją własność. Laptop był nie w jego guście, więc ze złościwości nim cisnął. Wszystko się idealnie zgadza.
- Masz rację. I najważniejsze, że wreszcie jest motyw. Stanisz już trochę spokojniejszy zajął się nalewaniem czerwonego wina.
- Ta dziewczyna, żona Korendy - ciągnął - w ogóle chwilami nie jest do końca normalna. Przejmuje się pamiętnikiem, jakby jego zniknięcie zagrażało jej życiu.
- Może histeria? Wyborna zapiekanka.
- Może. Ale histerię, chociaż cichą, mieliśmy dopiero, kiedy Przyleciała ta czarownica ze sklepiku.
- Naprawdę? - ucieszył się rzeźbiarz. - Przyszła? Warto z nią Pogadać. Inteligentna kobieta.

- Tak jak mówię, bardziej przyleciała. Na miotle. I z pewnością inteligentnie wytworzyła poczucie zagrożenia dla Bożeny Korendy.

Reising pokiwał głową.

- Przewija się ten temat.

- Oczywiście, skoro ona miała być w Zrębiaku. Z kolei Izabela Dolant twierdzi, jakoby pani Bożena od jakiegoś czasu dawała do zrozumienia, że się boi i że lęk ma związek z jej małżeństwem.

- Boi się męża, bo posiada jakieś informacje? - Janek wziął następny kawałek zapiekanki

- Mówiła ci?

- Jasne. Nie zdziwię się, jeśli wie o tym pół Warszawy.

- Żartujesz.

- Nie. Po prostu ten typ tak ma. Stanisław uniósł ciemne brwi.

- Rozumiem. Chce wzbudzić zainteresowanie.

- Dokładnie. Potem powie, że coś jej się pokręciło albo my źle zrozumieliśmy.

- Jasne. - Karol z przyzwyczajenia wyprostował bambusową matę pod talerzem. - A może wiesz, o co chodzi z wazonikiem.

Reising podrapał się w głowę, co świadczyło o intensywnym procesie pamięciowym.

- Tym w Zrębiaku, którego nie naruszył morderca i bardzo dobrze, bo jest ulubiony Korendy?

- Dokładnie. Tylko problem z tym ulubieniem. Pani Dolant twierdzi, iż Sebastian Wolski był świadkiem sceny, w której Bożena Korenda mówiła swojej matce, że wywozi wazonik do Zrębiaka, bo mąż go nie lubi. - Zawiesił głos, widząc nagły błysk w oczach gościa. - A w ogóle, ulepiła mu go na imieniny - dokończył.

Rzeźbiarz machnął ręką.

- Jeśli chodzi o stosunek emocjonalny do prezentów, a zwłaszcza artystycznych - pokręcił głową - w ogóle bym nie ruszał

sprawy. Nigdy nie dojdiesz, jak jest naprawdę. A jeszcze jeśli w grę wchodzi mamusia!

- Zgadzam się, że ona należy do nieznośnych, ale temu rozczochranemu problem nie dawał spokoju.

- On wszędzie widzi problemy. Pasuje do pani Izy.

- Pani Dolant postanowiła zaszczyścić nas wizytą, kiedy dowiedziała się o Aldonie Miecik. Jest przekonana, że dziewczyna miała romans z Korendą.

- Wszyscy podobnie myślą o każdej pielęgniarce. A w ogóle, co z nią? Inspektor zdziwił się.

- Nie mówiłem ci? Skleroza. Otóż znaleźliśmy ją.

- Gdzie? - Janek aż podskoczył.

- W gliniance. Niedaleko domu. Nieduży park z dwoma głębokimi bajorami. Najpierw została uduszona. Wieczór, nikt nic nie widział, żadnych śladów.

- Świetna dziewczyna. Choć trochę przelaszczona.

- Dostała telefon o dwudziestej czternaście. Z budki. W tym czasie Korenda już odwiózł żonę do mamy. W przychodni był koło dwudziestej pierwszej. Na wszystko miał czas.

- Kiedy zajrzałem do Wi-Medu po południu, tak dla porządku - nie reagował na uśmiech Karola - ona przy mnie odebrała telefon stacjonarny. Rozmowa była krótka, mówiła do babci, więc się nie zdziwiłem.

- Babcia na pewno z nią nie rozmawiała. Czyli Aldona miała kogoś, trzymała to w tajemnicy. Pytanie przed kim. Przed całą przychodnią, czy tylko częścią personelu i pacjentami.

- Ty stale o jednym. Naprawdę już nie masz innych podejrzanych?

- Szczerze mówiąc, niewielu. A żeby była jasność, to z najnowszych danych, Korenda dziedziczy po żonie sporą sumę zapisaną jej przez jakąś ciocię.

Reising zrobił grymas.

- Weź ty się zastanów. Podejrzewasz go o zamordowanie żony czy kochanki. Bo jedno i drugie razem jest kompletnie bez sensu.
- Bywa, że znudzą się obie - zauważył filozoficznie inspektor.
- Lepiej powiedz, czy masz może coś dla mnie. - Usiłował nie irytować się lekko rozmarzonym wyrazem twarzy rzeźbiarza.
- Nie mam na razie mordercy do zakucia w kajdanki. Chociaż przyznaję, że jak dotąd wszystko, co się dzieje, układa się. Tylko, że trochę dziwacznie.
- Masz oczywiście na myśli emocje? - współczuł Stanisław.
- Przede wszystkim. Kiedy rozkminię do końca, powiem ci od razu.

Dalej było chyba ciemno. Nie miała odwagi unieść powiek. Nie wiedziała, czy ujrzy to, co stało się z nią teraz, gdy została napadnięta, czy wciąż tkwi w rzeczywistości, która do niej nagle powróciła.

Nieprzystające do siebie uczucia przyplływały do niej jak fale. Najpierw lęk. Przypomnienie zagrożenia i bezsilności. Potem ulga. Wyjaśniło się wszystko. Nie wędrowała w czasie. Później niepokój. Co dalej? Gdzie jest, co się z nią stało?

Daria pod palcami wyczuła szorstkość koca. Otworzyła oczy. Obcy biały sufit. I chyba jest jakiś człowiek.

- Wszystko w porządku. Przepraszam, to pewnie moja wina.
- Znała ten głos. - Chciałem pani pomóc nieść torbę.

W półmroku na tle okna rozpoznała charakterystycznie zarysowany profil doktora Korendy. Była u niego w mieszkaniu.

Swoim elastycznym, kocim krokiem podszedł do kanapy i usiadł tuż przy Darii. Patrzył na nią z delikatnym, przyjaznym uśmiechem.

- Próbowałem wołać, ale pani nie słyszała. Upadek mógł być o wiele gorszy. Jak się pani teraz czuje?

Niewytłumaczalnie bała się spojrzeć w jego duże, jasne oczy w ciemnej oprawie.

- Chyba dobrze. Tylko nie wiem, co dokładnie się stało.

- Więc opowiem od początku. - Uspokajająco, sprawdzając, czy jest ciągle chłodna, wziął jej rękę w swoje dłonie. Poczuli ich ciepło i mimo woli uświadomiła sobie, że są delikatne, lecz silne i zdecydowane. - Przyniosę kawę - oznajmił po prostu. - Bo od niej się zaczęło.

Po chwili siedzieli, trzymając kubki z ciemnym, aromatycznym płynem. Daria oparta o poduszki, Korenda w fotelu naprzeciw.

- Zabrakło mi kawy, zszedłem na dół do pani Izy, ale okazało się, że zamknęła wcześniej. Pozostawał supermarket. Dla odprężenia po całym dniu postanowiłem się przejść do tramwaju, który zresztą stał na pętli. Poszło mi szybko i gdy wracałem, zobaczyłem panią idącą z wielką torbą w słabym świetle po dziurawym chodniku. Chciałem pomóc, ale podobno dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane. Zaniósłem panią na górę, bo straciła pani przytomność, ale powodem nie był upadek, tylko szok. Niechcący panią przestraszyłem, przepraszam.

Potrząsnęła głową. Uświadomiła sobie, że musi być po prostu rozczochrana, ale nie przejęła się swoim wyglądem.

- Nie, niezupełnie tak. - Wiedziała, że powinna, że chce mu powiedzieć, co się stało. - Wtedy gdy poczułam zagrożenie, było ciemno i ktoś niebezpieczny stał za mną. - Korenda z westchnieniem wznosił oczy do góry. - Nagle przypomniałam sobie, co się działo w czasie, który do tej pory był dla mnie tajemnicą.

- Miała pani utratę pamięci? - zaniepokoił się.

- Tak, ale tylko jakieś półtorej godziny. - Doktor pokręcił głową zdesperowany. - W listopadzie.

Pochylił się w jej kierunku, mimo że bardzo spokojny, przypominał drapieżnika gotowego do skoku.

- Jeśli pani może, proszę mi wszystko opowiedzieć.

- Mogę. - Wyprostowała plecy. - Tego dnia po południu w Lesku kupiłam książkę, właściwie album, i chciałam go obejrzeć w ładnym, nastrojowym miejscu. Wybrałam zabytkowy cmentarz żydowski przy synagodze.

- Słyszałem o nim.

- Ale tego już nie pamiętałam przez ostatnie pół roku. Jedynie pozostało mi w pamięci, że wychodzę z księgarni i idę w kierunku skweru. I rzeczywiście poszłam na górę, w stronę cmentarza, ale nie najlepiej wymierzyłam czas, bo już w połowie drogi zaczęło się ściemniać. Wiem, że to niezbyt mądrze - dodała, dostrzegając minę Korendy - jednak nie chciałam wracać, postanowiłam zejść normalnie drugą stroną. Gdy znalazłam się na samej górze, zapadł już zmierzch i wszyscy zwiedzający zeszli na dół. Było całkiem pusto - Daria mówiła właściwie do siebie z oczami wpatrzonymi w dal.

Nie widziała wyrazu twarzy Korendy, który przejęty, bez maski zawodowego uprzejmego zainteresowania, utkwiał w niej wzrok. Patrzył na regularny owal twarzy z delikatnymi rysami i ciemne, lekko wydłużone oczy.

- Zrobiło się nieprzyjemnie, wcale nie nastrojowo. Chciałam odwrócić się do ścieżki w dół, gdy nagle - wzdrygnęła się - ktoś stojący bezszelestnie za mną uchwycił mnie i zaczął dusić. Nie mogłam krzyczeć, próbowałam się bronić, lecz nie miałam szans. Naokoło były tylko kamienie i ciemne krzaki. I gdy już prawie nie oddychałam, zza jednego z nich wyszedł człowiek. Zrobił chyba jakiś krok w kierunku - zmarszczyła brwi - napastnika, zaraz uścisk zniknął i usłyszałam odgłos, jakby tamten ktoś staczał się po zboczu.

Korenda odetchnął głęboko.

- Kim był ten człowiek, który panią uratował? Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie mam pojęcia. Kiedy łąpałam powietrze, przez chwilę stał przy mnie, więc wiem, jak wyglądał. Był chyba młody, miał

na sobie coś czarnego, raczej długiego, na głowie czarną czapkę, trochę dłuższe ciemne włosy, na pewno ciemne oczy i chyba jakiś zarost. Nie powiedział nic, a ja nie byłam w stanie wydać z siebie jednego słowa. Przez chwilę patrzył na mnie, jakby sprawdzając, czy nic mi nie jest, i cofnął się. W jakiś sposób wiedziałam, że po prostu mam odejść. Zeszłam, czy raczej zbiegłam po krętej ścieżce, nie oglądając się za siebie. Potem wracałam nie bardzo przytomna i o mało nie wpakowałam się pod samochód. Gwałtowne hamowanie z głośnym komentarzem przywołało mnie do porządku, i to z kolei było pierwsze, co zapamiętałam. Nie miałam żadnych śladów, zadrapań i cienia wyobrażenia o tym, co się działo.

Doktor pokręcił głową.

- Miała pani niesamowite szczęście.

- To prawda. Więcej niż rozumu.

- I nie może pani liczyć, że zawsze będzie miała.

- Wiem o tym - zgodziła się z przekonaniem.

- Żadnych podejrzeń, kim mógł być tajemniczy wybawiciel?

Ponieważ w odpowiedzi tylko spojrzała wymownie, opuścił bezradnie ręce.

- Pani Dario, żaden duch jakiegokolwiek wyznania, nawet skrajnie religijny, nie ma w zwyczaju zrolować natręta i wysłać go na bucie. Może mi pani wierzyć.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się.

- A wiele pan spotkał w swoim życiu duchów?

- Wystarczająco mało, by twierdzić, że nie istnieją.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Jakby zostało powiedziane wszystko, co tego wymagało, a resztę znali oboje doskonale. Wyciszeni po prostu widzieli siebie. Tylko siebie i nic więcej.

Małe, ale znaczące brzęknięcie rozerwało ciszę.

Korenda z lekkim grymasem wyjął telefon i odczytał SMS-a.

- Nie rozumiem. - Wzruszył ramionami. - Bożena chce, żebym przyjechał do mieszkania Ilony. Opiekuje się nim - dodał tonem wyjaśnienia.

- Może jakaś awaria. - Daria powoli wstała i przygładziła włosy. Chciała wyjść jak najszybciej.

- Być może. - Widząc, że jest przy drzwiach, podał jej kurtkę i wziął torbę. - Odprowadzę panią.

Szli po schodach w milczeniu. W mieszkaniu rozejrzał się, jakby sprawdzając bezpieczeństwo.

- Radziłbym, żeby pani się położyła. Gdyby cokolwiek było nie tak, proszę dzwonić.

Ku jej zdziwieniu nie śpieszył się z wyjściem. Przez moment stał w drzwiach, miała wrażenie, że chce coś powiedzieć. W końcu odwrócił się jednak i rzucając krótkie pożegnanie, zostawił ją samą.

Kompletnie samą.

Daria odczekała chwilę i zamknęła drzwi na zasuwkę. Poszła prosto do sypialni, rzuciła się na tapczan, ukryła twarz w poduszce i zwyczajnie się rozplakała.

Pani Iza Dolant słusznie zrobiła sobie wcześniej wolne. Są sprawy, które nie mogą czekać. Marzy wprawdzie teraz o dużym kawałku słodkiego tortu i kieliszeczku czegoś mocniejszego, ale musi poczekać do wieczora.

Przejeżdżając obok Domów Centrum, bohaterko wygrała z pokusą wyprzedaży i skierowała się w stronę placu Bankowego. Gdy wspominając uroki lodów z nieistniejącej już kawiarni Horteksu, stała na światłach przy Świętokrzyskiej, niespodziewanie w lusterku ujrzała znajomą czerwoną octavię i przysięgłaby, że za kierownicą również Piotra Niespała. To oczywiście nie jej sprawa, ale dużo dałaby, żeby wiedzieć, gdzie on się wybiera-

piątego ruszyła dosyć wolno, niestety bez rezultatów. Był szybki, a w zapadającym zmierzchu dla pani Izy nie najlepiej uchwytany wzrokiem. Nie to, co kiedyś, w czasach gdy przez myśl nawet nie przeszło jej noszenie okularów.

Nie martwiąc się dłużej zgubieniem interesującego obiektu obserwacji, jechała dalej. Nad pewnymi rzeczami nie można się dłużej zastanawiać.

Lubiła plac Inwalidów, ale nie cierpiała starego Żoliborza, przypominał jej byłego męża, który nie pozwalał nikomu zapomnieć, że tam właśnie się wychował. Dobrze więc, że z placu Wilsona będzie mogła skręcać w lewo. I nie ma zamiaru dużej się zastanawiać. Już wie, że jeśli w życiu coś nie daje spokoju, należy z tym definitywnie skończyć i zacząć wszystko od nowa. Nawet za cenę ryzyka.

Alicja Bronowska obiecała sobie, że nie weźmie żadnych pastylek. Dzisiaj na pewno nie, bo naprawdę musi być przytomna. Nie może popełnić żadnego błędu. Po tylu latach.

Gdy razem z tłumem tych, którzy zwykli kończyć pracę później niż o piętnastej, zeszła, uważnie patrząc pod nogi, do przejścia podziemnego, pomyślała nagle o upływie czasu. Już mało kto pamięta, że „Novotel” był kiedyś hotelem „Forum”, a prawie nikt o wybuchu, który przed laty zrównał Rotundę z ziemią.

Tak, czas leci, a ludzie dopiero co młodzi stają się eksponatami muzealnymi.

Na dole wyjątkowo nie zatrzymała się przed żadną z wystaw, mówiąc o stoiskach prześcigających się w smakowitości zapachów. Ustąpiła z drogi wyluzowanym, hałaśliwym nastolatkom, ale i tak potrafił ją tęgi mężczyzna z wielką torbą reklamową.

Szczęśliwie o tej porze tramwaje dopisywały i mogła wygodnie wsiąść w trzeci z kolei jadący na Żoliborz.

Starając się skupić na widoku z okna, nie mogła niestety opanować coraz silniejszego i szybszego bicia serca. Nie wolno jej się denerwować. Dziś musi się udać. W przeciwnym wypadku to, co chciałyby wykreślić z przeszłości, po prostu z nią wygra.

Teraz nie wolno jej dać ponieść się emocjom. Tyle przez nie w życiu straciła. Nie może popełnić poprzednich błędów. Wszystko ma przebiegać dokładnie według planu, bo stawka jest bardzo wysoka.

Wzięła kilka wzmacniających oddechów, które pamiętała z zajęć jogi. Dzisiaj da radę, a potem jej życie wreszcie się zmieni.

Sebastian Wolski poczuł apetyt. Właściwie zawsze lubił jedzenie, ale dzisiaj szczególnie. Mógł się nie zastanawiać dlaczego. Od dzieciństwa odczuwał głód, kiedy czekało go coś ważnego do zrobienia.

Budka z fast foodami znalazła się w najlepszym momencie i nawet bez kolejki. Należy mu się, bo do tej pory naprawdę wszystko idzie, jak trzeba. Bał się, że po drodze popełnił jakiś błąd, przez który będzie miał problemy trudne do oszacowania. Jeszcze wczoraj wieczorem po spotkaniu u rzeźbiarza przestraszył się nie na żarty, ale oczywiście był to fałszywy alarm. Chociaż źle, że zaczynają go zawodzić nerwy.

Na szczęście nic świadczącego o jakimkolwiek niedopatrzeniu nie wyszło i już nie wyjdzie.

Obok dostrzegł okienko z goframi. Po ostrym smaku należą się ze śmietaną. Te najprostsze właśnie uwielbiał.

Wieczorem zakończy się pewien etap jego życia. I pewnie nic już nie będzie takie jak przedtem. Potrzeba jeszcze tylko dzisiejszej mobilizacji, a dalej wszystko potoczy się swoim torem.

Przełykając ostatnie kęsy, spostrzegł tramwaj, który zawiezie go w tę część Żoliborza, co trzeba, więc rzucając się na pasy, w ostatnim momencie wskoczył do niego.

Nigdy nie zastanawiał się, czy ma szczęście. Właściwie, nie wierzy w coś takiego, jak również w pecha. Na szczęście można liczyć, jeżeli ma się dobry, przemyślany plan i konsekwentnie się go realizuje.

Ale naprawdę konsekwentnie, nie oglądając się na żadne okoliczności.

Płacz przyniósł Darii ulgę. Wstała powoli, wiedząc, że i tak kiedyś to musi zrobić. Po chwili w lustrze łazienki zobaczyła swoją zaczerwienioną twarz i potargane włosy. Odkręciła kran. Zimna woda, owszem, trochę pomogła, ale trudno mówić o radykalnej poprawie wyglądu.

Ostatni raz, chyba jako nastolatka, rozmawiała ze swoim odbiciem. Potem pewnie nie było tematu. Teraz jest.

- Stało się - powiedziała, patrząc w oczy dziewczynie po drugiej stronie lustra. - Jestem kolejnym ogniwem łańcuszka. Jak Daniela Kalińska. Zakochałam się beznadziejnie w żonatym mężczyźnie. Widać tak musiało być.

Oczami wyobraźni oglądała brzeg Wisły w przedwojennej Warszawie, gdzie jej cioteczna babka, inteligentna i zapewne atrakcyjna dziewczyna, decyduje się na śmierć w falach, bo nie może znieść bólu, jaki niesie istnienie.

Ona sama nie ma i nie będzie miała takich zamiarów, ale i tak wie, że jej życie już w jakimś sensie się skończyło. Może do dziś dojrzewała w niej cicho nadzieja, że nawet niekoniecznie znajdując miłość, ułoży sobie swój świat w sposób dający spokój wewnętrzny i nazwie to szczęściem.

Teraz wie, co ją czeka. Ból i zgorzknienie. I przecież tak miało być. Nie miała prawa ani przez chwilę marzyć o czymś innym.

Ale przecież nie marzyła. Nie zdążyła. Nagle zrozumiała, co czuła od pierwszej chwili, kiedy ujrzała tego mężczyznę o szybkich, sprężystych ruchach, fascynującym chłodzie oczu i ciepłym uśmiechu. Mężczyznę, którego bliskość wprawiała ją w stan, jakiego nigdy przedtem nie знаła.

Przez cały czas nie umiała albo bała się nazwać po imieniu to, co się z nią działo. Teraz nie ma szans na oszukiwanie. Jasność, oczywistość tego, co czuje, jest zbyt duża. Dziwne, że chwilami, wbrew wszystkiemu wydaje jej się, że jest szczęśliwa. Szczęśliwa w jakimś samoudręczeniu.

Daria przeszła do pokoju i bezsilnie opadła na fotel. Ten, w którym najczęściej siadywała ciotka.

- Dlaczego go poznałam? Nie wiedziałabym, co znaczy miłość, ale żyłabym w spokoju. - Nie zauważyła, że mówi do siebie szeptem. - Dlaczego, jeśli już musiałam, nie poznałam go wcześniej, kiedy był wolny?

Zaśmiała się z żalną drwiną.

- Dziewczyno, spójrz na siebie i porównaj. Jakie mogłaś mieć szanse w porównaniu z Bożeną? Nawet przy różnicy wieku, dokładnie żadne.

Czuła, że łzy znów napływają jej do oczu. Jak teraz będzie żyła? Tak blisko niego, wiedząc, że jest nieosiągalny, należy do innej kobiety? Widując go codziennie? Czy to właśnie nazywa się zazdrość?

Z nogami jak z ołowiu powlokła się do kuchni i wypła kilka łyków chłodnej wody.

Zazdrosna była przed laty Zofia Kalińska. Nienawidziła.

Nie, w niej nie ma nawet żadnej złości. Tylko poczucie krzywdy. Wie doskonale, że pod każdym względem - urody i charakteru - całkowicie ustępuje tamtej kobiecie, więc czemu musiała ich spotkać?

Mimo lekkiego zawrotu głowy zaczęła krążyć po pokoju. Tak, oczywiście. Wie, co zrobi. Wyprowadzi się stąd. Poprosi Urszulę, żeby na jakiś czas zamieniła się z nią na mieszkania. I tak prawie jest lokatorką jedynki na parterze należącej do jej mamy. Choćby od jutra. A potem jak najszybciej znajdzie sobie coś daleko od Warszawy. Najlepiej, na drugim końcu Polski, jeśli dostanie pracę.

I to jest jedyne wyjście, jeżeli chce jakkolwiek funkcjonować.

Decyzja podziałała uspokajająco. Daria wróciła na fotel, który nieoczekiwanie wydał jej się bardzo wygodny. Przymknęła oczy. Po chwili zmęczona i zrezygnowana zasnęła.

Władysław Korenda, dopijając małymi łykami herbatę lipową, patrzył przez okno za kuchennym stołem na zmierzch zapadający od strony lasu. Dom stał z dala od innych, za sąsiedztwo miał jedynie ruiny opuszczonego zakładu ceramicznego i las.

Myślał o synu. Tak bardzo różnym od niego. I od matki, która odeszła za wcześnie. Chciałby mu pomóc, ale nie wie jak. Nie może nawet określić, w czym, bo Maciek nie powie, że ma jakikolwiek problem, ale on czuje, że dzieje się coś niedobrego.

Zawsze, od dzieciństwa, był bardzo samodzielny i konsekwentny w postępowaniu. Wiedział, czego chce, i realizował to bez względu na wysiłek, jakiego życie od niego wymagało.

Szkoda tylko, że nie ma dzieci. Z pewnością jest to też decyzja Bożeny, ale miejmy nadzieję, że niebawem będzie jakaś zmiana. Ostatnio widział ją taką szczęśliwą. Rozświetloną od wewnątrz. To dobry znak.

W ogóle bardzo dobrze, że są ze sobą już osiem lat. Dzisiejsze małżeństwa często tak szybko się rozpadają. A Bożena chwilami wyglądała teraz prawie jak zakochana nastolatka.

wiesz, że na koniec była u nas Alicja Bronowska?

- Pogróżki w mailu i czarne auto? Jasna sprawa. Poczekaj, byłbym zapomniiał. - Reising położył przed Staniszem pieczołowicie zapisaną malutką karteczkę. - Czy mógłbyś sprawdzić szybko jeden dzisiejszy wypadek? I nie zapomnij o tamtym, proszę cię bardzo. - Spojrzał niewinnie. - Możliwie wszystko. Ogóły i szczegóły.

Inspektor uniósł brwi.

- Niczego nie zapominam, zwłaszcza o domu wariatów. Dlaczego się nie zdziwiłem! - westchnął. - Pasuje do całej sprawy jak ulał, a maila dostaniesz niedługo. Ale poważnie mówiąc, jedynym sensownym podejrzanym jest Korenda.

- Ze dziedzicy? - Skrzywił się rzeźbiarz. - No i jakoś słabo mu poszło, bo w końcu żona żyje i ma się świetnie.

- Może jednak chciał zabić Noconia i jakoś się zorientował, że on będzie w Zrębiaku.

- Grubaska? Którego otwarcie nie lubił? Z własnego pistoletu? Poza tym zauważ, że ma alibi.

- Marne.

- Jak wszyscy na Skrętnej, z wyjątkiem Sebastiana. O Aldonie nic jeszcze nie wiecie?

- Nie. W okolicy miała tylko babcię i żadnego towarzystwa. Chociaż jej koleżanka twierdzi, że był ktoś w jej życiu. To podobno widać u kobiety, kiedy się ubiera, maluje. W sumie na pewno miała jakieś plany, ale ich nie zdradzała.

- Ty oczywiście wiesz, że chodzi o Korendę.

- Wcale nie i jestem elastyczny. On mówi, że ostatni raz dłużej z dziewczyną rozmawiał przedwczoraj, kiedy pomagała mu wybrać prezent dla teściowej. Coś szklanego, podobno. My próbujemy ustalić, czy miała jakiegokolwiek powiązanie z Noconiem-Słuchaj, to nie jest zwyczajna sprawa.

Reising łagodnie spojrział na swój sposób, dzięki któremu jego góralska, klasyczna twarz stawała się uosobieniem niewinności.

- Widzę i powoli się w niej ogarniam.

- Gdybyś czegoś zapomniał. Żadnych śladów na miejscu. Nie wiadomo, w jaki sposób przybył i jak się oddalił. Wszedł bez włamania, czyli albo było otwarte, albo miał klucz, choć podobno drugi nie istniał. Nocoń go raczej nie wpuścił, bo wtedy musiałby w trakcie rozmowy wejść pod prysznic i tam zostać zastrzelony.

- Nawet ciekawe - zastanowił się Janek, ale inspektor zgromił go spojrzeniem.

- Morderca użył dziewiętnastowiecznego pistoletu nie do zidentyfikowania. Poprzewracał rzeczy, wziął co cenniejsze z wyjątkiem laptopa, którym cisnął o podłogę. Z niewiadomych przyczyn, najprawdopodobniej w celu upozorowania napadu rabunkowego. Oczywiście odtworzona zawartość dysku na nic nie wskazuje. Tłumaczenia poezji. Ładne.

- To miło. W sumie zauważ, że nie macie sprawcy, motywu, narzędzia ani nawet ofiary, bo nie wiadomo, na kogo się zdecydować. Hubert Nocoń albo Bożena Korenda.

- Zaraz ja będę sprawcą - zdenerwował się Karol, ale dalszy ciąg gróźb karalnych został przerwany nastrojowym dzwonkiem komórki.

Jego twarz zeszywniała, łagodne rysy ściągnęły się.

- Przyślijcie samochód - rzucił. Gdy wyłączał telefon, wyglądało, że chce go zmiażdżyć.

Spojrzął na przyjaciela wzrokiem, którego ten jeszcze u niego nie widział.

- Bożena Korenda nie żyje - powiedział cicho. - Zamordowana przy użyciu ostrego narzędzia około godziny dwudziestej w mieszkaniu należącym do Ilony Markowskiej. - Wziął głębszy oddech. - Tym razem nie mamy problemów ze sprawcą. Na miejscu zbrodni zastano Macieja Korendę.

- Wymachiwał sztyletem?

- Nie, on wezwał policję.

- Na samego siebie?

- Zdarza się.

- Przyznał się?

- Skądże!

Reising wzruszył ramionami.

- No to szukajcie mordercy.

- Korenda został zatrzymany - rzucił Stanisław.

Chłód deszczowego wieczoru działał jak zimny prysznic.

- Zadzwoń, ale ty się, człowieku, rozejrzyj - powiedział do rzeźbiarza wzywającego taksówkę.

Gdy samochód policyjny odjechał, Janek stał na wietrze z odkrytą głową, wpatrzony w dal.

- Czy naprawdę musiałem? - spytał, nie oczekując znikąd odpowiedzi.

Urszula Więcek z kubkiem jogurtu z ziarnami i pilotem usiadła przed telewizorem. Nie była pewna, czy dotrze do niej cokolwiek z filmu, który wprawdzie był latynoski i zdobył dwie nagrody, ale miał pecha, ponieważ nadawano go właśnie teraz. Dziewczyna wyciągnięta na dywanie, opierając się o kanapę, próbowała wziąć głębszy oddech.

Szczerze mówiąc sądziła, że trzyma nerwy na wodzy, do tej pory zawsze jej dopisywały. Oczywiście nigdy przedtem nie zdecydowała się na to, co dzisiaj. Bo i nigdy w życiu nie znalazła się w takiej sytuacji, właściwie bez wyjścia. To znaczy dobrego wyjścia.

Jedno istniało i wbrew wszelkim zasadom musiała go użyć. W dodatku dzisiaj, bo gdyby dłużej czekała, zrobiłoby się za późno.

Trudno, za błędy trzeba płacić, choć przez jakiś czas wyglądało, że uda jej się tego uniknąć.

Na szczęście wszystko ma już za sobą. Powinna odpocząć, bo czuje się jak po sześciu godzinach treningu. Wiadomo, wysiłek psychiczny jest gorszy niż fizyczny, ale nie podejrzewała, że do tego stopnia.

W sumie jest z siebie zadowolona i to najważniejsze. Czas pomyśleć o Darii, zostawiła ją samą, ale nie mogła inaczej. Na szczęście niczego się nie domyśla.

Urszula sięgnęła po komórkę.

Nie najlepiej. Komórka poza zasięgiem albo rozładowana. Miejmy nadzieję, że to drugie.

Stacjonarny nie odpowiada. Jeszcze gorzej. Powinna umówić się z nią na telefon zaraz po przyjeździe do domu. Jeżeli przez najbliższy czas się nie dodzwoni, jedzie na Skrętną.

Prawie wszystkie okna ciemne, świeciło się tylko u Darii. Jej telefon z kolei nie odpowiadał. Reising postanowił na chwilę założyć, że nic się nie stało. Sam wbrew zwyczajowi dobrze zamknął drzwi. Potrzebował trochę spokoju. Właśnie żałował, że dał się wplątać w tę sprawę.

Zachowuje się ze zręcznością słonia, wprawdzie nie jest to skład porcelany, ale szkody mogą być porównywalne.

W kuchni zaparzył kubek podwójnej herbaty.

Z kolei trzeba sobie powiedzieć, gorzej już być nie może. Przynajmniej dużo gorzej.

Miejmy nadzieję, że Korenda się nie załamie. Sprawia wrażenie twardego, ale nigdy nie wiadomo. Zresztą nawet, jeśli potwierdzi, że zabił oboje, to i tak bez różnicy.

Janek wcisnął numer telefonu Karola Stanisza.

- Gratuluję, macie sprawcę, ofiarę i motyw.

- Coś ci się nie podoba? - zdziwił się grzecznie inspektor.

- Przeciwnie, wszystko. Z ciekawości spytam, przyznał się?

Nastąpiła chwila milczenia.

- Jak się spodziewasz, nie. Natomiast był na tyle nieostrożny, że zadzwonił do żony z planowanego miejsca zbrodni i zaprosił ją tam.

- Żartujesz!

- Wyobraź sobie, że nie. Miał pecha, bo przy rozmowie była teściowa.

I co ty na to?

- Że miał pecha.

- No właśnie. I dlatego za chwilę będą na Skrętnej moi ludzie, bo matka Bożeny chciała jeszcze jedną rzecz pokazać. Cześć.

Reising ze stoickim spokojem pokiwał głową. Pół kubka podwójnego naparu zrobiło swoje. Przed dopiciem do końca przygotował następną i w kilku susach znalazł się piętro wyżej. Ponieważ na zwykłe stukanie Daria nie odpowiadała, zdecydowanie oparł się o dzwonek.

W końcu pomogło. Gdy jednak otworzyła drzwi, zrozumiał, że wydarzenia całego dnia musiały ją przerosnąć. Wyglądała jak chora, a nie ktoś, kto będzie rozmawiał na jakikolwiek temat. Szybko podszedł i w pierwszym odruchu przytulił ją mocno.

- Wszystko będzie dobrze. Po prostu zdarzają się złe dni. Poczekaj chwilę, zaraz przyniosę dobrą herbatę, pogadamy.

Gdy wrócił, siedziała wyprostowana w fotelu, usiłując sprawiać lepsze wrażenie.

- Podobno naukowo udowodnione, że pomaga. - Rozwinął czekoladę.

- Nabierzesz energii i opowiesz wszystko po kolei.

Rzeczywiście, trochę postawił ją na nogi. Rozumiał, że stało się coś, na co zastosowane środki nie pomogą, ale przynajmniej mógł liczyć na uzyskanie kompletnej albo prawie kompletnej informacji.

Popatrzyła mu w oczy.

- Już mówię. Zeznaję, co było od samego rana. Tylko, że tego chyba nie da się słuchać.

- Jezus Maria, to pan! Panie Sebastianie, czemu pan stoi po ciemku? - Alicja Bronowska ledwie mogła złapać oddech. - Przecież prawie się o pana przewróciłam. Mogłam dostać zawału. - Trzymała się poręczy schodów. - Dobrze, że zaświeciłam na dole. Co pan tu robi do diabła? - krzyknęła.

Młody człowiek oparty o ścianę mrugał zza okularów z wyraźnym zdziwieniem. W zasadzie było oczywiste, że nie wie, o co chodzi.

- No, jestem - odpowiedział po dłuższej chwili, przez którą sąsiadka zdążyła się uspokoić, ale również załamać.

- Zauważyłam. Ale czy pan w ogóle wie, gdzie jest? Uśmiechnął się jak automat. Machnęła ręką zrezygnowana.

- Nie dogadamy się. Idziemy na piętro, to jeszcze zdążymy na film. Idziemy! - krzyknęła i to poskutkowało, bo Sebastian powoli i trochę sztywno, ale poszedł za nią.

- Pani Alicjo, czy coś się stało? - Od wejścia było słychać głos Urszuli. - Może pomóc?

- Nie, wszystko w porządku, kochana - odpowiedziała, upewniwszy się, że sąsiad wszedł do mieszkania.

- Droga pani, proszę się absolutnie nie obawiać. - Piotr Nie-spał też chyba chciał obejrzeć film, bo właśnie starannie zamykał drzwi wejściowe. - U niektórych wydzieranie się stanowi formę oddychania.

- Znacznie lepszą niż na przykład sapanie przy wejściu na schody. - Po wyskandowaniu ostatnich słów Alicja Bronowska zatrzasnęła drzwi.

W odpowiedzi inżynier rzucił się na górę w desperackim tempie i zaperzony najwyraźniej zamierzał kontynuować wymianę zdań, ponieważ już po chwili gwałtownie i rytmicznie naciskał dzwonek do jej mieszkania.

Urszula z zawodowego nawyku stwierdziła, że wcale nie jest zasapany i zastukała do Darii. *Zdążyła*, jeszcze usłyszeć, jak pani Alicja, z pewnością dla ukojenia nerwów sąsiada, puszcza z odtwarzacza tęskną hinduską melodię i zdziwiła się na widok Reisinga otwierającego drzwi.

- Wszystko w porządku. - Jego uśmiech był tak promienny, że w tej chwili irytujący. - Chodź, zaraz dowiesz się, co było w Lesku. - Wciągnął ją do środka, a sam został, usiłując nawiązać rozmowę z Niespałem.

Najpierw bezskutecznie, po jakimś jednak czasie inżynier zrezygnowany dał spokój dzwonnkowi. Spojrzał na rzeźbiarza, jakby go dopiero zauważył.

- Panie Janku, czy nie sądzi pan, że istnieją osoby, które żyją dokładnie po to, żeby innym zatruwać życie?

- Oczywiście, jak najbardziej. - Na pewno sam znał kilka egzemplarzy tego rodzaju

- No właśnie. Czy wobec tego nie należałoby ich izolować, nie mówiąc o eksterminacji? - Okulary zsunęły mu się z nosa.

- No, nie wiem. — Reising wołał nie ryzykować specjalnego sprzeciwu. - Ale może lepiej na razie po prostu trzymać się od nich z daleka?

- Uważa pan to za wystarczające? - Zrobił krok do przodu. Janek pożałował, że nie jest u dziewczyn i postanowił czym prędzej się tam znaleźć.

- Może pan nigdy nie znalazł się w położeniu, gdy pewne uwarunkowania do czegoś zmuszają. - Inżynier mówił dalej szybko i zdecydowanie, oczywiście przy akompaniamencie słodkiej muzyki za drzwiami. - Kiedy od czegoś nie można uciec. Czy był pan kiedykolwiek w sytuacji, w której trzeba postąpić w określony sposób bez względu na okoliczności?

Reising cofnął się o pół kroku i uśmiechnął tak mało inteligentnie, jak tylko było to możliwe.

- Naprawdę nie wiem - stwierdził rozbijając.

Inżynier przez chwilę mierzył go badawczym spojrzeniem. W końcu machnął ręką i mruczając coś pod nosem, zszedł piętro niżej do siebie.

- No, to przynajmniej wehikuł czasu masz z głowy. - Urszula objęła Darię.

Siedziały razem na kanapie, wszystko wyglądało zdecydowanie lepiej. Niestety, wiadomo, że to nie potrwa długo. Zła wiadomość jest w drodze.

- Wszystko gra. - Rzeźbiarz usiadł naprzeciw. - Został tylko łańcuszek. Wiesz już, skąd się wziął u ciebie?

- O nie! - krzyknęła Ula. - W ogóle o nim zapomniałam. Daria oparła się o poduszkę.

- Ja też i teraz znowu nic nie rozumiem.

- Wychodzi, że dostałaś go od tego bruneta. - Wuefistka zaczęła nerwowo bawić się swoją grzywką. - Ale nie wiem, czy to dobrze.

- Możliwe, że jeszcze gorzej.

- Jestem pewien, że też się wyjaśni. - Wcale nie był przekonany.

- On nic nie mówił cały czas? Jesteś pewna?

- Najzupełniej.

- I nie dotknął cię nawet palcem? -Nie.

- Ale tamtego najwyraźniej dotknął i to całkiem konkretnie - zaprotestował Reising. - Dziewczyny, zostańcie w realnym świecie.

Spojrzały na niego z jawną wzdą. -

- Wyłumacz nam wobec tego wszystko do końca, skoro jesteś taki mądry! - zaatakowała go Ula.

Nie był. Przynajmniej na razie. Poza tym cały czas myślał o tym, co ich czeka za chwilę. A sądząc po odgłosach dochodzących z dołu, właśnie się zaczynało.

- Sprawdzę, kto przyszedł. - Wyjrzał na schody.

Nie mylił się. Piętro niżej zobaczył miedziany kolor włosów nad połyskiem eleganckiej skórzanej kurtki. Matka Bożeny w towarzystwie dwójki policjantów w cywilu najwyraźniej była jeszcze w szoku.

- To moja wina, że nie reagowałam - mówiła głośno i wyraźnie. - Zaraz państwo zobaczą dowód. Lepszy niż wszystkie przesłuchania.

Młody mężczyzna o krótkich ciemnych włosach otwierał drzwi mieszkania Korendów. Ona jedną ręką kurczowo trzymała za ramię młodą blondynkę, a drugą gestykulowała nerwowo.

Reising ze współczuciem i lękiem pomyślał, że za chwilę do niej dotrze, co naprawdę się stało. Wtedy nic nie pomoże nawet czas, który podobno leczy rany.

Na razie zszedł kilka stopni niżej. Stwierdził z aprobatą, że policjantka oprócz jasnych włosów związanych w kucyk ma jeszcze figurę godną najlepszego serialu kryminalnego.

Matka Bożeny dostrzegła go i chyba rozpoznała.

- To pan! Córka mówiła, że się zaprzyjaźniliście. Proszę podejść tutaj.
- Wyciągnęła drżącą dłoń

Podszedł, przywitał się, przedstawił. Chyba udało mu się nie zdradzić niczym, gdy usłyszał o tragedii.

- W mieszkaniu koleżanki o imieniu Iza? Byliśmy tam dzisiaj. Po co drugi raz?

- A właśnie. - Uniosła brwi. - Zięć zadzwonił stamtąd i kazał jej przyjść.

- Miał klucze? - spytał policjant. * Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nie problem dorobić. Teraz proszę popatrzeć. - Wyminęła okrągły stół z pięknie wyprofilowaną nogą, podeszła do ciemnej komody i szybkim ruchem wciągnęła szufladę z samego dołu. Wewnątrz leżała starannie złożona damska bielizna. Sięgnęła ręką dalej bez specjalnego efektu.

- Proszę powiedzieć, czego pani szuka, pomożemy.

Podniosła się z kolan.

- Jakiś czas temu Bożenka mówiła, tak trochę półżartem, że ma w tej szufladzie kasetkę, a w niej list, na wypadek gdyby jej się coś stało. Miał wyjaśnić dlaczego. Nie wzięłam tego do końca poważnie, bo była wtedy po kieliszku, ale poradziłam jej, żeby lepiej takie rzeczy trzymała w prawdziwej skrytce. Machnęła tylko ręką. Natomiast dzisiaj - kobieta wbiła w nich wzrok - tuż przed jego telefonem stwierdziła, że może jednak tamten list zabierze z kasetki i wynajmie skrytkę w banku.

- Oczywiście. Już sprawdzamy. - Policjant zagłębił ramię w szufladzie chyba do końca, bo po chwili położył na stole mały, drewniany, ozdobnie wykonany kuferek. Zamykany na kluczyk, teraz jednak wystarczyło podnieść wieczko ręką.

Dla wpatrzonych czterech par oczu w tej chwili nie istniało nic poza zawartością wnętrza.

Nie spodziewali się rozczarowania, które na nich czekało. Szkatułka była pusta.

Matka Bożeny gwałtownie pobladła i osunęła się na krzesło.

- Bierzemy do zbadania, ale gołym okiem widać, że tu ktoś majstrował - stwierdził policjant, wskazując opuszczony zameczek i ledwie widoczny, lecz świeży ślad podważania wieka. - W jakich godzinach był pan z zamordowaną w mieszkaniu Ilony Markowskiej? - zwrócił się do Reisinga.

Potarł dłonią czoło. Ze też mógł choć przez chwilę spodziewać się czegokolwiek po tym pudełku. Swoją drogą, wyjątkowo pięknie zrobionym.

- Gdzieś koło południa - odpowiedział. - Potem zawiozłem ją do was.

- Jasne. A co pan robił między dziewiętnastą trzydzieści a dwudziestą?

- Rozmawiałem ze swoim menedżerem. W jego mieszkaniu. - Domyślam się, że on to potwierdzi - skomentował młody człowiek, przechodząc do przedpokoju.

Janek też miał taką nadzieję. Może Karol nie przeznacza go na odstrzał z powodu braku wyników w pracy Sherlocka Holmesa. Policjant zatrzymał się.

- Znam pana menadżera - powiedział, patrząc na niego badawczo. - I wiem, że potwierdzi. Czy w zachowaniu pani Bożeny, tam gdzie państwo dzisiaj jeździli, zauważył pan może coś niezwykłego?

Rzeźbiarz rozłożył ręce.

- Myślę, że to w ogóle niezwykła dziewczyna, choć mało ją znałem. Ale zachowywała się bardzo zwyczajnie i na tym też polegał jej urok. Jedno, powiedziałbym, było trochę dziwne.

- Zmarszczył brwi, rzucając ukradkowe spojrzenie w kierunku odpoczywającej w pokoju kobiety. - Nieprawdopodobnie się przejmowała zaginięciem nieszczęsnego brulionu z przepisami.

Nie dokończył, bo matka Bożeny nagle poderwała się z krzesła.

- Niekoniecznie z przepisami - oznajmiła dobitnie. - I wcale nie dziwne, że się przejmowała. Dziwne, że on - zaakcentowała z przekąsem, mając z pewnością na myśli zięcia - pozwolił, by ten pamiętnik w ogóle był dla kogokolwiek dostępny.

- Wiemy, że znajdowały się w nim również notatki - przypomniała uspokajająco policjantka. - Ale może wobec tego, co pani mówi, nie były aż takie ważne.

Kobieta nerwowo wzruszyła ramionami.

- Nieważne notatki! - rzuciła ironicznie.

Szarpnięciem otworzyła torebkę i drżącymi rękami wyciągnęła telefon.

- Na krótko wpadły w moje ręce, ale sobie poradziłam. Tak

- dodała spokojniej - zrobiłam zdjęcia. Wszystkiego, co trzeba, poza przepisami na tłuste dania.

- Jest pani rewelacyjna - stwierdził autorytatywnie rzeźbiarz.

- Są oczywiście do dyspozycji policji, ale chcę teraz pokazać je innym. Wszystkim obecnym sąsiadom. Potrzebuję tylko komputera.

- Wobec tego zapraszam do mnie. - Szybko zgłosił się Janek.
- Właśnie, może na razie wystarczyłby pan Reising - zaproponował policjant.

Energicznie potrząsnęła głową. Jego koleżanka wzięła ją pod ramię. Gdyby pani Bożena chciała, żeby wszyscy znali zawartość notatnika, to chyba miała mnóstwo okazji do pokazania go. Proszę się jeszcze zastanowić.

- No dobrze, załóżmy, że pani ma rację. Ale chodźmy już. Sądzę, że za chwilę bardzo dużo się wyjaśni - stwierdziła, wchodząc do mieszkania naprzeciw.

Pozostali wymienili znaczące spojrzenia. Nikt nie śmiałby teraz jej zaprzeczyć w jakikolwiek sposób.

Włączony laptop jako jeden z niewielu sprzętów w pokoju rzucał się w oczy od razu, zwłaszcza że Reising zaprezentował go tak, jakby przedstawiał intruza. I mimo że posługiwał się nim bardzo sprawnie, to w każdym niemal momencie widać było, że podchodzi do tej zdobyczy techniki bez wielkiego entuzjazmu.

Telefon komórkowy natomiast był naprawdę wysokiej jakości, ponieważ na ekranie ukazało się dobre zdjęcie kartki wypełnionej trochę nierównym, ale wyraźnym pismem.

Najpierw przeczytali parę zdań o problemach, jakie miał Władysław Korenda, po tym jak uderzył ucznia, który go przedrzeźniał. Potem o negatywnych reakcjach sąsiadów. Wszystko to wydawało się całkowicie zrozumiałe, a nawet banalne. Dalej jednak pod precyzyjnie wyrysowanym ornamentem kwiatowym, nieco większymi literami, ale bardziej nerwowo, zostały zapisane ważniejsze zdania.

„Dzisiaj mój syn uratował mnie. Nie będę miał wyroku sądowego, ponieważ zostałem uznany za chorego psychicznie. I tak musiałbym odejść ze szkolnictwa, a teraz będę otrzymywał rentę w nagrodę za coś, czego do końca życia będę się wstydził.

A jeszcze bardziej tego, że Maciek dla mnie postąpił nieetycznie. On, który nigdy w życiu nie skłamał. Boże, przebacz mi!".

Zapadła cisza. Matkę Bożeny, niestety, powoli opuszczało nerwowe napięcie. Siedziała na drewnianej ławie po oknem, przygarbiona. Reising, podając jej szklankę z wodą mineralną, czuł, że zaczyna się najgorsze. Docieranie do świadomości nieszczęścia.

Sam, patrząc na śledzących ekran policjantów, nie mógł się powstrzymać od pokiwania głową. Więc to pewnie miała być ta straszna tajemnica, której ujawnienia bała się Bożena. Rzeczywiście wielka sprawa. Wariat mniej, wariat więcej. Jasne, że jeśli ktoś startuje do Komisji Etyki Lekarskiej, to raczej nie powinien mieć takiego numeru w życiorysie. Ale żeby zaraz mordować? Już prędzej dla pieniędzy.

- Nigdy w życiu nie skłamał - powtórzył policjant. - No, no.

- Stale myślisz o tym, co w południe? - niepokoila się Urszula, patrząc na Darię siedzącą na kanapie i owiniętą kocem. Właściwie ładnie jej było w kolorach czarno-czerwonej wełnianej kraty. Szkoda, że teraz nie może jej widzieć ktoś odpowiedni.

- O tym i o Zofii. Dlaczego musiała być taka podła.

- Niewykluczone, że po prostu miała wyjątkowo wredny charakter.

- Mogła mieć. Wiesz, tamta dziewczyna na rogu Alei nie wiem, jaka była. Z kimś się umówiła, czekała na niego. A ja patrzyłam, jak ją zabijają.

- Nie tylko ty.

- Właśnie. Ci licealiści, którzy tam stali, kiedy podeszłam, to jakby spotkali kogoś z zaświatów.

- Czy on ci w końcu powiedział, co chciał od ciebie? Po co się umawiał?

Potrząsnęła głową. Odgarnęła włosy opadające na oczy.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo w drzwiach stanął Reising. Chciały skomentować jego dłuższe zniknięcie, jednak coś, co zauważyły w jego bardzo skupionej teraz twarzy, kazało im tylko czekać.

Usiadł przy Darii, wziął ją za rękę.

- Lepiej, że dowiedzie się ode mnie - powiedział szybko. - Dziś wieczór została zamordowana Bożena Korenda. Zatrzymano jej męża.

Urszula znieruchomiała, oczy zrobiły jej się jeszcze większe i przerażone. Na Darię bał się spojrzeć, objął ją tylko, czując, jak drży.

- Naprawdę on? - wykrztusiła wuefistka. - Jak to zrobił? Nie - dodała stanowczo. - Niemożliwe.

- Masz rację.-Janek starał się je uspokoić, chociaż nie widział sposobu. - Nie przyznał się i nikt mu tego jeszcze nie udowodnił. Policja jest na dole i mówi, że około dwudziestej w mieszkaniu, którym Bożena się opiekowała, wbito jej w plecy nóż do przecinania kartek.

- Jeżeli tak, to wszystko jasne. W cudzym mieszkaniu, nóż w plecy. Napad rabunkowy. Poza tym, z tego, co wiem, ugodzenie takim nożem nie powinno być śmiertelne.

- Dobrze mówisz, ale chyba ktoś wiedział, jak wbić ten cienki nożyk, bo kiedy przyjechali policjanci wezwani przez Korendę, ona nie żyła od kilkunastu minut. Mówią, że śmierć musiała nastąpić natychmiast.

- On wezwał policję? - zapytała Daria.

- Tak, podobno został ściągnięty przez żonę, pojechał, drzwi otwarte, wszedł i zobaczył. Daria, nie rozumiem, ale to musiał być ten sam dom na Żoliborzu, o którym mówiłaś. Zawiozłem tam dzisiaj Bożenę i zgadza się - stomatolog, masaże, krawiec. To, że czegoś się bałaś, też się teraz zgadza. Często masz takie Przeczucia?

- Nigdy nie mam. Ten SMS od żony doszedł przy mnie.

- No i co? - Urszula zaczęła gestykulować. - Korenda wyglądał, jak ktoś, kto wybiera się właśnie zamordować małżonkę?

Daria nie miała zamiaru odpowiadać.

- Jego teściowa twierdzi - wyręczył ją rzeźbiarz - że zadzwonił do Bożeny i kazał jej zaraz pojechać do mieszkania tej jakiejś Izy.

- Teściowa! - prychnęła Ula. - Akurat! Wiem, ile to znaczy.

- Z pewnością jest jakiś dowód na to, co mówi. - Obojętność jej przyjaciółki była niepokojąca

Reising stanowczo wołałby na przykład histerię. Bardzo zdrowa.

- Policja rozmawia o alibi. - Postanowił zmienić temat. - Ale znowu nieszczególnie. Pani Alicja była u koleżanki, Sebastian u kolegi, a pan inżynier powiedział, że na Księżycu i żąda adwokata.

Jak na potwierdzenie jego słów zza drzwi po drugiej stronie doszły ich dźwięki tęsknej, lecz niezidentyfikowanej melodii. Nie przeszkadzała nikomu z wyjątkiem jednego z sąsiadów i już po chwili wszyscy usłyszeli energiczne stukanie. Zanim muzykujący informatyk zwrócił na nie uwagę, Alicja Bronowska zareagowała ukazaniem się w brązowożłotym - dobrze leżącym szlafrocisku, niezasłaniającym ciemnych legginsów na zgrabnych łydkach.

- Może choć raz odrobinę kultury i szacunku dla ludzkiego nieszczęścia - wysyczała.

- Nieszczęścia tu akurat nie ma, ale zaraz może być. Bez problemu - odpowiedział Niespał nawet dość spokojnie.

- Jeżeli ktoś z natury jest pozbawiony wrażliwości, to trudno od niego wymagać czegokolwiek.

- Jakiej natury? - wrzasnął inżynier w taki sposób, że Urszula wyskoczyła z mieszkania Darii jak błyskawica.

I nie ona jedna została zaalarmowana, bo prawie natychmiast z pierwszego piętra nadeszła policja. Ponieważ Sebastian zdążył już wyrzucić, mieli ułatwione zadanie.

- Czy pan dzisiaj około godziny osiemnastej grał na flecie melodię *O fortuna* Carla Orffa? - Policjant odczytał z kartki.

Młody człowiek wyglądał jak na niego nawet dość przytomnie. Pokręcił zdecydowanie głową.

- Nie, absolutnie nie.

- Jest pan pewien? Może kiedy indziej? Sebastian uśmiechnął się rozbrawiająco.

- Nie znam tego w ogóle.

- Na pewno? Może pod jakimś innym tytułem. Zrobił bezradną minę.

- Pojęcia nie mam, do czego takie coś pasuje.

- Jasne. - Brunet mimo woli westchnął i spojrzał na Reisinga, który również zaryzykował udział w zaczynającym się przedstawieniu sąsiedzkim. - A czy pamięta pan, co pan robił o tej godzinie?

- Grałem kawałek z Goorsów - ożywił się. - Kolega miał płytę i odsłuchałem najlepsze. Aż się prosili, żeby ich zagrać. Są fantastyczni, prawda?

- Chyba tak. Ale bez nut?

- Tak. Proste rzeczy mogę zagrać ze słuchu.

- Podziwiam pana. Ma pan jakieś wykształcenie muzyczne?

- Nie - uśmiechnął się. - Od zawsze jestem amatorem.

- Szkoda. Gdyby pan sobie coś przypomniał w związku z tamtym utworem, bardzo proszę dać znać.

- A my jeszcze mamy dwa pytania do pani Kalińskiej - wtrąciła policjantka.

- Co pani sugeruje? - Tymczasem inżynier Niespał nie dawał za wygraną, zwracając się gwałtownie do ulubionej sąsiadki. - Czy jakiś problem? - zareagował uprzejmie policjant.

- Owszem, pani ma ze sobą. Z natury.

Wskazana Alicja Bronowska z wyniosłym uśmiechem włamie zniknęła w swoim mieszkaniu i po chwili zza zamkniętych

drzwi ładnym, szkolonym głosem niosło się: „Bądź zdrow, mój mały żigolo”.

Piotr Niespał w furii rzucił się na rzucone drzwi. Na szczęście nieskutecznie.

Policjantka wyglądała, jakby chciała jeszcze raz zapytać, ale Daria już stała w przedpokoju uprzejmie gotowa do rozmowy.

- Proszę się nie niepokoić. To norma - wyjaśniła.

- Musi być jakiś powód - zauważyła blondynka.

- Z pewnością. Ale jest ich prywatną własnością. Słucham państwa.

Siedzieli wokół stołu. Daria wyprostowana, spokojna, patrzyła w oczy rozmówcom swoim trochę kontrolującym spojrzeniem.

- O której godzinie spotkała pani tutaj dziś wieczorem pana Macieja Korendę?

- To było kilkanaście minut przed dziewiętnastą. Dokładniej nie mogę powiedzieć.

- Co robił?

- Wracał z supermarketu, gdzie kupował kawę.

- Tak twierdził? Skinęła głową.

- Kawę pani widziała?

- Wtedy nie. Później tak.

- Jasne. Jak zachował się, kiedy otrzymał wiadomość od żony? Westchnęła bezradnie.

- W ogóle się nie zachował. Po prostu dostał wiadomość.

- Spieszył się?

- Nie. Jeszcze odprowadził mnie na górę.

- Pani wtedy zasłabła?

- Bardziej się przewróciłam. Może powinnam chodzić w szpilkach, podobno mniej wywrotek.

- O tak, na pewno - przytaknęła policjantka. Roześmiały się obie.

Podziękowali i w tym momencie brzęknął telefon Reisinga.

- Wiadomość od alibi - stwierdził. - Przyjdę potem.

Karol czekał na tylnym siedzeniu w samochodzie zaparkowanym w prawie niewidocznym miejscu, obok spalonej „Eurydyki”. Janek znowu poczuł się jak w serialu kryminalnym, ale już w mniej sympatyczny sposób.

- O co chodzi z tym fletem? - zaatakował pierwszy, siadając obok inspektora. - Nowoczesne metody macie? Europejskie?

- Żebyś wiedział. Twój znajomy ma takie oryginalne alibi. Teściowa mówi, że dzwonił do żony koło osiemnastej. Rzeczywiście, była rozmowa, dzwonił na jej komórkę o osiemnastej osiem ze stacjonarnego u Ilony Markowskiej. I żadnej innej w tym przedziale czasowym. A Korenda twierdzi, że był wtedy w domu. Wpadł na chwilę akurat w tym momencie i zaraz poszedł do marketu po kawę.

- Bo pani Iza zamknęła wcześniej. Zgadza się.

- Jasne, tobie się oczywiście wszystko zgadza. Rzeźbiarz skinał głowę z przekonaniem.

- Wobec tego przyjmij do wiadomości, iż jako dowód pan doktor mówi, że jedyny obecny w domu Sebastian Wolski wygrywał właśnie wtedy *O fortuna* niejakiego Carla Orffa.

- Tak, co to jest, na rany boskie?

- To jest - Stanisław spojrział na kartkę - z cyklu *Carmina Burana*.

- Aha. Wyjaśniłeś mi. Pewnie bardzo ładne.

- Pewnie. Podobno z gatunku muzyki poważnej, czym zapunktował niesamowicie u doktora. Kłopot w tym, że Sebastian Wolski zaprzecza, jakoby kiedykolwiek miał z tym cokolwiek wspólnego.

- Słyszałem. Wyparł się.

- Janek! - Karol Stanisław odwrócił się i spojrział swoimi czystymi, zielonymi oczami w sposób, który nie wróżył nic dobrego. - "Korenda ma poważne kłopoty. Widziałeś, że pojawił się nowy motyw. Nie ma alibi. Jest świadek. Wraca sprawa poprzedniego

morderstwa. Najpewniej zostanie oskarżony o popełnienie podwójnego zabójstwa.

Reising słuchając, tylko się krzywił.

- Motyw beznadziejny. Teściowa, i to żadna, nie powinna być z zasady świadkiem oskarżenia. A morderca nie zachowuje się tak jak on.

- To znaczy?

- Maciek przejmując się cały czas czym innym.

- Tu się z tobą zgadzam. Jest zadziwiająco obojętny. Jakby nie rozumiał powagi sytuacji. Ale ty powinieneś zrozumieć. - Inspektor mówił z naciskiem. - Ja w tej chwili uważam go za winnego. Jeżeli możesz mnie przekonać, że jest inaczej, zrób to wiarygodnie i jak najszybciej.

Janek uniósł brwi.

- Co się da, to się zrobi. - Nie zważał na grymas irytacji przyjaciela. - Na razie daj mi tę kartkę z dziwnymi słowami o muzyce. A co z moim mailem?

- Powinieneś go już mieć - westchnął Karol i patrzył, jak w swoim grubym swetrze rzeźbiarz idzie w kierunku domu, nie śpiesząc się, z podniesioną głową, chłonąc wilgoć zimnego, wieczornego wiatru.

Daria została sama. Powiedziała Uli, że w sumie czuje ulgę, bo wszystko się jakby wyjaśniło i wobec tego jest ostatnią osobą potrzebującą opieki. Na to Urszula wyraziła obawę o swoje zdrowie psychiczne, ponieważ cały czas czuje obecność Bożeny i za chwilę pewnie ją jeszcze zobaczy.

Została sama i jest jej z tym dobrze. Ciekawe, nigdy poważnie nie myślała o swojej samotności do końca życia, chociaż naprawdę była na nią przygotowana. Może nie ma o czym myśleć. Po prostu będzie, jak miało być.

Podeszła do lustra i spojrzała w oczy swojemu odbiciu. Dawniej tego nie robiła, teraz zaczyna jej to wchodzić w nawyk.

- Pobiłaś rekord - powiedziała do siebie. To też coś nowego. - Rekord historii rodzinnych. Nie wystarczył ci żonaty mężczyzna, musiał być morderca. I raczej trzeba liczyć, że dwukrotny.

Odgarnęła do tyłu włosy. Spróbuje je spinać klamerką z tyłu głowy. Najlepiej od zaraz.

Szybko znalazła w szafce czarny, zębaty uchwyt i spinki, które kupiła jakiś czas temu, ale nie miała nastroju do wypróbowania. Teraz nadszedł bardzo właściwy moment.

Okazało się, że włosy nie były za krótkie i klamerka trzymała je tak, jak powinna, należało jeszcze wpiąć spinki. Dziwne wrażenie, wsuwając je we włosy, przechylała w bok głowę ruchem, który musiał być wspólny dla kobiet od tysiący lat.

Co prócz przypinania włosów mamy ze sobą wspólnego przez ten cały czas? Prawdę mówiąc, różnimy się tylko mało istotnymi szczegółami jak pisanie prac naukowych czy pilotowanie samolotu.

Czy Zofia w ten dzień, kiedy postanowiła ukarać śmiercią człowieka, który ją odrzucił, rano przypinała włosy? O czym wtedy myślała?

Daria zaczęła intensywnie wpatrywać się w swoje odbicie. Może pokaże jej się twarz tamtej dziewczyny. Nie słyszała, że ktoś wszedł do mieszkania.

- Przepraszam cię, stukałem, nie chciałem rozrabiać dzwonkiem. - Reising stał za nią. - Świetnie. Naprawdę doskonale. - Wciągnął ją do pokoju i ustawił w świetle. - Wiedziałem, że masz bardzo ładny kształt głowy, ale twój profil z upiętymi włosami przechodzi najśmielsze oczekiwania.

Stał przed nią z wilgotnymi włosami i śladami deszczu na swetrze. Bez cienia zdenerwowania, poruszenia tym, co zaszło. Z nieukrywanym podziwem w swoich błyszczących srebrem oczach Patrzył na nią jak na piękny przedmiot, może eksponat na wystawę.

- Pięknie. *Zawsze* trzymaj się tak prosto. Jesteś jak z bajki. - Urwał niespodziewanie, jakby mu zabrakło powietrza. Przez moment błędził wzrokiem gdzieś w oddali.

- Co się stało? - spytała odruchowo. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Wiesz, myślałem. Czasem to robię.

- No i co?

- Spodobało mi się. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Daria, będzie dobrze. Zobaczysz.

Nie, tego już za wiele. Przesadził. Ona zaraz się rozplacze albo zacznie krzyczeć. Wykrzyczy, żeby przestał mówić głupoty i pokazywać, jaki jest z siebie zadowolony.

Chyba to odczuł, bo spoważniał.

- To, co się teraz dzieje, jest całkiem chwilowe. Jutro, pojutrze zmieni się. Nie mogą go dłużej trzymać.

- Nie mogą? - Usiłowała mówić w miarę spokojnie. - Podwójnego zabójcę? Nie, czekaj, pewnie potrójnego, trzeba doliczyć asystentkę. Słuchaj, ja ich widziałam na mieście, wyglądali, jakby mieli romans.

Rozłożył ręce.

- No i co strasznego, jeśli sobie na przykład troszeczkę zdradzał żonę? Wyglądał na kogoś, kto morduje? Sama przyznaj. Poza tym uważasz, że podpalił „Eurydykę”, a przedtem porwał Damiana?

Już nie wiedziała, co powiedzieć. Objął ją i delikatnie, po przyjacielsku pocałował jej włosy.

- Połóż się teraz i bądź dobrej myśli. W razie problemów zastukaj w podłogę. - Zniknął za drzwiami.

Dobrej myśli. On po prostu nic nie rozumie.

A jeżeli właśnie rozumie? Może to właśnie jest ta słynna inteligencja emocjonalna. W sumie dobra i taka z braku innej. Troszeczkę zdradzać żonę! Ręce opadają.

Poczuła zmęczenie. Położyć się spać było mądrą radą. Jedyna dobra rzecz dzisiaj, to koniec z lękiem przed medalikiem, który pojawił się w Lesku. Założy go jutro, żeby sobie udowodnić, że dręczący ją problem zniknął.

Świetnie. Potrójny morderca, a jeszcze promocyjnie podpalacz i porywacz. Wszystko w pakiecie, tak najprościej.

Reising gwiżdząc melodię, której nikt nie znał, włączając jego samego, zabrał się do przeglądania poczty.

Karol Stanisław dotrzymał obietnicy.

- Bardzo ładnie - pochwalił głośno rzeźbiarz. - Naprawdę bardzo ładnie. - Zamyślony patrzył w ekran. - Biedna dziewczyna, miała całe życie przed sobą. Chociaż tyle, że nie zdążyła się przestraszyć nadjeżdżającej śmierci. Umarła zadowolona, rozmawiając przez komórkę. Co za los.

Przeczytał tekst do końca.

- No, tak. Składanka. - Wstał i zaczął automatycznie chodzić po pokoju. - Trzy osoby jakoś ze sobą połączone. Nie ma sposobu dowiedzieć się jak. Co mówił doktor? - Potarł czoło, chcąc koniecznie pomóc pamięci. - Człowiek, który nie jest w stanie wyrzec się przyjemności. Uroczy, kiedy dostanie, co chce, ale pewnie jeśli ma na coś ochotę, będzie wyciągał po to rękę bez względu na wszystko. Bez żadnych skrupułów.

Odetchnął głęboko z ulgą.

- Tak, bez jakichkolwiek skrupułów.

Szósta rano. Nie najlepsza pora na dzwonek telefonu. Ponieważ brzęczał stacjonarny, Daria założyła, iż stała się niezasłużoną ofiarą pomyłki. Mimo to nie czuła się zwolniona z podniesienia

słuchawki. Nie spała zbyt głęboko, właściwie tej nocy miała wrażenie, że tylko drzemała dręczona jakimiś koszmarami, z których na szczęście kompletnie niczego nie zapamiętała.

- Proszę pani, ja nazywam się Jolanta Guziel. Pani mnie nie zna. - Już wiedziała. To nie pomyłka, tylko mało zabawny żart.

- Ja pani też chyba nie znam. - Jeszcze lepiej.

Kobiecy głos brzmiał dziwnie. Najprawdopodobniej z powodu silnego zdenerwowania. I jedynie dlatego Daria nie wyłączyła się.

- Ja od pół godziny dzwonię do mojej mamy i nie odbiera. Komórki też nie. Pani musi mi pomóc!

- Na pewno. Tylko proszę mi powiedzieć coś więcej. Gdzie mieszka pani mama? I dlaczego pani do mnie dzwoni?

- Bo jest za ścianą! - kobieta mówiła prawie z płaczem. - Alicja Bronowska, musi ją pani znać, to numer pani Kalińskiej.

Wszystko jasne. Tylko skąd Guziel? Pewnie po mężu. Trzeba było tak od razu.

- Dlaczego pani się niepokoi? Może pani Alicja śpi.

- Tak! To znaczy nie. - Zaczynało robić się nieciekawie.

- Proszę pani, ja dzwoniłam bardzo długo, powinna się obudzić. Błagam, niech pani coś wymyśli!

- Do wymyślenia mam niewiele, ale spróbuję się dostukać

- obiecała Daria i zanim zdążyła się zdziwić, otulona szczelnie w szlafrok stała przed drzwiami sąsiadki.

Długotrwałe naciskanie dzwonka nie dawało rezultatów. Dołożyła bardzo energiczne stukanie. Prawdę mówiąc, najgłośniejsze, jakie kiedykolwiek stosowała.

Dalej nic.

Uznała, że bez rozsądnej pomocy na pewno nie da sobie rady Starając się nie zaplątać, mimo niezasznurowanych butów, szybko zbiegła piętro niżej, decydując się bez ceregieli zbudzić Reisinga.

Gdy on również nie reagował na kilka dzwonek, zaczęła czuć się bezradna i nie pozostało jej nic innego, jak urządzić

pobudkę Urszuli, która tego bardzo nie lubiła. Daria już schodziła na parter, gdy szczęśliwie otworzyły się drzwi obok. Piotr Niespał w nienagannie białym podkoszulku i równie czystych połatanych dżinsach, zaniepokojony wyglądał na schody.

- Pani Dario, sąsiad przed chwilą wyjechał. Czy pani w sprawie tego dobijania się na górze?

Przytaknęła z westchnieniem.

- Córka, Jolanta Guziel martwi się o nią przez telefon. Ma pan jakiś pomysł?

- Oczywiście, właśnie się tam wybierałem.

- Co pan zamierza? - pytała niepewnie, wspinając się za nim po schodach. Raczej nie miała ochoty na awanturę.

- Otworzyć drzwi - wyjaśnił uprzejmie, ani trochę nie zmniejszając jej obaw, i przeskakując po dwa schody, szybko znalazł się na drugim piętrze.

Daria zajęła pozycję w bezpiecznej, jak sądziła, odległości kilku kroków. Mimo że drzwi otwierały się do wewnątrz, znając temperament sąsiada, mogła spodziewać się niespodzianek.

Inżynier Niespał najpierw energicznie zastukał, a następnie po prostu nacisnął klamkę.

Dziewczyna nie wierzyła własnym oczom. Klamka ustąpiła. Mieszkanie było otwarte.

- O Boże, jaka jestem beznadziejna. Przepraszam pana.

- Wcale nie. To było zwyczajnie za łatwe. I bardzo dobrze, że mnie pani zawołała.

Wszedł pewnym krokiem do środka, kierując się prosto do sypialni, gdzie Alicja Bronowska leżała nieruchomo na łóżku w koronkowej, błękitnej koszuli nocnej. Daria cofnęła się przestraszona. Nie, to niemożliwe. To nie może być prawda.

Niespał podszedł, pochylił się nad kobietą i wziął ją za rękę.

- Wszystko w porządku - powiedział.

Przez uchylone drzwi słychać było kolejny dzwonek telefonu.

- To chyba znowu Jolanta. - Odetchnęła z ulgą. - Powtórzę jej. Jest pan pewien?

Uśmiechnął się.

- Tak, pani Dario. Wszystko w porządku.

Miejmy nadzieję. W sumie nie miała powodu mu nie wierzyć.

Gdy udało jej się też uspokoić Jolantę Guziel i nareszcie normalnie zacząć dzień od wejścia pod prysznic, przebudziła się do końca i spojrzała na świat trochę innymi oczami. Zrozumiała, że właśnie przeszła przez jakiś etap swojego życia.

Chyba od dawna bała się przyszłości, w której miało ją, jak inne panny Kalińskie, spotkać coś niedobrego. Najpewniej związanego z mężczyzną. Oczywiście, że wobec tego czuła lęk przed miłością, nie będzie się oszukiwać. Ale widocznie nie było możliwe uciec od losu. Spotkała mężczyznę, o którym musi myśleć, z którym chce być. Rozpaczliwie i beznadziejnie.

Widocznie wśród licznych porażek życiowych z historii rodzinnej do wykorzystania było coś bardziej oryginalnego. Zakochać się w mordercy.

A jeżeli mordercą nie jest?

Wtedy jest wdowcem, który stracił piękną, nadzwyczajną żonę i może się jeszcze o to w jakiś sposób obwinia. Bo przecież mogło być inaczej. Wiązanie się z nim, nawet gdyby tego chciał, oznacza nieszczęście na całe życie. Ale bez obaw. I tak jej nikt tego nie proponuje.

Nie miała ochoty na śniadanie. Z rozsądku zaparzyła herbatę i wzięła kawałek bułki.

Nie ma się co oszukiwać. Hubert Nocoń zginął przez pomyłkę, bo jednak wczoraj zamordowano Bożenę. W tej sytuacji nikt inny prócz jej męża nie wchodzi w rachubę. Nie ma cudów, cały czas wszystko na niego wskazuje.

Herbata była gorzka i parzyła gardło.

Teraz zaczyna nowy etap życia. Nie ma powodu bać się uczucia zakończonego klęską. Już ma je za sobą. W sumie, mogło być

gorzej, nie zdążyła się zaangażować, niczego jej nie obiecywano. Nie zbliżyła się do mordercy. Wzdrygnęła się.

Tylko dlaczego nie może przestać o nim myśleć?

Za oknem budził się całkiem ładny, wiosenny dzień. Daria powtórzyła sobie kilkakrotnie, że nie może nic zrobić, a jedynie starać się normalnie funkcjonować. Dzisiaj miała przyjść wcześniej do kancelarii. Bardzo dobrze.

Obecność mecenasa zawsze działała na nią pozytywnie. Po prostu czuła się przy nim dobrze. Miała na przykład wrażenie, że niezależnie od tego, co na siebie włoży, on zaakceptuje jej wygląd.

Właśnie. Może by teraz, zgodnie z radami Urszuli, ubrać się całkiem inaczej. Na przykład jaśniej.

Wśród rzeczy, które dostała od przyjaciółki, od razu rzucił jej się w oczy miękki sweterek w ciekawym perłowym kolorze. Do tego popielate spodnie z kieszeniami.

Wyglądały na zdecydowanie za małe, ale o dziwo, chyba po wczorajszym dniu, zapięła je na sobie bez problemu. O takim sukcesie marzyła od dawna i jeszcze poprzedniego ranka byłaby tym uszczęśliwiona. Teraz mogła się przyznać przed sobą, że tak naprawdę, nic nie było w stanie jej ucieszyć.

Było jednak coś, co chciała założyć. Medalik. Ten, który dostała w Lesku. Trudno powiedzieć dlaczego, ale czuła taką potrzebę. Może po prostu przestała się go bać, a zaczęła lubić.

Reising, mijając samotny tramwaj i smutnie oczekujące na zabudowę granatowo oszklonymi biurowcami resztki działek i jakichś pojedynczych warsztatów, próbował układać plan działania na najbliższe godziny. Najważniejsze, a w dodatku możliwe

do załatwienia, było teraz uzyskanie audiencji u byłego sąsiada i kolegi z dzieciństwa, Stanisława Chrusta.

Kolegi, ale broń Boże, nie przyjaciela, ponieważ od najwcześniejszych lat poprzez szkołę, do sporadycznych późniejszych spotkań, nigdy nie udało im się znaleźć wspólnego języka. Dzisiaj, niestety, stało się to, choć na chwilę naprawdę potrzebne.

Staszek Chrust, kompozytor o znanym nazwisku, zamieszkał kilkanaście kilometrów od Warszawy, w sporym domu, który z powodu dwóch wieżyczek i jednej baszty oraz ogólnego wystroju, śmiało mógł wystąpić w roli pałacu ze złej bajki.

Minęło w pół do szóstej i Janek miał nadzieję, jadąc obrzeżami miasta i pilnie trzymając się mapy, że zdąży dojechać na miejsce, zanim muzyk położy się spać. Na szczęście doskonale pamiętał o jego bardzo nietypowym rozkładzie dnia i w odróżnieniu od innych cech traktował to z racjonalną wyrozumiałością.

Żałował, że nie udało mu się porozmawiać z Sebastianem, który wieczorem niespodziewanie wymknął się z domu i wedle informacji Niespała odjechał tramwajem, a o czwartej rano taksówką na lotnisko.

Mimo to nie tracił czasu i przed piątą, zaprzyjaźniwszy się chwilowo z Internetem, nauczył się kim był i co robił pan Carl Orff, a nawet odsłuchał pieśń *O fortuna*. Spodobała mu się i nabrał zdecydowanej sympatii do jej autora. Szkoda, że nie wszyscy w branży muzycznej sprawiają tak dobre wrażenie.

Przedzierając się przez mazowiecką szarość, wspominał tęsknie malownicze drogi Podkarpacia, które choćby najbardziej wyboiste, zawsze prowadzą do góry lub w dół i dlatego nie sposób na nich zablądzić. Wreszcie za zakrętem zamajaczył żółtoseledynowy kształt, którego linia najpewniej miała mieć coś wspólnego z barokiem. Tak, dojechał do pałacu Stanisława Chrusta.

Naciskając domofon, uśmiechnął się serdecznie trochę dla treningu, a trochę do kamery, której istnienia się domyślał. Słusznie, brama otworzyła się i już po chwili w drzwiach rozpoznał

drobną sylwetkę gospodarza, witającego go z rękami w kieszeniach długiego, pikowanego jedwabnego szlafroka. Wyciągnął ramiona w serdecznym geście powitania. Gospodarz pozostał nieruchomy.

- Czego chcesz? - warknął.

To nie był moment na zrażanie się.

- Chciałem się przywitać.

- Idę spać.

- Wiem, ale...

- Ale czegoś potrzebujesz. Znam ten kretyński uśmiech. Zawsze go masz, kiedy coś chcesz wyłudzić. - Obrzucił go złym spojrzeniem. - Właż!

Reising, zaproszony w tak miły sposób do środka, niepewnie stąpając po posadzce z powodu połysku, znalazł się w niewielkim holu, mieszczącym kilka olśniewająco antycznych mebli. Łatwo było zgadnąć, że pełnił on rolę salonu dla gości, którzy nie będą zaproszeni dalej.

Zaryzykował umieszczenie się w foteliku jak z filmu o muszkieterach. Gospodarz tłumiąc ziewanie, spoczął na podobnej kanapce.

- No? - spytał zachęcająco.

Rzeźbiarz mimo wszystko uśmiechnął się jeszcze bardziej serdecznie.

- Zgadłeś, że czegoś potrzebuję. Konsultacji. Stanisław Chrust zaśmiał się satanistycznie.

- Który kamień najlepiej dźwięczy, czy jakiego młotka użyć? Nie należało dać się sprowokować.

- Absolutnie nie. Chodzi o muzykę. Taką prawdziwą.

- Hip-hopową - domyślił się muzyk.

- Ależ skądże. Chodzi o zespół, eee... - zająknął się - rockowy.

- O tak! Nie wątpię. - Świdrujące oczka gospodarza mogły sparaliżować. - Dyskoteki to twoja specjalność.

- Moja? - Janek uderzył się w pierś. - Nigdy w życiu!

- No tak, w zasadzie preferujesz wychodzenie z nich. Oczy Reisinga zaokrągliły się ze zdumienia.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Oczywiście, nie wiesz. Udajesz głupiego albo rzeczywiście zapomniałeś. - Wzruszył ramionami. - Pewnie, nie ma o czym pamiętać. W ogóle nic się nie stało.

Rozmowa zaczynała zbaczać na nieznane, ale na pewno niewłaściwe tory.

- Staszek, słuchaj, znamy się od lat. Było różnie, normalnie, jak w życiu. Ale wspólne dzieciństwo chyba coś znaczy.

- A cóż tam było niby wspólnego! - Kompozytor prychnął pogardliwie. - Potem, owszem. Przez chwilę.

Janek zaczął czuć się bardzo niepewnie pod kłującym spojrzeniem, a w dodatku kompletnie nie wiedział, o co chodzi. Czuł jednak, że nie dzieje się nic dobrego.

- Nie rozumiesz? Oczywiście! Dyskoteki na wakacjach po maturze też nie?

Rzeczywiście nie. Pewnie powinien, ale trudno. Nic teraz nie wymyśli.

- Musiała ci się bardzo nie spodobać muzyka, bo wyszedłeś. Rzeźbiarz skinął głową. Bardzo możliwe.

- Ale nie sam - wysyczał Chrust. - Z Marylką. Z którą ja przyszedłem na zabawę. I już nie wróciliście - uśmiechnął się krzywo. - To mają być te miłe wspomnienia?

Wyglądało na klęskę. Całkowitą, bo nie był pewien, czy sobie przypomina.

- Daj spokój, dziewczynie zrobiło się duszno i chciała iść do domu, więc ją odprowadziłem. Nie wiedziałem, że jest z tobą.

- Bo już pewnie nie była ze mną, kiedy ją, że tak powiem, odprowadzałeś. W każdym razie potem nie chciała się ze mną spotykać.

- To na pewno jakieś nieporozumienie i można je wyjaśnić.

- Oczywiście. Ale tylko w jeden sposób. I na pewno nie ma *żadnego* nieporozumienia.

Rzeczywiście, chyba nie ma o czym dyskutować. Reising nie pamiętał zbyt dobrze, ale raczej było tak, jak mówił Staszek. Trudno wyobrazić sobie gorszy temat do wspomnień.

Chrust wpatrywał się w niego z wyraźną satysfakcją. Miał go w ręku. Nie pozostało nic innego, jak oficjalnie przegrać.

- W porządku - westchnął. - Całkowicie cię rozumiem i nie dziwię się, że zostawiasz mnie z problemem, spokojnie idąc spać. - Powoli zaczął podnosić się z fotelika.

Kompozytor skrzywił się z odrazą.

- Jakiś zespół? - warknął. Janek już siedział z powrotem.

- Tak. Nazywają się The Goors.

- Mogło być gorzej. Co masz z nimi?

- Problem. Czy możliwe, że w jakimś ich utworze kawałek należy do takiego kompozytora - nabrał tchu - do Carla Orffa?

Chrust zamrugnął oczami.

- Zwariowałeś chyba! Tobie się wydaje, że jeśli zrobisz swojej rzeźbie taką samą rękę albo nogę jak Wit Stwosch, i nikt nie pozna, bo noga to noga, to muzyk może sobie ściągnąć jak w szkole, bez żadnych konsekwencji.

- Czyli niemożliwe?

- Absolutnie. Zapomnij. I skąd taki pomysł?

- Trudno wytłumaczyć. - Rzeźbiarz z zakłopotaniem usiłował zmierzwić krótko przycięte jasne włosy. - Mój przyjaciel słyszał, jak sąsiad grał na flecie pieśń *O fortuna* i tak zeznał na policji. Sąsiad twierdzi, że w ogóle tego nie zna i grał coś Goorsów z pamięci z ich płyty. Sprawa jest bardzo ważna dla mojego przyjaciela.

- Chyba rzeczywiście ważna, skoro przyszedłeś. Moim zdaniem - wycelował palcem w gościa - przynajmniej jeden z nich

jest stuknięty. Tych autorów nie można pomylić. Czy twój przyjaciel zalicza się do muzykalnych?

- Zdecydowanie tak.

- A ty wiesz cokolwiek o Orffie?

- Oczywiście. Niemiec, bardzo sławny, chciał, żeby dzieci uczyły się muzyki, zwłaszcza rytmiczna miała być dla nich odpowiednia. Tak, tak to jest ta melodia! - wykrzyknął. - Była w Internecie.

Chryst zagwizdał jeszcze kilka taktów.

- Nawet ty jesteś w stanie ją rozpoznać, mimo że słuchałeś jej pewnie aż godzinę temu.

- Właśnie.

- Czyli w sumie dziwna sprawa. Flecista nie może jeszcze raz zagrać?

- Wyleciał samolotem bardzo wcześnie na jakąś konferencję, chyba do Anglii. Jest informatykiem.

Kompozytor skrzywił się.

- Może trzeba go było lepiej zaprogramować, żeby dokładnie wiedział, co gra. Ale, powtarzam, niezrozumiała historia i musi mieć jakieś wytłumaczenie. Ja nie znam się na płytach rockowych, a czy ty wiesz, jaką maksymę głosił Carl Orff? - Uniósł brwi ironicznie.

- Wiem. - Reising wyprostował się jak uczeń. - „Bądź miły dla swoich wrogów, oni tego nie wytrzymają”.

- Bardzo dobrze. I zgodnie z tą zasadą. - Szybko napisał coś na oddartym kawałku gazety. - Masz tutaj telefon właściciela małego, ale dobrego sklepu muzycznego. Powołaj się na mnie, to będzie z tobą rozmawiał nawet o siódmej rano. Jeśli on nie wyjaśni sprawy, niestety, twój przyjaciel ma dalej kłopoty i pewnie halucynacje słuchowe. - Przeciągnął się na teatralnej kanapie. - 1 zero podziękowań - dorzucił z irytacją. - Wynocha!

Pani Iza trochę zdziwiona obserwowała ciemne okna przy Skrętej piętnaście. O tej porze jednak powinno być bardziej ruchliwie. Nikt nie wychodził do pracy, nie mówiąc już o wstąpieniu do niej po gazetę i świeże bułki. Czyżby wszyscy nagle zaspali?

Poprawiła włosy przed lustrem. Wczorajszy wieczór może uznać za udany. Poszło lepiej, niż się spodziewała. Czas pokaże, co dalej.

Na tle porannej szarości w drzwiach odrapanego budynku ukazała się wysoka sylwetkę Piotra Niespała. Wbrew przypuszczeniom nie wybierał się na jogging. W kurtce zarzuconej na luźny sweter, bez czapki, w kilku susach, zgrabnie przeskakując kałuże, dobiegł do drzwi sklepu.

- Dzień dobry pani Izo, przyszedłem po coś na śniadanie. - Skierował się do półki z jogurtami.

Właścicielka sklepu odetchnęła.

- Dzięki Bogu, nareszcie ktoś przyszedł. Już się bałam, że wszystkim państwu coś się stało.

Niespał dołożył jeszcze serek i kilka drożdżówek.

- Tak jakby się stało. Pani Bożena nie żyje, a doktor aresztowany.

Iza Dolant chwyciła się za głowę.

- Co pan mówi! Zabił żonę?

- Nie sądzę, ale ponoć wszystko wskazuje na niego.

- Niesamowite. Nie mogę uwierzyć. Taki elegancki mężczyzna. - Oparła się o ladę, jej dekolt w niebieskiej bluzce był na pewno ozdobą sklepu. - A co z resztą pana sąsiadów? Od rana nikogo nie ma.

- Reszta bez obaw, ale ma pani rację, że pusto. Ja akurat trochę źle spałem, wcześniej odbyłem jogging, więc się orientuję. Sebastian bardzo wcześnie miał samolot, Urszula od gimnastyki wybiegła do tramwaju chyba o piątej z minutami, jakiś czas po

niej wyjechał rzeźbiarz zmartwiony, że nie ma Sebastiana. Daria też już wyszła do pracy.

- A pani Alicja? Jej pan nie zalicza do wszystkich?

- Oczywiście, że nie. Na pewno jeszcze śpi, żadna różnica. Pani Dolant westchnęła.

- Pusto bez Korendów. Niech mi pan powie, jak on ją w końcu zamordował?

Daria zjawiła się w pracy tak wcześnie, jak chciała. Przed mecenasem. Nie miała zaległości, więc zaczęła już wynajdywać sobie sprawy, które mogłaby załatwić, byle czymś się zająć.

Rawicz natomiast wpadł do kancelarii spóźniony i prawie biegiem. Zawsze opanowany i z dystansem do rzeczywistości, dzisiaj przypominał ucznia, który nie zdążył na pierwszą lekcję, ale z bardzo ważnych powodów.

- Co za dzień, pani Dario! - Usiadł przy niej w rozpiętym płaszczu. Elegancki szalik zsuwał się z nienagannego kołnierza białej koszuli. - Oczywiście, piątek, nie mogłem zaparkować i miałem przymusowy sprint. - Należało przyznać, że wspomniany bieg zrobił mu bardzo dobrze. Mecenas od rana wyglądał jak odmłodzony. - Chciałem panią czym prędzej zobaczyć, bo wiem o wszystkim. Zadzwoiłem rano do Wi-Medu, żeby w końcu umówić się na wizytę, a tu jego sekretarka, ta starsza, żyjąca - uśmiechnął się gorzko - z którą się trochę zaprzyjaźniłem, opowiedziała mi wszystko. Moja droga, jak pani to znosi? - Spojrzał na nią znad okularów w sposób tak ciepły, jak nikt od dawien dawna.

- Dobrze - odpowiedziała automatycznie.

- No jasne - uśmiechnął się. - Jakże mogłoby być inaczej.

- Zrobię kawę. - Wstała, by włączyć czajnik. Mecenas w drzwiach do swego gabinetu odwrócił się.

- Nigdy nie widziałem u pani tego medalika. Jest piękny i oryginalny.
- Jego spojrzenie mówiło, że naprawdę mu się podoba. - To jakaś pamiątka czy prezent?

Potrząsnęła głową.

- Trudno określić. W każdym razie weszłam w jego posiadanie w bardzo nietypowy sposób. Myślę - spojrzała swoimi ciemnymi, lekko wydłużonymi oczami - że niedługo będę mogła panu o tym opowiedzieć.

- Trzymam panią za słowo i mam jeszcze jedną nietypową sprawę, ale najpierw odbędę kilka rozmów telefonicznych. - Rzucił jej ciepłe spojrzenie.

Gdy została sama, nie powstrzymała się od spojrzenia w lusterko. Łańcuszek otaczał jej szyję idealnie dopasowany długością i kolorem. Czy tak właśnie leżał na głęboko wyciętym dekolcie Zofii? Z pewnością jeszcze lepiej. A jak wyglądała w nim Marianna? Była śliczna i czarująca, ona zdołała bizuterię i na nią zwracało się uwagę.

Daria zaczęła w zamyśleniu rysować długopisem portrecik Zofii, tak jak ją zapamiętała. Szkoda, że nie może z nią porozmawiać. Szkoda, że nie żyje nikt z rodziny Marianny i nigdy nie dowie się, jakie były losy medalika, począwszy od dziewiętnastego wieku do chwili, gdy znalazł się u niej.

- A więc tak, pani Dario, czas rozpocząć pertraktacje. - Mecenas najwyraźniej przyszedł do siebie po dobrej kawie. - Zacznijmy od tego, że dziś mamy piątek i całkiem niezłą pogodę. Tu jesteśmy zgodni, prawda? - Skinęła głową z przekonaniem. - Miałem właśnie omówić ze znajomym kilka dość ważnych spraw, gdy on stwierdził, że wyjeżdża na weekend wcześniej i najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy dzisiaj, ale u niego na działce.

Daria słuchając go, przypomniała sobie, że od rana nie może w żaden sposób skontaktować się z Urszulą. Niesamowicie wcześniej wyszła z domu, a potem jej telefon odzywał się tylko pocztą.

- I dlatego mam do pani prośbę. - Mecenas lekko dotknął jej dłoni. - Czy mogłaby pani pojechać tam ze mną?

- Oczywiście - odpowiedziała automatycznie. Uśmiechnął się trochę niepewnie.

- Miałem na myśli nie funkcję sekretarki, a raczej może - zająknął się - osoby towarzyszącej.

- Ależ jak najbardziej. - Trochę wzruszyło ją zmieszanie kogoś, kto mógłby być jej ojcem, a przy tym słynął z dowcipu i umiejętności znalezienia się w każdej sytuacji.

- A więc umowa stoi. - Wyraźnie się odprężył. - Parę minut po dwunastej zamykamy nasz sklepik i jedziemy na weekend.

Reising po dłuższym rozmyśleniu zdecydował się na telefon do Karola. Nie mógł liczyć w związku z tym na nic dobrego, toteż przez chwilę wpatrywał się w swoją komórkę, jakby oczekując od niej rady albo przynajmniej otuchy.

Niczego takiego nie otrzymał i z pełną świadomością połykania żaby wcisnął guziczek telefonu.

- No, słucham cię, coś nowego? - Głos inspektora brzmiał tak miło, że odechciewało się nawet oddychać.

- Może trochę. Niezupełnie. Czy nie za bardzo pośpieszyliście się z tym zatrzymaniem Maćka?

- Za bardzo? Żartujesz sobie? Przy pierwszym morderstwie ma alibi cieniuteńkie, a przy drugim idiotyczne. Oparte na melodii, której nie ma.

- Oczywiście, że jest. Nucił mi ją przed chwilą Stanisław Chrust.

- Na pewno. I na pewno jest autorytetem w dziedzinie muzyki klasycznej, tyle się orientuję w kulturze. Ale dopóki nie przekona informatyka Sebastiana, że grał to, czego nie grał, niestety, jak

mówisz, Maciek będzie u nas jako główny podejrzany bez szansy, że ktoś zastąpi go w tej roli.

- Czy możesz mi uwierzyć, że on nie mógł tego zrobić?

- Dlaczego?

- Dlatego, że jest mądrym i prawym człowiekiem.

- Aha. Bardzo mi miło. - Karol Stanisław stawał się uprzejmy ponad ludzkie możliwości. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że nikt inny nie miał motywu do zamordowania jego żony. Za pierwszym razem mu nie wyszło, potem już dopilnował, żeby się nie pomylić.

Reising wziął głęboki oddech.

- A co on na to wszystko?

- On? Jak zwykle nic. Po prostu nie przyznaje się. I pewnie pamięta, że jest inteligentny i szlachetny, więc pokazuje kompletną obojętność wobec nas i całej sprawy.

- Naprawdę?

- Jakby go nie dotyczyła.

- No sam widzisz.

- Widzę. Sprytną grę. Ale wszystko ma swój koniec. - Ostatnie słowo złało się z szumem w telefonie i połączenie zostało przerwane.

Rzeźbiarz wziął głęboki oddech.

- Nie ma na ciebie rady, Karol. - Zmartwił się, że prowadzi dialog bez rozmówcy. -1 musisz kierować naprawdę wielką akcją, jeżeli skończyłeś taką miłą rozmowę.

Zastanawiając się, czy jego zachowanie nie upoważnia przypadkiem do zbadania sobie poziomu cholesterolu, pełen jednak wiary w przyszłość, wystukał podany przez Chrusta numer właściciela sklepu muzycznego.

Nie zraził się ani trochę po usłyszeniu poczty głosowej. Miał jeszcze zapisane jego adresy, jak zawsze, co pamiętał z dzieciństwa kompozytora, małymi, krzywymi literami.

Całkiem nieźle. Wiadomo, jak dojechać i powinno zająć kwadrans, zwłaszcza że szybko odnalazł znajomą dwupasmową, pustą o tej porze ulicę z hipermarketami na horyzoncie.

Nurtował go jednak jeden problem. Właśnie okazało się, że jest nielubiany, a nawet więcej, przez przyjaciela z dzieciństwa. No, może raczej kolegę albo rówieśnika. Wszystko jedno, i tak był to szok. Coś podobnego po prostu nie miało prawa się zdarzyć.

Wciąż kręcił głową z dezaprobatą, gdy na pocieszenie dostrzegł tabliczkę z numerem, pod którym mieściło się osiedle niewysokich domów z szaroniebieskimi balkonami, stanowiące cel jego podróży.

Nacisnął domofon, z ulgą opierając się o lśniący nowość, jasny marmurek futryny. Wokół ktoś posadził świerki, między nimi dobrze komponowały się schodki urozmaicające podwórko. Wyglądało naprawdę ładnie i z pewnością poprawiłoby rzeźbiarzowi nastrój przed rozmową, gdyby nie to, że był już nastawiony do niej maksymalnie pozytywnie.

Rzeczywiście, szybko usłyszał bardzo przyjemny, zmysłowy damski głos. Przeprosił obowiązkowo za ranne najście i od razu zaznaczył, iż przysłała go jego przyjaciel, Stanisław Chrust. Po chwili ciszy nastąpiło westchnienie, podyktowane, rzecz jasna, zachwytem. Zadowolony z obrotu sprawy Reising zapytał o pana Antoniego Wolmana w nadziei, że dobrze odczytał personalia z kartki.

Kolejne westchnienie.

- Sądziłam, że ten cham się nie ośmieli... - Zawiesiła głos. - Ze więcej nie usłyszę już jego nazwiska. - Teraz westchnienie było raczej wzięciem większego oddechu. - Nie wiem, kim jesteś i nie chcę wiedzieć. Won, bo zejść i zabiję!

Ponieważ natężenie dźwięku ostatniej frazy umożliwiała słyszalność na przykład na meczu piłkarskim, Reising, który nie odsunął się w porę od domofonu, przez chwilę nie słyszał nic.

Może i lepiej. Wobec konkretnej zapowiedzi otrzymanej z góry, nie pozostało mu nic innego, jak powlec się z powrotem do samochodu.

- Pan Antoś pojechał do sklepu. - Usłyszał cienki, lecz stanowczy głos, i nie była to halucynacja, ponieważ tuż za nim podążał mniej więcej siedmioletni chłopiec z kolorowym tornistrem.

- Świetnie! - ucieszył się - A skąd wiesz?

- Zawsze tam jedzie rano. Bo trzeba wcześniej zacząć dzień, żeby dojść do czegoś - wyjaśnił poważnie z może nie najlepszą dykcją.

- Przemus, nie rozmawiaj z obcymi! - Dołączył się zdecydowanie energiczny dziadek chłopca. - Zawołałam policję. - Pogroził pięścią Reisingowi, który zadowolony z faktu bycia całym, żywym i na wolności, już wkładał kluczyki do zamka swojego auta.

Od razu wystukał numer komórkowy Wolmana, ciągle jeszcze nie martwiąc się sygnałem poczty głosowej. Miał przed sobą nie tak długą drogę do sklepu muzycznego, gdzie przecież już na pewno znajdzie tego, kogo szuka.

Pora wprawdzie była zbyt wczesna jak na normalnego klienta, ale zamierzał jakoś sobie poradzić z pracoholicznym właścicielem.

Po drodze przez dwadzieścia minut stał w korku i udało mu się nie stracić nerwów, porządkując przez ten czas, po raz któryś, wszystkie fakty. Konkluzja była jedna. To, co wiedział, nie interesowało nikogo. Żaden sąd nie będzie słuchał o czyimś zachowaniu, reakcjach, objawianych uczuciach, jeżeli nie ma alibi, a są tak zwane motywy. Motywy cieniutkie, ale gdy brakuje innego podejrzanego, stają się niezwykle przekonujące.

W końcu znalazł przecznicę, przy której pod ósemką mieścił się sklep muzyczny Antoniego Wolmana. Na wlocie przywitały go numery nieparzyste, zajął się więc uważną obserwacją pamiętających przedwojenne czasy kamienic po przeciwnej stronie jezdni. Zdziwił się, widząc od razu siedemnastkę, ale mając dobry

wzrok, rozpoznał, że w połowie zamazany napis oznacza całkiem inną nazwę ulicy. Nie zraził się. W końcu przecież musi trafić.

Rzeczywiście, dalej było znacznie lepiej. Znalazła się dwójka i szóstka. Bez czwórki, ale nie była mu potrzebna. Niestety, po niej napotkał totalną pustkę w postaci bardzo zaniedbanego skweru. Po drugiej stronie migwały świeżo odmalowane dziewiętnaście i dwadzieścia jeden.

Za skwerem sterczała resztką murku, który już niczego nie oddzielał.

Reising zaparkował i wysiadł z samochodu. Przywitały go pozostałości świeżo uprzątniętych ruin wyburzonej kamienicy. Obliczenie było proste. Każdy by wiedział, jaki miała numer.

Z lekko zmniejszonym optymizmem pośpieszył obejrzeć następny dom. Chyba następny do rozbiórki. Prasa i książki. Fryzjer. Odzież używana. Na rogu numer 8A.

Opadły mu ręce. Wnioski niestety były jednoznaczne. W dodatku naokoło nikogo, żadnej starszej pani z zakupami, która wszystko wie.

Fryzjer zamknięty, szkoda. Janek dałby się nawet ostrzyc na łyso w zamian za konstruktywne informacje. Na odzież używaną za wcześnie. Rzuciwszy jeszcze raz okiem na ślady ruin, wszedł do sklepiku kupić gazetę.

- Czy tu może obok jest sklep muzyczny? - spytał, chowając resztę.

Za ladą szczupła dziewczyna w jeszcze za wąskim różowym sweterku szeroko otworzyła brązowe oczy.

- Nie wiem - odpowiedział z przekonaniem. Rzeźbiarz uśmiechnął się najlepiej, jak umiał.

- A może w tej kamienicy, która była i ją zburzyli?

Oczy jeszcze bardziej się powiększyły i nie wyrażały absolutnie nic.

- Ja nie wiem, proszę pana - stwierdziła z niechęcią.

Z ulgą wyszedł na świeże powietrze. Nie, nie tak łatwo go przepędzić. Zostanie tu, aż czegoś się dowie.

Gdy wykonał spokojnym krokiem cztery nawroty wzdłuż chodnika, nagle usłyszał dźwięk hamowania samochodu. Z nadzieją podbiegł i niemal pokłonił się w pas wysiadającej z furgonetki trzydziestokilkuletniej blondynce, zawiniętej w niebieską kurtkę dżinsową.

- Mam bardzo ładne garnitury. - Uśmiechnęła się, mierząc go zawodowym wzrokiem. - I niedrogie.

Złożył ręce jak do modlitwy.

- Kupię, co pani zechce, nawet spodnie w zieloną kratkę, ale niech pani ze mną normalnie porozmawia.

Uniosła cienkie brwi.

- Przyjechałam wcześniej z towarem, mam czas, możemy chwilę pogadać. Ale czy nie lepszy byłby na przykład telefon zaufania?

- Nie jestem w depresji - zaprzeczył podejrzanie gwałtownie - ale bardzo potrzebuję pomocy. Jaki numer miał ten wyburzony dom?

- Ósemkę - odpowiedziała bez wahania. - Niech pan wejdzie, zrobię herbatę. Szuka pan kogoś z lokatorów?

- Sklepu muzycznego Antoniego Wolmana. Wzruszyła ramionami.

- Tam go nie było.

- Jak to nie? - prawie krzyknął.

- Jak? Zwyczajnie. Nie było go tam, bo był tutaj.

- Gdzie?

- Tu. - Wskazała palcem podłogę. - W tym dokładnie miejscu. Nie odpowiadał mu nowy czynsz i wyniósł się.

- Dokąd? - Rzeźbiarz ledwie oddychał.

- Owszem, zostawił mi nowy adres, ale nie dla każdego. Zależy, czego pan od niego chce.

- Chcę coś kupić - odpowiedział błyskawicznie.

- Na pewno? - Spojrzała badawczo.
- Przysięgam. - Uderzył się w pierś.
- Niech będzie. - Uśmiechnęła się i zaczęła szukać w głębi szuflady. -

Dlaczego pan pytał o ósemkę?

Reising wyciągnął karteczkę od Stanisława Chrusta.

- Widzi pani? Tak mi napisał adres. Debil zapomniał dopisać A.
- Jeżeli zapomniał literki, to rzeczywiście debil - stwierdziła autorytatywnie. - Proszę, dla pana. Dobrze przepisałam.
- Bo pani jest aniołem. - Ucałował jej dłoń. - Genialnym. Kiedy w przyszłym tygodniu można panią zaprosić na kolację?
- Zamykam o osiemnastej - odpowiedziała chyba automatycznie.
- Będę o osiemnastej we wtorek. - Zostawiając ją kompletnie zaskoczoną, szybko wszedł do samochodu.

Tym razem czekał go przejazd do nowego osiedla niedaleko obrzeży miasta.

Sklep muzyczny pana Antoniego Wolmana tym razem był łatwy do znalezienia po odszukaniu odpowiedniej przecznicy, czyli trzykrotnym błędzeniu dookoła. Zajmował narożnik na parterze jedyne w okolicy pawilonu handlowego, sąsiedował z barem pachnącym już o tej porze świeżym czosnkiem. Nie pozostawało nic innego, jak rozpocząć oczywiste działania, czyli stukanie do zamkniętych drzwi od frontu i zaplecza oraz wciskanie numeru w telefonie.

Gdy te czynności zawiodły, Reising postanowił starym sposobem popytać u sąsiadów. Oczywiście najlepiej nadawał się barek tuż obok. Sądząc z nazwy, miał być wschodni, ale ani obsługujący młody, szczupły chłopak w fartuchu, ani mały pulchny jegomość przy stoliku nie zdradzali swoim wyglądem pochodzenia innego niż mazowieckie.

Rzeźbiarz pomyślał, że to dobrze, bo przynajmniej nie będzie problemów językowych i grzecznie zaczął rozmowę.

Na dźwięk nazwiska Wolman człowiek za ladą drgnął nerwowo, a siedzący klient skrzywił się z nieukrywanym wstrętem.

- Podobno wcześniej zaczyna pracę i jest w sklepie. Czy panowie mogliby mi pomóc złapać z nim jakikolwiek kontakt?

Grubasek zmrużył oczy, co Janek odczytał jako pozytywną reakcję i pozwolił sobie usiąść przy jego stoliku.

- To dla mnie naprawdę coś bardzo ważnego.

- Tak? Więc ma pan problem. - Powoli wciągnął duży łyk kawy. - Duży.

- Mam problem. Dlatego tu jestem.

- Wobec tego większy, niż pan sądzi.

- Nie jestem muzykiem i mam sprawę osobistą, w której tylko pan Wolman może mi pomóc.

Rozmówca wzruszył ramionami.

- On już nikomu nie pomoże.

- Nie rozumiem.

- Tak, jak pan słyszy. Nie pomoże. Trudno mu będzie z tamtego świata. - Zamrugnął, spojrzał zza okularów rzeźbiarzowi prosto w oczy.

- Znalaziono go właśnie w tym jego sklepiku. Z nożem w plecach. - Obrócił w pulchnej dłoni filiżankę. - Właśnie odjechała policja.

Szczupły człowiek za barem z brzękiem ustawiał naczynia.

- Ja nic nie widziałem ani nie słyszałem - powtórzył, jak z płyty. - Od szóstej rano jestem zajęty rachunkami. Może kawy, herbaty albo mineralnej?

Gość przy stoliku skrzywiony ironicznie kiwał głową.

- I po to się śpieszył do roboty. Jakby siedział w domu, to by żył.

Izabela Dolant opierając na dłoniach lekko zarysowany podbródek, wpatrywała się w tytuły rozłożonej na ladzie gazety, nie

rozumiejąc jednak z nich ani słowa. Jej myśli skierowane były w zupełnie inną stronę. Wczorajszy dzień bez wątpienia trzeba zaliczyć do całkowicie udanych. Pewnych spraw nie należało odkładać, bo mogło stać się po prostu za późno.

Szkoda, że aresztowali Korendę, ale w końcu było to, niestety, do przewidzenia. W zasadzie stanowiło tylko kwestię czasu.

Drzwi sklepu otworzyły się i szybkim, zamaszystym krokiem weszła wysoka, szczupła dziewczyna w skórzanym płaszczu z przewieszoną przez jedno ramię torbą z laptopem. Drugie zdołała prostokątna torebka na cienkim pasku, nieduża i skromna, ale kosztująca, jak oceniła pani Iza, mniej więcej tyle, ile wszystko, co ona sama teraz miała na sobie.

Klientka uśmiechnęła się do niej spod opadających na oczy jasnych kosmyków prosto uciętej grzywki z taką uprzejmą i bezpośrednią życzliwością, że postanowiła jej po prostu nic nie sprzedać.

Tymczasem dziewczyna stukając obcasami, podeszła do lady i składając ręce jak uczennica, wzięła oddech, aby zacząć rozmowę.

- Mam do pani wielką prośbę. Widzę, że pani prowadzi tutaj ten sklepik i barek. - Oczy Izzy Dolant stały się lodowate. - Wszystkich pani zna i wie, co się naokoło dzieje.

- Czyżby pani była z policji? - uśmiechnęła się drwiąco. Rozmówczyni z wyrazem rozbawienia potrząsnęła równo

opadającymi na ramiona blond włosami i wyciągnęła przez ladę szczupłą dłoń zakończoną francuskim manikiurem.

- Agnieszka Petryk, bardzo mi miło. Jestem asystentką profesora Wojdala. Z Zurychu. Jesteśmy na konferencji w Krakowie i do Warszawy wpadliśmy dosłownie na moment. Mam szalenie mało czasu, ponieważ profesor dzisiaj odlatuje do Krakowa, jutro jest w Zurychu i to na chwilę, bo właśnie rozpoczyna miesięczny cykl wykładów w Melbourne.

Pani Iza słuchała z ramionami skrzyżowanymi na niebieskiej bluzce.

- To bardzo pięknie, że profesor tyle podróżuje i poznaje świat, tylko - uśmiechnęła się możliwie słodko - to chyba w ogóle nie jest moja sprawa.

- W zasadzie nie. Ale chciałam wytłumaczyć, dlaczego tu jestem i z panią rozmawiam. Otóż profesor Wojdał od wczoraj usiłuje się skontaktować z kimś, kto mieszka w tej kamienicy. Kompletnie bezskutecznie. Dlatego mam do pani... - Nie zdążyła skończyć, ponieważ drzwi sklepu otworzyły się z impetem, a do środka bardziej wtargnął, niż wszedł, Piotr Niespał w rozpiętej kurtce.

- Gdzie? Gdzie jest? — wydyszał.

- Co takiego, panie inżynierze?

Agnieszka Petryk odsunęła się w głąb sklepu, by uniknąć stratowania.

- Czy pan coś zgubił? - niepokoila się pani Iza.

- Ja? - Spojrzał na nią wzrokiem bazyliuszka. - Ja nie gubię niczego. Ktoś, a raczej coś, właśnie resztki rozumu zgubiło. Gdzie jest ten idiota, bo zabiję na miejscu!

Iza Dolant załamała ręce, ponieważ na nic więcej nie było jej stać i czekała na rozwój sytuacji.

- W wolnym kraju nie potrzebuję pozwolenia na wyjechanie spod swojego domu swoim samochodem. A tu okazuje się, że stwór bez mózgu, ale z jakoś zdobytym prawem jazdy, uniemożliwia mi to. - Odetchnął kilka razy głęboko. - Mercedesa wprawdzie nie przesunę, natomiast pouczenie o nieblokowaniu wyjazdu, gwoździem na karoserii napisać umiem.

Blondynka z laptopem usiadła przy stoliku, zakładając nogę na nogę.

- Nie posądzałam pana o tak słabe umiejętności manewrowania - stwierdziła.

Niespał odwrócił się jak drapieznik w kierunku zdobyczy.

- Wiedziałem - ogłosił z satysfakcją - że zobaczę coś w tym stylu. Współczesną mutację bylejakości z nicością umysłową.

- Panie inżynierze, przecież to kobieta.
- Dlatego jeszcze w całości. Dziewczyną wyprostowała się dumnie.
- Usłyszałam groźby karalne. Roześmiał się.
- Jeżeli pani słyszy jakieś głosy, to bardzo ciekawe. Ale dla lekarza.
- Sama jestem lekarzem, jeśli pana to interesuje. Włożył ręce do kieszeni.
- Więc niech sobie pani postawi diagnozę. Tylko uprzedzam, że braku komórek mózgowych się nie leczy.
- Może pani by na przykład przestawiła swój wóz - zaproponowała Iza Dolant.
- Zaczęłam bardzo ważną rozmowę i zostałam zmuszona do jej przerywania. Pani pozwoli, że skończę. Szukam pana doktora Macieja Korendy.
- Rozmówczyni nie zdążyła nic powiedzieć. Uprzedził ją Piotr Niespał.
- Spotka się pani z doktorem szybciej, niż myśli, jeśli pani będzie nadal lekceważyć przepisy. Dzwonię po straż miejską. - Wyjął z kieszeni telefon.
- Skutecznie. Agnieszka Petryk wstała i z godnością przestukała obcasami do wyjścia.
- Wróć - rzuciła krótko w stronę właścicielki sklepu.
- Spiesz mi się - oznajmił inżynier, obserwując zza szyby aktualną sytuację swojej octavii, rzeczywiście skutecznie zablokowanej przez szarego mercedesa.
- Domyśliłam się - westchnęła. - Coś ważnego?
- Bardzo. Czego ona chciała od Korendy? Pani Iza bezradnie wzniosła oczy w górę.
- Może lepiej, że go nie spotka.
- I tak ją ktoś zamorduje. Nie ten, to inny - stwierdził z satysfakcją Niespał. - Ona pracuje na to.

Niedoszła ofiara powróciła w równie zamaszysty sposób, jak wyszła.

- Pana żona już czeka - zakomunikowała wzgardliwie.

- Nie mam żony. - Wzruszył ramionami i, nie zważając na jej szyderczy uśmiech, wyszedł, prawie wybiegł ze sklepu.

- Proszę uważać przy wyjeździe, bo mój wóz jest wypożyczony - pożegnała go blondynka.

Izabela Dolant ze zmarszczonymi brwiami, zamyślona, nie zwracała na nich uwagi.

- Ten pani szef, to jest profesorem od czego?

- Medycyny, oczywiście. - Klientka usiadła wygodnie. - Otóż sprawa wygląda w ten sposób, że profesor Wojdal, gdy był w Polsce ostatni raz niecały rok temu, spotkał na konferencji we Wrocławiu doktora Korendę.

- A jak on ma na imię?

- Maciej.

- Nie! - Właścicielka z nagłą furią trzasnęła pięścią w ladę, - Nie on, tylko ten pani profesor Wojdal.

Klientka spojrzała z niepokojem.

- Pan profesor Andrzej Wojdal. I z tego, co wiem, uznał tę znajomość za interesującą. Przez cały czas był niezmiernie zajęty, natomiast dziś akurat ma chwilę na rozmowę, bowiem ponad wszystko ceni sobie kontakt osobisty.

- Niezbyt wysoki, mała bródka?

- Tak. Doktor nie odpowiada ani na maile, ani na telefon, w domu też nikogo nie zastałam. Dzisiejszy dzień jest jedynym momentem na spotkanie, które może zacząć ewentualną współpracę. Profesor ma czas do godziny czternastej, potem wszystko nieaktualne. Proszę pani - zamrugła długimi rzęsami wyglądającymi spod grzywki - doktor na pewno będzie pani bardzo wdzięczny, jeżeli w jakikolwiek sposób pomoże mi pani z nim się skontaktować. Proszę mi wierzyć, to naprawdę duża szansa dla lekarza.

- No, na pewno. - Iza Dolant patrzyła w okno, ale bez specjalnego zainteresowania. Nawet nie przyjrzała się, jak jest ubrana Alicja Bronowska powoli zdążająca w kierunku pętli tramwajowej.

W końcu zwróciła uwagę na Agnieszkę Petryk, która być może coś jeszcze mówiła.

- Pan doktor Korenda w tej chwili jest nieosiągalny i to pewnie trochę potrwa. Nie mam możliwości pani z nim skontaktować. Ale jeżeli dostanę namiary na profesora, postaram się znaleźć kogoś - westchnęła - kto będzie bliżej doktora.

Dziewczyna zawahała się.

- Właściwie, przepraszam bardzo, ale nie wiem, czy mogę pani wierzyć.

Pani Iza wzruszyła ramionami.

- To niech pani nie wierzy. Żaden problem.

- W sumie słusznie. Nic lepszego nie wymyślę. Tylko proszę pamiętać, że to jest dla kogoś bardzo ważne. - Podała jej wizytówkę profesora.

- Oczywiście. - Sprzedawczyni odpowiedziała pustemu już sklepowi. Z westchnieniem naląła sobie szklankę kolorowego, gazowanego napoju i wzięła jeszcze czekoladowy batonik.

Z torebki wyjęła zmiętą kartkę z zapisanym numerem telefonu policji. Położyła ją przed sobą i kręcąc bezradnie głową, sięgnęła po wafelek śmietankowy.

- No, nie wiem, jak mam to zrobić - powiedziała głośno, mnąc w palcach opakowania, które zostały po słodyczach.

Przez chwilę jeszcze bawiła się kolorowymi papierkami, ale gdy celnie wrzuciła je do kosza, wpadła na pomysł. Wyciągnęła telefon z kieszeni bardzo dopasowanych, czarnych spodni i w skupieniu zaczęła przeszukiwać jego spis numerów.

Reising nie chciał troskliwie zaproponowanej kawy, herbaty ani mineralnej. Wiedział, że musi ochłonać na świeżym powietrzu.

Najpierw okrążył dwa razy budynek pawilonu, potem zagnieździł się w huśtawce na małym, pustym placu zabaw, który zobaczył obok. Po kilkunastu minutach smętnych rozmyślań nad bilansem swoich dokonań, począwszy od szóstej rano, i jeszcze smutniejszymi widokami na przyszłość, zaczął gwizdać melodię, która według niego była pieśnią *O fortuna*, ale na pewno nikomu innemu nawet by jej nie przypominała.

Mimo to pomogła. Gdy wstał z huśtawki, nie wyglądał już na tak nieszczęśliwego. Wracał do baru spokojnie, zadowolonym krokiem kogoś, kto zmierza precyzyjnie do ustalonego celu. Do tego stopnia, że zrobił wrażenie na bardzo pewnym sobie i eleganckim yorku, który zostawiając właścicielkę, postanowił go porządnie nastraszyć. Wystartował groźnie, z prędkością rakiety i podobnym hałasem, jednakże w odległości dwóch kroków nagle zatrzymał się, ostro hamując, po czym cicho i wolniutko wrócił pod opiekę swojej pani.

- Lubi pan zwierzęta? - zagadnęła trochę speszona emerytka. Uśmiechnął się i jego twarz straciła twardy, zacięty wyraz.

Teraz stał się miłym, pogodnym, opalonym, w zasadzie młodym mężczyzną.

- Owszem, ale całkiem inne - odpowiedział grzecznie.

- A jakie? - Nie dawała za wygraną.

- Koty. Odpowiednio duże i zdecydowane - wyjaśnił i nie zapominając uklonić się elegancko, zadowolony skierował się prosto do uchylonych drzwi z egzotycznym szyldem.

Znajomy klient ciągle siedział przy stoliku, a nawet czytał jakąś gazetę, zza której ledwie na niego spojrział. Rzeźbiarz podszedł i usiadł naprzeciw.

- Słuchaj, purchawo - powiedział z uprzejmym uśmiechem. - Jeżeli tak ci się marzy przejście na drugi świat, to możesz mieć je załatwione nawet od zaraz.

Grubasek zeszywniał.

- Pan mi grozi? - spytał z godnością.

W odpowiedzi Reising wstał, jedną ręką chwycił go za rozpiętą pod szyją kurtkę i nadając całej sylwetce odpowiednie przyśpieszenie, szybkim ruchem umieścił rozmówcę pod przeciwległą ścianą.

- Nie będę potrzebował jakiegoś durnego noża, załatwię cię, Wołman, z przyjemnością gołą dłonią. I zostaw ten telefon, badyłu, bo pożałujesz - rzucił w stronę człowieka za ladą.

Wolman przyciśnięty do boazerii zdecydowanie utracił pewność siebie.

- Kim pan jest? - Oczy miał okrągłe z przerażenia.

- Kimś, kto potrzebuje informacji, a bardzo nie lubi kłamczuchów. - Dla pewności ścisnął go silniej. - Gadaj, w jaki sposób na płycie Goorsów można usłyszeć fragment *O fortuna* Carla Orffa?

Człowiek za barem usiadł i z ulgą pociągnął łyk wody mineralnej.

Rzeźbiarz dla odmiany potrzęsął swoją ofiarą tyle, na ile pozwalała mu bliskość ściany.

- Nie mów mi, buło, że to niemożliwe. — Wolmanowi spadły okulary. - Im szybciej wymyślisz, tym dla ciebie lepiej.

- Nie wiem - jęknął. - Nie mam pojęcia.

- Masz minutę.

Chłopak w fartuchu z butelką wody w jednej ręce i torebką orzeszków w drugiej, przechylony przez ladę, chyba dał się wciągnąć w akcję.

Grubasek z przyśpieszonym oddechem poruszał szeroko otwartymi oczami, jakby w mózgu przewijał jakąś taśmę.

- Był taki film o Goorsach. W tle leci ich muzyka, a prócz niej chyba na pewno coś Carla Orffa - wydusił po chwili.

- Chyba czy na pewno?

- Płyta powinna być u mnie w sklepie. Reising chwycił go dla odmiany za kark.

- Nie wywiniesz mi się. Idziemy.

Gdy Wolman drżącą ręką otwierał zaplecze, on kontynuował przesłuchanie.

- Co ci zrobił Chrust? Przychodzę od niego.

- Wysłał mnie do Monachium - wzdrygnął się. - Obiecał mi nagranie kameralnego zespołu muzyki szesnastowiecznej. Kiedy przyjechałem, okazało się, że dawno jest po wszystkim, bo pomylił daty. Nawet nie przeprosił. - Pod bacznym wzrokiem prześladowcy wyciągnął płytę z najwyższej półki i automatycznym ruchem włożył ją do odtwarzacza. - Akurat sporo straciłem wtedy na nieobecności w Warszawie - dodał z westchnieniem.

Rzeźbiarz mógł poczuć się usatysfakcjonowany. Rockowy zespół amerykański był mu całkiem obojętny, ale pieśń *O fortuna* rozpoznał od razu.

Wolman odetchnął z prawdziwą ulgą.

- Wystarczy? - spytał z nadzieją.

Janek w zamyśleniu skinął głową. Powinno wystarczyć. Przynajmniej na razie do odparcia zarzutu braku alibi.

- Interesuje się pan muzyką? - zagadnął grubasek, pakując płytę i chyba chcąc nabrać pewności co do swojego bezpieczeństwa.

- Ani trochę. Ale zaraz, zaraz. Jeszcze mi się nie wytłumaczyłeś ze świadomego wprowadzenia w błąd. Mów, po co zmyślałeś.

Sprzedawca nerwowo zacisnął palce.

- Powiem, jak jest. Nie chce mi się z nikim rozmawiać, mam dosyć sklepu, w domu też nic dobrego. Marzy mi się cokolwiek, byle inaczej. Może być nawet tragedia.

- I czytasz kryminały? Przytaknął z przekonaniem.

— Dam ci dobrą radę. — Reising odwrócił się w drzwiach. - Rozwiedź się, to coś się będzie działo. A potem nie będziesz już musiał czytać o morderstwach.

Daria czuła, jak z godziny na godzinę opuszcza ją poranna energia, ustępując miejsce pospolitemu zmęczeniu. Cóż, nic dziwnego. Miała właśnie za sobą rozdział życia, który sam się zamknął i o którym bardzo chciałaby zapomnieć. Z czasem, oczywiście, musi się to udać. Na razie jednak nie mogła przestać wspominać, analizować po kolei wszystkiego, co miało związek z jednym mężczyzną.

Chwilami wydawało jej się, że wciąż czuje na sobie jego spojrzenie. Dotknięcie ręki, które sprawiało, że czuła się bezpieczna, a przecież cudownym przypadkiem tylko uniknęła śmierci tam, na rogu Nowowiejskiej i Alei. Nie zapomni spojrzeń licealistów, dla których sytuacja nie budziła żadnych wątpliwości. Ale oni byli obiektywni. W odróżnieniu od niej.

Zaangażowanie uczuciowe. Jakie to eleganckie i zimne określenie, a oznacza po prostu, że była żalosna.

Miała jednak szczęście. Nieprawdopodobne. Teraz musi je docenić. Wykazać się rozsądkiem i pozytywnie przyjmować od życia wszystko dobre, co jej oferuje.

Prawdę mówiąc, zabawne, ale nie może się już doczekać dzisiejszego wyjazdu. W normalnym towarzystwie kogoś, kto ją po prostu lubi. Nie musi obawiać się z jego strony żadnej niespodzianki. Również ze strony jego znajomych. Tak, dzisiejszy zwykły obiad na działce potraktuje jako początek czegoś nowego.

Na pewno nie oczekuje od bliskiej ani tej dalszej przyszłości żadnych romantycznych wrażeń. Tę sferę życia ma już definitywnie z głowy, a mogła za nią dużo drożej zapłacić.

Między ludźmi pozbędzie się bezsensownych wspomnień i odpocznie.

Jeszcze tylko parę słów z Urszulą. Miała ochotę podzielić się z nią tym nastrojem. Może będzie mogła odebrać telefon. Niestety, jej komórka znowu przełączała się na pocztę. Daria nagrała tylko wiadomość, gdzie i z kim jedzie. Resztę opowie później.

- Tak, wszystko się zgadza. Nie musisz jeszcze raz pytać. Załatwiłeś alibi. Zadowolony jesteś?

- Jestem. I nie załatwiłem, ponieważ ono od początku istniało, tylko wyjaśniłem niepotrzebne wątpliwości. To chyba dobrze?

- Ależ oczywiście! Jak najbardziej. - Inspektor Stanisz nie wyglądał na uszczęśliwionego. - Wyjaśniaj dalej, aż na świecie nie będzie ani jednego mordercy. Sami niewinni.

W niebieskich, uśmiechniętych oczach Reisinga błysnął niepokój.

- Co masz na myśli?

- Nic takiego. Oczywiście, wypuścimy twojego przyjaciela, doktora. Będzie mógł sobie genialnie ratować pacjentów, dopóki tu nie wróci.

- Żartujesz.

- Ani trochę.

- Naprawdę jesteś przekonany o jego winie?

- Wyobraź sobie, że tak.

- Dlaczego?

- Bo przypominam ci, że ci ludzie sami się nie pozabijali, ktoś to musiał zrobić. Masz lepszego niż on?

Rzeźbiarz uniósł brwi.

- To zależy. Trudniejszy będzie gorszy. Ale ma jedną zaletę.

- Mów.

- Jest prawdziwy.

Karol Stanisław przez chwilę przyglądał mu się, jakby go widział po raz pierwszy.

- I mówisz, że nie będzie chciał się przyznać?

- W tym momencie na pewno nie. Ale potem, zobaczymy.

- Żartujesz.

- Ani trochę.

Inspektor bawił się długopisem.

- Jasne. Przedrzeźnij mnie. Bo to chyba wszystko, co masz do powiedzenia, prawda?

- Prawie. Bo co zrobisz, jeśli ci oznajmię, że jestem całkowicie przekonany o czyjejs winie, ale nie mam na to żadnego dowodu?

- Nawet poszlaki?

- W sumie nie.

Stanisław wzruszył ramionami.

- No to nic nie zrobię. A na razie możesz sobie odebrać swojego niewinnego. Nie może wyjechać, pamiętaj.

Janek uśmiechnął się po swojemu, rozbijając.

- Nie ruszy się nigdzie. Tego akurat jestem pewien.

Piotr Niespał z filiżanką kawy w jednej ręce, a myszą laptopa w drugiej, uważnie śledził ekran. To, co miał do zrobienia, zamierzał wykonać naprawdę dobrze. Nie można zepsuć ostatniego etapu czegoś, co budowało się tak długo.

W porządku. Lot do Monachium zamówiony. Inżynier zadowolony przeciągnął się w obrotowym fotelu. Pakowanie nie zajmie mu wiele czasu, a rozmyślanie o najbliższej przyszłości sprawia dużą przyjemność. Właśnie rozpoczyna nowy, lepszy etap swojego życia.

Dopił kawę i stanął przy oknie, oglądając smętny, szary krajobraz. Długo czekał na dzień taki jak dzisiaj, ale z samego czekania nie miałby nic. Musiał pomóc losowi i konsekwentnie działać.

Zabawne, że przez cały czas nikt, absolutnie nikt, nie domyślał się niczego. Przez moment wydawało mu się, że ten rzeźbiarz mógł odnieść jakieś wrażenie, ale przy jego nie za bardzo wysokiej inteligencji, naprawdę nie było większych powodów do obaw.

Tak, już za chwilę on, Piotr Niespał, będzie spokojnym, lubiącym życie człowiekiem, bo udowodnił, że na to zasługuje.

Reising, zgodnie z obietnicą Stanisza, nie czekał długo. Zdążył natomiast przez ten czas odebrać telefon od pani Izy z zadowoleniem, że wreszcie słyszy jakąś normalną, dobrą wiadomość.

Ucieszył się też, widząc, że ostatnie godziny prawie nie zostawiły na Korendzie śladu. Doktor krótko podziękował, ściskając jego rękę, a poza tym sprawiał wrażenie, jakby cała sprawa nie dotyczyła go bezpośrednio. Ani śladu lęku, czy choćby zdenerwowania.

- Nie pojmuję, jak ci się udało wyjaśnić sprawę Carla Orffa? - spytał, gdy znaleźli się w samochodzie. - Nie przypuszczałem że znasz się na muzyce klasycznej. Do rockowej też mi nie bardzo pasowałeś.

- A do jakiej? - zainteresował się rzeźbiarz.

- Do żadnej - Korenda odpowiedział bez zastanowienia.

- Całkowicie słuszna diagnoza. Jest to część rzeczywistości, która dla mnie po prostu nie istnieje. Chociaż od dzisiaj widzę, że potrafi się do czegoś przydać. Ale zaspokoję twoją ciekawość. Mam znajomych, którzy nią, a raczej z niej, żyją, i to całkiem dobrze.

- Dobrze, że tak szybko pomogli - zauważył doktor. - Mam u nich również ogromny dług wdzięczności.

- Bardzo szybko - stwierdził Janek z przekonaniem. - I bez proszenia - dodał, uznając, że nie mija się z prawdą. Proszenia sobie nie przypominał. Antoni Wolman chyba również.

Popatrzył na swojego pasażera. Wciąż zadziwiająco spokojny, ze wzrokiem utkwionym w przedniej szybie samochodu, myślami jednak raczej był gdzie indziej. Jego profil, odcinający się śniadym kolorem od jasnych włosów, miał rysunek wyostrzony przez skupienie, a może coś bardziej niebezpiecznego.

- Zastanawiałeś się, kto to zrobił? - uznał, że wolno mu zapytać.

Korenda zmarszczył brwi.

- Cały czas. I jest szansa, że będę wiedział. Ale to skomplikowane.

Reising skinął głową ze zrozumieniem. Jasne, dla niego na pewno zbyt skomplikowane. Zmienił temat.

- Dzwoniła pani Iza, że szuka cię niejaki profesor Wojdał i może rozmawiać tylko do godziny trzynastej, bo potem go nie będzie.

- Żartujesz! - Natychmiast się ożywił.

- Zostawił numer, prześlę ci go zaraz z mojej komórki. Maciek, mnie to wygląda na jakąś dużą okazję zawodową, dobrze mówię?

- Bardzo dobrze. Cud, że to do mnie w tym wszystkim dotarło. - Rozluźnił się trochę. - Może zacznie się coś lepszego.

- Czy taka rozmowa może zmienić twoją, pracę, twoje życie?

- Dokładnie tak. - Korenda wziął głęboki oddech. - I zaraz zadzwonię. Tylko mam prośbę. - Spojrzał na niego. - Niedaleko jest Wi-Med. Podrzuc mnie do niego, potem sobie poradzę.

- Nie ma sprawy. - Pod przychodnią znaleźli się rzeczywiście za moment. Reising położył mu rękę na ramieniu. - Trzymaj się i daj znać, co załatwiłeś.

W promieniach marcowego słońca budynek przychodni wyglądał na jeszcze bardziej przyjazny i zadbany.

Doktor wbiegł do środka, powodując palpacje serca u recepcjonistki, która poczuła się, jakby zobaczyła ducha.

- Pani Tereso, jestem u siebie i nie ma mnie dla nikogo - rzucił krótko, ale z uśmiechem.

- Oczywiście, panie doktorze. - Pracowała w klinice, gdy Korenda kończył studia, a teraz, na emeryturze, łączyła u niego obowiązki pielęgniarki i sekretarki, a od czasu śmierci Aldony Miecik prawie nie bywała w domu.

Uważała swojego szefa za najbardziej wartościowego człowieka, jakiego spotkała w życiu, i nie zadawała żadnych zbędnych pytań, wiedząc, że każda jego decyzja będzie słuszna, a wątpliwości wyjaśnią się, kiedy przyjdzie pora.

Teraz biorąc się do parzenia kawy, widziała, że miał pilny telefon, bo wyjął komórkę równocześnie z kluczami do gabinetu.

Rzeczywiście, ani chwili nie zwlekał z oddzwonieniem do profesora Wojdała. Po kilku sygnałach odezwał się jednak damski głos z rodzaju zdecydowanie słodkich.

- Witam, panie doktorze. Moje nazwisko Agnieszka Petryk, jestem asystentką profesora. Niezmiernie mi przykro, profesor nie może w tej chwili z panem rozmawiać, ale zaprasza pana na godzinę dwunastą na spotkanie do hotelu. Mam nadzieję, że znajdzie pan czas.

Korenda zapisał adres. Odetchnął głęboko, patrząc na ściany swojego gabinetu jak po długim niewidzeniu. Zastukała pani Justyna z filiżanką kawy.

- Nie, dziękuję. - Szybkim ruchem wstał zza biurka. - Wychodzę. W razie czego, tak jak powiedziałem.

Po kilku krokach był na zewnątrz i zdążył złapać tramwaj. Spojrzał na zegarek. Przed nim krótkie kilka przystanków, a potem już pójdzie szybko.

Po niespełna dziesięciu minutach zeskakiwał ze schodków i prawie pobiegł boczną uliczką prowadzącą w dół między zadbanymi secesyjnymi kamienicami. Dobrze znał tę drogę, pamiętał

ją z czasów studiów, kiedy mówiąc oficjalnie, starał się o Bożenę, a naprawdę poświęcał jej każdą swoją wolną chwilę. Pamiętał również swoją przyszłą teściową, która nie ukrywała niechęci do niego. Był za mało dobry dla jej córki, syn wiejskiego nauczyciela, a nie profesora uniwersytetu albo lekarza z prywatnym gabinetem. Musiała jednak pogodzić się z jego obecnością, a później z faktem, że wszedł do jej rodziny. Teraz też nie będzie w stanie mu się przeciwstawić.

Otworzyła drzwi. Była bez makijażu, ubrana w czarny, luźny sweter i jakąś spódnicę. Po raz pierwszy widział ją w takim stanie.

Bez słowa, zmęczonym ruchem ręki zaprosiła go do salonu. Nie usiedli. Stali naprzeciw siebie jak wrogowie, którzy nie mają sobie nic do powiedzenia.

Ciszę przerwał Korenda:

- Wiem, że nie spodziewała się pani mojej wizyty. Przyszedłem, ponieważ pani jest jedyną osobą, która wie. - Patrzyła na niego pobladała z zaciętymi ustami. - Domyśla się pani, dlaczego tu jestem, prawda?

Nie odpowiedziała. Na jej twarzy widać było tylko lęk. Cofnęła się dwa kroki. Podszedł bliżej.

Znieruchomiała pod zimnym spojrzeniem, którego chyba zawsze się bała. Jego ręce zbliżały się do niej. Wiedziała, że powinna krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Czuła coś powoli zaciskającego się na jej szyi, nie mogła oddychać. Ogromne przerażenie.

Wszystko minęło, gdy ogarnęła ją głęboka ciemność.

- Czas na nas, pani Dario! Gotowa? - Mecenas zdążył się przebrać. Zamiast jasnoniebieskiej koszuli z krawatem pod marynarką miał brązowy golf. Daria zakładając kurtkę, z dziwną przykrością oceniła, że ta zamiana nie odmłodziła go ani trochę.

Był za to wyraźnie odprężony, pogodny. Bardzo dobrze. W ostatnich dniach sprawiał wrażenie, że ma do rozwiązania problem albo na przykład waha się z podjęciem jakiejś decyzji. I chyba właśnie dał sobie z tym radę. Drzwi auta otworzył przed pasażerką z zapalem nastolatka, który pożyczył od rodziców samochód. W środku panował idealny porządek i roznosił się bardzo przyjemny zapach płynu do szyb.

Darii też udzielił się dobry nastrój. Przede wszystkim miała poczucie bezpieczeństwa. Za godzinę będzie w towarzystwie ludzi, którzy wprawdzie są związani z prawem, ale nie w charakterze morderców ani, tym bardziej, ofiar.

Wzdrygnęła się na wspomnienie ostatnich dni.

- Czy pani nie zimno? - zatroszczył się mecenas.

Potrząsnęła głową z uśmiechem. Czowała się coraz lepiej, z minuty na minutę. Powoli wydostawali się z miasta, na szczęście jeszcze przed porą korków, i było znacznie cieplej. W marcowe przedpołudnie nieśmiało zbliżała się wiosna.

- Byłbym zapomniał. - Rawicz sięgnął do kieszeni. - Normalni ludzie o tej porze w piątek wyłączają komórki, jeżeli chcą przetrwać w zdrowiu psychicznym. Bardzo proszę zająć się moim telefonem i swoim, jeżeli oczywiście nie czeka pani na wiadomość od chłopaka.

Potrząsnęła głową z uśmiechem i wyłączyła komórki.

Mijali niską zabudowę przedmieścia, gęsto zdobionego wrzaskliwie kolorowymi reklamami. Po nich, na odmianę, uspokajały dystygowaną szarością pola uprawne z kępami drzew.

Sama jazda trasą wylotową nie przedstawiała się jednak bardzo wygodnie. Rawicz po wyminięciu dwóch TIR-ów lekko się skrzywił.

- Uciekniemy z tej procesji. W prawo jest skrót, droga węższa, gorsza, ale luźniejsza. Niestety, nie tak malownicza jak w stronach Pani ojca. Nawet pani nie podejrzuje, jak marzę o znalezieniu się tam znowu. Choć na parę dni. Niestety, teraz to niemożliwe.

Ale przynajmniej pani widok - rzucił jej uśmiechnięte spojrzenie
- przypomina mi piękne miejsca.

Droga rzeczywiście była trochę nierówna, ale za to prawie całkiem pusta. Jechali spokojnie, mecenas nie śpieszył się.

- Muszę się pani przyznać, że już marzę o obiecanej karkówce z grilla. Wprawdzie w moim wieku należy brać pod uwagę dietę, ale pani ze swoją figurą może sobie na wiele pozwolić.

- Powiedzmy, że dzisiaj nie będę się odchudzać. Roześmiali się oboje.

Na poboczu, po przeciwnej stronie, mrugał światłami bardziej szary niż czerwony ford. Obok starszy człowiek usiłował zatrzymać przejeżdżające samochody. Jak dotąd bezskutecznie. Ani furgonetka i mały fiat z naprzeciwka, ani tym bardziej mercedes wymijający Rawicza, nie zwracali na machającego najmniejszej uwagi.

Daria odwróciła się, żeby lepiej zobaczyć forda przez tylną szybę.

- Zatrzymajmy się?

- Pani Dario, litości! - Mecenas nie miał wielkiej ochoty na przerwę w jeździe.

- Może on jest chory. Pomóżmy mu. Westchnął.

- Nie ma na panią rady. - Zawrócił bez dalszych protestów.

- Ale dla pięknej dziewczyny mogę się dzisiaj stać harcerzem.

- Myślałam, że to normalne zatrzymać się w takiej sytuacji

- odpowiedziała niemile zdziwiona.

- Tylko w teorii. - Staął na poboczu. - Dzień dobry, jaki mamy problem? - spytał z serdecznym uśmiechem, którego nie zostawił w pracy.

Starszy pan rozłożył bezradnie ręce. Miał krótko przystrzyżone siwe włosy i łagodne spojrzenie. Daria, której podczas wysiadania, udało się nie wpaść do błotnistego rowu, zauważyła kontrast między wymiętym ubraniem mężczyzny a zadbanym

wyglądem jego gładko wygolonej twarzy i śnieżnobiałego kołnierzyka wyprasowanej koszuli.

- Niesamowity pech, ale przyznaję, że mu pomogłem. Zatrzymałem się dosłownie na moment, chciałem przez chwilę pomyśleć, a potem spokojniej prowadzić - dodał tonem usprawiedliwienia. - No i okazało się, że teraz nie mogę ruszyć. Przekręcam kluczyk, a jest tak, jak bym nic nie zrobił. - Rozłożył ręce - Nie muszę dodawać, że jestem technicznym analfabetą.

Rawicz pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Też nie uważam się za eksperta. Ale może coś poradzimy. Niech pan jeszcze spróbuje. - Popatrzył na tablicę rozdzielczą, gdy nowy znajomy kolejny raz przekręcał kluczyk w stacyjce.

Daria zastanawiała się, czy mecenas ma do niej dużą pretensję o to, że prawie wymusiła na nim nieplanowany postój i stratę czasu. Ale przecież nie można nie zatrzymać się w takiej sytuacji. Może zresztą wszystko potrwa krótko.

- Podniesie pan maskę? - Troskliwość w jego głosie świadczyła o tym, że szefem kancelarii nie przestaje się być także podczas weekendu. - Poproszę klucz - dodał tonem pełnym otuchy.

Starszy pan wyciągnął skórzaną torbę, która świetnie prezentowałaby się w muzeum, i wyszukał potrzebny element. Ruchy miał nerwowe i nic dziwnego, że narzędzie wypadło mu z ręki. Gdy Daria odruchowo je podniosła, podziękował, ale jego spojrzenie zatrzymało się na miejscu, gdzie rozchyliła się kurtka dziewczyny. Natychmiast ją zapięła. Ani pogoda, ani miejsce na pokazywanie dekoltu, zwłaszcza przy kimś, kto mimo wieku interesuje się tym, czym w tej chwili nie powinien.

Podawała klucz Rawiczowi, który wykonał kilka czynności wyglądających na odkręcanie, czyszczenie i przykręcanie. Z przyjemnością obserwowała pewne, spokojne ruchy jego dłoni. Na pewno można było przy nim mieć poczucie bezpieczeństwa. Czyli coś, czego zawsze potrzebowała.

- Przeczyściłem klemy - uśmiechnął się. - Mam nadzieję, że o to chodziło.

Rzeczywiście. Po przekręceniu kluczyka silnik odezwał się, jakby nigdy nic mu nie brakowało do szczęścia.

- Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczny. Muszę dojechać do Warszawy. - Starszy pan nie odrywał wzroku od Darii, co uznała za objaw złego wychowania. To nie ona czyściła te jakieś klemy. Odeszła do samochodu.

- Na szczęście ma pan już blisko. Na pewno wszystko będzie dobrze. - Mecenasa podał mu rękę.

- Proszę podziękować córce za pomoc - dodał jeszcze nieznajomy.

Daria, siedząc już w samochodzie, omal nie parsknęła śmiechem. Cóż za beznadziejna niedelikatność.

Mecenas chyba podzielał to zdanie. Z pasją zatrzasnął drzwi, ale potem wybuchnął śmiechem.

- A to ładne podziękowanie! Żeby przypadkiem nie zapomniał o swoim wieku. I spełniaj tu, człowieku, dobre uczynki. - Dotknął delikatnie jej ramienia. - Wiem, zaraz pani powie, że on chciał dobrze, tylko mu nie za bardzo wyszło.

Pokręciła głową.

- Nie wiem, co on chciał, ale znam ludzi lepiej wychowanych. Rawicz włączył silnik.

- Moja droga, a ja myślę pozytywnie. Przecież ten dżentelmen mógł zasugerować, że pani jest moją wnuczką, co by mu szkodziło? A nie zrobił tego. Czyli należy się cieszyć.

Roześmiali się oboje.

- A poważnie mówiąc, coś może być z moim wiekiem, bo zapomniałem o jednej rzeczy, to znaczy, klientce. Na swoje usprawiedliwienie mam jedynie to, że nie bardzo chciałem o niej pamiętać. - Daria ze zrozumieniem kiwnęła głową. - Wcisnął mi ją też ktoś, kogo mam serdecznie dosyć. I najlepiej będzie szybko mieć problem z głową. Czy pani mogłaby tak na kolanie

zanotować list, który wyślę mailem, jak tylko będę mógł. Pamięta pani Dorotę Kowalczyk?

Nie pamiętała, ale notes i długopis miała pod ręką.

- Też bym chciał już o niej zapomnieć. Niech pani napisze tak: „Nie podejmuję się dłużej tego ciągnąć. Za dużo mnie kosztowałeś. Nie mam innego wyjścia. Zegnaj. D.K.". Ona tak się podpisuje.

- Cóż to jest? - westchnęła Daria. — Niech zgadnę. Rozwód?

- Oczywiście. I ma szansę na korzystne warunki. - Wsunął kartkę do kieszeni. - Ale teraz już naprawdę nie myślmy o pracy.

Zabudowane okolice powoli zostawały za nimi. W oddali widać było lasy i jakąś małą rzeczkę. Wymarzona okolica na daczę.

- Jest ładnie, a tam, gdzie dojeżdżamy, będzie jeszcze piękniej. - Mecenas chyba umiał czytać w myślach.

Skręcili w prawo. Minęli jakieś sady, potem tylko łąki i kilka samotnych drzew dekorujących łagodne pagórki.

Jechali coraz szybciej, zbliżała się malownicza ściana lasu. Na jej tle widać było nieduży domek za ozdobnym ogrodzeniem.

- No i jesteśmy na miejscu. - Rawicz zadowolony zakręcił na wybetonowaną aleję podjazdu.

- Jakoś pusto - zdziwiła się Daria.

- Jesteśmy pierwsi. - Z elegancją otworzył przed nią drzwi samochodu.

Rozejrzała się zaskoczona. Chciała jeszcze o coś zapytać, ale nieoczekiwanie pocałował ją w rękę i po przyjacielsku obejmując, poprowadził do drzwi.

Nacisnął klamkę, znaleźli się w dużym, starannie, trochę na sposób kolonialny urządzonym pokoju. Daria miała ochotę obejrzeć półkę z książkami, ale Rawicz uśmiechem wskazał termos z filiżankami na środku dużego stołu.

- Zadbano, żeby nam się dobrze czekało. Nie róbmy przykrości gospodarzowi i napijmy się herbaty z malinami, które sam zbiera.

Nie było potrzeby odwoływania się do uprzejmości wobec gospodarza. Ciepły napój smakował wybornie. Daria zdjęła kurtkę, którą Rawicz natychmiast powiesił przy drzwiach. Widać, że czuł się jak u siebie. Na chwilę zniknął w kuchni.

Pomyślała, że grill w większym towarzystwie na pewno będzie miły, ale na razie też jest dobrze. Odpoczynkowo i bezpiecznie.

Mecenas usiadł po drugiej stronie stołu, zrelaksowany, wyciszony. Ją samą też zaczęło ogarniać przyjemne znużenie.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Właśnie odkręciłem gaz. W kuchni palą się trzy duże świece. Wybuch masz gwarantowany, a zginiesz w nim oczywiście śmiercią samobójczą. Tak, dokładnie to, co słyszysz. Mam list pożegnalny napisany twoją własną ręką. Byłaś kochanką Korendy, wiedziałaś o jego morderstwach i choć początkowo chciałaś, żeby zabił żonę, potem nie zniosłaś tego ciężaru, czułaś się współwinna i w jego domku, do którego masz klucze, popełniasz właśnie samobójstwo. Ono nawet nieźle o tobie świadczy jako o osobie delikatnej, zbałamuconej przez bezwzględnego mordercę. Nie masz też specjalnego powodu do zmartwienia, jesteś sama, nikt po tobie nie będzie bardzo płakał. Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

Daria, która początkowo nie mogła uwierzyć w realność tego, co mówił, teraz zrozumiała, że musi uciekać. Chciała wstać, ale nogi dziwnie odmówiły jej posłuszeństwa.

- Zapomniałem ci powiedzieć, że w herbacie był silny środek nasenny. Ja go, rzecz jasna, nie wypilem. Oczywiście tego nie zauważyłaś - uśmiechnął się z politowaniem.

- Czy to znaczy, że pan jest... że pan zamordował te wszystkie osoby?

- Nie wiadomo po co, ale chciała jednak jeszcze wiedzieć.

Skrzywił się.

- Zaraz wszystkie. Dwie. Noconia i Bożenę. Chcesz wiedzieć dlaczego? Dobrze, opowiem ci bajeczkę na dobranoc. - Poprawił się na krześle. - Bożena od roku była moją kochanką. Wspaniała,

ale raczej oszczędzę ci szczegółów. Musieliśmy pozbyć się jej uroczego małżonka, ale zabić go było dość trudno, znacznie lepiej wrobić w morderstwo Noconia, którego - jego ton stwardniał - nienawidziłem i miałem do tego jak największe prawo. Gdyby nie on, moje życie byłoby inne. A Bożena zdradzała mnie. Tak, i to z byle kim. Z rzeźbiarzem. Poleciała na niego od razu. Tego nie zniosłem.

Do Darii docierało wszystko, ale nawet nie miała siły się bać.

- Dlaczego ja? - spytała tylko. Uniósł brwi.

- Z twojej własnej winy. Zaczęłaś węszyć, za dużo się dowiedziałaś. Tak, moja droga. Widziałem cię, jak szłaś do mieszkania, w którym się spotykaliśmy z Bożeną. Tak, na Żoliborzu. Obserwowałem je wtedy rano, a ty oczywiście zataiłaś swoją sprytną obecność. Zaczął wydzwaniać do ciebie Korenda. Nie wypieraj się, znalazłaś łańcuszek Bożeny, a ona zgubiła go właśnie na randce ze mną w naszym tajemnym gniazdku.

To brzmiało bezsensownie.

- Urszula wie, że tu jestem. Zaśmiał się cicho.

- Nie doceniasz mnie. Twoja przyjaciółka nie piśnie ani słowa. Siedzi u mnie w kieszeni. Zauważyłaś, że ostatnio miała mało czasu, bywała tajemnicza? Potrzebowała pieniędzy, dała się wrobić w kredyt przy rozwodzie. Załatwiłem jej dobrą prywatną robotę i obiecałem sporą pożyczkę. Możesz zapomnieć o niej. Nie martw się, tak czasem bywa.

To były ostatnie słowa, które dotarły do Darii. Po nich ogarnął ją głęboki, ciężki sen.

Mecenas Rawicz spojrział na zegarek. Wszystko dokładnie, jak zwykle zgodnie z planem.

Wybuch nastąpi już niedługo. Pora wsiadać do samochodu. Włożył do jej torby kartkę z listem podpisanym literami D.K. i wyszedł na zewnątrz.

Nic dziwnego, że wszystko w porządku. Po prostu nie mogło się nie udać.

Reising dojechał do domu, wystukując stale numery Darii, Rawicza i Urszuli. Potem Korendy. Bez skutku. Czuł się bezradny i na serio zaniepokojony. Bardzo niechętnie traktował tak zwane zbiegi okoliczności, a w tym towarzystwie na pewno nie będzie ich uznawał.

Jedyną osobą, która na pewno będzie chciała rozmawiać i może powie jedno sensowne słowo, jest pani Iza. Nie mogąc znieść bezczynności, narzucił kurtkę, po minucie był na dole i wtedy o mało nie wpadł pod coś dziwnego i rozklekotanego. Nie miał pretensji, że musiał uciekać w błoto. Szczerze mówiąc, sam zaczął pakować się pod koła.

- To nie byłoby morderstwo, tylko wypadek. - Usłyszał i ku swojemu zdumieniu zobaczył wysiadającego z pojazdu Macieja Korendę.

- Masz nowy samochód? - zapytał inteligentnie, ale doktor nie słuchał go, pomagając wsiąść pasażerowi

Oczywiście, nietrudno było się domyślić. Janek miał przed sobą kogoś, kogo był bardzo ciekaw z racji jego przeszłości, czyli emerytowanego nauczyciela języka polskiego z Sieniewic. Witając się, ocenił, iż ten kulturalny pan stanowczo nie wygląda na to, że potrafi zwyczajnie strzelić z garści. Ale przecież czasem pozory mylą.

- Widziałem pana wystawę. W Krakowie dziesięć lat temu. To było miłe.

- I pamięta pan taki drobiazg? Czuję się podbudowany.

- Tam nie było drobiazgów. I dobra pamięć wsteczna jest normalna w moim wieku. Własny syn uważa mnie za dementa.

- Ojciec trzyma się w sposób przeraźliwy niezbyt realnych tematów, a taki upór jest charakterystycznym objawem - rzucił zgryźliwie lekarz.

Wchodzili po schodach.

- Wiadomo, gdzie są wszyscy? - zapytał rzeźbiarza szalenie obojętnym tonem.

- Nie wiem, co z Darią. Mam powód, żeby się obawiać.

- Dlaczego? - Korenda gwałtownie zatrzymał się przed swoimi drzwiami.

- Potem powiem. Telefon Urszuli - wyłączony, twój zresztą też.

- Padła mi bateria. Zrozumiałem, kiedy zobaczyłem ojca czekającego na mnie w przychodni. W kancelarii jej nie ma?

- Nie odpowiada stacjonarny ani jej komórka, ani Rawicza. Najlepiej, wejdźcie do mnie - stwierdził, widząc, że doktor znieruchomiał i patrzy na niego chyba właśnie tym wzrokiem, którego tak nie lubił inspektor Stanisz. - Dzwoniłem do szkoły, w której Urszula pracuje, ale tam miała dzisiaj tylko dwie lekcje.

Korenda ze zmarszczonymi brwiami po raz pierwszy dzisiaj wyglądał na kogoś, kto ma kłopoty.

- Może być w takim ośrodku dla dzieci niepełnosprawnych. Prawie pamiętam nazwę.

Reising szybko podał mu swoją komórkę.

- W drugim pokoju jest laptop. Ja zrobię herbatę. W kuchni podsunął gościowi taboret.

- Syn właściwie przyjechał tylko, żeby się przebrać, bo podobno jest umówiony.

- Tak, z profesorem. Niech pan się nie martwi. Zdaży. Starszy pan Korenda pokręcił głową.

- Niech się zajmuje tym, co dla niego najważniejsze.

- A czy człowiek zawsze wie, co najważniejsze?

- Dorosły człowiek, tak. Zwłaszcza Maciek. Od dzieciństwa wiedział, czego chce. Również, kiedy się żenił.

Janek nalewał do szklanek ciemny, przejrzysty płyn.

- On wszystkich dręczy profilaktyką antycholesterolową. Panu też się daje we znaki?

Były nauczyciel uniósł brwi.

- Gdybym go całkowicie słuchał, z pewnością umarłbym z głodu, i w dodatku z poczuciem winy, ale oczywiście staram się odżywiać stosownie do wieku. Jednak on i tak ma mnie za sklerotyka. Słyszał pan, co mi wmawiał?

- Przywidzenia i upór - odpowiedział Reising jak przy tablicy.

- No właśnie. Upór, owszem, zdarza mi się, ale przywidzeń nie mam. Dzisiaj, rozumiem, że to nieważne, ale widziałem, spotkałem przypadkowo młodą dziewczynę, która na szyi miała medalik dokładnie taki, jaki zgubiła moja synowa. To znaczy, właśnie ten medalik.

- Znalazła go?

- Prawdopodobnie tak. Inaczej... nawet nie mogę o tym myśleć. Niezwykły zbieg okoliczności. - Potarł dłonią czoło.

- I tak musiałby to być nadzwyczajny zbieg okoliczności, gdyby go znalazła. Medaliki bywają identyczne. Mógł być z tej samej serii.

- Nie ten - zaczął starszy pan, gdy doktor stanął w drzwiach kuchni.

- Dodzwoniłem się. Wszystko w porządku. Wyjechała na jakąś imprezę pod miasto ze swoim szefem. Nagrała się Urszuli na sekretarkę.

Nie skończył, bo rzeźbiarz zerwał się na równe nogi.

- Gdzie pojechali? - spytał zduszonym głosem.

- Nie mam pojęcia. Ale znam Rawicza, to człowiek na poziomie godny zaufania.

Reising nie słuchał go.

- Ona jest w ogromnym niebezpieczeństwie. Nic bliższego nie powiedziała? - Korenda zaprzeczył wyraźnie poblady - Trzeba ich natychmiast znaleźć - powtórzył gorączkowo.

- Ojciec doktora nerwowo obracał w palcach łyżeczkę.
- A czym oni by jechali? — zapytał cicho.
 - Rawicz, ma niebieską mazdę - odpowiedział Janek. - Widział pan kogoś takiego?
 - Niestety nie. Ci, których spotkałem, wysiedli z czerwonego samochodu. I nie jestem daltonistą.
 - Jego syn poruszył się nerwowo.
 - Ty znowu o tym samym! Musimy coś zrobić. Nie stać bezczynnie.
 - Dlatego chciałem pomóc. Rzeźbiarz rzucił mu uważne spojrzenie.
 - Z medalikiem?
 - Tak, ale jechali czerwonym samochodem i na pewno nie sportowym. Chyba ojciec z córką. Pomogli mi ruszyć.
 - Pani Daria nie nosiłaby znalezionej medaliki. Szukałaby właścicielki.
 - Nie musiał być znaleziony - mruknął Janek.
 - Co ty mówisz? - krzyknął Korenda. - Sugerujesz, że...
 - Ze go dostała albo to był identyczny medalik.
 - Identyczny był jeszcze tylko jeden. Niemożliwe - starszy pan mówił z przekonaniem. - A Bożena nie oddałaby pamiątki rodzinnej.
 - Nie wiesz, gdzie go zgubiła?
 - Nie miała pojęcia. Pokłóciliśmy się o to. - Wzruszył ramionami. - Albo tylko twierdziła, że nie ma pojęcia. Pani Daria mogła mieć identyczny, ale - przesunął ręką po czole - to niemożliwe. Nie ma takich przypadków.
 - Jak wyglądała ta dziewczyna? - Nie ustępował Reising.
 - Ładnie. Włosy raczej ciemne. Proste do ramion. Interesujące oczy.
 - Ale opisałeś - denerwował się syn.
 - Chyba ciemne, wydłużone.
 - Dla mnie wszystko pasuje. A starszy facet?

- Bardziej w sile wieku. Między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt, sportowo ubrany. Bardzo miły.

- Też pasuje. Gdzie to było?

- Na takiej bocznej, pustej drodze. Na czterdziestym kilometrze skręca się z Warszawy na Sieniewice i potem jakoś koło takiej kępy brzoź z małym oczkiem wodnym. Tam się na chwilę zatrzymałem i nie mogłem ruszyć.

- Mówiłem, wymienić grata? - mruknął doktor.

- Na razie dobrze się stało - stwierdził rzeźbiarz. - Są tam w okolicy jakieś dacje nadające się na imprezy?

- Skądże! Żadnych nie ma.

- To znaczy, że jechali do ciebie.

- Jakim cudem? Przecież on nic nie wie o Zrębiaku!

- A jak sądzisz? Pomyśl przez chwilę.

Korenda nerwowo przesunął rękami po dzisiaj gładko ogolonej twarzy i krótkich włosach.

- To wszystko bez sensu. Masz jakąś dziką wyobraźnię.

- Rzeczywiście, mam. Ale wszystko się zgadza, szkoda czasu, jedziemy.

- Nie wierzę, żeby Daria mogła mieć medalik mojej żony

- powiedział z naciskiem lekarz.

- Dobrze, chwileczkę. - Reising szybko, na skrawku gazety narysował bardzo precyzyjnie kształt srebrnego wisiorka. - Ten?

- zapytał krótko.

Starszy pan z przekonaniem skinął głową. Doktor na moment znieruchomiał. Przypominał teraz drapieżnika na serio myślącego o ataku.

- Wezmę tylko torbę - rzucił krótko.

- Chwileczkę - przypomniał sobie Janek. - Co z twoim profesorem?

- Poradzi sobie beze mnie.

Mecenas Rawicz odłożył lornetę na siedzenie czerwonego terenowego samochodu. Na razie bez zmian. Nic się nie dzieje. W bezpiecznej odległości, dobrze ukryty w sosnowym młodniaku mógł spokojnie obserwować rozwój sytuacji.

Zostało już niewiele czasu. Gaz odkręcił do końca, dokładnie sprawdził wszystkie okna. Wybuch powinien być naprawdę niemały. Ciekawe, kto go usłyszy i kto pierwszy przyjedzie. Jaką będzie miał minę Korenda, jeśli pozwoli mu cokolwiek oglądać? Miejmy nadzieję, że list zachowa się w torebce, bo jest udany.

Spojrzał na zegarek. Dobrze, że już naprawdę niedługo, bo zaczyna padać drobny, zimny deszczyk. Z kolei to też dobrze, bo zatrze wszystkie ślady opon. Wprawdzie i tak były tylko w lasu, ale zawsze lepiej, gdy wszystko jest w absolutnym porządku.

Uśmiechnął się swoim sympatycznym, ciepłym uśmiechem, tym razem do samego siebie.

Z każdą minutą zwiększa się szansa na pełny sukces, i tak w zasadzie pewny.

Tak, czas to coś wspaniałego. Bezstronny, sprawiedliwy. Stoi po stronie tych lepszych, którzy umieją myśleć i z nim współpracować.

Starszy pan Korenda zgodził się zostać w domu. Stwierdził, że zrobił swoje i przyznał, iż jego miejsce jest teraz bardziej w fotelu z książką, niż w samochodzie ścigającym kogoś uważanego za przestępcę.

Wyjechali volvem Reisinga, który wbrew swoim zwyczajom kompletnie nie zwracał uwagi na elementarne nawet ograniczenia prędkości.

- Nie martw się, dojedziemy. - Chciał uspokoić siedzącego obok Korendę.

- Wolałbym usłyszeć, że zdążymy. Nie wiem, czy masz rację i w dodatku nie wiem, o czym jesteś przekonany, ale na pewno dzieje się coś niepokojącego.

- I dlatego trzeba się śpieszyć - dodał rzeźbiarz przez zęby, wykonując slalom przypominający jakiś średnio zabawny film akcji.

- Skąd Daria ma medalik?

- Jeżeli ją zapytasz, odpowie, że dostała go od ducha.

- Jakiego? - spytał rzeczowo lekarz.

- Jakiegoś bardziej zaprzyjaźnionego, na cmentarzu.

- Oczywiście! Pamiętam, w Lesku. Ale to niemożliwe.

- Co niemożliwe? Duch z wisiorkiem czy duch w ogóle? Korenda przez chwilę nie odpowiadała. Patrzył w skupieniu na przednią szybę. To, co widział, przypominało czasy, kiedy pracował w pogotowiu.

- Mam nadzieję, oczywiście mogę się mylić, że jesteś zdrowy psychicznie.

- Wiele na to wskazuje - pochwalił się Janek.

- Ale nie wszystko. Nie rozumiem, dlaczego wplątany jest w sprawę Tadeusz Rawicz, zawsze był spokojny i ostrożny, ale od dawna obawiam się, że pani Darii może grozić niebezpieczeństwo, choćby dlatego, że to ona dała Noconiowi klucze od Zrębiaka. - Odetchnął głębiej. - Właściwie dlatego chciałem z nią porozmawiać i umówiłem się tak, że o mało jej nie zabiłem.

- To prawda.

- Ale niezależnie od wszystkiego, możesz sobie żartować, jednak zapewniam cię, że Daria jest całkowicie normalna i nic nie zmyśla. Jakich byś historii o duchach nie opowiadał.

- To prawda - zgodził się znowu rzeźbiarz. - Ja je opowiadam. Jechali już drogą, o której mówił starszy Korenda. Była pusta, wygodna i nawet ładna, tylko teraz ważne było co innego-

Tabliczka z napisem „Zrębiak” pojawiła się wśród łąk, dla kogoś nietutejszego całkiem nagle.

- Pierwszy zakręt w prawo, mijamy duży kawał lasu, mały mostek i po lewej będzie widać domek.

- Dużo ich tu jest?

- Kilkanaście. Ale w pobliżu żadnych.

Domek pokazał się na tle ciemnej ściany sosnowego lasu. Wyglądał normalnie. Nic nie wskazywało na czyjąkolwiek obecność. Spokojnie podjechali wybetonowaną alejką. Okna były ciemne i zamknięte.

Korenda wzruszył ramionami, ale gdy drzwi ustąpiły pod nacisknięciem klamki, wyjął z samochodu torbę.

W pokoju Daria, pólżąc na stole, prawie zsunęła się z krzesła. Reising bez zastanowienia chwycił ją na ręce i śpiącą wyniósł na zewnątrz. Zdażył wyczuć słodkawy zapach, ale doktor już był w kuchni.

- Zakręciłem gaz. Na szczęście jest nieszkodliwy, ale chyba mało brakowało. - Pochylił się nad dziewczyną. - Tylko śpi.

- Nie jest otruta?

- Nie, wszystko będzie dobrze. Jeszcze tylko moment. - Szybko wszedł do domku.

- Może nie wszystko i nie dla każdego — usłyszeli.

Rawicz w odległości kilkunastu metrów stał uśmiechnięty z krótkim rewolwerem wycelowanym w Darię, którą Reising zaczynał nieść do samochodu.

- Połóż ją na ziemi i wsiadaj do samochodu. - Zrobił spokojnie krok do przodu. - Tylko bez grania na zwłokę, bo ona zginie pierwsza.

- Co ci z tego przyjdzie? - rzeźbiarz usiłował mówić spokojnie. - Jak wytłumaczysz moją śmierć?

Mecenas zbliżał się powoli, ale bardzo pewnie.

- W ogóle nie będę tłumaczył. Rozbijesz się samochodem, a mnie tu w ogóle nie było. Tak, to proste. Położysz dziewczynę,

ja ją mam na muszce, ty wsiadasz do samochodu, coś zaczniesz kombinować, ona nie żyje. Korenda robi ci zastrzyk, załatwimy ci nieprzytomnemu wywrotkę. Zdziwiony?

- Tak. Brzmi, jakbyś oszalał. Rawicz zaśmiał się lekko.

- Nie, to ty byłeś naiwny. Jak zwykle zresztą. Bardzo łatwo uwierzyłeś w świętą niewinność pana doktora i od razu się z nim zaprzyjaźniłeś. Nic cię ani razu nie zdziwiło w jego zachowaniu? Żadne zbiegi okoliczności? Oczywiście - zakpił. - Cały Janek Reising. Szkoda tylko, że zupełnie sam.

Rzeczywiście był sam. Korenda zniknął wewnątrz domku. Naokoło absolutna cisza.

- Zastanowiłeś się, co dalej? - Usiłował mówić. - Jeśli teraz dasz spokój, masz jeszcze szansę.

- Nie rozśmieszaj mnie. Ty chyba naprawdę nic nie wiesz. A teraz, bez gadania, kładź ją powoli na trawie. Przed sobą. Żadnych sztuczek!

Bardzo powoli wykonał jego polecenie. Widząc, że Daria cały czas jest na linii strzału, spróbował zrobić krok do przodu, żeby ją chociaż częściowo zasłonić. Nie uszło to uwagi napastnika, który zbliżył się już znacznie z wyciągniętą bronią.

- Stój! Nie zrozumiałeś. To się dzieje naprawdę. Ruszaj do samochodu.

- Nie zostawię jej samej.

- Owszem, zostawisz. Martwą.

Zobaczył, że Rawicz celuje w głowę dziewczyny i odruchowo chciał rzucić się do przodu, ale nie zdążył.

- Stój! - usłyszał. - Najpierw będziesz musiał zabić mnie. Korenda szedł od drzwi pewnym krokiem, trzymając wymierzony w niego dziewiętnastowieczny pistolet pojedynkowy.

Mecenas na moment zatrzymał się, ale broni nie opuścił.

- Nie ma problemu - zadrwił. - Razem z tą zabawką. Doktor stał już tak, że zasłaniał sobą Darię.

- Nie ruszaj się, Reising, bo strzelam - dodał. - A on ma tylko jedną kulę.

- Wystarczy - odpowiedział doktor. Stali naprzeciw siebie, jakby czas się nagle cofnął. Tylko że nie był to pojedynek dwóch ludzi honoru w towarzystwie sekundantów.

- Jesteś zabawny - stwierdził Rawicz. - Kończmy to. Powoli, starannie odwiódł kurek.

Rozległ się huk. Potworny. Zrobiło się czarno

Zza chmury dymu zobaczyli Rawicza leżącego na ziemi. Był ranny w rękę, obok leżał jego strzaskany rewolwer.

Maciej Korenda odłożył dymiący pistolet i przykląkł przy Darii.

- Rzeczywiście wystarczyło. - Pokiwał głową rzeźbiarz. - Co robiłeś tak długo?

- Obudziła się, ale znowu straciła przytomność. Pojedziemy do szpitala. - Ułożył ją delikatnie na tylnym siedzeniu volva.

- Umarły by się obudził, a zemleć ma prawo, a nawet obowiązek w takiej scenerii, jeśli jest z dobrego domu. Pytam, co robiłeś tak długo.

Doktor popatrzył szeroko otwartymi jasnymi oczami, jakby go widział po raz pierwszy.

- To nie jest broń automatyczna, tylko sprzed stu sześćdziesięciu lat. Musi potrwać, zanim się naładuje. Poza tym ręce mi się zatrzęśły, kiedy słyszałem, co mówił. Mam nadzieję, że nie uwierzyłeś?

Janek uśmiechnął się.

- Nie, ale nie wiedziałem, co się z tobą dzieje. I co masz w tej swojej torbie. Całkiem niezłe. Ze ściany?

- Włożyłem w ostatniej chwili, gdyby się miało przydać.

- Chwalebna zapobiegliwość. Co z nim? - W skazał Rawicza. - Chyba jest nieprzytomny albo udaje, jak to on. Tylko że teraz nie ma po co.

Korenda wzruszył ramionami.

- Nie stracił dużo krwi, ale ma prawo być ogłuszony. Dzwonimy po policję, niech go zabiera. - Wyjął telefon.

- Możesz się nie fatygować. - Tadeusz Rawicz z trudem podniósł się i siedząc z bezwładną prawą ręką, lewą rozpiął kurtkę. Jego twarz była wykrzywiona grymasem bólu i nienawiści. - Myśleliście, że pozwolę wam skończyć. Ależ ja lubię mieć ostatnie słowo.

Bez namysłu podeszli do niego obaj.

- Jeśli masz jeszcze jakąś broń, to oddaj, bo robi się nudno

- poradził rzeźbiarz.

Prawnik skrzywił się, co miało oznaczać próbę uśmiechu.

- Nie będzie nudno, gwarantuję. Wiecie, co to jest? - W palcach obracał kawałek metalu. - Tak, dobrze poznajecie, detonator. W prawej kieszeni trzymam, jak się pewnie już domyślacie, C4. Jeżeli mnie zostawicie, nie użyję tego. Jeśli któryś z was się zbliży albo wyjmie telefon, robię jeden mały ruch i wszyscy razem lecimy do nieba. - Pokiwał dłonią zaciśniętą na detonatorze.

Stali jak zamienieni w posągi w odległości dwóch kroków.

- Jaką mamy gwarancję, że to rzeczywiście C4, a nie jakaś zabawka? - spytał cicho Reising.

- Wyłącznie wasz zdrowy rozsądek. Wiecie, że jestem konkretny. - Wyciągnął rękę. - Teraz grzecznie kładziemy na trawkę telefony. Spokojnie, bez gwałtownych ruchów. No, na co czekacie?

- Przecież i tak nie uciekniesz. - Korenda mówił bardzo spokojnie. - A nie grozi ci więzienie, bo jesteś chory psychicznie. Odłóż to i uznajmy, że żartowałeś.

- To ty żartujesz. - Rawicz przycisnął do piersi detonator i odchylił kciuk nad przyciskiem. - Liczę do trzech. Inaczej, jak pewnie się orientujecie, cała najbliższa okolica leci do nieba.

- Utkwił w nich kłujące spojrzenie. - Raz...

Obaj zrobili mały krok do tyłu. Reising ostrożnie wyjął z kieszeni dzinsów komórkę.

- Dwa...

To samo wykonał Korenda. Położyli je na ziemi.

- Teraz cofacie się do drogi i grzecznie, spacerkiem idziecie. Dziewczyna oczywiście zostaje.

- Nie - powiedzieli jednocześnie.

- Jednak jesteście strasznie głupi - powiedział cicho. - Więc i tak się z nią już nie zobaczycie. Odliczam dalej. - Zamknął oczy -Trzy!

Paraliżujący huk.

Pani Iza długo nie mogła podjąć decyzji. Na przemian wpatrywała się w wizytówkę z numerem telefonu i zrywała się z miejsca, by zrobić szybkim krokiem rundę naokoło sklepu.

Może jeszcze nie teraz, nie dzisiaj. Uplłynęło tyle czasu, upłynie trochę więcej.

Ale jeżeli dziś właśnie jest ten moment?

Wszystko jedno, świat się nie skończy, kiedy za chwilę ona, Iza Dolant, poniesie kolejną życiową porażkę.

Wstrzymując oddech, zdecydowanym ruchem wystukała numer w komórce.

Głos, który usłyszała w telefonie, bardzo charakterystyczny, brzmiał właściwie tak samo jak przeszło trzydzieści lat temu i na innej półkuli. Oczywiście zająknęła się, mówiąc swoje nazwisko, i nie zdziwiło jej, że w odpowiedzi zapanowała cisza.

Nawet chciała się wyłączyć, gdy po drugiej stronie ten sam głos odezwał się z nutą prawdziwej radości.

- Niemożliwe! Naprawdę Izabela? Czarnowłosa żona fizyka?

- Już nie żona - odpowiedziała automatycznie.

- No, ja też przestałem być mężem. Skąd dzwonisz?

- Ze Skrętnej. Z Warszawy.

- Popatrz, właśnie jadę na lotnisko. Czekałem teraz na kogoś, kto tam mieszka, ale oczywiście polskim zwyczajem, nawalił. Nic się nie zmieniło.

- Doktor Korenda. On nie mógł przyjechać.

- Jest mi obojętny. Ale my musimy się zobaczyć. Nie przyjmuję sprzeciwu.

I tak nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

- W przyszłym miesiącu lecę na konferencję na tydzień na Teneryfę. Po niedzieli przysyłam ci bilet. Wyślij SMS-em adres, a jeśli nie, to też cię znajdę. Muszę kończyć. Cześć.

Naprawdę zaniemówiła ze zdumienia i radości. Andrzej Wojdał, młody lekarz, który po jednym stypendium w Stanach dostał następne. Szczupły, lekko rudawy blondyn, zawsze pogodny, trochę nieśmiały. Teraz to ostatnie najwyraźniej jest mocno nieaktualne.

Wtedy nawet jakby próbował ją podrywać. Oczywiście w ramach żartów na imprezach, gdzie spotykali się Polacy. Dziś wszystko jest inne razem z całym światem.

Może okaże się, że jednak lepsze?

Huk naprawdę był przeraźliwy. Po nim powinien nastąpić koniec. I siłą rzeczy, na jakiś koniec Reising był przygotowany.

Właściwie w tej chwili, jak sądził, przygotował się na wszystko. To jednak, co zobaczył, przerosło jego oczekiwania. Odwrócił wzrok. Nie mógł patrzeć na to, co stało się z *mecenasem* Rawiczem.

Maciej Korenda położył rękę na jego ramieniu.

- Nie dla ciebie widok. Ma odstrzeloną głowę. - Zdecydowanym ruchem pociągnął go w stronę samochodu.

Janek zatrzymał się i otrząsnął, jakby chciał z siebie coś zrzucić.

- Karol? - zapytał krótko.

- A któż by inny? - usłyszał. Odwrócił się.

Inspektor Stanisz w czarnej kurtce z wysokim kołnierzem chował do kabury coś, co wyglądało jak z amerykańskiego filmu kryminalnego.

Podszedł sprężystym krokiem i wyciągnął rękę do Korendy.

- Dawno się nie widzieliśmy, panie doktorze. Reising obrzucił go zirytowanym spojrzeniem.

- Nie śpieszyłeś się zbyt - stwierdził zjadliwie. - Gdzie byłeś?

- Na naradzie. - Karol spojrzał niewinnie. - Z wyłączoną komórką. Ale zaraz jak się dowiedziałem z twojego telefonu, że Daria Kalińska została uprowadzona do Zrębiaka, to cała reszta zajęła nam dziewiętnaście minut. Potrafisz lepiej?

Miejszem śmierci mecenasa i nim samym zajęli się ludzie Stanisza, Korenda był przy Darii.

Janek rozejrzał się naokoło, jakby dopiero w tej chwili się tu znalazł. Pod ścianą lasu domek wyglądał malowniczo i całkiem niewinnie. Jak Rawiczowi udało się popełnić morderstwo bez śladów?

- Podjechał rowerem, otworzył drzwi swoim kluczem - Stanisz pewnie czytał w jego myślach - zastrzelił Noconia z repliki dwiętnastowiecznego pistoletu, którą mógł sobie kupić na przykład za granicą. Wrócił rowerem do lasu, gdzie spokojnie zaparkował samochód, bo musiałby mieć dużego pecha, gdyby go ktoś zauważył. Broń mógł wrzucić do Wisły albo gdziekolwiek. Wszystko zgrabnie i prosto pomyślane, tylko, czy wiesz naprawdę, dlaczego to zrobił?

Rzeźbiarz obserwował wierzchołki drzew rysujące się na tle szarego nieba delikatną koronką.

- Głównie z nienawiści. Z zemsty za zmarnowane życie. - Spojrzał poważnie na przyjaciela. - Trochę wiedziałem, reszty się domyślałem. W sumie byłem pewny, że to on. Ale to nie ma znaczenia, bo Rawicz był skrupulatnym prawnikiem, który

zawsze każdą sprawę doprowadza do końca. Nie mógł nie zostawić wyjaśnień. Na wszelki wypadek, chociaż nie przypuszczał, że mu się nie uda.

- To prawda, skoro wziął ładunek wybuchowy. Też na wszelki wypadek. Swoją drogą - Karol z westchnieniem pokręcił głową -jechałem tutaj całkowicie pewien, że aresztuję Korendę.

Janek wzruszył ramionami.

- Zupełnie naturalne. Przez kogo innego Daria mogła być uprowadzona do Zrębiaka?

- Trochę mnie wkręciłeś.

- Tylko zmotywowałem. - Uśmiechnął się po swojemu niewinnie. - Przecież, gdybym powiedział, że chodzi o Rawicza, nie potraktowałbyś tego serio.

- Uznałbym cię za wariata - uściślił inspektor. -1 to bez cienia wątpliwości.

- W sumie lepiej niż za mordercę i szefa gangu jednocześnie. Stanisław wzniósł oczy ku niebu.

- O, na pewno. Ale to już przerabialiśmy. Nasze pierwsze spotkanie...

Maciej Korenda zbliżał się do nich pewnym krokiem. W ciemnym swetrze, bez kurtki, którą okrył Darię, znów swoją elastycznością ruchów przypominał drapieżnika. W tej chwili oswojonego.

- Szpital nie będzie potrzebny - stwierdził spokojnie.

- Tylko by ją zdenerwował - dodał Reising. - Znacznie rozsądniej w normalnym domu i najbliżej, jak się da.

Karol Stanisław rozejrzał się dokoła.

- Urządziliście sobie tutaj przedtem pojedynek? Może to i sposób załatwiania spraw, ale chyba nie takich.

- Nie było sekundantów - odpowiedział krótko doktor. - Ani człowieka honoru naprzeciw.

- Tylko znowu kula z epoki romansów kostiumowych. Wy-tłumaczycie mi to?

- Tu nie ma co tłumaczyć. Po prostu Maciek przed wyjściem zdjął ze ściany to, co mogło się przydać. I kiedy Rawicz całkiem pewny siebie chciał strzelić do Darii, rzeczywiście bardzo się przydało.

- To naprawdę dobra broń. - Korenda po raz pierwszy zwrócił się do inspektora. Jasnowłosa na ciemnoszarym tle, ze ściągniętymi rysami twarzy mógł trochę wyglądać jak ktoś z przeszłości, kto właśnie przybył w określonym celu i dobrze mieć go po swojej stronie.

- I widzę, że skuteczna. - Karol uśmiechnął się do niego swoimi zielonymi oczami. - Jeżeli się z nią zaprzyjaźnić. Mam nadzieję, że udzieli mi pan, doktorze, konsultacji na jej temat, kiedy już będziemy mieli chwilę czasu.

- Z przyjemnością. - Ich spojrzenia spotkały się.

- A na razie proszę wziąć panią Darię pod opiekę, bo wedle wszelkich reguł, tu nie jest miejsce dla dam.

Urszula Więcek przestała stukać i szarpać klamkę, a jedyne, czego sobie na koniec nie odmówiła, to kopnięcie z wysoku powyżej klamki drzwi mieszkania Darii. Na szczęście nie przyłożyła się do niego tak, jak by mogła, bo wszystko zostało z grubsza na swoim miejscu, jednakże po chwili na półpiętrze ukazał się inżynier Niespał.

- Rany boskie, pani Urszulo, myślałem, że wybuchła wojna. Co pani właściwie robi?

- Jak to co? Pukam do koleżanki.

- Aha, to się teraz nazywa pukanie. Chyba jestem z innych czasów.

Urszula nie komentując, zeszła po schodach.

- Powinna już wrócić. Nie wie pan, gdzie jest? Rozłożył ręce.

- Jest piątek po południu...

- Wiem, że piątek! - krzyknęła, a sąsiad gwałtownie przywarł do zimnej, odrapanej ściany.

Wiedziała, że Korenda dodzwonił się do niej, stawiając na nogi kierownictwo ośrodka, i oczywiście nic ważnego nie zaszło, o czym gorąco ją zapewniał w rozmowie. Jasne, tak po prostu sobie dzwonił i pytał o Darię, bo nie miał nic innego do roboty.

Zignorowała zdziwienie Niespała, ale przy jego mieszkaniu sama niemal zamieniła się w słup soli. W otwartych drzwiach stał ktoś, kto miał na sobie długi sweter inżyniera, ale nim samym oczywiście nie był.

Dziewczyna zatrzymała się, mrugając oczami. Ponad wszelką wątpliwość była to Alicja Bronowska, w dodatku w czarnych legginsach i z włosami związanymi zieloną frotką na czubku głowy. Wyglądała świetnie.

- Nie widziałam pani Darii, nie mam pojęcia, gdzie jest. Czy coś się stało?

Urszula już chciała odpowiedzieć jakoś mniej czy bardziej sensownie, gdy zadzwoniła jej komórka. Dzięki Bogu, Reising.

- Cześć, wszystko w porządku, Daria się znalazła. Wróci jutro.

- Gdzie jest?

- To trochę skomplikowane, ale wyszło dobrze. Jeszcze zadzwonię. Zrezygnowana włożyła telefon do kieszeni dzinsów.

- Zbyt skomplikowane - powtórzyła ze złością. - Dla niego na pewno. Ale, oczywiście, wszystko będzie dobrze. Trzeba myśleć pozytywnie.

- Rzeczywiście, pani Urszulo - przytaknął Niespał - może pan Janek nie jest najbardziej lotny, ale artyści tak mają.

Pani Alicja uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

- Przecież on ma przede wszystkim inteligencję emocjonalną, prawda?

Janek Reising podczas swoich spraw rozwodowych został przekonany, że z całą pewnością nie posiada niczego choćby zbliżonego do inteligencji emocjonalnej. Dawno pogodził się z tym faktem, a teraz czuł kompletny brak jakiegokolwiek. Emocjonalnej przede wszystkim.

- Odwiozę cię do domu. - Karol położył rękę na jego ramieniu. - Na pewno nie możesz usiąść za kierownicą.

Bardzo dobrze. Nie miał najmniejszej ochoty na prowadzenie samochodu. Wziął głęboki oddech. Jeszcze raz rozejrzał się dokoła. Nie do uwierzenia, że dopiero co działy się tu najgorsze rzeczy i skończyło się jedno ludzkie życie.

- Piękna okolica. - Stanisław głośno potwierdził jego myśli. - Tylko już pewnie nigdy nie będzie się nam podobać.

- Masz rację. Nikomu z nas. Był moment, kiedy sądziłem, że to koniec. Co ty miałeś, co tak potwornie wystrzeżiło?

- Chcesz zobaczyć? Możesz nawet potrzymać.

- Ładne. Dobry kształt. Sam nie wiem, który wolę. Twój czy Maćka. W sumie oba się bardzo przydały.

Stanisław pokręcił głową.

- Przyznaję się dobrowolnie. Ani przez chwilę nie wątpiłem w winę doktora.

- W tę piękną brunetkę też go chciałeś zrobić? - dopytywał się rzeźbiarz, z westchnieniem ulgi zajmując miejsce koło kierowcy.

- Nie, w nią nie. - Wjechali na drogę w kierunku Warszawy. - Zresztą nie podpuszczaj mnie. Nigdy nikogo nie wrabiałem. A tu akurat mamy sprawcę. Wiesz kogo?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Nie wiem. Skądś wiesz różne rzeczy. Aldonę Miecik zamordował Kamil Wieczorek. Ochroniarz z „Eurydyki”.

- Kojarzę go chyba. Taki łysy mięśniak.

- Dokładnie. Poznali się w „Eurydyce” i podobno przez jakiś czas byli parą, ale ona miała większe ambicje.

- Może się zakochała.

- Na pewno. W każdym razie widywano ich z Korendą, raczej nie byli kochankami, ale nie wiadomo, jak by się sprawy potoczyły.

- Rewelacyjna dziewczyna, podziwiam Maćka za jego wierność małżeńską.

- Może nie była w jego typie. Natomiast Kamil Wieczorek nie dawał za wygraną. Nękał ją telefonami, prosił o spotkanie, szantażował.

- Jasne, on był babcią, z którą niby rozmawiała przez telefon.

- Oczywiście. Potem, jak się domyślasz, wywabił ją wieczorem z domu. Na chwilę. Przez tę chwilę zdążył ją udusić i wrzucić do wody. Żeby się nie spotykała z kim innym.

- W zasadzie cel osiągnął. I zdemolował pokój Aldony, jak tylko się dało, żeby usunąć ślady znajomości z nim samym. Przyznał się?

- Bez problemu. Biegły orzeknie, jak z nim jest. Nie wyszedł poza gimnazjum i jestem przekonany, że je skończył tylko dlatego, że nie chcieli tam mieć z nim więcej do czynienia.

- Bardzo możliwe. A podpalenie „Eurydyki”, też on?

- Nie, nie. Akurat pożar spowodowało zwykłe zwarcie instalacji. Trudno uwierzyć, ale prawda.

Reising pokiwał głową. Dalszą drogę przejechali w milczeniu. Na Skrętnej Karol zatrzymał samochód przed domem.

- Teraz najważniejsze, żebyś się wyspał. - Popatrzył uważnie na przyjaciela. - Jutro jako słomiany wdowiec pojawię się u ciebie z lunchem. Daj znać, kiedy wstaniesz.

Miał rację. Sen był najważniejszy. Mógł go choć na trochę uwolnić od wspomnień z ostatnich godzin. Potem jakoś się z tym upora, choć na pewno będzie już kimś innym. Ale na tym przecież polega życie.

Urszula obudziła się z uczuciem niepokoju i niespełnionego obowiązku. W dalszym ciągu nie wiedziała, co się dzieje z Darią i złościło ją, że nic nie robi w tej kwestii.

Mówiąc uczciwie, nie miała żadnych możliwości działania. Wieczorem Korenda zadzwonił do niej, bardzo spokojnie tłumacząc, że Daria jest pod jego opieką i czuje się bardzo dobrze. Zapytała więc, po co opieka, skoro jej przyjaciółka jest w takiej świetnej formie. W odpowiedzi usłyszała, że zdrowym ludziom też wolno kontaktować się z lekarzami, więc uznała dalszą rozmowę za bezsensowną.

Nie uważała się za eksperta w psychologii, ale wystarczyło minimum wiedzy i odrobina wyczucia, by stwierdzić z całą pewnością, iż zwyczajnie celowo ją dezinformują. Zdała sobie również sprawę z bezcelowości jakiegokolwiek zadawania dalszych pytań doktorowi i Reisingowi.

Niestety, musi poczekać, aż sami coś powiedzą. Na razie nie zostało jej nic innego, jak tylko zaufać im obu.

Zauważyła, że Janek wrócił do siebie, ale zostawi go w spokoju. Usłyszała brzęknięcie komórki. Jest jakiś SMS. Chwyciła telefon i zrezygnowana usiadła. To nie była Daria tylko, o dziwo, Sebastian. Z Bristolu.

Napisał długą wiadomość o tym, że posyła Urszuli mailem melodię, która na pewno jej się przyda jako tło do ćwiczeń. Poza tym wróci dopiero za dwa tygodnie.

Z grymasem niechęci włączyła laptop, który bez wielkiego entuzjazmu wzięła dzisiaj ze sobą. Rzeczywiście, melodyjka brzmiała bardzo ładnie, ale dziś trudno było zrobić na Uli jakiegokolwiek wrażenie.

Nieoczekiwanie jednak na ekranie pojawił się jak zwykle nieco rozczochrany Sebastian. W krótkim filmie zakomunikował, że ma dla niej pracę w jej zawodzie, która ją niebywale zadowoli

finansowo, więc niech nie robi żadnych planów na wakacje, ponieważ spędzą je razem w Bristolu.

- Zwariował - stwierdziła głośno. - Normalnie zwariował. Mam z nim spędzić wakacje. Bo sobie tak wykombinował. Stuknięty Sebastian.

Chwyła długi sweter i opaskę na uszy. Musi pobiegać, zanim cokolwiek pomyśli o sprawie.

Dzień zapowiadał się na wilgotny i pochmurny, jednak po wykonaniu kilku okrążeń najbliższej okolicy czuła się świetnie. Uspokojona, z dystansem do rzeczywistości, mogła przeanalizować sytuację. Sebastian, choć nieco zwariowany, w zasadzie nie miał specjalnych wad. Jako facet też nie był najgorszy, tylko nigdy na niego w ten sposób nie patrzyła. Z pewnością przydałoby mu się trochę oderwać od komputera i wyprostować. Na przykład przez bieganie.

Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć szczegółów o tej pracy, która ma być źródłem wszelkiego dobra.

To prawda, że ma kłopoty finansowe - pozostałość po rozwodzie. Dużo nerwów kosztowała ją decyzja o wzięciu szybkiej pożyczki. Właśnie mniej więcej w czasie morderstwa Bożeny miała w domu wizytę agenta i przyznałaby się do niej tylko wówczas, gdyby potrzebowała alibi.

Na widok sklepiku poczuła wielką ochotę na przyrządzenie lemoniady z cytryn, które zaraz dostanie u pani Izy. Gdy weszła, a raczej wpadła do środka, odruchowo zatrzymała się, bo przy ladzie stała Alicja Bronowska, co nieuchronnie zapowiadało złość i awanturę.

Nie zrozumiała więc, czemu właścicielka sklepu zamiast rzucać ironiczne uwagi, stoi tak zasłuchana, że trzyma nieruchomo szklanę z wodą, a pani Alicja oparta o ladę, między jednym kęsem jabłka a drugim, opowiada coś z ogromnym przejęciem.

Urszula wzięła dwie cytryny i spokojnie czekała na wprowadzenie w sprawę. Nie trwało długo.

- Pani Ula nic nie wie? - spytała Iza Dolant.

- Nikomu jeszcze nie mówiłam. Wczoraj, ale ciągle nie mogę przyjść do siebie. - Właścicielka skinęła głową z głębokim zrozumieniem. - Akurat kiedy skończyłam zabieg w Wi-Medzie, przywieźli matkę pani Bożeny. Prawie półprzytomną, zajmował się nią ten drugi doktor. W końcu okazało się, że to omdlenie, czysto nerwicowe, i dawniej już zdarzały jej się takie sytuacje.

W to Ula nie wątpiła. Na pewno zdarzały się i osiągały odpowiedni stopień dramatyzmu.

- Jakoś tak szybko poczuła się dobrze i chciała do domu, a ponieważ od razu mnie poznała, lekarz przyznał, że najlepiej będzie, jeśli z nią pojedę. Wypiłyśmy kawę, pogadałyśmy chwilę, stąd wiem, co się stało. - Łyknęła podsuniętą wodę niegazowaną. - Otóż doktor Korenda, proszę sobie wyobrazić, zaraz po tym, jak go wypuścili, pojechał prosto do niej. Ona zobaczyła go, pomyślała, że uciekł, żeby jeszcze i ją zamordować. Z przerażenia zaczęło jej być duszno, skojarzyła, że to on ją dusi, przestraszyła się jeszcze bardziej i całkiem zemdląca.

- A on?

- Wezwał karetkę z przychodni, przyjechała natychmiast. Ona doszła do siebie, przebadali ją i wszystko dobrze się skończyło. Oczywiście tylko dla niej - westchnęła.

- Wiadomo, czego w końcu chciał od niej doktor?

- Podobno chciał o coś zapytać.

- Co to mogło być? - zastanowiła się Urszula.

- Nie wiadomo. Wiecie, moje drogie - pani Alicja bezwiednie skubała frędzle chusty - ona chyba ciągle jeszcze jest w szoku. Wie, że straciła córkę, ale do końca do niej to nie dociera. I pewnie lepiej. Natomiast jeszcze bardziej niż przedtem, nienawidzi zięcia.

- Ale właściwie za co? - Pani Iza szeroko otworzyła oczy.
 - Przecież ich małżeństwo było bardzo dobre.
 - Ja myślę. - Bronowska patrzyła w dal za oknem. - Mam takie odczucie. Ona wie, że jest wobec niego nie w porządku, bo uważała go za niegodnego jej Bożenki, i nie miała racji. Jest winna wobec niego i dlatego jeszcze bardziej go nienawidzi.
 - Dziwne - wzruszyła ramionami Urszula. - Nielogiczne.
 - Obawiam się, że dość logiczne - westchnęła Iza Dolant.
 - Ale skoro doktora zwolnili do domu, chociaż go nie ma, to może coś się wyjaśniło. Wiedzą w końcu, kto to zrobił?
- Bronowska zmarszczyła brwi.
- Dzwoniłam dzisiaj rano do matki Bożeny, żeby zapytać, jak się czuje, a ona powiedziała, że podobno oba morderstwa popełnił ten sam człowiek. Jakiś znajomy Bożeny, jakiś maniakalny zabójca.
 - Niesamowite - kręciła głową pani Iza. - Przecież ona nie zadawała się z podejrzanymi ludźmi. Jak to trzeba uważać!

Lekko opóźniony intercity dojeżdżał do Warszawy Centralnej. W przedziale drugiej klasy zajmowanym przez kobietę z dwojgiem dzieci, małżeństwo emerytów i dwóch młodych ludzi, zaczęło się poruszenie właściwe dla tego momentu.

Matka z niewielkim bagażem wychodziła już na korytarz, poprawiając dzieciom kolorowe plecaczki. Student zamknął książkę i nie zsuwając z uszu słuchawek, zaczął zapinać prostokątną torbę. Z niechęcią patrzył na siedzącego naprzeciw swojego rówieśnika, który żując gumę, mierzył go obojętnym spojrzeniem. Na wieku zresztą kończyły się podobieństwa między nimi. Młody człowiek

nosił paramilitarny strój, miał ogoloną głowę, a nogi w glanach wyciągnął na środek przedziału.

Sądząc z wyrazu twarzy, chyba nie przepadał za intelektualistami. Starsi państwo również woleli unikać jego spojrzenia. Wstali i, wkładając płaszcze, zbierali się do wyjścia. Należało jeszcze zdjąć torby z górnej półki, mężczyzna uniósł ramiona, lecz zmęczenie podróży dało znać o sobie. Sąsiad w glanach leniwie wstał i jednym ruchem ściągnął bagaż na dół. Na podziękowania nie zareagował, wyszedł na korytarz, zabierając swój płócienny plecak.

Dojechali. Beznamiętnym spojrzeniem obrzucił peron Dworca Centralnego. Nie lubił tego miasta, nie miał jednak wyboru. Zobowiązał się.

Teraz nie ma sensu rozważać, czy postąpił słusznie.

Obojętnie mijał kolorowe wystawy. Zapach świeżego drożdżowego ciasta nie sprawił mu przyjemności. Wymijając śpieszących się podróżnych, powoli szedł do wyjścia na Aleje Jerozolimskie.

Z kieszeni wyjął zmiętą kartkę z nazwą i adresem hotelu, gdzie miał zarezerwowany pokój. Głębiej, kawałek tekturki z pudełka po herbatnikach, a na nim nazwisko, adres numer telefonu. Jan Reising. Człowiek, który w sposób bezceremonialny wtargnął w jego życie, choć nikt go do tego nie upoważnił. Teraz, niestety, on musi go znaleźć.

Przystojny, opalony brunet w czarnym golfie ukłonił się Urszuli przy wejściu domu przy Skrętnej piętnaście. Poznała go.

- Wiem, pan jest menedżerem Janka Reisinga. - Odwzajemniła jego uśmiech.

Karol Stanisław z powagą skinął głową.

- Czeka nas trochę pracy i korzystam z tego, że artysta w końcu się obudził.

Nie mógł sobie odmówić spojrzenia jeszcze raz na wysoką blondynkę. Nieprawdopodobna figura.

Reising rzeczywiście wstał całkiem niedawno. Wbrew swoim zwyczajom wczesnego budzenia się, odespał poprzedni dzień i całkiem w formie kończył przeglądać pocztę. W wystrzępionych dżinsach i ciemnym podkoszulku wyglądał malowniczo i naprawdę jak rzeźbiarz.

Inspektor położył na stole w kuchni plastikową torbę.

- Nie wiem, czy pierogi od ciotki mojej żony nadadzą się, ale postanowiłem cię przekupić. Mam nadzieję, że opowiesz od początku, co wiesz i jak się dowiedziałeś.

- Zastanowię się. - Janek wstał od komputera i przeciągnął się.

- Są jeszcze ciepłe.

- Naprawdę? Więc nie dajmy im wystygnąć. Na pewno zrobisz jeszcze stawiającą na nogi herbatę.

- Oczywiście. - Karol szybko skierował się do kuchni. - Wiedziałem, że tak się skończy.

- Mianowicie, jak? - Janek czekał na niego przy stole nakrytym czymś bardzo siermiężnym, lecz dzięki mereżkowaniu pozornie eleganckim.

- Mianowicie tak. Mając cały czas podejrzanego z motywem, brakiem alibi i w końcu zatrzymanym na miejscu zbrodni, mimo wszystko byłem dręczony przeczuciem związanym z tobą. Oczami wyobraźni widziałem, jak przychodzisz z rozwiązaniem tyle bezsensownym, co prawdziwym. Prowadzisz sprawcę, najporządniejszego człowieka pod słońcem.

- Prawie się zgodziło, najporządniejszy. Z przyprowadzeniem nie za bardzo. Ale i tak sobie poradziłeś. Piękny strzał.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

- Pierogi też świetne. Czy ciocia jest zameżna?

- Na szczęście tak. A wracając do porządnego człowieka, miałeś rację, że zostawił w biurku list. Był pewny sukcesu, ale na wszelki wypadek, chciał się pochwalić.

- Mów, jak dokładnie było w Zrębiaku.

- Zdziwiająco prosto. Przyjechał samochodem z drugiej strony lasu. Dalej rowerem po śliskim igliwiu i betonowej alejce. Miał klucz do domku, oczywiście od Bożeny Korendy. Wszedł spokojnie do środka z załadowanym pistoletem, repliką dziewiętnastowiecznego. Kupił w Austrii, nie musiał rejestrować. Miał zamiar zastrzelić Noconia, tak żeby był zasłonięty, na przykład zmusić go do schowania się w szafie rzekomo przed włamywaczem, ale z prysznicem wyszło jeszcze lepiej. Widać było, że morderca może nie wiedzieć, do kogo strzela. Potem dalej wrabiał Korendę.

- Zrobił upozorowany włam rabunkowy, ale żeby było widać, że jest upozorowany...

- Nie wziął laptopa. Złodziej mógł nie mieć miejsca. Mało prawdopodobne. Mógł go nie chcieć, gdyby komputer sam spadł, ale uszkodzenia jawnie wskazywały na rzucenie z większą siłą. Czyli działanie celowe, żeby nam dać do myślenia.

- Że mamy do czynienia z udawanym złodziejem. - Rzeźbiarz pociągnął łyk gorącej herbaty. - Pozabierał, co lepsze, porozwalał, ale nie wszystko. Zostawił nienaruszony wazonik, prezent urodzinowy od Bożeny. Żeby fakt nie umknął uwagi, ona sama o tym przypomniwała w ramach wrabiania męża.

Stanisz wzniósł oczy do góry.

- Sympatyczna, piękna kobieta. Oddana żona. Szkoda tylko, że miała kochanka - westchnął. - A wracając do niego. Po dokonaniu zabójstwa wrócił do samochodu na rowerze, który niezwłocznie utopił w Wiśle. Ten sam los spotkał pistolet i rzeczy wyniesione ze Zrębiaka. Ciemno, byłby cud, gdyby ktoś akurat go zauważył. Alibi nie potrzebował, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie wiązał go ze sprawą.

- Zgadza się. - Reising zmierzwił swoje krótkie, zwijające się włosy. - Przy trzecim rozwodzie usłyszałem, że psychiatra już na mnie czeka.

- Dobrze, że czekał - zauważył inspektor. - A nie na przykład sam przyszedł.

- Poradziłbym sobie z nim. Ale przed tobą jednak wytłumaczę się z całej rozkminy.

- Mów od początku.

- Początek? - zastanowił się rzeźbiarz. - Jak to początek. Przy drzwiach. W Zrębiaku zastanawialiśmy się, czy były otwarte, czy morderca miał klucz. Trochę trudno uwierzyć, żeby Nocoń ich nie zamknął, ale wtedy powinny być na nich jego odciski. Chyba, że miał rękawiczki, ale normalnie zdejmuje się je odruchowo zaraz po wejściu. I właśnie jakoś mi nie pasowało zaznaczanie przez Bożenę przywiązania Noconia do rękawiczek. Dziwne, że kładła na to nacisk. Zupełnie jakby chciała was utwierdzić w przekonaniu, że Nocoń zamknął drzwi, a morderca miał własny klucz.

- Prawda. I od razu wskazanie na męża - uśmiechnął się. - Oczywiście, ona absolutnie nie miała go na myśli.

- Nie, skądże. Wtedy nie widziałem jeszcze tego jasno, ale zostało lekkie wrażenie, że coś jest z nią nie tak.

- Potwierdziło się?

- Nie od razu. Byłem w dziwnej sytuacji. Wszyscy się znali, a ja nikogo. Nie mogłem wypytywać, trochę udawałem przygłupa, pozostało mi dobrze obserwować. Nie liczyłem na to, że nagle wypadnie z czyjegoś rękawa dowód rzeczowy, ale ktoś mógł podpaść w inny sposób.

- Uczucia? - jęknął inspektor.

- Właśnie. Ludzie nie wiedzą, że one ich zdradzają. Nawet jeśli próbują się maskować, to najczęściej nieskutecznie.

- Może i masz rację. Kto pierwszy padł ofiarą? Reising skrzyżował potężne ramiona.

- Szczęśliwym przypadkiem mecenas. Nie, nie podejrzewałem go, ale zrozumiałem, że jest w jakiś sposób bardziej związany z Korendami, niż twierdzi. Otóż, kiedy umówiłem się z nim na obiad, jako ze starym znajomym, liczyłem co najwyżej na jakąś plotkę, która się przyda. Przez przypadek powiedziało mi się, że słyszałem o atrakcyjności żony doktora. I wtedy coś mnie zaskoczyło. Rawicz autentycznie się przestraszył, że będę ją podrywał. Wyglądało bez sensu. Jako mój prawnik nie miał przecież powodu do obaw. Czyli albo przyjaźnił się z mężem bardziej, niż twierdził, albo był zazdrosny o żonę.

- Domyśliłeś się, że ma z nią romans?

- Jeszcze nie. Trochę to było, przyznaj, trudne do wyobrażenia. Ale znowu wskazywało w jej stronę. Potem urządziłem symboliczną imprezę. Patrzyłem i słuchałem. Zachowywali się normalnie, mówili banalne rzeczy, czasem oczywiste do przewidzenia. I właściwie na bieżąco nic nie wydało mi się ciekawe. Dopiero później wszystko mi się ułożyło w pamięci i zacząłem mieć wrażenie, że Korendowie jakoś nie tak reagują.

- Nie tak? Masz na myśli emocje?

- Właśnie. Bożena znowu gorliwie zapewniała o rękawiczkach, tak jakby chciała przekonać, że drzwi były zamknięte. Nie było naprawdę po niej widać cienia lęku, poczucia zagrożenia, choć wyglądało, że ktoś na nią poluje. Mogła mieć zwyczaj ukrywania uczuć, ale kiedy jej mąż wspomniał o kwitku z wystawy, aż podskoczyła i wyglądało, że ma nerwy na wierzchu. Z zapalem tłumaczyła, że to ona dała Noconiowi papierek, bo chciała go zainteresować.

Stanisz uniósł brwi.

- I wtedy namierzyłeś wystawę jako coś ważnego.

- Ważniejszego, niż może się wydawać. Tak sobie zapamiętałem. W dodatku Bożena kompletnie się nie przejęła opaską do włosów zostawioną w mieszkaniu Noconia. Jej mąż też. Rozumiem, że małżeństwo może sobie ufać, ale bez przesady.

- Prawda, jesteś ekspertem.

- Kto, jeśli nie ja? - uśmiechnął się rozbijając. - Wracając do wystawy. Obejrzałem, nic szokującego. Trzy obrazki jakoś przemówiły do mnie. Od was wiedziałem, że Rawicz odwiedzał Tatianę od pnia z kroplami krwi.

- Coś ci to powiedziało? '

- Absolutnie nic. Zlekceważyłbym go na zasadzie, że prawnik mógł być u niej w jakiś sposób zawodowo, ale nie pozwolił mi jeden szczegół.

- Złapałeś go również na niekonsekwencji w zachowaniu?

- Broń Boże! Był cały czas perfekcyjny. - Reising wstał podszedł do okna. - Z jakimś specjalnym naciskiem relacjonował niedawne spotkanie z Noconiem na Nowym Świecie. W sumie nic dziwnego, wspominał, że tamten był uderzająco zadowolony z życia. Ale mówił tak, jakby chciał, żeby to na pewno zapamiętać. Zapamiętałem, ale jako coś dziwnego. Dlatego potem skojarzyło mi się, że chyba nie pasuje do rozmowy Noconia przez telefon, o której opowiadała mi pani Dolant.

- Tak, ona potrafi zauważyć i przekazać.

- On wtedy rozmawiał najprawdopodobniej z Rawiczem i na pewno mówił mu przez ty. Na Nowym Świecie wyraźnie było akcentowane, że przez pan.

- Czyli ukrywał bliższą znajomość z Noconiem.

- Najprawdopodobniej. Wszystko, co miałem, to w tym stylu. Może przypadkowe, nic na pewno.

- Ale ile może być przypadków.

- Właśnie. Poza tym cały czas myślałem o obrazkach z wystawy. Oko było naprawdę dobre, ale tylko patrzyło. Jeżeli chodzi o ten z pistoletami i o problem autorki z pojedynkującymi się' o nią dziewiętnastowiecznymi wielbicielami, to wolałem na niego nie patrzeć. Za duże ryzyko, że wszystko zrozumie i dołączę do reszty autorów.

- W zakładzie zamkniętym?

- Tak, to prosta droga. Natomiast pień drzewa. - Wyciągnął rękę. - Miał świetną fakturę. Czuło się jego korę. Jej chropowatą wilgoć. Karol spojrzał trochę zaniepokojony.

- Nie przejąłeś się za bardzo?

Rzeźbiarz patrzył na smętny widok za oknem.

- Nie. Akurat tyle, ile należało. Przypadkowo rozmawiałem z Sebastianem. - Inspektor wzniosł oczy do góry. - I on opowiadał nad czym pracuje. Jakoś tak sugestywnie, że wczułem się w jego myślenie i miałem to, czego mi brakowało.

- Znam dobrych terapeutów - pocieszył go inspektor. - I co to było?

Reising uśmiechnął się promiennie.

- Część, która reprezentuje całość. Mały fragment zastępujący wszystko. Kiedy przedstawiamy wypadek samochodowy, pokazujemy jak najdramatyczniej całą katastrofę ze skutkami. Dla kogoś, kto w niej wziął udział, najważniejsza może być kora drzewa.

- Z kroplami krwi.

- Dokładnie. I dlatego już niczego nie traktowałem jako przypadku. Od was wiedziałem, że autorka, Tatiana Kolska, była w Stanach i w tym samym czasie miał tam stypendium Hubert Nocoń. Pani Dolant wspominała piękną rusycystkę, która tam właśnie zabiła się, wpadając samochodem na drzewo. W związku ze zdradą narzeczonego w kraju. Lata by się zgadzały. Jeżeli przyjąć, że Rawicz przyjaźnił się z Noconiem i miał coś wspólnego z tą kobietą, można by szukać powiązań między nimi. Ponieważ narzeczony został w Polsce, więc to nie Hubert. Ale on też miał coś wspólnego z wystawą i to coś do ukrycia. Może był wmieszany jako trzeci. Może on zawiadomił Tatianę o rzekomej niewierności Rawicza? Dobry motyw do nienawiści.

Stanisz spojrział na przyjaciela z autentycznym podziwem.

- Ty jednak jesteś ekspertem. Nikt ci nie dorówna. Mecenas rzeczywiście napisał, że Nocoń zniszczył mu życie. Okłamał jego narzeczoną, bo chciał mu ją zabrać. Ona została odratowana z wypadku fizycznie, ale nigdy nie odzyskała zdrowia psychicznego. Nie rozpoznawała ludzi. Rawicz jednak miał do końca nadzieję, ale gdy umarła, została mu tylko zemsta.

Reising skinął głową

- Co do Noconia potwierdza się diagnoza Korendy. Uroczy człowiek, który nie ma zamiaru rezygnować z niczego, na co ma ochotę. Wyciągnie po to rękę bez żadnych skrupułów.

- I stąd też jego tusza?

- Maciek mówił, że tak.

- Chyba nie będę się u niego leczyć. A jeśli chodzi o Rawicza, to nie wszystko. Została zakręcona sprawa z Bożeną Korendą.

Janek prostując się, zaczął wolnym krokiem chodzić po pokoju.

- Masz rację, że zakręcona. I ja w tym jeszcze niestety pomogłem.

- Żartujesz!

- Zacząłem z braku innych pomysłów testować, czy Rawicz jest zazdrosny o Bożenę. Dałem mu do zrozumienia, że się w niej zakochałem i mam nadzieję na wzajemność. Potem zorientowałem się, że dodatkowo, przez przypadek, on widział w moim samochodzie chustkę, którą zostawiła.

Karol Stanisz podparł ręką czoło.

- Wtedy Rawicz pomyślał, że go zdradza i zamordował ją z zazdrości. Po pierwszym morderstwie drugie przychodzi łatwo.

- Tak, pewnie nigdy jej naprawdę nie ufał. Zdradzała męża, kłamała.

- Sądziłem, że się zakochał. Dużo młodsza, piękna.

- Na swój sposób tak. Oboje łączył seks, dla niego ważna była zemsta, dla niej pewnie zawsze pieniądze.

- Wyszła za Korendę dla pieniędzy?

Rzeźbiarz wzruszył ramionami.

- Tego nikt nie wie. Był atrakcyjny, wiedziała, że zrobi karierę i jej nie rzuci. Z czasem mógł jej się znudzić, nabrała ochoty na odziedziczenie kliniki. W sumie pomysł był bardzo dobry. Za jednym strzałem Rawicz realizował zemstę, Bożena wrabiając męża w próbę zamordowania jej, zostawała majątna rozwódką. Dalej - wzięliby ślub z Rawiczem, który przecież zaopiekowałby się nią w nieszczęściu.

- Zgadza się. I trzeba przyznać, że wrabiała Korendę naprawdę starannie. Przechowywanie kasetki z naruszonym zamkiem, rzekomo z obciążającym listem. Opowiadania po sąsiadach, że czuje się zagrożona, bo coś wie, a kiedy nie poskutkowało, wyciągnięcie z rękawa asa w postaci pamiętnika z przepisami.

- Sfotografowanego przez szanowną mamusię. Swoją drogą

- Janek podrapał się w głowę - jakiś cienki ten motyw. Mogła wyjawić, że przed laty doktor wziął udział w zrobieniu z ojca wariata, przecież trochę nerwowego, i przez to nie mógł zostać ekspertem od etyki. - Wzruszył ramionami. - Mnie to nie bierze.

Inspektor roześmiał się krótko.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, co ludzie zrobią, żeby ratować zagrożoną karierę. Moim zdaniem, całkiem niezły motyw.

- A dla pewności dorzuciła jeszcze dziedziczenie po niej jakiejś pokażnej sumy. Wiesz - zatrzymał się naprzeciw Stanisza

- czuję się moralnie odpowiedzialny za jej śmierć. Prowokowałem mordercę, nie przewidując, jakie mogą być skutki.

- No, daj spokój! - Policjant aż podskoczył. - Nie namawiałeś, nawet nie mówiłeś, że go zdradza. Bawiłeś się nim, ale nie miałeś żadnych dowodów, że jest mordercą. Był twoim starym, dobrym znajomym, mogłeś się wygłupiać, jak chciałeś.

- Według prawa, oczywiście.

- Janek, posłuchaj uważnie. - Karol nabrał tchu. - Morderca zasztyletował kobietę, która partnerowała mu w pierwszym zabójstwie. Współorganizowała je i z zimną krwią usiłowała

zlikwidować męża, obarczając go winą. Ci ludzie są z innej bajki, mają swój sposób załatwiania spraw. My nie jesteśmy za to odpowiedzialni.

Rzeźbiarz pokiwał głową bez wielkiego przekonania.

- Przy okazji jeszcze lepiej wrobił Maćka.

- Zgadza się. Zadzwoił do Bożeny na telefon stacjonarny jej mamy, umawiając się w mieszkaniu na Żoliborzu. Być może kazał jej powiedzieć, że rozmawia z mężem. Gdy się spotkali, w którymś momencie dobrał się do jej komórki, wysłał wiadomość do Korendy, żeby zaraz przyjeżdżał. Odliczył bezpieczny czas, niespodziewanie wbił jej w plecy sztylet, który służył za ozdobę. Po czym szybciotko sobie wyszedł przez nikogo nie zauważony.

- Rzeczywiście, tam trzeba chyba szaleć, żeby ktoś zapamiętał. Dentysta, krawiec, masaże.

- Piętro wyżej jeszcze grawer. Nie wiem, jakim cudem, ale stale ktoś do niego przychodzi i wychodzi. Dlatego zwyczajnie ubrany, nierozrabiający człowiek był praktycznie niewidzialny. Mogli się tam spotykać z Bożeną, ile chcieli.

- Ciekawe, jak długo to naprawdę trwało.

- Od zeszłej zimy, według tego, co napisał. Zauważył ją kiedyś z mężem, potem spotkał w galerii handlowej, przedstawił się, poszli na kawę i tak zaiskrzyło, że Korenda nie dowiedział się nawet o tym spotkaniu. Cały czas nie miał nawet pojęcia o ich znajomości, co dopiero o romansie, który się wspaniale rozwijał. Rawicz cynicznie napisał, że Bożena była świetna.

Reising przyniósł z kuchni wiklinowy talerz z jabłkami.

- O ile wiem - próbował zmierzić krótkie, jasne włosy - Korenda od jakiegoś czasu domyślał się, że żona ma kogoś. Każdy normalny facet na jego miejscu wyczułby sprawę.

- I nie próbował się niczego dowiedzieć? Upewnić, zorientować się, o kogo chodzi?

- Chyba nie. Teraz zrozumiał, że jest wrabiany przez własną żonę i wyciągnął oczywisty wniosek o roli kochanka. Po jej śmierci

nie miał wątpliwości, że zabójcą był ten nieznajomy. Wczoraj pojechał do teściowej w nadziei, że coś wiedziała o córce. Chciał ją po prostu zapytać.

- Już go widzę, jak rozmawia z teściową - parsknął Karol. - Masakra.

- Nie zdążył. Kiedy go zobaczyła, pomyślała, że uciekł i teraz wyrówna z nią rachunki. A miała trochę na sumieniu. Z przerażenia dostała jakiegoś ataku i wyłączyła się.

- Ani trochę się jej nie dziwię - stwierdził Karol z przekonaniem.

- Zawołał karetkę z Wi-Medu, zaraz przyjechali, wyszło, że to histeria, wzięli ją na badania. I tyle się dowiedział.

- Na szczęście miałeś już namierzonego Rawicza.

- A Maciek miał gotowy, wyczyszczony zabytek. Na wszelki wypadek.

- Piękna rzecz.

- A jakie daje efekty! Nie wiedziałem, że on to wziął ze sobą i po cichu ładuje. W ostatnim momencie, kiedy Rawicz mierzył w Darię, huk i czarny dym. Jak z zaświatów.

- Spodobało ci się i coś z tego wykombinujesz.

- Niewykluczone.

- Słuchaj. - Karol potarł podbródek. - To nie moja działka, ale czy nie uważasz, że doktor najbardziej w tym wszystkim przejmował się Darią? Może by coś z tego było. Należy mu się.

Reising spojrzał błagalnie.

- Wznoszę modły o to.

Daria powoli otworzyła oczy. Nie przestraszyło ją to, co zobaczyła, ani nawet nie zdziwiło. Jednak znowu znalazła się w przeszłości.

Nad ozdobnymi szufladkami sekretarzyka z ciemnego drzewa, na białej ścianie wisiał owalny portret jasnowłosej dziewczyny z wysoko upiętymi włosami i głębokim dekoltem ozdobionym delikatnymi koronkami. W rogu pokoju stał klawesyn.

Ona sama leżała na wysokim łóżku z ciemnego drzewa. Przesunęła ręką. Nie, niemożliwe. Pościel z kory. Nic się nie zgadza.

Zamknęła oczy w nadziei, że za chwilę, gdy je otworzy, sen minie i wszystko wyjaśni się w jakikolwiek sposób.

Usłyszała ciche kroki. Podniosła powieki.

Jeszcze bardziej, o ile to było możliwe, przestała rozumieć cokolwiek. Obok usiadł człowiek, którego znała, ale zupełnie nie wiedziała skąd. Dość sympatyczny starszy pan.

Tak, miał coś wspólnego z samochodami. Droga asfaltowa. Pamięta huk. Może jakaś katastrofa i oboje w niej zginęli. Zresztą wszystko jedno.

- Jak się pani czuje? - zapytał cicho. - Syn zaraz przyjdzie. Jaki syn? O co mu chodzi? Nie wie i chyba nie chce nic o kimś takim wiedzieć.

Z tą myślą znowu zasnęła. Śniło jej się coś bliżej nieokreślonego, ale bardzo dobrego. Czuła się spokojna i bezpieczna. Ktoś trzymał ją za rękę. Ktoś bliski, tak jak tylko bliski może być drugi człowiek. Czuła wyraźnie ciepło jego dłoni.

Już wiedziała, że śni i nie chciała się budzić.

Jednak otworzyła oczy. Znowu była w tym pokoju, ale sen trwał.

- Jestem przy tobie. Wszystko jest dobrze - usłyszała, a Maciej Korenda lekko dotknął jej włosów. - Nie wiem, co przeszłaś z Rawczem, co pamiętasz ze Zrębiaka, ale wszystko się skończyło. Już nie wróci.

Widziała jego oczy, z których zamiast zwykłego chłodu, promieniowało ciepło i troska. Zaczęła wierzyć, że żyje w realnym świecie. Chciała, żeby tak było.

- Jak się skończyło? - Zdziwiło ją, że głos jej brzmi tak cicho, choć mówi normalnie.

- Całkiem. Przyjechała policja.
Teraz uświadomiła sobie, że już pamięta wszystko. Całą makabryczną sytuację. Poczowała mocne uderzenia serca.
- A mecenas?
- Nieważne. Ścisnęła jego rękę.
- Chcę wszystko powiedzieć. To potwór.
- Tak, opowiesz, ale jego już nie ma. - Korenda zobaczył, że Daria uspokoila się. - Zastrzeliła go policja. Wczoraj. Jest sobota po południu.
- Sobota? A w ogóle gdzie ja jestem?
- W Sieniewicach u mojego ojca - uśmiechnął się. - Poznałaś go wczoraj.
- Chyba tak. - Poczowała ogromne zmęczenie. Świat odpłynął. Zapadła w długi, krzepiący sen.

Reising wracał z długiego spaceru. Wreszcie mógł spokojnie obejrzeć najbliższą okolicę zwłaszcza tam, gdzie nie było po co iść, chyba że planowało się jogging. Ponure resztki ogródków działkowych, zaniedbana droga donikąd. Zatrzymał się przy zgliszczach „Eurydyki”. Tutaj ostatni raz widziano Damiana.

Drobna mżawka, przyniesiona wieczorem przez wzmagający się wiatr, osiadła na jego włosach. Wilgoć z przyjemnie orzeźwiającej zmieniła się w dokuczliwą. U pani Izy jeszcze było jasno. Zastał ją siedzącą za ladą z twarzą podpartą na dłoni, jakby zasłuchaną i zapatrzoną gdzieś w dal.

Na widok rzeźbiarza prawie podskoczyła.

- Myślałam o panu. Potrzebuję rady. - Utkwiła w nim badawcze spojrzenie. - Przedwczoraj zdecydowałam się na jedną rzecz, ale jeszcze mogę to zmienić. Zgłosiłam się do takiej kliniki. Wie pan, chodzi o drobne zabiegi typu botoks i tym podobne. Teraz

mam dziwne uczucie, byłam u nich właśnie, gdy zamordowano panią Bożenę. Może to ostrzeżenie, zła wróżba. Z drugiej strony, moje życie trochę zaczyna się zmieniać. Nie zaszkodziłoby troszkę odmłodnieć. Co pan o tym sądzi?

Reising zmarszczył brwi. Przyjrzał się uważnie jej twarzy, delikatnie obrócił ją i przez moment studiował profil. Wreszcie wydał orzeczenie.

- Absolutnie nie. Ma pani świetne rysy i wszelkie zabiegi wprowadzą tylko bałagan. Jeżeli potrzebuje ich pani emocjonalnie, to raczej proszę postawić na tę zmianę w życiu. Podziąła lepiej.

Oczy pani Izy rozbłysły.

- Dziękuję panu. Nie chciałam tego tak naprawdę, ale myślałam, że trzeba. Jest pan naprawdę wielkim artystą.

Na szczęście nie skończyła, bo do sklepu zawitał z rozmachem Piotr Niespał. Reising pomyślał, że sąsiad może być chory, bo nie mówił nic więcej, niż trzeba, a pani Dolant obsłużyła go wyłącznie z zawodową grzecznością. Chciał też zaraz za nim wyjść ze sklepu, ale właścicielka zatrzymała go.

- Prezent od firmy. - Wcisnęła mu reklamówkę zapełnioną pieczywem i jogurtami. - Powiem panu jeszcze jedno. Zupełnie nie wiem, dlaczego ten człowiek mi się podobał. Chyba musiałam rozumu nie mieć. Jak pensjonarka. Przeszło mi i od razu zaczęłam inaczej patrzeć na Alicję Bronowską. Właściwie sama nie rozumiem, dlaczego. Uważam ją za całkiem sympatyczną.

Janek obrzucił ją uważnym spojrzeniem znawcy.

- Jest pani nie tylko atrakcyjna, ale i mądra. Rozłożyła ręce bezradnie.

- Co pan robi, że kobiety lgną do pana?

- Nic. Są piękne. - Uśmiechnął się na pożegnanie

Młody człowiek po ściągnięciu czarnych, wysokich butów rzucił się na łóżko. Miało wysokie, pretensjonalne oparcie, ale było wygodne. Pościel również. Ułożył gładko ogoloną głowę na delikatnie ozdobionej poduszce. Na razie nie chciało mu się nic.

I tak już nie zmieni żadnej z podjętych decyzji. Tym bardziej że w sumie nie zależały one od niego. Szkoda.

Przed godziną wykonał decydujący ruch i nie może się wycofać.

Trudno, widać tak musiało być.

Reising skończył ranny spacer po okolicy, gdy zadzwonił telefon. Maciej Korenda, po dyżurze nocnym w Wi-Medzie, nie ukrywał zdenerwowania, czekając na wiadomość od ojca o Darii. Szczęśliwie udało się mu wytłumaczyć, że dziewczyna jeszcze spokojnie śpi, a on powinien przyjechać na Skrętną.

Pojawił się po pół godzinie z wyraźnymi śladami zmęczenia po prawie nieprzespanej nocy.

- Nie pytam, czy jadłeś śniadanie - stwierdził rzeźbiarz - bo znam odpowiedź. U mnie wszystko przygotowane. Kawa, rogaliki.

Zastawiony stół w kuchni robił wrażenie.

- Prawdziwe czy dekoracja? - upewnił się doktor. - Zresztą wszystko jedno, bo i tak chciałem ci zadać kilka pytań. Właściwie, więcej niż kilka.

- Prawdziwe, bo trafiłem wczoraj na dobre serce pani Izy. Siadaj, wiem, o co chcesz pytać.

Korenda popatrzył mu w oczy.

- Tak, jak się spodziewasz. Mów, wszystko od początku. Janek uniósł brwi.

- Początek? Chyba trzeba zacząć od końca lat siedemdziesiątych. Było dwóch przyjaciół. Młody prawnik Tadeusz Rawicz i anglista Hubert Nocoń. Oczywiście również kobieta, narzeczona Rawicza, Tatiana Kolska, rusycystka. Piękna, czarnowłosa. Jak można się domyślić, Nocoń również się w niej kochał. Powiedziałeś o nim coś ważnego, co zapamiętałem i pomogło mi.

- Nie mogło to być nic miłego.

- Rzeczywiście nie. Uroczy człowiek, jeżeli dostanie, co chce. Nie potrafi się niczego wyrzec. Gdy ma na coś ochotę, bierze. I jego charakter właśnie uważałeś za jedną z przyczyn otyłości. Okazało się, że skutków było więcej.

- Chodziło o tę dziewczynę?

- Jak najbardziej. Wyjechała na jakiś czas do Stanów. Wtedy łączność telefoniczna była bardzo słaba. Stawiało się na listy. Nocoń, który dostał tam stypendium, miał służyć za posłańca. Oczywiście zniszczył wszystko, co mu Rawicz przekazał dla Tatiany. W zamian poinformował ją, że została zdradzona i narzeczony będzie miał dziecko z inną.

- Zbrodniarz.

- Tak. A ona właśnie zorientowała się, że jest w ciąży ze swoim chłopakiem. Zrozpaczona wsiadła w samochód i rozbiła się. Ledwie ją wyratowano, ale nigdy nie przyszła do siebie, do końca życia była w zakładzie zamkniętym.

- Rawicz dowiedział się?

- Jakimś sposobem. Poprzysiągł zemstę. Gdy Tatiana umarła na zapalenie płuc, poczuł, że nadszedł czas wystawienia rachunku Hubertowi.

- Zdaję sobie sprawę, jak to wyglądało. W moim wieku gapię się na dekolt dziewczyny. A ja nie mogłem oderwać wzroku od pani medalika. On ma, można powiedzieć, trochę skomplikowaną historię.

- Wiem. - Daria patrzyła na łagodną twarz starszego pana. W jego niebieskich oczach widać było prawdziwe zakłopotanie.

Nie spała już od jakiegoś czasu, zdążyła wziąć prysznic i włożyć swoje własne ubranie. Podobno przywiozła je bardzo miła policjantka, która z nią przyjechała ze Zrębiaka. Przepraszała za wejście do mieszkania bez nakazu, ale w kompetentnym towarzystwie pana rzeźbiarza.

Daria była jej dodatkowo wdzięczna za wybranie bardzo wygodnych, szarych dżinsów i wiśniowego sweterka. Nosiła go rzadko, ale zgodnie z tym, co jej przekazała pani podkomisarz, kolor działał energetyzująco.

Wypiła herbatę i udało jej się coś przełknąć. Nie miała siły zastanawiać się nad tym, że widzi starszego pana, którego spotkała na drodze. Była wystarczająco zdziwiona, że sama żyje. Pamiętała wszystko, co mówił mecenas. Na szczęście wtedy już działał środek usypiający i dzięki niemu prawie nie odczuwała lęku ani właściwie niczego. Może tylko przykrość, że została zdradzona przez Urszulę.

Dowiedziała się, że Janek Reising i Korenda przyjechali po nią i że Rawicz chciał ich wszystkich zlikwidować. Najpierw przeszkodził mu doktor, strzelając ze zdjętego ze ściany pistoletu, potem wszystko prawie wyleciało w powietrze, ale w ostatniej chwili pojawiła się policja.

Teraz siedziała w głębokim fotelu naprzeciw Władysława Korendy, który w niezrozumiały sposób poznał historię medalika. A może tylko mu się wydaje? Na przykład pomylił go z innym, podobnym.

- Istnieją tylko dwa takie, identyczne wisiorki. Z inicjałami i datą. Jeden od dawna należy do rodziny Kalińskich i mam go u siebie, drugi dostałam w sposób, którego nie potrafię racjonalnie wytłumaczyć, ale wiadomo, że był własnością rodziny Mizerowiczów. - Wyjęła go z kieszeni. - Trudno powiedzieć, co stało się z nim później, ponieważ ostatni przedstawiciel tego rodu, ksiądz, zmarł jeszcze przed wojną.

Starszy pan kiwał głową ze zrozumieniem.

- Ksiądz Jan Mizerowicz był przekonany, że na nim wygasa ród, z którego zresztą wcale nie był dumny. Przyszła bowiem wiadomość, że jego siostra umarła w Paryżu. A dokładnie, wyskoczyła oknem pod wpływem alkoholu czy czegoś jeszcze.

- To dokładnie mówił ksiądz mojemu dziadkowi.

- I zapisał w pamiętniku, że się spotkali. Natomiast z siostrą okazało się zupełnie inaczej. Rzeczywiście, oknem raczej wyskoczył, niż wypadł, jej mąż, Piotr Korenda. Mój dziadek.

- O nie! - jęknęła Daria.

- On ponad wszelką wątpliwość pił i brał, co tylko było dostępne. Jego żona była znacznie rozsądniejsza. Jedyłą jej winą było niewłaściwie ulokowane uczucie. Nie wiadomo - rozłożył ręce - dlaczego do Sieniewic dotarła taka wiadomość. Może ze złośliwości albo zwykłej głupoty. W tym czasie Julia Korenda miała maleńkie dziecko i zapadła na to, co teraz nazywamy depresją poporodową, spotęgowaną przez śmierć męża. Nie kontaktowała się z nikim, mieszkała u przyjaciółki, podobno śpiewającej w nocnych lokalach - uśmiechnął się. — Ładne towarzystwo, prawda?

- Koszmar - zgodziła się Daria.

- W końcu wróciła do Polski, gdy mój ojciec miał niecały rok. Z tego, co wiem, jej rodzice nigdy nie stracili nadziei, że ją zobaczą.

Uważnie patrzył na siedzącą naprzeciw dziewczynę, chcąc wyczytać z jej twarzy, jakie wrażenie zrobiło na niej to opowiadanie.

Przysunęła medalik w jego kierunku.

- Oddaję go. Należy do pana. Pokręcił głową.

- Dostała go pani od kogoś. Teatralnie wniosła oczy do góry.

- Trudno go nazwać kimś. W ciemności, nie wiadomo skąd, na cmentarzu żydowskim w Lesku. Ubrany w coś czarnego, długiego. Na głowie też w tym stylu. Włożył mi go po kryjomu do kieszeni. Tyle wiem na pewno.

- Niesamowite. - Starszy pan był zdumiony. - Bożena zgubiła go jakoś we wrześniu. Ale na pewno w Warszawie. Podobno wszystko musi dać się wytłumaczyć, tylko że ja nie będę próbował.

- Ja również. I nie chciałabym już mieć z tym nic wspólnego.

- Uśmiechnęła się i spojrzała na wiszący portret. Uniosła brwi.

- A ta blondynka to, przepraszam, kto?

- Dobrze się pani domyśla. - Oboje podeszli do spoglądającej błękitem oczu naprawdę przepięknej dziewczyny. - Właśnie Marianna Mizerowiczówna. Bardzo nieładnie się zachowała.

- Była zdenerwowana - zauważyła Daria. - A postępowanie Zofii również pozostawiało wiele do życzenia. Dzisiaj można by ją oskarżyć o podżeganie do zabójstwa.

- Dziś, owszem. Ale wtedy akurat klątwa była czymś poważniejszym. Mam nadzieję, że się nie sprawdziła?

- Co do joty - odpowiedziała grzecznie. Tadeusz Korenda załamał rękę.

- Naprawdę? Straszne! Ale przynajmniej w pani przypadku się nie sprawdzi.

- W moim? - Wzruszyła ramionami. - Skądże.

- Ależ oczywiście. Może mi pani wierzyć.

Przytaknęła jak niezbyt rozgarniętemu uczniowi, lecz nie musiała odpowiadać, bo właśnie usłyszeli samochód Macieja Korendy.

Na chwilę została sama. Krótką. Doktor bardziej wpadł, niż wszedł do pokoju.

- Czy wszystko w porządku? - Czuła niemal prześwietlające ją spojrzenie. Stała zaskoczona tym, że nie wie, co powiedzieć. Nie stać jej było na kurtuazyjną odpowiedź i uśmiech.

Położył dłonie na jej ramionach, jakby w obawie, że upadnie.

- Powiedz, jak się czujesz.

Nie wydawało jej się, żeby byli na ty. Ale wszystko jedno.

- Zupełnie dobrze. Nic mi nie jest.

- Nudności, zawroty głowy?

- Skądże.

- Dario. - Objął ją i nieoczekiwanie przytulił. - Cud, że jesteś tutaj, bezpieczna. Ze tak się to skończyło.

Szorstkość swetra, ciepło policzka na jej włosach, miękko otaczające ją ramiona sprawiły, że na chwilę znalazła się jakby w innym świecie. Dużo lepszym, ale niestety, nierealnym. Mężczyzna, który teraz jest tak blisko, w rzeczywistości zawsze będzie daleko.

Powoli, delikatnie wysunęła się z jego objęć.

- Nie wiem, co się naprawdę działo. Policja wiedziała, że mecenas jest mordercą?

Wziął ją za rękę, usiedli na starej stylowej kanapie naprzeciw okna.

- Policja nie wiedziała. Wiedział Janek Reising, ale nie miał żadnych dowodów.

- Janek? - Miała wrażenie, że jest jednym wielkim zdziwieniem.

- Tak - roześmiał się. Chyba po raz pierwszy, odkąd go poznała. - Ten Janek. Miły, poczciwy, niestworzony do myślenia. W rzeczywistości był zwyczajną wtyczką policji i mam wrażenie, że nie początkującą. Jego menedżer, pewnie uroczy i całkowicie profesjonalny - skinęła głową z przekonaniem - to inspektor Stanisław. Którego ja akurat poznałem od tej prawdziwej strony.

- O Boże! - Nie sądziła, że kiedyś naprawdę o mało nie spadnie z kanapy. - Jak on mógł!

- Znają się od lat. Dziś rano inspektor wpadł na moment i przy okazji coś sobie jeszcze wypomnieli. Lepiej za dużo nie wiedzieć, ale chodziło, zdaje się, o dziewczynę. W sumie jednak widać, że jest to przyjaźń nie do zdarcia.

Daria nie czuła się przekonana.

- Nie, tego nie można darować. Manipulował nami wszystkimi. Bezczelnie udawał głupka.

- To prawda. Ale opłacało się maksymalnie. Nikt by nie podejrzewał, że wyjazd z Rawiczem może być dla ciebie śmiertelnym niebezpieczeństwem. A na jego wezwanie przyjechali uzbrojeni, jak w filmie, razem z inspektorem, który oddał piękny strzał. I bardzo dobrze, że tego nie widziałaś.

- Czy dowiem się kiedyś wszystkiego, co tam było?

- Oczywiście, ale nie teraz. Teraz należy się lunch, bo podobno prawie nic nie jadłaś.

Normalnie odpowiedziałyby, że może trochę schudnie, ale jakoś nie chciało jej się niczego, co miałyby choćby cień kokieterii.

Korenda stwierdził, że najlepiej będzie po drodze do Warszawy wstąpić do sprawdzonego zajazdu znanego z firmowego gyros. Przy wyjściu podał Darii kurtkę, otaczając ją przy tym ramionami. Z pewnością tak, jak przedtem Bożenę.

Nie da się zapomnieć, że dopiero co miał wspaniałą żonę, którą kochał.

W samochodzie milczeli. Jechali inną drogą niż z mecenasem.

Właściwie powinna powiedzieć coś, co się mówi komuś, kto stracił żonę. Ze jest przykro. Ale przykro jest również dlatego, że żona zdradzała go z mordercą, że go chciała zniszczyć, podsuwając policji jako winnego.

O takich rzeczach nie sposób rozmawiać.

Tym bardziej, że Korenda wydawał się spokojny, w niezłym nastroju, jakby ostatnie wydarzenia nie dotyczyły go osobiście.

W stosunku do niej był opiekuńczy, nic dziwnego, razem przeżyli traumę, której części ona nie jest świadoma, ale to, co pamięta, na razie wystarczy.

Zajazd okazał się rzeczywiście sympatyczny i o tej porze jeszcze pusty. Daria zawsze lubiła gyros, ale ten, choć bardzo dobry, przetykała z trudem. Być może nie powinna, ale ciągle była w napięciu. Wbrew logice, towarzystwo doktora nie uspokajało jej, a wręcz przeciwnie.

- Poznałaś mojego ojca i chyba się dogadaliście jak dwoje nauczycieli
- powiedział z lekkim uśmiechem.

Skinęła głową. To była prawda.

- Uczył polskiego w liceum w Sieniewicach. Po śmierci mojej matki przez kilka lat nie mógł całkowicie przyjść do siebie, jak każdy w tej sytuacji. Ale praca w szkole wymaga więcej siły i opanowania. Jeden z uczniów, bezstresowo wychowywany syn któregoś miejscowego VTP-a, przedrzeźniał go, właściwie znęcał się nad nim. Przekonany, słusznie zresztą, o swojej bezkarności. Ojciec nie wytrzymał i uderzył go.

- Super - oceniła Daria.

- Owszem, ale był nauczycielem. Poza tym uszkodzenie ciała okazało się poważne i jedyną szansą na uniknięcie wyroku była ucieczka w chorobę psychiczną. Pomógł mi kolega. Musiał znacząco nagiąć rzeczywistość, ponieważ depresja i nerwica nie wystarczyły. Był to jedyny wypadek niezgodności z prawdą, w jakim brałem udział.

- Myślę, że każdy by tak postąpił. - Wzruszyła ramionami.

- Ale gdyby sprawa wyszła na jaw, pogrzebałaby moją kandydaturę do Komisji Etyki Lekarskiej, z której i tak zresztą chciałem się wycofać. Nie zdążyłem. Ponieważ Bożena wiedziała o wszystkim, nagle pojawił się dodatkowy motyw.

Jedyny raz wspomniał żonę. Daria nie miała pojęcia, jak zareagować.

Wypili herbatę. Na dworze przywitał ich chłodny, wilgotny wiatr. Korenda z kluczykami w ręku zatrzymał się przed samochodem. Patrzył na nią przez chwilę, jakby wahając się.

- Jeszcze jedno. Nie wiem, jak zacząć. Niebywała historia. Teraz, gdy minęliśmy się z ojcem, zdążył mi w przelocie powiedzieć. - Rozłożył bezradnie ręce. - Okazało się, że twoje nazwisko i medalik to nie przypadkowa zbieżność. Nasze rodziny znają się od przeszło wieku.

Daria wbrew samej sobie zaczęła się śmiać.

- Zgadza się. I jest to bardzo specyficzna znajomość. Ale medalik, akurat ten, nie jest mój i zostawiłam go, bo należał do twojej żony. Ja dostałam go od ciemnego człowieka na cmentarzu w Lesku.

- Słucham? - Doktor prawie krzyknął.

- Włożył mi go do kieszeni. Dlatego długo sądziłam, że się wtedy przeniosłam w czasie.

Dłuższy czas milczał. Na koniec tylko pokręcił głową.

- W sumie nic dziwnego. Jeśli się chce to wytłumaczyć, trzeba przestać myśleć rozsądnie. Przejazdzka w czasie oczywiście dużo by wyjaśniała, okazało się jednak, że to zwykły duch. — Otworzył jej drzwi auta. - Na pewno, nawet jak na ducha sprawił się bardzo dobrze, bo nie tylko załatwił tamtego bandytę, ale dzięki medalikowi, który zauważył mój ojciec, domyśliliśmy się, gdzie cię szukać.

Ruszył zdecydowanie i szybko nabrał prędkości.

- Najchętniej pojechałbym teraz do Leska, znalazł ci tę zjawę i dokładnie wypytał.

- Jeśliby chciała z tobą mówić.

- Do ciebie to czarne coś nic nie powiedziało?

- Nic.

- Do mnie by musiało. Ale jeszcze nie dzisiaj, bo Janek zwołuje nas na kawę. Mówi, że chce dogadać, co nie zostało dogadane.

- To akurat film dla niskoreaktywnych człekokształtnych. — Alicja Bronowska otwierała drzwi mieszkania Piotra Niespała, który trzymał płócienną torbę z zakupami.

- A tamten dla czytelniczek dzieł w różowych okładkach z ogromnymi literami w środku.

- Co za różnica, że duże litery? Lepiej dla oczu.

- Dla takich, które nigdy książki nie widziały, bardzo dobrze.

Urszula Więcek, która nie mogąc dodzwonić się do Darii, postanowiła się dopukać, schodząc ze schodów, zatrzymała się na ich widok.

Normalne, że się kłóca, ale poza tym wszystko było nie tak. Pani Alicja grzecznie skinęła jej głową.

- Dyskutujemy o filmie - wyjaśniła.

- O filmach. Który wybrać - dodał inżynier. Urszuli zaokrągliły się oczy. Zastygła w zdumieniu.

- W niedzielę po południu często chodzi się do kina - kontynuował.

- Oczywiście. - Urszula chwyciła mocniej poręcz i powoli, z godnością zeszła na parter, za wszelką cenę nie chcąc pokazać, że całkowicie nie rozumie, co się dzieje.

Właśnie dochodziła do swojego mieszkania, gdy otworzyły się drzwi wejściowe i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ukazała się w nich Daria. Cała i żywa, choć nieokreślone pierwsze wrażenie podpowiadało, że zmieniona. Rzuciła się jej na szyję i Ula nawet nie zauważyła obecności Korendy, który po prostu poszedł na górę.

- Wiem wszystko od Janka. Mecenas cię uprowadził i chciał zamordować. Boże, jak dobrze, że mi się nagrałaś. I że Korenda mnie znalazł.

- Nie wiesz czegoś jeszcze. Rawicz poinformował mnie, że nikomu nic nie powiesz, bo siedzisz u niego w kieszeni.

- Co? - Urszula zatrzymała się, ledwie łapiąc oddech z oburzenia. - Zabiję świnię!

- Już raczej nie. - Daria przez chwilę mocowała się z kluczem.

- Wiesz, kim na co dzień jest ten miły menedżer niejakiego Reisinga?

- Teraz tak. Podobno uratował was w ostatnim momencie za pomocą niesamowitej amerykańskiej broni. - Weszła do kuchni i otworzyła lodówkę. - Chyba nic tu nie masz. Swoją drogą

- wróciła do tematu - wstyd tak dać się podejść blondynowi. Myślałam, że znam się na facetach wystarczająco, żeby odróżnić nie do końca kumatego górala od kogoś, kto jako człowiek inspektora rozwiązuje zagadki kryminalne.

Daria uśmiechnęła się.

- Może to on wystarczająco zna się na kobietach. W końcu miał cztery żony. Byłyśmy bez szans.

Urszula przyjrzała jej się uważnie.

- Jesteś jakaś inna. Nie wiem, o co chodzi, ale zmieniłaś się i nawet fajnie wyglądasz. Co robiłaś od rana?

- Byłam w Sieniewicach, przywiózł mnie Korenda.

- Niedoszły oskarżony. Co o nim myślisz?

- O nim? - Daria spojrzała zaskoczona. - Stracił żonę. Był uważany za podwójnego mordercę. Jakoś przez to przeszedł. Co tu jest do myślenia?

- Nie o to mi chodziło - zaczęła Urszula, lecz przerwało jej stuknięcie i wejście Reisinga.

Daria zmarszczyła brwi.

- Wiesz, że nie widziałam cię od czwartku? Roześmiał się po swojemu szczerze i rozbajajająco.

- Zupełna racja. Nie chcę cię urazić, ale ostatnio w ogóle niewiele widziałaś. Nic ci się nie śniło?

Potrząsnęła głową.

- Nie pamiętam.

- Pewnie lepiej. Zabieram was do siebie.

- Czekaj. - Urszula chwyciła go za rękaw swetra z owczej wełny. - Tu się zaczęły dzieć dziwne rzeczy. Ja ich nie rozumiem i trochę się boję. Otóż widziałam, jak - zamknęła oczy i wyrecytowała - pani Ala i Niespał umawiali się do kina.

- Zwariowałaś - stwierdziła bezlitośnie Daria.

- Kłócili się o film.

- No, już trochę lepiej.

Obie spojrzały pytająco na Reisinga. Jego uśmiech nie pozostawiał wątpliwości.

- Mów! - rozkazały jednocześnie.

Podrapał się w głowę, co sugerowało głęboki namysł.

- Tylko to, co wiem. Oni się znają od dziecka, są odległymi kuzynami.

- A myśmy nie wiedziały, o co się kłóć - prychnęła Urszula.

- Właśnie. Kiedyś nawet jakby mieli się ku sobie i były plany ich małżeństwa, ale o coś im poszło, sami nie wiedzą. Długo się nie widzieli, ich małżeństwa się porozpadały, tutaj spotkali się oficjalnie przypadkowo. Pani Ala, bo od niej to wiem, była w depresji spowodowanej głównie przez konflikt z córką. Nie zaakceptowała zięcia, zawzięły się na siebie. Z tego wszystkiego zaczęła brać piguły, sama nie wiedziała ile. Z Niespałem darli koty, bo nie umieli inaczej nawiązać kontaktu. Kiedy próbowali się umówić, wybuchała kolejna awantura.

- Umówić?

- Jak najbardziej. Powodem mogła być zamówiona sałatka, zostawiona kosmetyczka, dosłownie wszystko. Ale nie wiem, czy zauważyłyście, oni sami zaczęli się zmieniać. Pani Ala potrafiła kupować niezdrowe produkty, a inżynier ganiał po sklepach

za różnymi ziólkami. Kiedy spotkał Sebastiana, poczuł się zde-
maskowany i urządził mu jakąś scenę.

- Jak w romansie. - Urszula była zachwycona. - Ciekawe, komu
bardziej zależało.

- Trudno powiedzieć. Ona chciała zwrócić na siebie uwagę,
opowiadając, że jest zagrożona przez mordercę, on widział realne
niebezpieczeństwo w postaci prochów i starał się uważać na nią choćby
z daleka. I chyba w związku z tym w końcu się dogadali.

- Fantastyczne. Co teraz?

- Wyjeżdżają do Niemiec do córki pani Ali. Podobno Niespał
wystąpił w roli mediatora.

Wybuchnęły śmiechem.

- To musiały być negocjacje! Chyba że matka i córka zjednoczyły się
przeciwko niemu.

- Wy w ogóle nie docenicie mężczyzn - stwierdził rzeźbiarz. - Ale
teraz chodźcie, bo trzeba jeszcze coś dogadać.

Na pierwszym piętrze zastukał do drzwi Piotra Niespała i poszli do
Korendy. Po chwili wszyscy zapełnili pokój.

- O dwie osoby mniej niż poprzednio. - powiedziała cicho
Bronowska, wsuwając się za Reisingiem do kuchni. - Pomogę panu
przy kawie.

Daria poczuła zmęczenie. Siedząca obok Urszula objęła ją. Trudno
było nie porównywać dzisiejszego spotkania do pierwszego, gdy
zaczęła palić się „Eurydyka”. Naprzeciw siedziała wtedy przyciągająca
oczy urodą Bożena. Świetnie pozorowała lęk przed mordercą. Korenda
dzisiaj stanowił przeciwieństwo siebie z tamtego dnia. Z podwiniętymi
rękawami jasnego swetra, kontrastującego z jego karnacją, wyciszony,
rozluźniony, gdyby nie zmęczenie, wyglądałby jak z kolorowej
reklamy oferującej wspaniały weekend.

- Jesteśmy wszyscy - oznajmił Niespał.

- Niezupełnie - zawahał się gospodarz.
- Sebastian nie przyjedzie.
- Nie, nie. - Pokręcił głową jakby zakłopotany. - Kogo innego
brakuje.

Otworzył drzwi sypialni.

- Wyłaż - powiedział krótko.

Oczom gości ukazał się młody człowiek ogolony na łyso i ubrany w
militarny strój typu moro.

Darii wydał się całkiem przeciętny i nie wiedziała, czemu wszyscy na
jego widok zachowali się zdecydowanie nietypowo.

Najpierw nastąpiła dziwna cisza. Urszula znieruchomiała i tylko
gwałtownie mrugała oczami. Bronowska wpatrzona w przybysza
chwyciła za ramię Niespała, który powoli niebezpiecznie czerwieniał.
Korenda ze skrzyżowanymi ramionami zmierzył młodego człowieka
chłodno diagnozującym spojrzeniem i westchnął z dezaprobatą.

Daria nie rozumiała, w sumie chłopak wyglądał miło.

- Tak, nie mylicie się. - Przerwał ciszę Reising. - Właśnie przyjechał
do nas Damian Rolewski. Jak widać, cały i zdrowy.

- To naprawdę ty, kretynie? - odezwała się Ula niebezpiecznie
spokojnie.

Milcząco skinął głową.

- Odebrało panu mowę? — Inżynier trochę za szybko oddychał.

Młody człowiek przesunął palcami po ogolonej skórze, najwyraźniej
jeszcze niedawno miał włosy. Usiadł i oparł twarz na dłoniach.

- Po prostu nie wiem, od czego zacząć.

- Może od początku - poradziła pani Alicja.

- Początek jest taki, że miałem dobrą pracę, którą nawet lubiłem, fajne
układy z ludźmi i perspektywę kontynuowania tego w Anglii za dużo
lepsze pieniądze. Rodzice wszystko załatwili

i znałem już termin mojego wyjazdu. Wtedy zacząłem zdawać sobie sprawę, że wszystko dzieje się nie tylko bez mojej woli, ale wbrew niej. Zrozumiałem, że bardzo nie chcę pracować w moim zawodzie, a jeszcze bardziej, wyjeżdżać.

- Powiedział pan o tym rodzicom? - spytał doktor.

- Próbowałem. Ale oni w ogóle nie dopuszczali takiej możliwości. Ja z kolei wiedziałem, że moim obowiązkiem moralnym jest robić to, czego się nauczyłem i w czym jestem dobry. Jednocześnie nabierałem świadomości, że za chwilę moją pracę po prostu znienawidzę, że potrzebuję odmiany, nowego miejsca, gdzie będę zachowywać się inaczej.

- Inaczej, to znaczy, jak? - Starał się ustalić Niespał.

- Funkcjonować samodzielnie, nie być przez nikogo ocenianym, nawet chwalonym, decydować o sobie. Nie słuchać niczyich rad. Chciałem zrobić coś sensownego, wiedziałem, że w Sienie-wicach w „Słonecznym Domku” dzieją się jakieś przekręty, ale nie udało mi się niczego znaleźć. Miałem poczucie beznadziejności i wstręt do każdego dnia. Kiedy zaczęły się mdłości przed wyjściem do pracy i przytłaczająca niechęć do rozmowy z ludźmi, postanowiłem wziąć los w swoje ręce. Marzyłem o ucieczce daleko od wszystkiego, co mnie otaczało. Bardzo szybko wymyśliłem sposób na zniknięcie.

Popatrzył po obecnych, a ponieważ nie było reakcji, mówił dalej.

- Od dzieciństwa lubiłem się przebierać, potem często eksperymentowałem z fryzurami i kolorami włosów. To się przydało. Miałem okulary zerówki, bejsbolówkę, której nigdy nie nosiłem, jeszcze kiedyś dawno dla zabawy kupiłem sztuczne wąsy i bródkę. Pod dużym swetrem ukryłem cienką kurtkę, też nienoszoną, a na buty założyłem takie gumowe kalosze. Kiedy już byłem za ścianą „Eurydyki”, upewniłem się, że nikt mnie nie widzi. Zmianę

wyglądu wyćwiczyłem w domu, wykonałem ją błyskawicznie w marszu. W autobusie byłem już innym człowiekiem. Pociągiem jechałem przez całą noc, spałem przy jakiejś grupie studentów.

- Nie bał się pan zapamiętania? - spytała w końcu Bronowska.

- Ani trochę. Nikt nie mógł łączyć ze mną człowieka w okularach w szarej kurtce. Na włosy prócz bejsbolówki miałem na zmianę czarną czapkę. - Daria drgnęła i spojrzała na niego zaskoczona. Reising uśmiechnął się. Damian mówił dalej. - W miejscowości, nie pamiętam jakiej, na pierwszym bazarze kupiłem nowe ubranie. Nikt mnie nie znał, czułem, że zacząłem nowe życie. Potem zaczepiałem się tu i ówdzie, nikt mnie o nic nie pytał. Mówiłem, że mam na imię Arek. Tak mi przyszło do głowy. Robiłem różne rzeczy, umiałem ludziom pomóc, mieszkałem w wielu miejscach w Bieszczadach. Kiedy podrosły mi włosy, przyciemniłem je i poczułem się całkiem bezpieczny.

- No świetnie. A jak się czuli pana rodzice? - Nie wytrzymał Niespał.

- Zrozpaczeni, szukający wszędzie, błagający o najmniejszy ślad. Zastanawiał się pan może nad tym, choć przez chwilę?

Damian wyprostował się.

- Wiele razy myślałem o nich. O tym, żeby ich jakoś uspokoić. Ale wiedziałem, że wtedy oni nie daliby mi spokoju. Pomyślałem sobie, że jako rodzice powinni mnie znać, domyślić się, co zrobiłem i dlaczego.

- Mimo rozbitej komórki i krwi? - uściślił doktor.

- Oczywiście. I jak mówiłem, miałem trochę dłuższe, ciemne włosy. Kiedy zrobiło się zimno, lubiłem nosić czarny płaszcz i małą czapkę. Dużo spacerowałem, w Lesku często odwiedzałem cmentarz żydowski. - Uśmiechnął się do Darii, która teraz nie odrywała od niego wzroku. - Pewnego dnia, późnym popołudniem siedziałem tam sobie, aż zaczął zapadać zmierzch. Wtedy zobaczyłem

dziewczynę, która zaczynała schodzić na dół. I kompletnie niespodziewanie pojawił się jakiś oprych. Musiał być schowany za jednym z krzaków. Na moich oczach, w odległości kilkunastu kroków, zaczął ją dusić. Silnie zbudowany, zaskoczył ją, była bez szans. Jak tylko mogłem najszybciej znalazłem się przy nim. Nawet nie zwrócił na mnie uwagi, taki był pewny siebie. Myślę, że zorientował się dopiero, gdy zleciał ze zbocza. - Wzruszył ramionami. - Sprawność fizyczna była zawsze moją najmocniejszą stroną. Odwrócił się w stronę Darii. Ich spojrzenia spotkały się.

- Byłaś w szoku, chciałem coś powiedzieć, ale poczułem, że nie skończy się na kilku zdaniach. Przestraszyłem się zdemaskowania. Odruchowo włożyłem ci do kieszeni wisiołek, który znalazłem jakiś czas temu. Nie wiem dlaczego, ale od razu miałem wrażenie, że jest jakiś specjalny. Powinien przynieść ci szczęście. Patrzyłem na ciebie i widziałem, jak schodzisz w dół bez problemu, więc uznałem, że już nie jestem potrzebny.

Daria przymknęła oczy. Chciała sobie wszystko jakoś ułożyć. Doktor uniósł brwi.

- Czy pan mógłby wyjawić, gdzie i kiedy znalazł wspomniany wisiołek? - zapytał uprzejmie.

- Ależ tak. Znalazłem go na schodach domu, w którym miałem pacjentów. W gabinecie odnowy biologicznej na Żoliborzu. Nie wziąłem go od razu na własność. Pytałem, czekałem, aż zrozumiałem, że ma być u mnie. W sumie wydawało mi się, że nieźle zrobiłem.

- Bardzo dobrze. Medalik uratował Darię. - Korenda potrafił zachować spokój. - Zgubiła go moja żona przy mieszkaniu, w którym się z kimś spotykała.

Na chwilę zapanowała pełna napięcia cisza. Reising patrząc po zebranych, próbował zmierzwić swoje nienadające się do tego włosy.

- No to już chyba wiemy wszystko - powiedział cicho.

- Tak. - Daria podeszła do Damiana, który wstał z zamiarem wyjścia i położyła mu rękę na ramieniu. - Dziękuję - powiedziała.

Nie zdążył zareagować, ponieważ Urszula zbliżyła się, odsuwając przyjaciółkę.

- Teraz ja ci podziękuję. - Zanim ktokolwiek mógł ją powstrzymać, wymierzyła mu celny cios w szczękę. Otrzepała rękę. - Teraz czuję się lepiej - stwierdziła.

- W imieniu zebranych dziękujemy za wystąpienie. - Niespał z rękami w kieszeniach patrzył na drzwi, za którymi zniknął Damian. - Jakże on teraz ma plany?

- Wraca w Bieszczady, tylko już bez ukrywania się. Dzisiaj zadzwonią do niego rodzice. Ich sprawa, czy się dogadają.

- Jak pan go właściwie znalazł?

- O, po kolei. Najpierw Daria zemdląła na widok ilustracji z młodzieńcem z dziewiętnastego wieku. Przypuszczała, że chodzi właśnie o tę epokę, ale przecież to miał być portret Damiana. Zapamiętałem, że być może gdzieś go widziała. Później, gdy dowiedziałem się o jej traumatycznym przeżyciu, w którym brał udział tajemniczy młody człowiek, musiałem pójść tym tropem. Mój kolega ma w okolicach Leska pracownię, tam wszyscy odmieńcy się znają. Chłopak w czarnych ciuchach został od razu zidentyfikowany jako Arek. Reszta poszła im szybko.

- Sam się przyznał? - chciał wiedzieć inżynier.

- Mam nadzieję.

- W sumie ciekawe, jak wyglądał w ciemnych włosach - rozmarzyła się pani Alicja. — Zawsze był bardzo miły.

Niespał rozpaczliwie wzniosł oczy w górę.

- Takie są skutki, jeśli ktoś spadnie z jabłoni i nie zostanie zaraz przebadany.

Wzruszyła ramionami.

- Na pewno jednak mniejsze niż efekty wpadnięcia głową prosto do wiadra - oznajmiła.

- Kiedy miały miejsce te incydenty? - spytała rzeczowo Urszula.

Spojrzeli po sobie.

- Dawno - odpowiedzieli równocześnie. Pan Piotr wziął swoją towarzyszkę pod rękę.

- Pożegnamy się jutro przed wyjazdem na lotnisko. Korenda przestał patrzeć w dal za oknem.

- Niebawem. Jak długą im wróżysz przyszłość? - zapytał Janka.

- Bardzo długą. Może do końca życia. Ja się właściwie nie kłóciłem z żadną żoną.

- Z mieszkaniem Ilony od początku było coś nie tak. - Doktor wrócił do tematu. - Na pozór nic specjalnego, ale odnosiłem w związku z nim jakieś dziwne wrażenie. Tylko że chyba nie chciało mi się nad tym zastanawiać.

- W tym domu czułam się bardzo źle - przypomniała sobie Daria - ale pewnie dlatego, że mecenas mnie obserwował. Znalazłam się tam przypadkiem, a cały czas bałam się czegoś.

- On cię obserwował i uznał, że go szpiegujesz. Wtedy już prawie wydał wyrok. Kiedy zobaczył u ciebie medalik, wyrok podpisał.

- A robił takie dobre wrażenie - wspominała Urszula.

- Właściwie do samego końca. Nie wiem, jak mogłam być taka naiwna.

- Jak? - zdziwił się rzeźbiarz. - Normalnie. Znałaś go od lat, a on zastawił na ciebie sidła.

- Ja też uważałem go za porządnego człowieka - stwierdził beznamiętnie doktor. - Może powinnaś trochę odpocząć?

- Dobry pomysł. - Wstała i prawie przeciągnęła się. Rzeczywiście miała ochotę pójść do siebie.

- Wpadnij, kiedy się znudzisz. - Reising pogłaskał jej ciemne, opadające na ramiona włosy

Korenda wyszedł za nią do przedpokoju.

- Odprowadzę cię. - Otworzył jej drzwi.

W milczeniu weszli na górę. Wiedziała, że nie jest to kurtuazyjne odprowadzenie, a już na pewno nie troska o jej zdrowie.

Mężczyzna, który w tej chwili wchodzi z nią do mieszkania, jest tym, w którym się zakochała, ale to było dawno. Teraz wszystko jest inne.

Stała przy oknie. Chyba wolała patrzeć na szarość nieba. Korenda oparty o framugę nie spuszczał z niej wzroku.

- Wiem, że jesteś zmęczona, ale nie zajmę ci dużo czasu - mówił miękko, spokojnie, prawdopodobnie, jak do pacjenta. - Czy nie uważasz, że łączy nas coś szczególnego?

Ogarnął ją nagły chłód. Poczwała, że jej twarz sztywnieje i tylko oczy mogą wyrażać jakiegokolwiek emocje.

- Oczywiście - odpowiedziała krótko. - Na przykład klątwa. Drgnął. Nerwowo ruszył ramionami.

- Skądże. Nie o nią mi chodzi. W ogóle jest jakimś nonsensem.

- Wcale nie. Działa całkiem dobrze.

- No, nie. - Zaczął chodzić po pokoju szybkim, elastycznym krokiem przypominającym drapieżnika. - Nie rozumiem, jak piękna dziewczyna może mówić takie rzeczy. A tym bardziej myśleć.

Bardzo nie lubiła takich komplementów. Czwała w nich litość.

- Zdaje się, że to moja sprawa - powiedziała z niechęcią.

Zatrzymał się. Znów widziała jego duże, jasne oczy wpatrzone w nią w sposób, który trudno opisać. Mogły się kojarzyć z kontrolowaniem i zamiarem narzucenia swojej woli.

W tej chwili zrozumiała, że mimo wszystko czuje odruchowy lęk. Ale postara się tego nie pokazać.

- Dzisiaj rano zadzwonił do mnie profesor Wojdał - mówił do niej z wyraźnie sztucznym spokojem. - Z Australii. Mimo że się do niego nie zgłosiłem, proponuje mi organizowanie czegoś, nie pamiętam gdzie. Podobno wystarczy mu to, co o mnie wie z zebranych informacji. Co o tym sądzisz?

- Ja? - Nie zrozumiała.

- Tak. Chciałem cię zapytać.

- Nie znam się na medycynie i organizacji. Ani na twoim życiu - dodała.

Przez chwilę milczał.

- Możesz wiedzieć o nim wszystko. Nie mam przed tobą nic do ukrycia. - Był napięty, jakby przygotowywał się do ataku na zdobycz. - Proszę cię tylko, powiedz, czy chcesz, żebyśmy wyjechali. Na długo.

Nie mogła tego słuchać. Przez jej świadomość szybko przebiegały obrazy, kojarzyły się proste fakty. Ma przed sobą człowieka, który od lat żył w małżeństwie, przywykł podejmować decyzje wspólnie. Teraz nie może się obejść bez kobiety, z którą mógłby porozmawiać o swoich sprawach. Zrozumiała, zwłaszcza po szoku, jaki przeżył.

Odwróciła się i przeszła na drugi koniec pokoju.

- Sam musisz wiedzieć, czy odpowiada ci tamta praca. - Starła się mówić bez śladu emocji. - Weź jeszcze po uwagę, że może zmiana otoczenia pomogłaby ci zapomnieć i zacząć nowe życie.

Nie odpowiedział. Ani słowa. Po prostu wyszedł. Została sama.

Usiadła w dużym, starym fotelu i zamknęła oczy. Nie chciała zasnąć, tylko w miarę możliwości zebrać myśli. Co się właściwie stało? Najpierw jako kolejna Kalińska bezsensownie ulokowała

swoje uczucie. W żonatym mężczyźnie. Ale nie chwaliła się tym. Potem na skutek fatalnych zbiegów okoliczności, wspomaganym dzielnie przez jej naiwność, o mały włos nie straciła życia. W przeciwieństwie do bohaterki książek i filmów typu przygodowego, nie zyskała w efekcie narzeczonego ani nikogo w tym rodzaju. Zdarzyło się dokładnie odwrotnie. Bardziej niż kiedykolwiek czuje się samotna.

Człowiek, w którym się zakochała, może by i chętnie widział ją u swojego boku. Ktoś, kto ma taką jak on chęć posiadania i dążenia do celu, na pewno potrzebuje wsparcia. Mogłaby więc dobrze funkcjonować w tej roli, oczywiście nawet bez myśli o rywalizacji z jakąś następczynią Aldony Miecik.

Na szczęście w porę odsunęła się od sprawy i będzie żyła własnym życiem. Teraz pojedzie do ojca, od września ma podjąć pracę w liceum, pół godziny stąd. Przez ten czas Korenda, miejmy nadzieję, zdąży wyjechać po karierę do jakiegoś ciepłego kraju. Czyli, w porównaniu ze swoimi ciotkami z przeszłości, ona nie ma powodu do narzekań.

Chyba jednak potrzebowała snu, bo na jakiś czas zdrzemnęła się. Niestety, nie w sposób kojący. Śniły jej się stare rzeźbione pistolety, miała w ręce jeden z nich, czuła chłodną, drewnianą powierzchnię.

Obudziła się, czując czyjąś obecność.

Obok niej, zajmując połowę niskiego stolika, siedział, przyglądając się jej, Janek Reising.

- Sorry, że po prostu wlałem, ale musiałem sprawdzić, co u ciebie - uśmiechnął się rozbrawiająco.

Daria skrzywiła się.

- Dlaczego u mnie ma coś koniecznie być? - spytała rzeczowo.

- No, bo nie wiem, jak ci to powiedzieć. - Z dużym zakłopotaniem zaczął bawić się jasnym loczkiem sterczącym nad czołem. - Wytworzyła się jakaś dziwna sytuacja.

- W porównaniu z tą w Zrębiaku, chyba żadna nie powinna być dziwna - zauważyła, szukając pantofla, który zsunął jej się ze stopy.

- No tak, tak. Ale tam na przykład Maciek zachowywał się całkowicie normalnie i merytorycznie, a teraz wręcz przeciwnie.

- To znaczy?

- Dużo by mówić. Słysząc było przez te cienkie drzwi, że schodzi z góry, Ula chciała coś od niego, ale nie pogadała. Zero kontaktu, wyglądał jak następny morderca. Więc ona uciekła. To ja pomyślałem, że o coś zapytam. Najlepiej, co teraz zamierza robić. A on nawet nie spojrzał i tylko, że się będzie pakować. Bardzo grzecznie spytałem, gdzie się wybiera. On na to, że na lotnisko, a potem, ma nadzieję, wystarczająco daleko. Żeby wszystko było jasne, zatrzasnął mi drzwi przed nosem i przekręcił zamek. W sumie objawy bardziej pacjenta niż lekarza, i wykombinowałem, że pewnie coś wiesz.

Bezwiednie przeczesła palcami włosy.

- Owszem, Jakiś profesor z daleka ma ochotę go zatrudnić do organizowania czegoś.

-Wojdał? Skinęła głową.

- Niesamowite. To jakaś szycha w medycynie. Kiedyś spotkał Maćka, teraz tu był na krótko i chciał się z nim zobaczyć. O konkretnej godzinie, bo miał samolot. Ale Maciek dowiedział się, że może ci grozić niebezpieczeństwo i wybrał wycieczkę do Zrębiaka. Chociaż nie do końca mi wierzył.

- Żartujesz! Całe szczęście - westchnęła - że ten człowiek się jeszcze odezwał.

- Rzeczywiście. Ale jedno mi bardzo nie pasuje. Dlaczego zdecydował się wyjechać? I w taki opętany sposób?

- Nie był całkiem zdecydowany. Chciał, żebym mu poradziła.

-I co?

- Powiedziała oczywiście, żeby robił, co uważa. Ale też - Daria zmarszczyła nos - że taki wyjazd powinien dobrze mu zrobić.

- No, nie!

- Przecież musi zacząć nowe życie - powiedziała nieśmiało.

- Ja się zabiję! - Reising stanął na równe nogi. - Wiem, jak was naprawdę przekłęła panna Marianna. Poprosiła Pana Boga, żeby wam rozum odebrał. Znakomicie wystarczyło. - Odwrócił się od drzwi. - Poczekaj. Nie wychodź. Nie ruszaj się.

Ruszyła się jednak do kuchni. Może zrobić herbaty. Może raczej posprzątać. Nigdy nie była pedantką, ale takie czynności zwykle ją uspokajały. Jednak pomimo trzykrotnego umycia zlewu nie poczuła się ani trochę lepiej. Wytarła ręce, błyskawicznie założyła buty i kurtkę. Janek nie będzie jej we wszystkim rozkazywał, zresztą nie wybiera się daleko.

Popołudnie na pewno nie był letnie, tylko zdecydowanie marcowe, ale nie padało, więc zamierzała przespacerować się szybkim krokiem tak daleko, jak będzie możliwe.

Szarozielony kolor pomieszany z błotem, suche gałęzie krzewów, pokręcone konary drzew. Wszystko to znakomicie pasowało do jej nastroju. Dzisiaj zadzwoni do ojca z niespodzianką, powie, że jego długoletni znajomy, uważany prawie za przyjaciela, okazał się chorym psychicznie podwójnym mordercą.

O mały włos bilans mecenasa wzrósłby do trzech osób. Albo tylko o jedną, właśnie o nią. Ojciec pomyśli, że coś nie tak z jej głową. I może nie całkiem się pomyli. Mimo środka odurzającego stanowczo lepiej, niżby chciała, pamięta chwile w domku w Zrębiaku, które miały być jej ostatnimi.

Dlaczego zdarzają się jej tylko niedobre rzeczy? Czy naprawdę nie może jej spotkać nic miłego? Powinna już przywyknąć, ale jak się z tym pogodzić?

Było chłodno, z daleka dochodził tylko pomruk czteropasmowej drogi. Prowadząca do niej szara, częściowo asfaltowa uliczka pomiędzy resztkami ogródków działkowych wyglądała bardzo niezachęcająco. Daria zatrzymała się. Za sobą miała ponuro sterczące resztki „Eurydyki”. Lepiej nie patrzeć. Odwróciła się w stronę majaczących na horyzoncie początków jakiejś budowy.

Czuła się tu źle, ale nie chciała wracać. Ma dosyć bezsensownych rozmów. Najlepiej byłoby już siedzieć w pociągu do Rzeszowa.

Zamknęła oczy i siłą wyobraźni przeniosła się w Bieszczady. Wydawało jej się, że czuje zapach czystego powietrza i gdy podniesie powieki, zobaczy las.

Pragnęła, by to trwało jak najdłużej. Z przykrością jednak usłyszała czyjeś kroki. Wiedziała, że za chwilę nie będzie już sama. Wszystko jedno, ten ktoś sobie pójdzie, a ona jeszcze trochę odpocznie.

Stało się inaczej.

- To tylko ja. - Poznała głos Korendy.

Bardzo nie chciała się odwracać. Właściwie nie było sensu. Nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia.

- Janek uświadomił mi to, co i tak podejrzewałem. Ze jestem idiotą. - Staął naprzeciw niej. Po jego napięciu nie zostało ani śladu. -

Powinienem był zapytać, czy chcesz pojechać ze mną - uśmiechnął się.

- Ale ponieważ wcale nie rwę się do wyjazdu, dlatego wybór należy do ciebie. - Patrzył na nią z łagodnością, której nie znała. - Czy wolisz być ze mną tutaj, czy za którąś ciepłą granicą?

Wszystko wyglądało na jakiś żart. Nie najlepszy, ale trudno.

- A mam jakąś trzecią możliwość? - spytała.

- Nie, proszę cię, nie. - Chwycił ją za rękę. Poczowała kojące ciepło jego dłoni. - Nie wiedziałas, ale zakochałem się w tobie od pierwszej sekundy. Padał śnieg, stałaś przed drzwiami z torbą.

Zsunęła ci się czapka, zobaczyłem twoje oczy spod pięknych, ciemnych kosmyków, i stało się to coś dziwnego. Właśnie jakby grom we mnie uderzył. Nigdy tego nie czułem. Potem, gdy cię spotykałem, dostawałem zawrotu głowy na widok każdego odsłoniętego centymetra twojego ciała. Nie zamierzałem z tym walczyć, wiedziałem, że spotkałem tę jedyną właściwą dla mnie na świecie kobietę.

- A twoja żona? Nie kochałeś jej?

- Nigdy w ten sposób. Była piękna i wybrała mnie. Uważałem, że za to ją kocham. Początkowo było niemal wzorowo, i seks i przyjaźń. Bożena nie chciała jeszcze dziecka, ja byłem zajęty pracą, więc się z tym godziłem. Natomiast od kilku miesięcy wiedziałem, że nasze małżeństwo jest inne. Narastała specyficzna, grzeczna obojętność, tak zwane obowiązki małżeńskie stały się dla mojej żony pańszczyzną. Czułem, że jestem zdradzany, ale nie zrujnowało mi to życia. Nie chciałem też rewanżować się w identyczny sposób. Dopiero, gdy spotkałem ciebie, wszystko się zmieniło. Dzień przed śmiercią Noconia postanowiłem porozmawiać z Bożeną i wziąć rozwód na jej warunkach, jakiegokolwiek by one były. Stało się inaczej.

Pamiętała doskonale te krótkie przelotne spotkania, rozmowy z nim, po których czuła się zawsze dziwnie, aż w końcu zrozumiała, że jest zakochana.

- Chciałem bardzo tradycyjnie starać się o ciebie, ale po tym, co się stało - podniósł jej rękę do ust - proszę cię, wyjdź za mnie. Mimo wszystkich zastrzeżeń, jakie możesz mieć do mnie, bo nikt nie będzie cię nigdy kochał bardziej niż ja.

Nie śniła, to działo się naprawdę. Wiedziała, że musi coś powiedzieć, ale na chwilę po prostu utonęła w jego spojrzeniu.

- Zaryzykuję - uśmiechnęła się.

Pocałunek, który poczuła, był z pewnością jak te, po których mdlały rówieśnice jej prababek.

- A zastrzeżenia do ciebie, to jakie mam właściwie mieć? - zapytała, gdy objęci przechodzili obok zgliszcz „Eurydyki”.

- No, na przykład, uparcie dążę do celu, chyba jestem zaborczy, podobnie jak cioteczna prababcia Marianna. Moja rodzina nie może się pochwalić bohaterstwem, a mój szanowny pradziadek w Paryżu miał wyraźną skłonność do uzależnień.

- Z tego, co wiem, aż za wyraźną. Ale w tym pokoleniu był jeszcze bardzo sympatyczny ksiądz, a ty masz uroczonego ojca.

- Zachwycił się tobą od pierwszego spojrzenia. Ale twój ojciec, czy nie będzie protestował przeciwko zięciowi z rodziny Mizerowskich.

Daria roześmiała się.

- Będzie zachwycony. O klątwie miał zawsze jedno zdanie, że to brednie.

- Uwielbiam go. - Narzeczony przytulił ją mocno.

Reising przestał chodzić naokoło pokoju i patrzeć przez okno w jakąś nieokreśloną dal. Miał w głowie to, od czego zacznie w swojej pracowni, która ma być gotowa najpóźniej za trzy dni. Krytycy już zwyczajowo chwalili go za oryginalność. Niektórzy mówią nawet o nieobliczalności.

Tak, ta ostatnia diagnoza występowała również na trzech sprawach rozwodowych.

Za bardzo pamięta, co stało się w Zrębiaku, musi wyrzucić to z siebie przez nadanie materialnej formy. Wie dokładnie, jak zacznie, a potem jego praca sama go poprowadzi.

Może przypomni sobie czasy, gdy bawił się w happening, a może wyjdzie z tego nowa wystawa.

Wieczór spędził z Urszulą. Tylko spędził, nie chciał jej zawracać głowy sobą, skoro umówiła się na wakacje z Sebastianem.

Nie będzie wchodził w drogę młodemu informatykowi. Ciekawe, swoją drogą, że niepozberany życiowo chłopak potrafił zatroszczyć się o Ulę i swoje sprawy. A ona zasłużyła na kogoś takiego jako rekompensatę po przystojnym kretynie, który zostawił ją z długami.

On sam oczywiście nie zapomniał, że jest umówiony na kolację z bardzo rozsądną blondynką.

Czy rzeczywiście jego robota zastępuje mu normalną rodzinę i jest tą kobietą, z którą się nie rozstaje? Janek miał nadzieję, że może nie do końca. Ale na pewno ona pilnuje, żeby do niej zawsze szybko wracał.

Daria jechała tramwajem numer trzydzieści pięć. Dzień, po raz pierwszy w tym roku, zasługiwał na miano wiosennego i mimo iż był to poniedziałek, to wyraźnie pozytywnie wpływał na ludzkie nastroje.

Minęła plac Zbawiciela. Wczoraj umówiła się z Maćkiem o trzynastą na rogu Alei Niepodległości i Nowowiejskiej. Dokładnie tak, jak pamiętnego tragicznego dnia.

Wbrew pozorom nie planowali żadnej magicznej powtórki tamtego nieudanego spotkania. Po prostu okazało się, że w ten sposób będzie najwygodniej. A wtedy? Co wtedy naprawdę zaszło? Korenda od razu przyznał, że sam przed sobą szukał pretekstu do zobaczenia się z Darią. Uznał więc, iż z różnych powodów może jej grozić niebezpieczeństwo. Nawet nie wiedział, jak bardzo miał rację. Umówił się, myślał, że dobrze zrobił. Efekt przeszedł najgorsze oczekiwania.

Dlaczego w tamtym miejscu na oczach Darii zginęła dziewczyna identycznie z nią ubrana? Czy coś je łączyło?

Jedynym, komu mogli zadać wczoraj takie pytanie, był Janek Reising. Zaanektowała go Urszula, która mogła wreszcie dopytać się o wszystkie szczegóły i przy okazji pozwolić sobie wytłumaczyć, że przyjęcie propozycji Sebastiana jest decyzją pod każdym względem słuszną.

- Nie mówiłem wam? No, coś podobnego! - Rzeźbiarz poszedł do kuchni po filiżanki. - Karol sprawdził mi całą aferę, ale przecież zaraz zrobiło się takie zamieszanie, że nie było okazji.

- Akurat! - prychnęła Ula. - Nie mówiłeś, żeby nie wyszło, że wiesz więcej.

Uśmiechnął się rozbijając.

- Coś bym wymyślił. Ale jeśli naprawdę chcecie wiedzieć, to wszystko jest prawie banalne. Dziewczyna nazywała się Karolina Jakaśtam i była studentką Politechniki. Miała na sobie to, co noszą teraz dziewczyny. Była do Darii podobna, miała ten sam gust, wystarczyło. Interesujące jest co innego. Standardowe ciuszki nosiła dla pozorów, stać ją było już na dużo więcej, od blisko roku miała sponsora.

- Tak, to się niestety zdarza - przyznała Urszula.

- Na szczęście nie wszystkie mają takich, jak Karolina.

- Niedobry?

- Przeciwnie, świetny. Tylko że miał zdecydowanie zbyt dużo wspólnego z tak zwaną przestępczością zorganizowaną. W końcu okazało się, że dziewczyna wie za dużo. Nie ogarniam, kto ją kazał zlikwidować, czy jej przyjaciel, czy ktoś inny. W każdym razie w czarnym BMW siedział znany i poszukiwany wykonawca takich zadań. Chyba z Ukrainy. Zidentyfikowano go zresztą tylko po odciskach palców, bo nie miał żadnych dokumentów. Rozbił się, uciekając przed pościgiem policji na skrócie w Aleje Jerozolimskie. Miał sto sześćdziesiąt na liczniku. Na Kopińskiej i Trasie pewnie mniej, ale i tak cud, że nikogo więcej nie zabił. I jeszcze

jedno. W najbliższym czasie mają postawić na skrzyżowaniu Alej i Nowowiejskiej bardzo solidne, betonowe słupki.

- Gdyby Daria przyszła pierwsza, byłoby po niej. A gdyby przyszły razem, zaliczyłyby dla pewności obie - podsumowała Urszula. - Miałaś niewyobrażalne szczęście.

Wiedziała o tym. Teraz dojeżdżała do Politechniki. Na przystanku zebrała się rozprawiająca o czymś głośno gromadka studentów, ale przed nimi do tramwaju wszedł ktoś zupełnie inny. Dziewczyna poczuła, że jej oczy same zaokrąglają się ze zdumienia. Na schodki, zamiatając je długim płaszczem, wspinała się wiekowa dama, tuląc do siebie płowego, długowłosego kundelka.

Daria przez krótki moment miała wrażenie, że wpadła w jakąś nierealną pętlę czasową i teraz powtórzy się wszystko jeszcze raz. Szczęśliwie wytłumaczyła sobie, że babcia może mieszkać w okolicy i czasem mieć coś do załatwienia o tej porze.

Starsza pani ostrożnie postawiła pupila na podłodze i ku wielkiemu zaskoczeniu obserwującej ją dziewczyny, z obrzydzeniem wyciągnęła z kieszeni kaganiec. Z urągliwym pomrukiem „Dziad, dziad” założyła go na włochaty pysk kundelka.

Gdy tramwaj stanął, Daria przy drzwiach wyjściowych odwróciła się do dziwnej pasażerki.

- Dziękuję pani - powiedziała do niej wyraźnie.

Dama spojrzała na nią uważnie spod zaczerwienionych powiek i leciutko skinęła głową. Może kiedyś zrobiła komuś coś dobrego i teraz przyjęła podziękowanie.

Skrzyżowanie było puste, nie licząc straganu słusznie liczącego na powodzenie w pogodny dzień. Daria tym razem nie spóźniła się, a raczej miała jeszcze trochę czasu. Przeszła po pasach przez Aleje i odruchowo rozejrzała się. Nikt tu dzisiaj na nikogo nie czekał.

- Cześć. Trzymasz się z dala od krawężnika? - usłyszała. Poznała ich. Tych samych troje licealistów, którzy wtedy byli świadkami wszystkiego. Chyba patrzyli na nią jak na jakiś dziwny okaz. Uśmiechnęła się.

- Czy wy tu jesteście na stałe? - zapytała rzeczowo.

- Bywamy również gdzie indziej, ale ciebie spotykamy tylko tutaj - odparł Łukasz z kręconymi włosami. - I już teraz wiemy, po co zwolnili nas po pięciu lekcjach.

- Jesteś jednym, nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności - dodała Asia.

Michał był najwyższy. Pamiętała jego bystre, szare oczy.

- Jak ci się udało przeżyć do dzisiaj? Masz więcej sobowtórów, czy inne, dobre metody?

Zastanowiła się.

- Nie mam metod, ale w zasadzie cały czas było podobnie.

- No, to uwaga, bo jedzie taki sam. - Zasłonił ją ramieniem. Automatycznie cofnęła się.

- Czarny? - krzyknęła Aśka.

- Nie, beżowy. Z tym samym facetem. - Spojrzał na Darię badawczo. - Na pewno wiesz, co robisz?

Kierowca zaparkował i zbliżał się szybkim krokiem.

- Na pewno wiem. Cześć! - Pobiegła do niego.

- W razie czego, pamiętasz, gdzie nas szukać. - Pomachał Łukasz.

Po chwili siedziała w samochodzie, czując się tak bezpiecznie, jak tylko można. Korenda wymienił nazwę restauracji.

- Obojętne. Byłam z tobą w bardziej niebezpiecznych miejscach.

Na skraju Pola Mokotowskiego powoli zmieniającego kolor, nieśmiało pojawiła się wiosna.

- Pomyśleć, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu było tutaj lotnisko. Komu wtedy przyśniłoby się, że startuje z parku w centrum miasta? Nawet najlepszej wróżce chyba nie.

- W Bieszczadach niejaka Margerita, za czekoladki i pół litra, przepowiedziała mi zmianę w życiu związaną z pistoletami.

- Bez nich byłaby taka sama zmiana - powiedział stanowczo. - Ale pošlę jej wielkie pudło, oczywiście tylko z czekoladkami.

Z prawej strony przyciągał wzrok elegancki budynek Biblioteki Narodowej. Daria po raz pierwszy od przyjazdu naprawdę spojrzała na swoje miasto.

Doktor uśmiechnął się.

- Mijałem dzisiaj tramwaj z naprawdę świetnym napisem: *Zakochaj się w Warszawie.*